



**GORZKA
CZEKOLADA**

SALON D'AMOUR

Anna
Jansson

Media Rodzina

Anna
Jansson **SALON**
D'AMOUR

Tłumaczyła Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska

Media Rodzina

Spis treści

Dedykacja

Motto

JESTEŚMY W GOTOWOŚCI

NORNY DZIAŁAJĄ PO CICHU

O ZLATANIE I SENSIE ŻYCIA

ŁOWY W DORADCY WAGI SA

O ODWADZE PRZEGRYWANIA

LIST W BUTELCE DO NIEZNANEGO UKOCHANEGO

ABSYNT NIE NADAJE SIĘ DLA WYMOCZKÓW

CIEŹKI DZIEŃ DLA RICKY'EGO

CZAS MIJA, A MY Z NIM

TAJFUN W SALONIE D'AMOUR

SODOMA I GOMORA

PRZEDSIĘBIORCY POGRZEBOWI WYŁANIAJĄCY SIĘ Z
TRZĘSAWISKA MJÖLHATTE

W JEGO RĘKACH LEŻAŁO NAGLE COŚ OŚLIZŁEGO...

RADY NORN

SINDBAD ŻEGLARZ

ARSÈNE LUPIN

MAM PLAN

W PODZWROTNIKOWEJ STREFIE KAKADU

NIEKTÓRE DNI CHCIAŁOBY SIĘ ZGŁOSIĆ DO REKLAMACJI
JEM, WIĘC JESTEM
ŻYCIE SIĘ NIE KOŃCZY, ZANIM KOSTUCHA NIE POWIE „SZACH
I MAT”
OBCE MĘSKIE BUTY W PRZEDPOKOJU
POLOWANIE NA OBDARTEGO STEVENA
TO JEST WPIENIAJĄCE, UWAŻA RICKY
PRZYPLŹYWY I ODPLŹYWY
BANK UCZTUJĄCYCH PRZYJACIÓŁ
WSZYSTKO JEST WZGLĘDNE
Z CHAOSU RODZI SIĘ JESZCZE WIĘKSZY CHAOS
NASZE ŚWIATY SPOTYKAJĄ SIĘ NOCĄ
MAGICZNA NOC
ZAGLĄDA KOMORNIK
PRÓBA WERBOWANIA U CLASA OHLSONA
POWSTAJE GRUPA PIĄTKOWA
OBIETNICA JEST OBIETNICĄ
PICA PICA FENNORUM
PIELĘGNOWAĆ W SOBIE NAWZAJEM WEWNĘTRZNE DZIECKO
KINDFULNESS
ŻYCIE SIĘ HUŚTA, A MY HUŚTAMY SIĘ Z NIM
POJEDNANIE TO NAJPIĘKNIEJSZE SŁOWO, JAKIE ISTNIEJE
PÓJDŹ KU MEJ OWŁOSIONEJ PIERSI!
GRUPA PIĄTKOWA SIĘ SPOTYKA
WŁAMANIE DO ZAKŁADU POGRZEBOWEGO

OSTATNIE POZDROWIENIE
PO NOCNYM WŁAMANIU
POD DRZEWKIEM MORWOWYM
POKAZ I NIESPODZIEWANA WIZYTA
KILKA MYŚLI AUTORKI NA TEMAT JEDZENIA
GARŚĆ PRZEPISÓW NA GORSZE CZASY

Tytuł oryginału
ÖDESGUDINNAN PÅ SALONG D'AMOUR

Copyright © Anna Jansson 2014, by Agreement with Grand Agency, Sweden and ANAW,
Poland

Copyright © 2015 for the Polish translation by Media Rodzina Sp. z o.o.

Projekt logotypu Gorzka Czekolada
Dorota Wątkowska

Projekt okładki
Lucyna Talejko-Kwiatkowska

Zdjęcie na okładce
Getty Images

ISBN 978-83-8008-138-3

Media Rodzina Sp. z o.o.
ul. Pasięka 24, 61-657 Poznań
tel. 61 827 08 60
mediarodzina@mediarodzina.pl
www.mediarodzina.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

*Janowi Keithowi —
mistrzowi retoryki zaparzaczkowej i ojcu*

Szkoda, że wszyscy, którzy naprawdę wiedzą, jak powinno się rządzić krajem, są zajęci prowadzeniem taksówek albo obcinaniem włosów.

GEORGES BURNES

JESTEŚMY W GOTOWOŚCI

Przy Rynku Południowym w Visby znajduje się Salon d'Amour. Widać go od razu po przejściu przez mury obronne i minięciu budki z kiełbaskami. Wisi nad nim szyld w kształcie serca, który po zapadnięciu ciemności rzuca ciepły czerwony blask.

Kupiłam salon siedem lat temu od pewnego starszego pana. Zapach pomady do włosów dawnego właściciela jeszcze nie do końca się ulotnił. Jest to ładny i nieduży lokal z tapetami w różyczki pamiętającymi przełom dwóch poprzednich stuleci i z dwoma fotelami fryzjerskimi obitymi bordową skórą. Na tylnej ścianie wiszą cztery obrazy, które wypatrzyłam na targach staroci i na aukcjach. Motywem przewodnim ich wszystkich jest pierwsza wojna światowa. Jeden przedstawia mężczyznę w mundurze, z sumiastym wąsem, całującego na pożegnanie swoją żonę. Na następnym mężczyzna z obandażowaną głową opuszcza pole bitwy jako bohater. Na trzecim żołnierz wraca z wojny cały i zdrowy, witany w domu przez kobietę z małym dzieckiem na ręce. Na ostatnim obrazie widać zakochaną parę w pergoli z bzu już razem z gromadką dzieci. Bardzo lubię, gdy różne historie kończą się szczęśliwie. Szczęśliwiej niż w moim życiu.

Mówi się, że to właśnie tutaj, w starym, średniowiecznym domku balwierza duński król Waldemar Dojutrek postanowił zapuścić sobie brodę po spustoszeniu Visby w 1361. Kiedy spoglądam przez duże okno, widzę, w którym miejscu rycerze wdarli się przez mur. Co drugi kamień na jego szczycie jest usunięty dla upamiętnienia tamtego potwornego dnia, gdy tysiąc ośmiuset gotlandzkich chłopów zostało wyciętych w pień przez duńską

armię. Jak wieść niesie, krew lała się strumieniami i zabarwiła ziemię na czerwono aż po skraj morza. Nic nie przemawia przeciwko mojej teorii, że to właśnie tutaj Waldemar kazał się ogolić, poza faktem, że król Danii stałby się krótszy o głowę, gdyby balwierz miał naostrzoną brzytwę i był Gotlandczykiem.

A ZATEM TU, przy Rynku Południowym, mam swój salon. Jeśli będziesz przechodzić obok, serdecznie zapraszam. Czekać na swoją kolej, zostaniesz poczęstowany herbatą z mięty i czarnego bzu z mojego ogrodu. Przyjrę ci się uważnie w lustrze, aby zrozumieć, jak najlepiej mogłabym ci pomóc. Moje nożyczki to czarodziejska różdżka. A moje farby dopełnią całkowitej metamorfozy, jeśli na tym ci zależy. Kiedy więc usiądziesz na fotelu, a ja otulę cię specjalną pelerynką, w głowie będę już miała konkretną propozycję. Mimo to moje pierwsze pytanie zawsze brzmi niezmiennie: Co mogę dla ciebie zrobić? Gdy je zadaję, nie chodzi mi wyłącznie o twoje włosy. Ja mam na myśli: Co mogę dla ciebie uczynić w twoim życiu? W salonie bowiem stoją dwa fotele i to, obok kogo się znajdziesz, siadając na jednym z nich, nigdy nie jest przypadkowe. To jest starannie zaplanowane. Ale do tego wrócę później.

Mój salon odwiedzają trzy rodzaje klientów: klienci typowi, którzy przychodzą na standardowe strzyżenie; klienci narcystyczni, pogrążeni w samouwielbieniu lub samoudręczeniu. I w końcu zdesperowani, którzy przekraczając próg, mówią: „Proszę mnie odmienić”. Nierzadko mam wrażenie, że chodzi im o całe ich życie. Nowa fryzura i przefarbowanie włosów na rudo to często rozpaczliwy początek nowego i może lepszego życia w pojedynkę. Powtarzam: może lepszego. To temat do dalszej dyskusji.

Oprócz nich zdarzają się oczywiście klienci niepasujący do żadnej z tych kategorii — system jest w trakcie rozwoju. Przydałaby się jeszcze specjalna klasa dla wizyt nieplanowanych, lecz spowodowanych koniecznością.

Z takim przykładem zetknęłam się w ostatnim tygodniu. W dzień po wieczorze kawalerskim jeden z klientów szukał u mnie pomocy i chciał przefarbować sobie włosy na kolor, który bardziej przystoi w biurze dyrekcji AB Finans. Zielonkawy odcień kupki noworodka nie nadawał się raczej dla osoby zarządzającej pieniędzmi innych.

— TO CZEŚĆ, DO JUTRA! — mówię do mojego kolegi Ricky’ego, który chciał wyjść wcześniej, żeby zdążyć na swoją lekcję tańca na rurze. Właśnie posprzątał nasz pokój socjalny i toaletę, ja zaś zaczynam rundkę ze szczotką po salonie i zmiatam włosy i kurz po całym dniu. Potem czyszczę szczotki do włosów i uzupełniam pomocniki fryzjerskie na następny dzień pracy. Wycieram stolik, przy którym klienci piją kawę, i dosypuję do koszyka szafranowych sucharków. Ponieważ dostałam paczkę z perukami i treskami, zawieszam je w niewielkiej intymnej przymierzalni. Jedna z moich klientek ma niedługo przejść chemioterapię, cieszę się więc, że jej peruka już przyszła i jest tak ładnie zrobiona. Dotarła też część materiału do przedłużania włosów. Ricky uważa, że powinniśmy zacząć to robić. W szkole fryzjerskiej nauczył się trochę nowych rzeczy.

Kiedy tuż przed zamknięciem zabieram się do liczenia utargu, odnoszę nagle dziwne wrażenie, że jestem obserwowana. Za oknem pokazuje się i znika czyjaś twarz. Powinnam założyć alarm. Co prawda i tak zawsze istnieje ryzyko, że mogę zostać napadnięta i ograbiona w drodze do domu. Przypuszczam, że postawa człowieka zwykle zdradza, czy ma w torebce dwadzieścia tysięcy czy tylko parę dziesiątek. Ale alarm jest drogi, a mnie do tej pory zawsze udawało się jakoś wywinąć z problematycznych sytuacji. Bo jeśli jest jakiś talent, który można w sobie wyrobić, wykonując zawód fryzjerki, to jest nim na pewno sztuka komunikacji i osiągnięcia porozumienia. Człowiek uczy się rozmawiać z najróżniejszymi typami ludzi: z chłopami po chłopsku, ze śmieciarzami o latrynach, a z naukowcami po łacinie. Fryzjerki

są niedocenioną grupą w świecie negocjacji. To one powinny być zatrudniane zamiast polityków, którzy nie umieją słuchać.

Twarz za szybą przesuwa się znowu szarym cieniem w deszczu. Kiedy usiłuję wyrzeć przez okno, przy wejściu wyłania się z mroku jakaś bezkształtna postać. Ubrana na ciemno, z kapturem naciągniętym głęboko na czoło. Oczywiście ogarnia mnie strach. Jestem sama w salonie. Ta ponura postać wkracza do środka przez drzwi, których nie zdążyłam zamknąć. Przerażona popycham biodrem szufladę kasy i ukradkiem wsuwam kluczyk do kieszeni fartucha. W spojrzeniu, jakie dosięga mnie spod kaptura, są nerwowość i desperacja. Przez głowę przemyka mi jeszcze myśl, że za chwilę zostanę ograbiona z dziennego utargu. A to sporo pieniędzy.

Przed oczami migają mi sceny z makabrycznych kryminałów. Czy ze srebrną taśmą na ustach zostanę przywiązana do krzesła, czy zawiniętą w dywan postawią mnie na głowie w magazynku? Bywały przypadki, że ludzie umierali, gdy zrolowani w dywan stali do góry nogami, i znajdowano ich dopiero wtedy, kiedy zaczynało zalatywać śmiercią i zgnilizną. Jeśli w ogóle ich znajdowano. Bo można wylądować prosto w kontenerze pełnym jakichś rupieci i po wywiezieniu z wyspy być przemielonym na paliwo do centralnego ogrzewania. To już chyba lepszy ten wariant z przywiązaniem do krzesła. Tylko co zrobić, jeśli człowiekowi zacznie kapać z nosa i chciałby się wysmarkać, a ręce ma spętane na plecach? Wciąga wtedy te gile i wciąga, a z nosa i tak wciąż mu leci? Potem zjawia się policja, bo jakiś przechodzień zadzwonił po pomoc, a z policjantami jest także Jonna z gazety, która strzela nieszczęśnikowi fleszem prosto w twarz i uwiecznia go na pierwszej stronie porannego brukowca z glutem do samej brody. To naprawdę mało przyjemne. Takie właśnie obrazy przemykają mi błyskawicznie przez głowę.

A jednocześnie zadaję sobie pytanie, co robi wtyczka elektryczna dyndająca z ramienia temu nieproszonemu gościowi, gdy przemierza on mój

salon trzema szybkimi susami.

— Musisz mi pomóc! — Głos jest ochrypły i skrzekliwy jak u ptaka. — Błagam, zapłacę każdą sumę!

Czyli to nie wygląda na napad, wręcz przeciwnie. Zamaskowana kobieta — bo po głosie wnoszę, że mam do czynienia z kobietą — zgadza się, żebym to ja oskubała ją z pieniędzy. „Zapłacę każdą sumę...”. To brzmi w moich uszach jak najwyższa wygrana.

— Co takiego się stało? — pytam, ostrożnie robiąc krok do przodu.

— Stało się, stało, kochana Angeliko, chyba gorzej być nie mogło!

Szybkim ruchem kobieta odrzuca kaptur do tyłu i moim oczom ukazuje się szarobrązowe gniazdo skłębionych włosów, zamienionych w jeden wielki kołtun lokówką. To Rut z komendy policji, jedna ze stałych klientek, jest gotowa zapłacić każdą sumę. Wygląda jak napędzany elektrycznie robot, który chwilowo działa na baterie. Uwolnienie jej od lokówki zajmuje mi dobre czterdzieści minut, a gdy wreszcie mi się to udaje, Rut przyrzeka, że będzie mnie kochać do końca życia.

W SWOIM CZERWONYM NOTESIE stawiam zawsze kreskę, gdy któraś z klientek powie mi: „Uratowała mi pani życie, Angeliko!”. Przez siedem ostatnich lat nazbierało się tych kresek w sumie czterdzieści trzy, czyli czterdzieści trzy uratowane życia. To całkiem niezła statystyka, niemal równie dobra jak średnia straży pożarnej, i dowodzi, jak ważna jest fryzjerska profesja. Pokazuje poza tym, że konieczne jest stworzenie oddzielnej kategorii dla osób z nagłymi problemami. Zamierzam nazwać ją *nieszczęśliwe wypadki*.

NORNY DZIAŁAJĄ PO CICHU

— Kapujesz teraz? — pytam Ricky’ego, kiedy zjawia się następnego dnia rano. — Cztery główne grupy klientów to: T jak Typowi, N jak Narcystyczni, Z jak Zdeterminowani i NW jak Nieszczęśliwe Wypadki. Wystarczy wpisać odpowiednią literę w kalendarzu, żeby określić kategorię. A jeśli ktoś będzie potrzebował pomocy w znalezieniu miłości, dodamy jeszcze do litery serduszko.

— A skąd to można wiedzieć? — mówi Ricky, bez żywotnego zainteresowania, na które liczyłam.

— Wystarczy zadać kilka dyskretnych pytań, poskładać informacje i wyciągnąć wnioski. Każdy fryzjer śledzi ludzkie losy i dzieje rodzinne, często przez kilka pokoleń. Tu jakiś przebłysk, tam jakaś iskierka i zaczyna się poufna rozmowa. Dzięki temu zdobywa doświadczenie i wiedzę o życiu. Moje zadanie to sterowanie ścieżkami przeznaczenia. W Salonie d’Amour klienci mogą liczyć na pełną dyskrecję. Tutaj mogą się wygadać i poczuć, że życzymy im dobrze. I mieć pewność, że żaden ich sekret nie wyjdzie poza te ściany.

— Klauzulę poufności podpisałem od razu pierwszego dnia. Żadnego plotkowania. Ale nie bardzo kumam, o co chodzi z tymi cyferkami.

— W środku serduszka wpisujemy cyfrę od jednego do pięciu w skali pilności. Piątka oznacza desperacką potrzebę miłości, podczas gdy jedynki dadzą sobie radę same, wystarczy je jedynie lekko popchnąć we właściwym kierunku.

— Czyli T5... to nie typ samochodu, tylko zwyczajne strzyżenie

i rozpaczliwa potrzeba ciupciana — podsumowuje Ricky.

— Coś w tym rodzaju, chociaż ciupcianie czasami bywa wyłącznie ciupcaniem, a ja miałam na myśli miłość.

JAK SIĘ BYĆ MOŻE domyślcie, strzyżenie to czysto zarobkowa przykrywka mojej głównej działalności. Możecie uważać mnie za trenerkę komunikacji interpersonalnej, interlokutorkę albo terapeutkę. Przez chwilę wahałam się nawet, czy na swojej wizytówce nie napisać „Fryzjerka i terapeutka intuicyjna”. Ale obawiałam się, że ludzie mogliby wtedy odbierać moje strzyżenie jako amatorskie. A ja jestem przecież porządnie wykształconą, dyplomowaną fryzjerką. Czy zastanawialiście się może, jak wyglądałby świat, gdyby chirurdzy mózgu, piloci czy elektrycy pracowali intuicyjnie i łączyli kable i przewody trochę na wyczucie? Zgadzam się z wami. Trzeba wiedzieć, co się robi. Na intuicyjne działanie pozwalamy dziś w naszym społeczeństwie jedynie maklerom giełdowym — i jakie korzyści wynikają z tego dla nas, zwykłych drobnych ciułaczy? Gdybym swoje składki na emeryturę trzymała w pudełku po butach pod własnym łóżkiem, miałabym zabezpieczoną starość. Ostatnio rozważam zainwestowanie w kurnik i pole ziemniaków, żeby nie musieć przymierać głodem w jesieni życia. Ale nie o tym mieliśmy rozmawiać. Ty i ja.

Mieliśmy mówić o tym, czego możesz ode mnie oczekiwać, gdy zostaniesz moim klientem. Czy znasz mitologię nordycką i czytałeś *Wróżby Wólwy* albo słyszałeś o Nornach? Te trzy boginie przeznaczenia — Urd, Werdandi i Skuld — przędły nić ludzkiego życia. Razem zgodnie ustalały, które nici mają splatać się we wspólnym losie, a które mijać się nawzajem jak statki we mgle. Dokładnie to samo robimy ja i moje dwie siostry. Mam większe ambicje niż tylko wyczarowywać ładne fryzury — pragnę zapewnić ci spotkanie. Bo tylko w spotkaniu z innymi ludźmi dojrzewa i kształtuje się nasze „ja”. W ten sposób możemy rozwinąć się w nasze potencjalnie

najlepsze „ja” — albo zamienić się we wrak, jeśli będziemy mieli pecha.

Urd, Werdandi i Skuld to przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Norny dają zarówno dobro, jak i zło — nie są zatem aniołami. Warto zdawać sobie z tego sprawę. Ja kieruję się głosem własnego serca. Moje zadanie polega na słuchaniu. Słucham dopóty, dopóki nie dosłucham się w tobie twoich potrzeb. Bo wszystkie odpowiedzi i rozwiązania nosisz w sobie. W większości przypadków wystarczy, że spytam: „Co zamierzasz?”. Potem słucham, jak opowiadasz, i postanawiasz, co zrobisz. Niezdecydowani zatrzymują się w pół kroku. W tym momencie potrzebne jest jedynie lekkie pchnięcie lub *some ass kicking*, jak wyraził się mój kolega Ricky, gdy opowiedziałam mu o swoich zamiarach.

Nie myśl tylko sobie, że wszyscy ludzie bez wyjątku chcą, aby im pomagać w przygodach miłosnych. W grupie narcystycznej na przykład jest mnóstwo męczenników, którzy całą swoją egzystencję budują na tym, że są ignorowani, wykorzystywani i niesprawiedliwie traktowani. Może zwróciłeś uwagę na klienta, który właśnie wszedł w drzwi i usiadł na fotelu przed lustrem. Chudy mężczyzna o półdługich, rozkudłanych włosach i dużej głowie, której nie jest w stanie trzymać całkiem prosto. Ubrany w spraną koszulę bez kołnierzyka w niebiesko-białą kratkę, pewnie z wyprzedaży z końca lat siedemdziesiątych, i w workowate džinsy z domu wysyłkowego. To kategoria N5 w moim kalendarzu. Narcyz o desperackiej potrzebie miłości. Chociaż on sam jeszcze tego nie wie, od tej chwili jego życie może być tylko lepsze. Nazywa się Gunnar Wallén i jest reporterem w Radiu Gute [1](#).

Zawiązuję mu pelerynkę wokół cienkiej szyi. Gunnar jest rozeźlony, że dzień w dzień musi zmywać kubki po swoich kolegach z pracy i że ciągle zaświniąją cały zlew. Jak się domyślam, nie należy do jego obowiązków sprzątanie po nich, ale jest to brzemię, które sam wziął na siebie. Niektórzy

nawet próbowali myć własne kubki po kawie, ale kiedy nie robili tego porządnie, a dziennikarz z działu sportowego usiłował wypucować zlew ręcznikiem, Gunnar dał im odpowiednią lekcję.

W uważnym słuchaniu wywodu Gunnara przeszkadza mi w jakimś momencie widok Ricky'ego, który w połowie schowany za kotarą oddzielającą nasz pokój rekreacyjny trzyma w ręku zaparzaczkę do herbaty, taki z rączką i zamykanym okrągłym sitkiem na końcu. Gdy Ricky na zmianę otwiera ją i zamyka, sitko wygląda jak rozdziawione usta. A robi to dokładnie do wtóru przedłużonych samogłosek w potoku wzburzonej przemowy Gunnara: „Tyyyylko jaaa zmyyywam. I tyyyylko jaaa wyyycieram zleeew. Kto, do choleryyy, mi zaaa to podziękujeee?”.

Jak wspomniałam, Gunnar należy do kategorii N5, i jest to największe wyzwanie, jakie Norna może wziąć na siebie. Dzisiaj jest zdecydowanie bardziej zręczliwy niż zwykle. Delikatnie masuję mu więc sztywny kark i głowę u nasady włosów, żeby trochę go rozluźnić. Moi klienci zazwyczaj ubóstwiają taki masaż. Gunnarowi też sprawia przyjemność ten zabieg, ale prędzej by przeszedł na bosaka po potłuczonym szkle, niż się do tego przyznał. Prawdopodobnie nikt poza dentystą i mną nie dotykał go od wielu lat. Wychodząc, posyła mi nieznaczny uśmiech i mówi „dziękuję”. W tym momencie czuję, że może jednak jest iskierka nadziei, iż pewnego dnia znajdę dla niego towarzyszkę życia.

Ricky'ego zatrudniłam u siebie dlatego, że jego mama, która strzyże się u mojej siostry Very w Hemse, załamała się w końcu. Po dwudziestu pięciu latach ciągłego meblowania głowy synowi dostała wreszcie ataku furii, chwyciła szczotkę do sedesu i goniła go przez trzy kwadransy, dopóki nie zauważyła ich Vera.

Ricky faktycznie nie jest czyścioszkiem. Do tej pory nie był w żadnym stałym związku. I ja mam pomóc mu zrozumieć, dlaczego tak mu się nie

szczęści. To jest moje zadanie. Pracujemy nad tym. Przedstawienie z sitkiem do herbaty było zabawne, ale jeśli dobrze zrozumiałam Verę, właśnie takie zachowania doprowadziły jego matkę do tego, że go w końcu wyrzuciła z domu. Ona pisze kryminały i ma niejake skłonności do dramatyzowania.

Ricky jest dobrym fryzjerem, zbyt długo jednak mieszkał pod jednym dachem z mamą i korzystał z pełnej obsługi. Nasza umowa przewiduje, że do jego obowiązków należy między innymi sprzątanie kuchni i toalety. Okazuje się, że on wcale nie jest ograniczony, tylko leniwy. U mnie pucuje wszystko bez problemu, ponieważ nie dostanie zapłaty, jeżeli nie zrobi tego, co do niego należy. W tym sensie nie jest więc głupi, a jeśli chodzi o pracę, nawzajem się uzupełniamy. On ma odwagę, żeby wypróbować nowe rzeczy, ja natomiast mam doświadczenie.

Mieszkam w Visby przez całe życie, niedługo skończę czterdzieści osiem lat, a własny salon prowadzę od lat siedmiu. Ricky ma dwadzieścia pięć lat. Jest ciemnym blondynem z mocnymi, postrzępionymi włosami, poza tym jest cienki jak krawat z lat pięćdziesiątych i pochodzi z Grötlingbo. W czasie wolnym tańczy na rurze. Chce w grudniu zostać mistrzem kraju.

Kiedy zatrudniłam Ricky'ego i opowiedział mi o swoim hobby, myślałam, że taniec na rurze jest równoznaczny z tańcem erotycznym i striptizem. Bardzo się oburzył, słysząc ten przesąd. *Pole dance* to akrobatyka. Teraz nauczyłam się już nawet kilku fachowych terminów: *invert* to wiszenie głową w dół, *firefighter* to zwykły zjazd po rurze z jedną nogą przed nią, a drugą za nią; i *crying bird* — czyli siedzenie na niej jak ptak z jedną nogą luźno zwisającą. Są jeszcze *gemi* i *boomerang* oraz cała masa innych figur, których jeszcze nie ogarnęłam. Ricky jest jedynym chłopakiem na kursie. Uważa, że to idealne miejsce do spotkania zadowolonych z życia kobiet. Jednym z powodów, dla którego zatrudniłam go u siebie, jest to, że on prawidłowo myśli.

— To, czego brakuje Gunnarowi z Radia Gute, to miłość — mówię do Ricky’ego, który wciąż jeszcze nie odłożył sitka na herbatę, mimo że klient już dawno poszedł. Ochrzciliśmy tę jego pantomimę zaparzaczkową retoryką. Sitkowa retoryka znajduje zastosowanie także w kontekście politycznym, chociaż bez sitka, gdy oponentowi przypisujemy niezbyt godne podziwu rzeczy. W retoryce określa się to jako *guilt by association*. „To tyyyylko wy chcecie marnotrawić pieniądze. Tyyyylko wy myślicie, że emeryci mogą jeść puszki dla kotów”.

— To, czego potrzebują wszyyyscy ludzie, to miiiłość — mówi Ricky i rozdziawia szeroko sitko.

Pomaganie ludziom w znajdowaniu miłości uważam za swoje zadanie życiowe. Od kiedy jestem właścicielką Salonu d’Amour, czyli w ciągu siedmiu lat, udało mi się skojarzyć ni mniej, ni więcej, tylko dwadzieścia sześć par. W domu na pianinie leży specjalny album. Umieszczenie w nim zdjęcia Gunnara z Radia Gute u boku wybranki serca to chwalebne zadanie.

-
1. Gute — potoczna nazwa mieszkańca Gotlandii. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). [\[wróć\]](#)

O ZLATANIE I SENSIE ŻYCIA

Ricky został wyrzucony z domu dokładnie w swoje urodziny. Matka załatwiła mu wcześniej jakieś mieszkanie, DHL-em wysłała na miejsce jego manatki, u siebie zmieniła zamek w drzwiach wejściowych, cisnęła za nim tortem i wrzasnęła „hurrra”. Jeśli przez dwadzieścia pięć lat nie udało się jej nauczyć własnego syna porządku i czystości, to trudno było dłużej żywić nadzieję. Moja siostra Vera przekazała mi listę sporządzoną przez mamę Ricky’ego. Kiedy ją zobaczyłam, pomyślałam od razu, że nieźle wdepnęłam, zatrudniając go u siebie.

- Sika obok sedesu.
- Nie wie, jak i po co używa się szczotki do czyszczenia sedesu.
- Nigdy nie stał ze stołu.
- Zostawia na podłodze prze poczone ubrania, na które potem kot sika w samozachowawczym instynkcie.
- Je w swoim pokoju przy komputerze, najczęściej pizzę na zamówienie. Zostawia gdzie popadnie brudne naczynia, puste plastikowe butelki i kartony po sokach. Nie pojmuję, skąd bierze się pleśń.
- Nie wyprowadza się z domu, żeby zaoszczędzić na własne przyjemności.
- Nigdy w życiu nie dotknął odkurzacza, zmywarki albo pralki.
- Źłapie mleko prosto z opakowania.
- Potrafi zrobić sobie jedynie strogonowa z kiełbasy, czego nauczył się w siódmej klasie na zajęciach technicznych.

TAK WIĘC MOIM ZADANIEM jest wprowadzenie Ricky’ego w tajemnice dorosłego życia. Jako mały szkrab lubił pomagać mamie sprzątać i jeździć na

odkurzaczu. Z czasem jednak mu to przeszło. I może powinniśmy być za to wdzięczni. Ale jak już wspomniałam, w jego wychowaniu jest sporo braków. W ostatnie trzy niedziele Ricky przychodził do mnie do domu, żeby uczyć się gotować. Droga do współpracy nie była jednak całkiem bezbolesna. Na początku dochodziło między nami do konfliktów.

— Strogonow z kiełbasy jest bardzo dobry — oznajmił mi kiedyś, gdy trzeci dzień z rzędu dojadał jego resztki. Ostatnia dziewczyna, z którą przespał się parę razy, powiedziała mu w końcu dziękuję i *adieu*.

— Okej, Ricky, kiedy pierwszy raz zapraszasz dziewczynę do siebie, to jeszcze przejdzie, za drugim razem jest to już wątpliwe, ale po raz trzeci odgrzewany strogonow to po prostu katastrofa. Nic dziwnego, że twoje panny rezygnują. Jeśli chcesz uchodzić za mistrza kuchni, musisz pokazać coś więcej. Jakoś temu zaradzimy.

Naszą ambicją jest przygotowanie jedzenia na cały najbliższy tydzień. Uważam, że wygodnie jest mieć gotowe posiłki, kiedy wraca się wieczorem, ponieważ na przykład ja często zabieram pracę do domu. Oczywiście nie mam na myśli strzyżenia, tylko moje zajęcie jako swatki. Niekiedy bowiem potrzebne są dodatkowe wysiłki i starania, a czasami umiejętność sterowanie tymi, których próbuję połączyć.

Przez dwa pierwsze tygodnie pracy u mnie Ricky kupował sobie na lunch najgorsze śmieciowe jedzenie i zerkał z dezaprobatą na moje niskokaloryczne przekąski.

— Twaróg to istny wymysł szatana — powiedział z największą powagą już pierwszego dnia.

— Dobrze ci tak mówić, bo jesteś chudy jak uczulona na trawę kozica górską. Poczekaj trochę, a sam się przekonasz, co dzieje się z ciałem, kiedy człowiek zbliża się do pięćdziesiątki i nie jest już w stanie biegać tak szybko. Od niepamiętnych czasów ludzki organizm dostosowywał się do tego, co

dawało się zdobyć do jedzenia. W epoce kamiennej umarłabym z głodu, gdybym miała sama łapać zające. Problem polega na tym, że dostosowanie do nadmiaru dokonuje się z pewnym opóźnieniem. Dopiero za tysiąc lat albo coś koło tego nasze ciało zrozumie, że nie musi odkładać pożywienia na gorsze czasy.

— Za tysiąc lat to ty będziesz znaleziskiem archeologicznym. No, przyznaj się, że to wcale nie jest dobre — powiedziała, patrząc z ogromnym sceptycyzmem na mój twaróg i sałatkę z fasoli. — Przyznaj, że marzysz o prawdziwym jedzeniu z masłem i śmietaną i o soczystym kawałku mięsa w sosie berneńskim.

Po mniej więcej tygodniu debatowania na temat jedzenia i sensu życia wzruszająco zgodnie doszliśmy do wniosku, że te dwie rzeczy się ze sobą łączą. To znaczy jedzenie i sens życia, co doprowadziło do tego, że stworzyliśmy własny, tyleż prosty, co przyjemny modelowy talerz. Jego połowę zajmowały warzywa, a resztę miało wypełniać to, co każde z nas uważa za smaczne. Od tamtej pory zawsze w niedziele gotujemy razem, planujemy strategię na najbliższy tydzień i słuchamy radia.

Gunnar z Radia Gute ma swój własny program z udziałem słuchaczy, taki quiz pod tytułem *Kto jest kto?* Zgłasza się do niego bardzo mało osób i czasami Gunnar musi odwoływać audycję. Potencjalni uczestnicy widocznie nie chcą, aby istniały jakiegokolwiek wątpliwości co do ich tożsamości płciowej. Program nadawany jest w niedziele i zawsze można się z niego dowiedzieć czegoś nowego.

Potrzeba miłości Gunnara jest oczywistym tematem naszej rozmowy, kiedy po jego ostatniej wizycie w salonie wspólnie gotujemy z Rickym w niedzielę. Ja mocno w to wierzę, że każdemu ktoś jest przeznaczony. Nie ma beznadziejnych przypadków.

Ricky jest raczej sceptyczny.

— Kto by wytrzymał to jego ciągle nadawanie? On jest jeszcze gorszy niż moja mama w poniedziałek rano po spotkaniu autorskim, na którym opła się szampanem.

— Możliwe, ale miłość jest w stanie zmienić każdego. Wiem to. Odrobina uwagi z czyjejs strony może sprawić, że w człowieku rozkwitają nieoczekiwane możliwości. To zrzędenie Gunnara jest jedynie wołaniem o pomoc. „Spójrz na mnie, w przeciwnym razie umrę”. Ta jego metoda na męczennika musiała kiedyś zadziałać, inaczej by z niej zrezygnował. Spróbuj dostrzec w nim dziecko. Może kiedy był mały i marudził, dostawał wszystko, co chciał. Na przykład strojąc fochy, wymuszał kupienie lodów w sklepie, albo tak cudował, że w końcu nie musiał odrabiać lekcji. Może nawet tym swoim mantyczeniem dorobił się wyższego tygodniowego kieszonkowego? Problem zaczął się dopiero wtedy, kiedy się okazało, że muchy w nosie i strojenie fochów nie doprowadzą go do miłości.

Jestem w stanie rzeczywiście go takim sobie wyobrazić — małego kajtka w wielkich okularach, z pełnymi niezadowolenia oczkami i zadartym nosem. Głowę Gunnar zawsze miał trochę za dużą w stosunku do jego chudej szyi, dlatego zwykle trzymał ją lekko opuszczoną i przekrzywioną na bok.

— Może on potrzebuje kogoś, kto jest potwornym niechlujem, ale będzie wdzięczny, jeśli dookoła zrobi się czysto i ładnie — zastanawiam się głośno, obierając ziemniaki na niedzielny obiad, podczas gdy Ricky formuje mięso baranie w kotlety. Na deser będzie ciasto szafranowe z konfiturą z jeżyn i śmietaną.

Wybuca gromkim, ale serdecznym śmiechem.

— Jeszcze większego niechlujka ode mnie? Gunnar tego by nie wytrzymał. Musiałby wynająć firmę sprząającą z maszynami pod wysokim ciśnieniem, żeby zaprowadzić porządek po kimś takim. Nie, wiesz co, według mnie lepszy byłby taki utajony flejtuch, ktoś, kto bałagani tylko trochę. To

mogłoby podziałać jak terapia fobii. Jeśli Gunnar zniósłby niewielki zaciek na zlewie przez jeden dzień, to może drugiego dnia przymknąłby oko nawet na płamę. Później wystawiłoby się zdjęcie takiego naprawdę porządnie zaświnionego zlewu i on musiałby się na nie gapić, a potem stopniowo przedłużałoby się czas ekspozycji, dopóki nie byłby w stanie zaakceptować wszystkiego, co się klei i maże, i umiałby w rzeczywistym świecie przebrnąć przez gliniaste błoto i gnojówkę. To byłby taki sukcesywny postęp.

Ricky patrzy w zadumie na tłuszcz pryskający z patelni, na której pięknie się smażą mielone kotlety. Udaje, że fotografuje zlew na potrzeby przyszłego seansu terapeutycznego z Gunnarem.

— A skąd weźmiemy tego ukrytego flejtucha dla niego?

— Zapomnij! Mam inny pomysł — możemy spróbować napuścić go na jakąś perfekcjonistkę, na osobę jeszcze bardziej pedantyczną niż on. Ktoś taki podszedłby po nim do zlewu i by powiedział...

Ricky otwiera górną szufladę i sięga po sitko do zaparzania herbaty. Nie wiem, skąd on wie, że ten jego ulubiony przedmiot znajduje się właśnie tam. Widocznie musiał myszkować po kryjomu po wszystkich szufladach w mojej kuchni.

— Perfekcjonistka, która mówi: Tyyyylko ja sprzątam ten chlew, tyyyylko ja widzę ten syf przez szkło powiększające.

— W porządku, może być perfekcjonistka. Zgoda — przyznaję. — Ale to za mało, żeby zaiskrzyło. Gunnar lubi okrągłe blondynki. Gdyby nasi klienci mieli pojęcie, ile informacji możemy wynieść, obserwując jedynie to, co oni czytają, nigdy nie tknęliby żadnej gazety.

— Albo które strony szybko przewracają. To też dużo mówi. — Ricky odwraca się i coś kombinuje przy zlewie. — A co czyta Gunnar? — pyta niskim głosem, z wydętymi policzkami.

Próbuję przypomnieć sobie, co on najczęściej wybiera ze stosu gazet.

— Gapi się na zdjęcia pulchnych blondynek, ale nie czyta o nich. Czyta o sporcie, wyłącznie o sporcie, i nie przepuści ani jednego tekstu o Złatanie.

— Można by to uznać za jego filozofię życiową — stwierdza Ricky, próbując ukryć, że wepchnął sobie do ust prawie cały kotlet. — W Szwecji są dziś trzy wielkie religie: jedna to entuzjaści Facebooka, drugą tworzą czciciele giełdy, a trzecią wielbiciel Zlatana. Ile znamy blondwłosych perfekcjonistek, które byłyby gotowe znaleźć się na drugim planie, gdy mężczyzna jest całkowicie oddany swojej religii? Czy oboje muszą mieć takie same upodobania, czy też wystarczy, jeśli ona będzie wyznawać własną religię i będzie bez przerwy siedzieć na Facebooku.

— Ja też siedzę na Facebooku. A od kiedy to giełda stała się religią? — pytam zaciekawiona.

— To jest religia, która dopiero się tworzy. Jeszcze kilka lat temu w naszej świadomości w ogóle nie było czegoś takiego jak kursy akcji. A teraz w telewizorze ciągle przewijają się na pasku na dole ekranu pod najświeższymi informacjami. Z tych świętych notowań z parkietu możemy wyczytać, czy bóg pieniądza jest łaskawie usposobiony, czy wściekły. Religia po cichu wkrada się w nasz język. Jesteś pod jej wpływem, chociaż w ogóle o tym nie myślisz. Dostarcza się jakąś ideę, którą ktoś kupuje, inwestuje w relację i wtedy mówimy o sytuacji *win-win*. *What's in it for you?* Życie to pojedynek biznesowy.

Siadamy do stołu i zastanawiamy się dalej nad nowymi religiami, podczas gdy w piecu pieką się pierogi, a pieczeń bulgocze na ogniu. Pracowaliśmy oboje bardzo dzielnie.

— Nie przychodzi mi do głowy żadna z naszych klientek, która by pasowała do Gunnara — mówi Ricky, zanurzając swój jagnięcy kotlet w śmietanowym sosie. Przypominam mu, że musi się też znaleźć miejsce na warzywa. — Połowa talerza, Ricky, to warzywa! Tak się umawialiśmy.

— Musimy ściągnąć nowe klientki — mamrocze z ustami pełnymi jedzenia.

Zastanawiam się na głos:

— Teraz jest najlepsza pora. Przyszła wiosna, słońce rozgrzewa zimowe uczucia, ludzie chcą się odświeżyć i odmienić. Typowe wiosenne zachowania to bieganie po lesie, mycie samochodu, podnoszenie ciężarów, chodzenie z kijkami, kupowanie nowych ubrań, zapisywanie się na kursy i robienie sobie nowej fryzury...

— ...i zakochiwanie się. Masz rację. To czas łączenia się w pary. Kampery zaczynają toczyć się po drogach, kiedy samce wyruszają zwabiać samice do swoich legowisk na kółkach. Znam to. Znam to dobrze — mówi i chwyta się za krocze. — Krew budzi się w żyłach.

Nagle przychodzi mi coś do głowy.

— Wiem, gdzie znajdziemy pulchną kobietę dla Gunnara. No jasne! Posiedzisz jutro do jedenastej sam w salonie? — pytam i surowo ściągam brwi, widząc, że Ricky bierze sobie jeszcze jedną porcję mięsa, wciąż nie tykając warzyw. Potem oznajmia, że jest już zbyt najedzony i nic więcej nie zmieści. Zapamiętuję sobie, że powinniśmy popracować także nad niedostateczną kontrolą impulsów u Ricky'ego i nad przymusem natychmiastowego zaspokajania potrzeb.

ŁOWY W DORADCY WAGI SA

Ricky miał całkowitą rację. Kiedy w powietrzu czuć wiosnę, człowiek zaczyna tęsknić za miłością. Powrót światła i słońca robi coś z hormonami w ludzkim organizmie. Śmiałe kapanie z dachu rozpuszczającego się śniegu, woda z hałasem pędząca do rynienek ściekowych, kolorowe tulipany w wiadrach przed kwaciarniami i mimozy z Włoch — to wszystko rodzi tęsknotę, myślę sobie, idąc do Doradcy Wagi SA za Bramą Wschodnią.

Poprzedniego wieczoru zapisałam się przez Internet. Było miejsce w grupie poniedziałkowej. Wydrukowałam też kupony na damskie strzyżenie za połowę ceny. Celem jest zwabienie klientek do mojego salonu, by znaleźć pulchną blond perfekcjonistkę dla Gunnara z Radia Gute. Gdzie jak gdzie, ale w Doradcy Wagi SA można raczej natrafić na pulchne kobiety. „Twój upadek jest naszym sukcesem”. Ricky jest przekomicznie chudy, więc nie ulega wątpliwości, że ja muszę wziąć na siebie to zadanie.

Przed wejściem do środka rzucam okiem na własne odbicie w okiennej szybie. W swoim wyglądzie najbardziej mi się podobają gęste, ciemnobrązowe włosy. Noszę je długie, mimo że większość moich klientek każe obcinać się krótko na karku w oczekiwaniu na menopauzalne ataki gorąca. Dzięki długim włosom mogę zmieniać fryzurę. W pracy związuję je w koński ogon, w luźny węzeł albo w dobierany warkocz, a po pracy rozpuszczam.

Kiedy poprosić kobiety w moim wieku, aby wymieniły pięć elementów swojego wyglądu, z których są zadowolone, przeważnie nie przychodzi im nic do głowy. Ostatniej jesieni byłam na prelekcji na temat wiary w siebie

i teraz, nie bez wysiłku, mogę wyliczyć dwie rzeczy: swoje włosy i oczy. Wyszczególnienie tego, co mi się w sobie nie podoba, przyszłoby mi o wiele łatwiej. Choćby mój duży brzuch. Poza tym zazdroszczę wszystkim, którzy mają szczupłe nogi w kostkach, bo moje wyglądają jak słupy. A mimo to były jednak całowane w innym, bardziej szczęśliwym czasie...

Po wejściu do sali jestem proszona o zdjęcie butów, co oczywiście robię. Na podłodze zostają wilgotne ślady stóp. Woda z roztopów przemokła przez nieszczelne zelówki moich schodzonych ulubionych botków. Od dawna nie stać mnie na kupienie sobie czegoś nowego. Byłoby głupio, gdyby ktoś pomyślał, że mam spocone nogi. Każdy palec odznacza się wyraźnie na zdradliwej plastikowej posadzce.

Idąc do wagi, próbuję zacierać te znaki, szurając stopami, ale zamiast tego zostawiam ślad jak po ślimaku. To w imię przyszłego zwycięstwa, myślę, aby dodać sobie otuchy przed spotkaniem z konsultantem. Mam nieokreślone poczucie winy z powodu swojego nadmiaru.

W kolejce do wagi stoi przede mną na iksowatych nogach lekko przygarbiona kobieta w rowerowym kasku. Bez przerwy nawija coś do swojej koleżanki. Tu Ricky zapracowałaby się na śmierć z ulubionym sitkiem. Ona mówi na wdechu i na wydechu. Gdy słyszy, że ma zdjąć kask, odmawia. Kiedy w 1997 była po raz pierwszy na spotkaniu z doradcą wagi w Arvika, ważyła się w kasku, wyjaśnia, i dlatego teraz za każdym razem musi mieć go na głowie. Chyba ma rację.

Po zapisaniu się i uiszczeniu opłaty zerkam na pozostałe osoby w wypełnionej po brzegi sali. Prawie same kobiety. Wśród nich zaledwie jeden mężczyzna. Siedzi schowany w ciemnym kącie za mną i ma spojrzenie kastrata. Tak naprawdę chyba wcale nie chce tu być, nie chce być zredukowany i pozbawiony istotnych części własnego ciała. Prawdopodobnie nie przyszedł tu z własnej woli. Został do tego przymuszony, podpowiada mi

mój szósty zmysł. Połowa kobiet to pulchne blondynki. Wystarczy tylko ustalić, czy któraś z nich jest singielką i perfekcjonistką.

— Witam wszystkich! Nazywam się Majvor. Kto z was był tu już wcześniej? — pyta opiekunka grupy. Jest wzorcowo szczupłą kobietą o krótkich, jasnych i sterczących włosach, w stroju jakby wziętym prosto z musicalu *Dźwięki muzyki*. Moja sąsiadka z ławki mówi mi szeptem, że Majvor nie pochodzi z wyspy, jest świeżo po rozwodzie, siedzi w długach po uszy i pracuje jako organistka w parafii Hogrän.

Wszyscy podnoszą ręce oprócz mnie. To moja pierwsza wizyta u Doradcy Wagi SA i w tym momencie zadaję sobie pytanie, czy to rzeczywiście jest dobra metoda, skoro żaden z uczestników nie został dotąd uzdrowiony. A może tu wcale nie chodzi o zrzućnięcie wagi, tylko o towarzystwo, o spotkanie się z innymi w jakiegokolwiek grupie zainteresowań? Ale żeby być w tej kompanii, trzeba mieć nadwagę. A jeśli komuś uda się osiągnąć swoją docelową wagę, wtedy już nie może się spotykać w poniedziałki ze swoimi koleżankami. Kto wie, czy odchudzanie nie jest takim samym hobby jak każde inne.

— Jak wam minął ostatni tydzień? — Majvor uśmiecha się zachęcająco i niemal niezauważalnie unosi się na palcach i opada. Wyrafinowany sposób spalania kalorii. — Kto pierwszy chce wyznać swoje grzechy? — dodaje, a ja domyślam się, że ona musi być chyba z Östergötland, bo słowa dosyć niespiesznie wydobywają się z jej ust.

Po sali rozchodzi się przytłumiony szmer. Większość zdaje się mieć nieczyste sumienie. Uśmiech na twarzy Majvor staje się coraz bardziej wymuszony.

— No, kto ma ochotę opowiedzieć?

Nawet kobieta w rowerowym kasku milczy. Prawie każdy wbija wzrok w podłogę i wierci się niespokojnie.

— Wobec tego niech odpowie za was waga. Może mogłoby być lepiej, ale nie będziemy się poddawać. Będziemy walczyć dalej, prawda? — rzuca z animuszem. — Czy ktoś chciałby nam podpowiedzieć, jak kontrolować emocje związane z głodem, aby nie ulegać pokusom?

Majvor stoi z wyprostowanymi plecami niczym major. Uśmiech zastyga w masce za mocno zaciśniętymi zębami, a ja zaczynam się bać, że ona zaraz zacznie obgryzać swoje i tak już mocno obgryzione paznokcie.

Błada blondynka z natapirowanymi włosami, w dużym jasnoniebieskim golfie i kozaczkach na wysokim obcasie grzecznie unosi rękę. Ku mojemu zadowoleniu nie ma pierścionka na palcu, czyli nie jest nawet zaręczona. Co oczywiście nie znaczy, że jest wolna. Mimo wszystko budzi to pewną nadzieję w kwestii poszukiwań partnerki dla Gunnara.

Majvor rozluźnia się z wyraźną ulgą.

— Åsa, proszę.

— Zawsze noszę w torebce plastikowy woreczek z marchewkami, które kroję na sześciocentymetrowe słupki, aby zmieściły się w zewnętrznej kieszonce. Pojadam je, żeby nie zgłodnieć między posiłkami. — Po czym Åsa otwiera torbę i pokazuje woreczek z perfekcyjnie podzielonymi marchewkami, mnie zaś zaczyna przepełniać coraz większa nadzieja.

— Dzięki! Czy ktoś ma jeszcze jakąś wskazówkę?

Rowerowy Kask wyrzuca rękę do góry. Majvor próbuje ją zignorować, odwracając się od nas i patrząc na siedzących po prawej stronie sali. Kask macha zapamiętale. Ponieważ nikt z prawej się nie odzywa, Majvor niechętnie daje jej znak, aby odpowiedziała.

— Można na przykład jeść marchewki — mówi z zadowolonym wyrazem twarzy.

— Właśnie przed chwilą o tym wspomnieliśmy. — W spojrzeniu Majvor pojawia się coś nienawistnego, podczas gdy usta układają się w przerażający

uśmiech. — Co jeszcze można robić, żeby nie być głodnym między posiłkami?

— Pić wodę — proponuje kobieta obok mnie. — Albo kawę. — Kiwamy głowami z aprobatą. Wydaje się sympatyczna, ale podejrzewam, że jest trochę za stara dla Gunnara.

— Więcej propozycji? — Majvor znowu wchodzi w rolę pełnej werwy opiekunki grupy. Jedynie wprawne oko potrafi dostrzec, że jest rozdrażniona. Jej ruchy są trochę kanciaste, uśmiech zbyt szeroki, ale przede wszystkim pociera krótkimi paznokciami jeden kciuk o drugi, co wywołuje irytujący dźwięk.

— Można pić kawę — wyrywa się Kask Rowerowy. — Albo wodę... — kontynuuje z niezmiennym samozadowoleniem, że potrafi udzielić właściwych odpowiedzi na pytanie.

Majvor przymyka oczy i wstrzymuje oddech, równocześnie otwierając i zaciskając dłonie.

— Słusznie, właśnie przed chwilą wymieniliśmy dokładnie te dwie rzeczy.

Kask Rowerowy przybija piątkę ze swoją przyjaciółką. Dobrze się spisała. Trzy celne trafienia na trzy możliwe to całkiem dobry wynik, nawet jeśli suflowany.

— Poza tym można zakisić w słońcu sardelę w plastikowej torebce i zjeść ją, żeby lepiej srać. Ale ile wtedy można jeszcze zjeść? Czy całą rację dzienną, czy tylko tę sardelę?

Wszyscy, łącznie z największymi gwiazdami grupy w pierwszych ławkach, odwracają się, żeby spojrzeć na tego kogoś, kto plecie takie bzdury. Nikt nie podchwytuje pomysłu z sardelą. Dosłownie nikt. Bo zachęcanie Kasku Rowerowego do dalszych debilnych wypowiedzi grozi śmiertelnym niebezpieczeństwem. Nie trzeba szczególnie wielkiej intuicji, żeby to

zrozumieć.

Rowerowy Kask mimo to kontynuuje:

— A ile kalorii jest w galarecie szynki z puszki? Obiecałam swojemu sąsiadowi, że o to spytam. Bo jego pies strasznie się zapasł i szoruje brzuchem po schodkach, kiedy wychodzi na siku, i jeszcze chciałabym się dowiedzieć, czy ananas przyspiesza trawienie, jeśli się go zje nieobrany. To znaczy, czy straci się od niego więcej kalorii, niż się zjadło. Mój sąsiad mówi, że tak jest.

W tym momencie dochodzę do wniosku, że oceniałam Majvor zbyt surowo. Pewnie coś takiego jest tu odgrywane na każdym spotkaniu. Niczym kropla drążąca skałę Kask Rowerowy tym swoim trzaskaniem dziobem i pleceniem andronów wydrążyła dziurę w głowie opiekunki grupy. Niewykluczone, że prześladuje ją już tak od lat. Siedząc pod jej drzwiami ze swoimi zakiszonymi sardelami. Kto wie? Dlatego to, co następuje potem, nie dziwi mnie wcale tak bardzo, jak może powinno.

Majvor traci panowanie nad sobą... kompletnie.

— Wyjdź! Proszę cię, wyjdź z sali, bo jak nie, to wywlokę cię stąd za ten twój podwójny podbródek! — Mówiąc to, chwytła oniemiałą kobietę za policzek i wypycha ją siłą w stronę czekającego na nią roweru. — Jest tyle innych grup walki z nadwagą. Dlaczego, u diabła, ty masz być akurat u mnie? — Drzwi zatrząskują się z hukiem. Siedzimy jak zamurowani. Teraz może zdarzyć się naprawdę wszystko — i się zdarza.

Majvor wraca szybkim krokiem i spogląda na nas z wymuszonym uśmiechem. Kącik jednego oka drga w nerwowym tiku. Mocnym głosem i z przesadną artykulacją zaczyna śpiewać. Spoglądamy po sobie, a potem kierujemy wzrok w podłogę.

„Im więcej przebywamy razem, razem, razem. Im więcej przebywamy razem, tym bardziej szczuplejemy”.

Wpatruje się w nas z desperacją w oczach.

— A teraz wszyscy! „Bo moi przyjaciele są twoimi przyjaciółmi, a twoi przyjaciele są moimi przyjaciółmi. Im więcej przebywamy razem, tym bardziej szczuplejemy!”.

Jest to niewątpliwie próba rozluźnienia napięcia po niedawnym wybuchu, ale jej zachowanie tylko nas paraliżuje, ja zaś automatycznie przypominam sobie, jak minister kultury Birgit Friggebo na spotkaniu w Domu Ludowym w Rinkeby zaintonowała *We shall overcome*, zupełnie nie wyczuwając nastroju sali ¹.

Jedna po drugiej zaczynamy wymykać się za drzwi. Na szczęście udaje mi się jeszcze rozdać kupony rabatowe na strzyżenie kilku osobom, w tym także Åsie, gwiazdzie naszej grupy, a nawet zamienić z nią parę słów o wyjątkowych farbach do włosów, jakie oferuje nasz salon, jeśli ktoś chce być blondynką. Bo naturalną blondynką to ona na pewno nie jest. Dociera to do mnie, kiedy Åsa się odwraca, a ja dostrzegam ciemne odrosty u nasady jej włosów.

-
1. Nawiązanie do debaty na temat rasizmu i wrogości wobec cudzoziemców w Domu Ludowym w sztokholmskiej dzielnicy Rinkeby (1992), podczas którego ówczesna minister kultury nadaremnie usiłowała uspokoić wzburzoną publiczność, proponując wspólne odśpiewanie utworu *We shall overcome*. [\[wróć\]](#)

O ODWADZE PRZEGRYWANIA

Najważniejszym czynnikiem powodzenia, niezależnie od tego, o jaki sukces nam chodzi, jest odwaga ponoszenia porażek. Za chwilę do tego wrócę.

W poniedziałkowe przedpołudnie wieje świeży wiatr od morza i świeci słońce, gdy wracając od Doradcy Wagi SA, mijam Café Siesta. A mówiąc szczerze, nie mijam, tylko wstępuję do środka, żeby sprawdzić, czy mają bułeczki z kremem waniliowym, świeże i posypane cukrem — okazuje się, że mają. Nic tak nie budzi w człowieku apetytu na coś pysznego jak spotkanie w grupie walki z nadwagą.

Na swoim stałym miejscu siedzi Gunnar Wallén, ubrany w budrysówkę koloru khaki. Mimo że nie jest na dworze, ma na głowie kaptur. Awiatory z dużymi szklami sprawiają, że wygląda jak jakaś smutna mrówka z kreskówki. Miesza w filiżance z kawą i odgryza kęs migdałowej bułki, patrząc nieobecny wzrokiem na ubranych wiosennie ludzi przemykających za oknem. Wydaje się samotny, podchodzę więc do niego, żeby powiedzieć mu coś pozytywnego o jego ostatniej niedzielnej audycji.

— Słuchałam cię wczoraj, to było naprawdę sympatyczne!

Gunnar podnosi swoją ciężką głowę i patrzy na mnie z nieopisanym cierpieniem w oczach.

— Sympatyczne? — wypluwa znienawidzone słowo. — Sympatyczne! Jestem dziennikarzem śledczym i nie jest moim zamiarem robienie sympatycznych audycji. Ja chcę robić programy poruszające społecznie, o walce szarych ludzi z przemocą w przegniłym i skorumpowanym społeczeństwie.

Pytam, czy mogę usiąść przy jego stoliku, a w odpowiedzi słyszę burknięcie, jakby było mu zupełnie wszystko jedno, czy zostanę, czy sobie pójdę.

— Załóżmy, Gunnar, że miałbyś zupełnie wolną rękę... — zaczynam zachęcająco — ...i nieograniczone środki, to o czym najchętniej robiłbyś programy? — Pytanie ludzi o to, jakie mają marzenia, to niezawodny chwyt.

Twarz Gunnara przechodzi metamorfozę. W jego przygaszonym spojrzeniu zapala się iskra, sylwetka się prostuje, a w kącikach ust błąka się słaby uśmiech. Zastanowiwszy się chwilę, mówi:

— O oszustach podatkowych i innych hochsztaplerach. Chciałbym zdemaskować tych największych łajdaków, takich, co to na pozór wydają się godni szacunku, a tak naprawdę wyjadają z talerza biednym.

Moja bułeczka ląduje w dobrym towarzystwie świeżutkiej rolady czekoladowej z kremem i mazarynki. W bezlitośnie demaskatorskim świetle dnia widzę, że Gunnar od jakiegoś czasu się nie golił, a dezodorantu używa ciągle tego samego — starego pocziwego old spice'a. Najwyraźniej wiosna jeszcze nie przyszła do niego. On wciąż jest skuty wiecznym mrozem. Aby mógł być podatny na romans, musi najpierw zostać obudzony do życia i poczuć w sobie wiosnę.

— Oszustów, mówisz. Życzę ci, żebyś trafił na taki gorący temat i usadził jakąś grubą rybę. — Wyjmuję swój kalendarz. — Zmieniając wątek: chciałabym wypróbować na tobie nową fryzurę. Oczywiście gratis.

— Przecież, u diabła, ostrzygłem się u ciebie nie dalej jak wczoraj!

— Wiem, Gunnar. Ale to całkiem gratissss — syczę jak wąż Kaa, próbując zahipnotyzować go wzrokiem. — Przez przypadek mam przy sobie kalendarz, a właśnie w tym tygodniu w salonie jest fantastyczna promocja. Jeśli podpiszesz umowę na dziesięć strzyżeń, co drugie będzie za darmo. Tylko pod warunkiem, że zarezerwujemy terminy już teraz. Co ty na to?

W ten sposób zaoszczędzisz czas na wiszenie przy telefonie i czekanie w kolejce, żeby się zapisać.

Oczywiście trochę przesadziłam. Ale popyt napędza jeszcze większy popyt, a ja muszę złapać go na wędkę.

— Zaczęliście stosować wyrafinowane chwyt marketingowe? Tak źle się dzieje w branży? Bo nie wydaje mi się, żeby do twojego salonu była aż taka kolejka. Ale okej, niech będzie.

URADOWANA ZE SWOJEJ nowej strategii zdobywania klienteli na kontrakt dochodzę Adelskatan do Rynku Południowego i już w drzwiach salonu, słyszę, że dzwoni telefon. Åsa od marchewek chce umówić się na podcięcie włosów.

— Chwileczkę — mówię i puszczam oko do Ricky’ego. Po prostu wszystko idzie jak po maśle.

— Podcięcie — powtarzam z ołówkiem między zębami. — Jutro o siedemnastej trzydzieści. Może być? — Odłożywszy słuchawkę, nie potrafię powstrzymać się od zakręcenia piruetu na świeżo wyfroterowanej podłodze. Udało mi się zapisać ich oboje na tę samą godzinę. Gunnara i Åsę. Powoli zaczyna się dziać.

Ricky spogląda na mnie znad głowy klienta, którego właśnie strzyże. To mój sąsiad. Podstarzały generał, który nosi identyczną fryzurę od 1900 roku, ale nagle zapragnął czegoś bardziej młodzieńczego i na żel, jak faceci z Festiwalu Melodii. Według naszej klasyfikacji on należy do kategorii T zero i nie poluje na żadne towarzystwo — tak nam przynajmniej wiadomo. Generał usłyszał gdzieś, że można wystrzępić część włosów, aby uzyskać bardziej podniesioną i bujną fryzurę, i teraz Ricky próbuje go przekonać, że w jego przypadku potrzebny jest każdy pojedynczy włos, żeby móc zrobić w ogóle jakąkolwiek fryzurę. Podejrzewam, że coś zupełnie innego domaga się podniesienia. W staruszku obudziły się wiosenne uczucia.

„Załatwiłam”, daję do zrozumienia Ricky’emu w lustrze.

„Co takiego?”, robi zdziwioną minę za plecami generała.

„Randkę dla Gunnara!”. W tej samej chwili widzę, jak Kask Rowerowy parkuje swojego stalowego rumaka z koszem na chodniku przed salonem. Wyraźnie zmierza do nas. Wlecze za sobą jakiegoś psa. To prawdopodobnie ten spasiony czworonóg sąsiada. Pewnie przywiozła go w koszu. Zwierzak z trudem wtacza się przez próg i od razu rozkłada się na płask na podłodze, wyciągając wszystkie cztery łapy, jakby był skórą z tygrysa.

— Wzięłam Trullego mojego sąsiada — mówi, zdejmując flądrowaty sweter Helly Hansen. — Biedak musi trochę odespać. Wstawanie co noc, żeby dać psu ciepłe jedzenie, jest trochę uciążliwe.

— A dlaczego on to robi? — pytam, bo nie mogę się powstrzymać. Według mnie przekarmianie tego zwierzaka to dla niego prawdziwa tortura.

— Trulle jest przyzwyczajony, żeby dostawać ciepły posiłek o drugiej w nocy, inaczej nie wytrzymuje z głodu i zaczyna ogryzać buty w przedpokoju. Przy wychowywaniu zwierząt najważniejsza jest konsekwencja i pokazanie im, kto jest przywódcą stada — wyjaśnia jednostajnym głosem Kask Rowerowy, po czym siada na jednym z foteli, nie czekając na moje zaproszenie. — Mam kupon rabatowy. Dostałam go od kogoś z Doradcy Wagi SA.

— Oczywiście. Dostała go pani ode mnie. Co robimy? — pytam, jako że ona wciąż nie zdjęła z głowy kasku. Kilka niesfornych kosmyków wystaje spod niego na dole. Może chce zostać ostrzyżona na poleczkę, jak spod garnka.

— Wszystko, co się da za dwieście koron łącznie z podatkiem. — W tym momencie zdejmuje kask i odsłania najtłustsze włosy, jakie kiedykolwiek widziałam. — Chcę lekką i łatwą do utrzymania fryzurę, ewentualnie z kilkoma pasemkami innego koloru w grzywce. Słyszałam, że podobno

można strzepić włosy?

Jeśli jeszcze ktoś dziś powie choćby słowo o strzepieniu, chyba eksploduję.

— To mit. Myślę, że zaczniemy od mycia — oświadczam i zawiązuję jej pelerynkę wokół szyi, zastanawiając się jednocześnie, czy przyjęcie Kasku Rowerowego nie oznacza dla nas samobójstwa.

— W porządku, byle szybko, bo niedługo przyjedzie po mnie mój mąż.

— Muszę spytać, jakiego szamponu pani używa. — Chyba jakiegoś z gruntu niewłaściwego, biorąc pod uwagę to, jak przetłuszczone są jej włosy.

— Nigdy nie używam szamponu. To niepotrzebny wydatek, bo przecież można używać tego samego mydła do wszystkiego. Lux — to jest idealne rozwiązanie. Polecam. To moja rada gratis. Cieszę się, kiedy mogę pomagać bliźnim dobrymi radami i wskazówkami.

Gdy kończę mycie, z ulicy dobiega sygnał klaksonu. Na motorowerze z przyczepką siedzi przypominający łasicę mężczyzna z długimi rudymi bokobrodami i spiczastym nosem. Kiedy dostrzega przez szybę Kask Rowerowy, przesyła jej całusa, na co ona jednym energicznym ruchem zrywa z siebie pelerynkę i wypada przez drzwi. Pies podnosi się ociężale i wytacza za nią.

— Ostrzyżemy się innym razem! — woła jeszcze. A potem widzę, jak składa pocałunek na wydętych ustach łasicy. Wygląda na bardzo czuły.

— Co to było? — pyta Ricky i robi krok w stronę okna, akurat w momencie, kiedy Kask Rowerowy siada w przyczepce, uśmiechając się promiennie.

— To wygląda na miłość. — Jestem równie oszołomiona jak on i dopiero po chwili zadumy dodaję: — Wydaje mi się, że chodzi o odwagę przegrywania. Trzeba próbować, przegrywać i próbować od nowa. Kask

Rowerowy nie poddaje się, chociaż raz za razem pudłuje. To istotna właściwość. Jeśli uparcie się próbuje, w końcu się udaje. *Amor vincit omnia*.

— A jej się udało bez naszej pomocy. — Ricky jest wyraźnie pod wielkim wrażeniem.

LIST W BUTELCE DO NIEZNANEGO UKOCHANEGO

Na po lunchu zapisałam Jonnę na pasemka i farbowanie rzęs i brwi. Jonna jest dziennikarką porannej gazety i słynie z najostrzejszego pióra na wyspie. Tak naprawdę ma najcudowniejsze kręcone włosy, jakie tylko można sobie wymarzyć, ale te kobiety, którym włosy układają się same, chcą mieć proste, a te, które mają proste, wolałyby wieczną trwałą. To właściwie normalne.

Jonna Bogren chciałaby wyglądać mrocznie i poważnie, jej upragniona fryzura to wyprostowane na stałe włosy o nierównej długości z wystrzępioną grzywką. Co oznacza, że musi też sobie farbować brwi i rzęsy, żeby nie wyglądać dziwnie. Natura bowiem zwykle dba o to, aby przyrodzona nam skala kolorystyczna zgadzała się w każdym szczególe.

Kiedy Jonna pojawiła się w moim salonie po raz pierwszy, miała wygolone brwi, a odrobinę powyżej namalowała sobie kredką do oczu nowe, co sprawiało, że wyglądała jak ciągle zdziwiona czymś lalka. Oczywiście nie chciała być postrzegana w ten sposób, dlatego pomogłam jej to naprawić.

W moim kalendarzu przy jej imieniu jest N4. N, czyli narcyz, a obok serduszko z czwórką. Jonna ma trochę taki problem jak Ricky. Czasami zdarza im się pobzykać dla zachowania zdrowia, ale nie żeby chodziło o poważną relację. Bo rekord Ricky'ego to tydzień, a w przypadku Jonny już po kilku godzinach facet wydaje się jej nie do wytrzymania i nic nie wskazuje na to, by mogła się pod tym względem zmienić. A chcąc dodatkowo unaocznić swój stosunek do płci przeciwnej, wytatuowała sobie na prawym ramieniu *fuck you man*. Nigdy nie widziałam, żeby nosiła długi

rękaw.

Czasami zastanawiam się, przed czym ona się tak broni tą swoją wrogością. Ktoś musiał ją bardzo zranić. W jej umalowanych na czarno oczach dostrzegam niekiedy wystraszoną małą dziewczynkę, która boi się, że nie jest wystarczająco dobra i że nie będzie kochana. Ale to są tylko takie przebłyski — bo na ogół Jonna jest twarda i przekonana o własnej wielkości, gotowa wszystkich cholernych loserów kopnąć w jaja, na co jej zdaniem zasługują. To trochę komplikuje znalezienie dla niej odpowiedniego kandydata, nie zamierzam jednak się poddać.

Zawiązuję pelerynkę wokół jej szyi i wciągam swoje rękawiczki, jednocześnie pozwalając, by sobie ulżyła.

— Powiedziałam do mojego pieprzonego szefa: *hands off*, do jasnej cholery! To ja, Jonna. I wiesz, co on na to? Przepraszam! Powiedział: przepraszam. Co za cholerny dupek. — Śmieje się głośno, odsłaniając rząd perfekcyjnie białych zębów. — Chodziło o to, kto ma zrobić wywiad z premierem, a ja powiedziałam tylko: *Hands off*, on jest mój. Jeżeli Jonna chce przeprowadzić wywiad z premierem, to go przeprowadzi. I nie ma dyskusji.

— Czytałam tamten artykuł — mówię. — Był bardzo dobrze napisany. Naprawdę trafiłaś w sedno, i te konkretne przykłady, jakie to niesprawiedliwe, kiedy dziadków mieszkających na łądzie nie stać na prom, żeby odwiedzić swoje wnuki.

Wiele razy byłam pod wrażeniem sposobu pisania Jonny i empatii płynącej spod jej pióra, które czasami potrafiło być naprawdę bardzo ostre.

Wiedząc, że Jonna przyjdzie robić sobie pasemka, co wymaga trochę czasu, zapisaliśmy z Rickym na tę samą godzinę do strzyżenia kilku klientów, którzy mogliby ewentualnie do niej pasować. Ricky ma właśnie na fotelu jakiegoś gościa z Centralnego Urzędu Statystycznego, instytucji

przeniesionej kiedyś na wyspę dla stworzenia większej liczby miejsc pracy. Jak wynika z mojego kalendarza, ma na imię Petter i należy do kategorii T? Nieskomplikowany mężczyzna około trzydziestki. Ricky ma za zadanie wysondować, czy jest singlem. Nie nosi obrączki.

Petter z CUS-u prezentuje się nie najgorzej w swoim kowbojskim stylu, o czym dobrze wie. Jest ubrany w markowe dżinsy, skórzaną kamizelkę i białą koszulę. Przy jego wypucowanych na błysk kowbojkach zasmolone conversy Ricky'ego wyglądają na jeszcze bardziej zasmolone niż zwykle. Petter jest wysportowany, a jego rude włosy są krótko obcięte i zadbane, podczas gdy wąsy przypominają zagubiony ogon wiewiórki. Włosy na twarzy rosną mu jakby nie w dół, tylko do przodu. Ale wystarczy trochę żelu, żeby temu zaradzić. Jednym uchem słyszę, że obaj przytaczają jakieś statystyki. Mówią o małżeństwach i rozwodach. Domyślam się, że Ricky zadał pytanie, na które Petter zdecydował się nie odpowiadać jako osoba prywatna.

— W 2012 w związek małżeński wstąpiło 50 616 osób, co oznacza wzrost o 3052 pary. Większość zdecydowała się wziąć ślub 12.12.12, a dokładnie rzecz biorąc, było to 2168 par. Jeszcze nigdy od początku tego tysiąclecia się nie zdarzyło, aby jednego dnia odbyło się tyle ślubów. Ludzie zwykle pobierają się latem. — Rzuca okiem na odbicie Jonny w lustrze i chyba podoba mu się to, co w nim widzi, mimo zielonego foliowego czepka, który włożyłam jej na głowę, aby zrobić rude pasemka.

— To ciekawe — stwierdza Ricky, cieniując już po raz trzeci włosy Pettera. — A pan jest żonaty?

— Żonaty i rozwiedziony parę razy. Teraz jestem sam. Oczywiście nie omieszkałem zajrzeć do statystyk dotyczących Gotlandii, żeby ocenić swoje szanse tutaj. W Visby przewaga kobiet wynosi 1022 osoby, w Hemse — 116, a w Västerhejde — 39. Tak więc jest tu spora rywalizacja o mężczyzn.

— Rywalizacja nigdy nie była problemem dla Jonny — parska Jonna, rzucając w jego stronę krótkie spojrzenie.

— Kto to jest Jonna? — pyta Petter, rozglądając się dookoła z udawanym zdziwieniem.

— To ja, do cholery.

— To pani, do cholery? — pyta, wydając z siebie rechot.

— Ma pan śnieżną ślepotę czy tylko sieczkę w głowie? — Jej głos jest ostry jak drut kolczasty, ale on niewzruszenie ciągnie dalej:

— Widzę, że próbuje się pani zrobić na bóstwo. Czy to może dla mnie? A wie pani, że przemysł kosmetyczny ma rocznie dwieście pięćdziesiąt miliardów dolarów obrotów, a udział mężczyzn w tych dochodach wynosi zaledwie jeden procent? My, mężczyźni, nie musimy się upiększać, my nadajemy się tacy, jacy jesteśmy.

— Pana prawdopodobnie to nie dotyczy, dlatego że pańskie kobiety pana porzuciły. Ile razy został pan zlicytowany, chodzi o liczbę trzy- czy czterocyfrową?

— Może jeszcze nie natrafiłem w swoim życiu na kobietę. A wie pani, że Jonny w ogóle nie ma na liście stu najbardziej popularnych imion kobiecych? Na pierwszym miejscu jest Maria — takie imię nosi 447 019 osób, potem Elisabeth — 356 252 osoby, a po niej Anna — 305 428 osób — kontynuuje Petter mentorskim tonem. — Czy Jonna to skrót od Johanny?

— Nie, a pan jest na czele listy stu przeniesionych na prowincję największych niewypałów! — odparowuje Jonna. W tym momencie dochodzę do wniosku, że zaaranżowane przez nas spotkanie spaliło na panewce. Teraz trzeba tylko wylać na te wzburzone fale oliwę, żeby nie stracić ich oboje jako naszych klientów. Ale Petter z CUS-u mnie uprzedza. Wydaje się zupełnie niezrażony kontruderzeniem.

— Á propos niewypału. Mam na jutro dwa bilety na stadion Gutavallen.

Liga Szwedzka. Visby Gute przeciwko Kalmar FF. Pójdzie pani?

— Mam akredytację. — Jonna usiłuje wyglądać jak najgodniej w swoim plastikowym czepku, gdy właśnie wyciągam z niego szydełkiem pasemka, które mają być ufarbowane na ciemnorudo. Na tym etapie wygląda jak lampa typu lava.

— Czyli jednak się tam zobaczymy! Jeśli potrzebuje pani statystyk dotyczących wcześniejszych rogrówek, bez kłopotu mogę je wyciągnąć. Może potem napilibyśmy się piwa gdzieś w mieście? Co pani na to?

— Okej. — Jonna obrzuca go obiecującym spojrzeniem.

Ricky robi do mnie w lustrze minę oznaczającą *What the fuck!* Jest warta wszystkie pieniądze.

Puszczam do niego oko i kręcę głową. Jonna połknie te statystyki żywcem i tylko wypluje skórę.

Po wyjściu obojga mówię do Ricky'ego:

— Możemy zaaranżować spotkanie i pomóc w rozwoju osobistym, ale reszta należy już do nich. Niektórzy są w tym lepsi od innych. Zdarzają się profesjonaliści. Jonna ma problem nie z nawiązywaniem kontaktu, tylko z odważeniem się na głębszą relację. Raczej nie wierzę, żeby ta historia miała dalszy ciąg. Ona potrzebuje kogoś, kim mogłaby się opiekować, dla kogo byłaby niezbędna i kto nie zagraża tej małej wylęknionej dziewczynce, którą jest w rzeczywistości.

— Co ty opowiadasz, przecież to piekielnie ostra babka.

— Zgadza się, bo z jakiegoś niewiadomego powodu musi się bronić.

POZOSTALI KANDYDACI, których wymyśliłszy sobie dla Jonny, przechodzą niezauważeni, bez zawiązania się żadnych nici. Gdy ostatni klient wstał z fotela, a ja podliczyłam już dzienny utarg, usiedliśmy potem razem z Rickym w naszym kąciку kawowym, żeby podsumować dzień.

— Czy starczy ci na wyplatę dla mnie, jeśli co drugie strzyżenie będziemy

robić gratis? — bąka Ricky, po czym zaczyna żłopać mleko prosto z kartonu stojącego w lodówce. — Moim zdaniem ludzie powinni jeszcze dopłacać dodatkowo za serwis, jaki im dajemy. Masz pojęcie, ile kosztuje taki podryw w sieci, i to jeszcze z osobistym coachingiem? Byłoby słabo, gdybyśmy przez to splajtowali. I jeszcze częstujemy szafranowymi sucharkami... szafran jest drogi.

— Weź szklanę albo kup sobie własne mleko! To obrzydliwe, kiedy pijesz prosto z kartonu!

— W porządku.

— Firma ma solidne podstawy. Zaufaj mi.

Ricky siada przy stole naprzeciwko mnie i patrzy mi głęboko w oczy.

— Jak ja mogę ci ufać, jeśli ty nic nie mówisz mi o sobie? Jeżeli jesteś zawodową pośredniczką matrymonialną, to może trochę podejrzanę, że nie masz nikogo.

Ricky nie owija w bawełnę i muszę przyznać, że poczułam się, jakbym dostała obuchem w głowę.

— Miałam męża.

— I...? — Ricky dotyka dłońmi moich policzków i pochyla się ku mnie, jakby się bał, że rozplynie się w powietrzu.

— Umarł.

— Umarł! Kiedy to było?

Nie chcę o tym mówić. Ale Ricky nie daje mi wyboru.

— Siedem lat temu. — Słyszę, że głos mi się łamie, i zamykam oczy, bo czuję, że zaczyna mnie palić pod powiekami.

— Siedem lat! — Ricky gwizdże pod nosem, po czym wstaje, żeby przynieść kawę, i pewnie się zastanawia, jak w taktowny sposób ma teraz dalej prowadzić rozmowę. — *Shit!* Siedem lat bez ciupciania? To, cholera, nieludzkie.

— Tego nie powiedziałam, ale zgadza się: siedem lat i cztery dni, mówiąc dokładnie.

— Mam ci załatwić jakieś bzykanko? — Ricky odchyła się tak daleko na krześle, że obawiam się, iż się przewróci, następnie wpycha sobie do ust szafranowego sucharka. Wygląda na to, że chyba połknął go od razu w całości. On preferuje szybkie rozwiązywanie problemów. — Uważam, że wyglądasz diabelnie kwitnąco jak na swój wiek, więc raczej nie jest to niemożliwe.

— Dzięki, Ricky, naprawdę dzięki. Jest mi dobrze jak jest. Jeśli los będzie chciał, żebym kogoś spotkała, to tak się stanie.

Ricky wznosi oczy do nieba.

— Uschniesz bez seksu. To źle wpływa na mózg. Komórki mózgu obumierają bez odpowiedniej stymulacji, ciało się kurczy. Spada odporność organizmu, jeśli się nie całujesz, bo on wtedy nie ma styczności z nowymi bakteriami. Jak człowiek nie uprawia seksu, zaczyna mu grozić zawał. Po prostu serce nie wytrzyma. A z punktu widzenia zdrowia społecznego...

— W którym tygodniku to wyczytałeś?

— Przecież każdy to wie. Natura nie inwestuje w tych, którzy nie dają się zapłodnić. Sensem życia jest rozmnażanie i przetrwanie.

— *Bullshit!* — Nie mogę się powstrzymać od śmiechu, słysząc te idiotyzmy. — Nie będę zastawiać sideł na swoich klientów. Jako terapeutka jestem profesjonalistką i nie zamierzam z nikim się spotykać.

— Wobec tego zostaje statek.

Czasami kompletnie nie pojmuję wniosków Ricky'ego. Często brakuje w nich jakiegokolwiek ogniwa, które wyjaśniałoby, co on tak naprawdę ma na myśli.

— Słucham?

— Wyślemy list w butelce. W środę wybieram się do Älvsjö ¹ na targi

fryzjerskie. Zamiast lecieć samolotem, mogę popłynąć promem i wrzucić do morza butelkę z listem. Jeśli ktoś ją znajdzie i odpowie, to będzie przeznaczenie. Tak czy nie? Może wyłowi ją łotewski rybak, tłusty dyrektor z Ekerö ² albo fiński chłop Paavo, który będzie chciał dzielić się z tobą zdrowym czarnym chlebem. Przypadek zdecyduje. Wchodzisz w to?

Ricky nie traci czasu. Sięga po papier i długopis i zaczyna pisać gorączkowo.

Do nieznajomego ukochanego.

Tęskniłam za tobą przez długie lata samotności...

— To brzmi żałośnie — stwierdzam i trochę się czerwienię, ponieważ czuję, że to prawda.

— Bo to jest żalosne, moja droga — mówi Ricky i z tupetem pewnego siebie faceta poklepuje mnie po policzku.

1. Älvsjö — dzielnica Sztokholmu. [\[wróć\]](#)

2. Ekerö — gmina w regionie Sztokholm. [\[wróć\]](#)

ABSYNT NIE NADAJE SIĘ DLA WYMOCZKÓW

Zamykam na klucz Salon d'Amour i zamierzam iść do domu na Fiskargränd. Rozmowa z Rickym wytrąciła mnie z równowagi. Pod wieloma względami mniej bolesne jest zajmowanie się życiem innych niż zastanawianie się nad własnym, kiedy wszystko się rozsypało. Nie było dnia, żebym nie myślała o Joakimie, miłości mojego życia, moim mężu.

Słońce wciąż jeszcze pięknie grzeje. Głębokimi haustami wdycham w siebie wiosnę. I zamiast od razu ruszyć do domu, postanawiam kupić bratki w supermarkecie Atterdags, a potem przespacerować się na grób na cmentarzu Wschodnim.

Wybieram rude i białe bratki. Administracja cmentarza oferuje usługę pełnej opieki nad grobem, co oznacza, że sadzone są na nim kwiaty sezonowe. Jednakowe na wszystkich grobach. Zwykle są to żółte bratki, aksamitki, latem pelargonie, a jesienią wrzosy. Joakim nie znosił zapachu aksamitków i pelargonii. Dlatego sama kupuję kwiaty.

Stojąc w kolejce do kasy, przypominam sobie, jak będąc małą dziewczynką, wiosłowałam razem z tatą i zarzucałam sieci. Wpatrywaliśmy się w wodę, żeby się przekonać, czy skarb Dojutrka pobłyskuje gdzieś głęboko w podwodnej roślinności. Gdy byłam z tatą, zawsze miałam poczucie, że wydarzy się coś zabawnego, że tuż za rogiem czeka coś wyjątkowego. Joakim pod wieloma względami był jak mój ojciec — tak samo ciepły i dowcipny, wzruszająco uczynny i spontaniczny. Miał też duże, mocne dłonie i bezpieczne ramiona. Ale z drugiej strony bardzo się różnili.

Ojciec był rybakiem i twardo stąpającym po ziemi mężczyzną, Joakim był prawnikiem i najbardziej nieporadnym życiowo człowiekiem, jakiego spotkałam na swojej drodze. Nie potrafił obchodzić się nawet z otwieraczem do konserw, żeby nie stwarzać zagrożenia dla siebie i dla innych. Naprawdę bym się zdziwiła, gdyby się okazało, że ty też znasz kogoś, kto uszkodził sobie w ten sposób ścięgno Achillesa.

„Staram się, jak mogę”, mawiał, wkładając sobie pod górną wargę prymkę snusu.

„I właśnie to jest tragiczne”, odpowiadałam i dawałam mu całusa. W tamtym czasie byłam pasywną konsumentką snusu. Po śmierci Joakima przeszłam do aktywnego nałogu.

Idąc spacerem, mijam po drodze wieżę ciśnień i wreszcie docieram do cmentarza. Otwieranie żelaznej bramki zawsze wydaje się tak samo trudne. Trudne fizycznie, mimo że jest dobrze naoliwiona i uchyla się już po lekkim pchnięciu. W głębi widzę ośmiokątną kaplicę i wieżę dzwonnicy. Słońce nigdy się tutaj nie przedostaje. Uderza mnie fala zimna. Nogi mi sztywnieją. Nie tak miało wyglądać życie, zupełnie inaczej było pomyślane.

Nie przyniosłam ze sobą szpadla, dlatego rękami wygrzebuje w wilgotnej ziemi dołki, wsadzam roślinki i obsypuję je naokoło ziemią. Potem unoszę głowę i na kamieniu nagrobnym odczytuję napis: „Joakim Lagermark. Ukochany — Niezastąpiony”, wbrew wszelkiemu rozsądkowi. Wiem, co byś mi powiedział. Poprosiłbyś, żebym poszła dalej, żebym znalazła kogoś, kogo bym pokochała, dopóki nie będzie za późno. Nie jest to takie proste, Joakimie. Próbowałam zawierać znajomości przez Internet. Ale to się nie udaje, to naprawdę w ogóle się nie udaje.

Zaraz po pogrzebie zaproponowano mi wsparcie w żałobie. Był to projekt prowadzony we współpracy z ośrodkiem zdrowia, do którego poszłam, kiedy zaczęło mi dokuczać serce. Moja opiekunka miała na imię Irma i jak

wynikało z wizytówki, była certyfikowaną terapeutką osób pogrążonych w żałobie. Kto dał jej ten certyfikat, nie wiadomo. Mówiła nam o pomocnych duchach z zaświatów i głosach z tamtej drugiej strony, które powinny wskazać nam drogę w naszej dolinie płaczu.

Było nas tam siedmioro zaproszonych na to spotkanie, wszyscy w workowatych ubraniach. Terapeutka, niewiasta mniej więcej pięćdziesięcioletnia o ufarbowanych henną włosach, przekazywała energię z drugiej strony. Kiedy siedziała po turecku na plecionej macie z na wpół zamkniętymi oczami, wyciągając przed siebie ręce ze ściśniętymi razem kciukami i palcami wskazującymi obu dłoni, wyglądała tak, jakby właśnie wydłubała sobie smarki z nosa i zaraz miała pstryknąć palcami i strząsnąć je w powietrze, pomyślałam sobie. My zaś, uczestnicy terapii, mieliśmy kołysać się razem w takt śpiewu delfina dochodzącego w akompaniamencie trzasków z jej różowego odtwarzacza. Była to autorska, pozbawiona logiki metoda Irmy, spisana w książce pełnej wybitych tłustym drukiem sloganów i kretyńskich sentencji, ilustrowanej bardzo kiepskimi zdjęciami przyrody, w książce, której kupno zalecono nam w cenie 365 koron łącznie z przesyłką.

Dosyć szybko doszłam do wniosku, że nasze energie nie korespondują ze sobą, i zamiast na terapię zaczęłam chodzić na siłownię i biegać po lesie, dopóki nie zmęczyłam się tak, żeby móc zasypiać bez picia wina. Nigdy nie przepadałam za zajęciami w grupie. Oddychać w grupie, masować się nawzajem, wywlekać swoje prywatne życie przed obcymi ludźmi to nie dla mnie, Joakimie. Zawsze tak było.

CZUJĘ SIĘ BARDZIEJ samotna niż kiedykolwiek do tej pory, gdy ruszam z powrotem spacerem do domu, żeby odgrzać sobie kilka plastrów pieczeni, którą ugotowałam wczoraj z Rickym. Na Strandgatan mijam zieleniejący się ogródek restauracji Lindgården. Ludzie siedzą pod lampami otuleni w koce. Czytam menu wywieszane na drewnianych drzwiach. Kiedy dochodzę do

deseru, jestem zdecydowana. Parfait morwowe z ciasteczkiem migdałowym. Czy ktokolwiek potrafiłby się oprzeć czemuś takiemu? Taka wizyta studyjna wydawała się nawet jak najbardziej uzasadniona z czysto pedagogicznego punktu widzenia, jako źródło nowych inspiracji przed kolejnym tygodniem gotowania razem z Rickym. Uznaję, że po siedmiu latach harówki i oszczędzania mogę sobie na to pozwolić. Po Wielkanocy umówiłam się już w banku, żeby uwolnić swoje siostry od kredytu, który wzięłam, by móc kupić salon. Zasłużyłam zatem na dobry deser.

Wchodzę do środka po kamiennych schodkach i dostaję stolik pod morwą. Właśnie w tym miejscu mieliśmy zwyczaj przesiadywać z Joakimem w piękne letnie wieczory. I także tutaj powiedział mi po raz pierwszy, że mnie kocha, a ja, pijana szczęściem i winem Valpolicella, myślałam, że będziemy razem na zawsze. Życie może się zmienić w ciągu jednej sekundy.

Przeszywa mnie dreszcz na wspomnienie chwili, gdy otworzyłam drzwi dwom policjantom w tamten koszmary dzień. Ujrzałam śmierć w ich twarzach, zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć, i zaczęłam krzyczeć, ponieważ zrozumiałam, po co przyszli, dlaczego Joakim nie zadzwonił i dlaczego odezwali się z sądu i pytali, czy już do nich jedzie. Istniało tylko jedno wytłumaczenie. Musiało zdarzyć się jakieś nieszczęście.

Starszy policjant wyjaśnił, że samochód zjechał na przeciwległy pas jezdni w Södertälje. Dochodzenie wykazało, że Joakim prawdopodobnie zasnął za kierownicą. To moja wina. Kłóciliśmy się niemal do świtu. Nie dlatego, że się nie kochaliśmy, tylko właśnie z tego powodu. On chciał zdobyć wyższe stanowisko, zanim postaramy się o dziecko. Chciał zapewnić lepsze zaplecze materialne mnie i naszym przyszłym dzieciom. Na co ja warknęłam, że dzieci to nie kupno nowego samochodu. Przyjmuje się je z wdzięcznością, ponieważ nie jest wcale takie oczywiste, że w ogóle będziemy je mieli. Nie mogłam czekać dłużej. Wtedy skończyłam już czterdzieści jeden lat, dzisiaj

jestem o siedem lat starsza.

Jeszcze raz czytam menu, pociągając jednocześnie łyżeczek nalewki czereśniowej. 4 cl Altissima z lodem. To byłaby profanacja, gdyby pomieszać ją z czymkolwiek. Świeże szparagi z szynką parmeńską, jagnięcina w sosie śmietanowo-czosnkowym i parfait morwowe z kruchym ciasteczkiem migdałowym. Po co wybierać, skoro można dostać wszystko? Przecież byłam dzisiaj na spotkaniu z konsultantką od nadwagi i nasłuchiłam się o strategiach prowadzących do nowego i lepszego życia. Marchewki w torebce będą jutro, a dzisiaj chcę poczuć, że żyję.

Kiwam na kelnera i składam zamówienie. Czekaając na jedzenie, wyjmuję kalendarz i zastanawiam się, jak najskuteczniej moglibyśmy pomóc Gunnarowi i Ąsie w splecieniu nici ich życia. Wiele zależy od tego, co wydarzy się następnego dnia o siedemnastej trzydzieści.

Wiele razy dyskutowałam z Rickym o tym, co powoduje, że człowiek przyciąga do siebie innych. On jak to on spontanicznie mówi: „biust i fiut”. Ja mówię: „głos, spojrzenie i poczucie humoru”, zdecydowanie poczucie humoru. To jest pewien rodzaj inteligencji, bez którego nie potrafiłabym się obyć. Czasami humor jest jedynym dostępnym pomostem między światami kobiety i mężczyzny. Uważam, że są rzeczy, które powodują, że się w kimś zakochujemy, i takie, które nas od siebie oddalają. Według mnie zakochujemy się, kiedy potrzebujemy zmiany. Jeśli człowiek czuje się niekochany i wszystko staje się rutyną, wystarczy, że uśmiechnie się do nas listonosz i powie nam dzień dobry. Ale w odróżnieniu od Ricky’ego sądzę, że to nie od biustu i nie od fiuta zależy, że kochamy kogoś tak bardzo, iż jesteśmy w stanie znosić razem z nim codzienność. Upraszczając, powiedziałabym chyba, że to głównie różnice przyciągają jednych do drugich, kiedy się znudzimy i potrzebujemy się zakochać, a podobieństwa — na przykład taka sama skala wartości czy wspólne plany — czynią

możliwym to, że potem trzymamy się razem.

Robi się chłodno. Spoglądam w górę na morwę i otulam się mocniej restauracyjnym kocem. Widzę zielone pączki, które niedługo rozwiną się w pełne liście, a drzewo obsypie się małymi smacznymi owocami. Życie nie czeka, posuwa się dalej, a my albo podążamy bezradnie za nim w tych zmianach, albo umieramy. To jedyna alternatywa.

Dwa stoliki dalej siedzi samotny mężczyzna. Ja pierwsza go zauważam. Czuję, jak przeszywa mnie prąd. Nie potrafię opisać tego inaczej, chociaż wiem, że to banalne. Biologia jest banalna. Jest bezwstydnie przystojny, ma ciemne włosy i fantastyczne brązowe oczy. Zerkam na niego ukradkiem, aż w końcu nasze spojrzenia się spotykają. Ku memu zachwytowi on unosi w moją stronę swój kieliszek wina. Odpowiadam mu uśmiechem i też unoszę swój, już pusty.

Gdybym miała taki tupet jak Kask Rowerowy, przemaszerowałabym jakby nigdy nic do jego stolika i spytała, czy mogę się dosiąść. Raz kozie śmierć. Ale nie zdobywam się na to. Teraz już za każdym razem, kiedy podnoszę głowę, napotykam jego wzrok. Czuję to. Policzki płoną mi pod wpływem wina i jego zainteresowania. On się uśmiecha, ja się uśmiecham i uciekam wzrokiem w tej zabawie uników. Po chwili czuję, że muszę sprawdzić, czy on nadal na mnie patrzy, i przekonuję się, że tak. Wybucham śmiechem, bo cała ta sytuacja zaczyna się robić idiotyczna. On także się śmieje i nie wydaje się ani trochę zakłopotany. Nic więcej się nie wydarza, mimo to czuję się ożywiona i jakby pewniejsza. Gdy zapłaciwszy rachunek, kieruję się do wyjścia, mężczyzna przywołuje kelnera. Wskazuje na mnie i pyta go o coś. Kelner wyraźnie się waha, ale po chwili udziela mu odpowiedzi.

Wracam do domu uboższa o sześćset osiemdziesiąt koron. Ale to było warte każdego öre. Pieczeń, którą zamierzałam zjeść na kolację, da się zamrozić, myśli rozsądna część mojego mózgu, podczas gdy druga połówka

chce tańczyć. Uświadamiam sobie, że się śmieję. Wieczorny wiatr jest łagodny. Właściwie to prawie wcale nie wieje, postanawiam więc iść po zewnętrznej stronie muru, przez park Almedalen. Radość sprawia mi widok kwitnących magnolii, świeżo zasadzonych kwiatów nad stawem i kaczek, które przycupnięte nad wodą wyglądają jak niebieskozielone kamienie. Przy wieży Kruttornet przystaję na chwilę i patrzę na zachód słońca. Morze jest zupełnie spokojne. Intensywnie czerwony skrawek słońca topi się powoli na horyzoncie, oblewając niebo i morze mocnymi barwami, od granatowego po płomiennie czerwony, złoty i pomarańczowy. Właśnie w tym miejscu siadywaliśmy razem z Joakimem na ławce i obserwowaliśmy zachody słońca. Dzisiaj, kiedy gniew wygasł i ucichły wszystkie „dlaczego”, czuję, że ten krótki czas, który przeżyliśmy razem, był wart smutku, jaki przepełnia mnie teraz. Nie chciałam zostać bez niego. Ale chciałam nie ponosić winy, nie doprowadzić do tamtej ostatniej kłótni.

Wchodzę w Bramę Rybacką i idę dalej do domu, który odziedziczyłam po swoich rodzicach. Moje siostry dostały pieniądze, a ja dom, którego nie wolno mi w żadnym wypadku sprzedać. W ten sposób jestem jego więźniem. Mam fortunę, a jednocześnie przez siedem lat żyłam jak nędzarka i nie miałam z czego spłacić kredytu na salon.

Po obu stronach furtki rosną czerwone pnące róże. Na razie na gałązkach widać listki wielkości zaledwie mysich uszu, za to potem, w lecie, będą obsypane kaskadami czerwonych pięknie pachnących kwiatów. Otwieram skrzynkę na listy, żeby wyjąć pocztę, ale nic w niej nie ma. Czekam na blankiet z urzędu skarbowego z podatkiem VAT. To dziwne, że nigdy nie przychodzi na czas. Dzwoniłam do nich, żeby im przypomnieć, i obiecali, że przyślą.

As Kier, mój kot, usłyszał już kroki i stoi tuż przy drzwiach wejściowych, gdy przekręcam klucz. Ociera mi się o nogi, witając mnie w ten sposób

w domu, wie bowiem, że zaraz dostanie jedzenie. Po chwili zachodzi mi drogę, tak że o mało się o niego nie potykam. Próbuje mnie przypilnować, żebym od razu poszła do kuchni.

Biorę go na ręce. Jest czarno-biały, ma długą i skołtunioną sierść oraz mądre jasnozielone oczy; wyraźnie chce, żebym podrapała go po brzuchu. Daję mu mały kawałek pieczeni. Na pewno woli ją bez czarnej porzeczki. Następnie siadam przy komputerze, żeby odrobić swoją pracę domową przed jutrzejszym spotkaniem z Gunnarem i Åsą. Rzadko kto rozumie, ile wysiłku kosztuje połączenie ludzi w pary. Większość woli widzieć w tym przypadek i potem oboje uważają za zabawny zbieg okoliczności, że spotkali się akurat u fryzjera. A w rzeczywistości to rzadko jest przypadek. A już na pewno nie wtedy, gdy ktoś odwiedza mnie i moje siostry — Verę w Hemse i Ulrikę w Slite. Jesteśmy kobietami ciężko pracującymi zawodowo i Nornami na pełnym etacie.

Loguję się i wpisuję w Google'a: Åsa Fröjel. Nie powinno być raczej wiele osób o takim nazwisku. Åsa mieszka sama. Dobry początek. Znajduję ją w kilku miejscach. Jest właścicielką sieci sklepów z ubraniami. Czasami tam zaglądam, ale nigdy jej nie widziałam w butik przy Adelsgatan. Można tam kupić ubrania *vintage*, używane markowe ciuchy z lat pięćdziesiątych i trochę nowych rzeczy włoskich. To tam znalazłam swoją najładniejszą sukienkę w białe i czerwone kropki, a także idealnie dopasowany szary żakiet.

Moje poszukiwania przerywają jazgotliwe głosy dochodzące z ulicy. Do prawdziwego zalewu turystów zostały jeszcze co najmniej dwa miesiące. Podchodzę do okna, żeby sprawdzić, co się dzieje. As Kier też chyba usłyszał ten harmider, bo wczółgał się pod ławę w kuchni, żeby mieć osłonę.

— Do cholery, nie damy rady dłużej cię nieść, Ricky.

— Zostawimy go na schodkach — odzywa się ktoś drugi jeszcze bardziej

chrapliwym głosem. — A niech cię diabli, jak ty wyglądasz!

— Ale pieprzona zabawa! Pieeeeprzona zabawa!

Dwaj faceci w wieku około dwudziestu pięciu lat najpierw wloką Ricky'ego między sobą, potem kładą ten żaloszny tobołek przed moim wejściem i wężykiem znikają w głębi ulicy. Otwieram drzwi ostrożnie, żeby nie uderzyć go w głowę. Widok, jaki ukazuje się moim oczom, przeraża mnie i zarazem obezwładnia. Ricky jest cały zarzygany — albo raczej cały zbryzgany na wpół przetrawionymi resztkami jedzenia. Cuchnie przeraźliwie, kiedy tak leży i pojękuje. W ręce trzyma pustą butelkę, która nie tak dawno zawierała likier ziołowy. Co trochę wyjaśnia. Nie wiem, co mam zrobić. Nie wiem nawet, od czego zacząć...

— Ricky, ty rzygałeś? — To pytanie jest oczywiście zupełnie zbędne.

— Spokojnie, Angeliko... — Unosi głowę, patrzy mi w oczy zamglonym wzrokiem i wyciąga rękę w geście zapewnienia. — Spokojnie... To są nie tylko moje... rzygi.

CIEŻKI DZIEŃ DLA RICKY'EGO

Następny dzień nie jest łatwy dla Ricky'ego. Nie pozwalam mu zostać w domu i leczyć kaca. Przecież mamy pracę w salonie.

Zmuszam go, żeby wziął prysznic. Poprzedniego wieczoru sama opłukałam go z grubsza w wannie, nie zdejmując mu slipów. Podczas gdy teraz siedzi w łazience, szukam w garderobie rzeczy po Joakimie, które mogłyby na niego pasować. Dżinsy są za szerokie i za długie, ale podwijam nogawki i znajduję jakiś pasek, poza tym wyciągam koszulę w czerwoną kratkę i skarpetki. Ubranie Ricky'ego wyprałam i rozwiesiłam, jednak nie zdążyło jeszcze wyschnąć.

Siadamy przy stole w kuchni do śniadania. On robi się błądy jak ściana na widok owsianki, którą zajadam, i nie daje rady przełknąć choćby jednego kęsa tosta z białego pieczywa. Cudem wmuszam w niego dwie szklanki wody.

— Zrobiłem to ze względu na ciebie, Angeliko.

— Co? — Nic nie rozumiem.

— Możesz to traktować jako prezent. — Ricky ma taką samą minę jak ranny bohater wracający z wojny na moim obrazie w salonie. Wycieńczony i... dumny.

— Co? — Jak zwykle nie nadążam za jego tokiem myślenia, pytam więc, dlaczego niby to miało być dla mnie.

— Chciałem, żebyś miała śliczną butelkę na swój list. Ta z absyntem była najładniejsza w całym monopolowym. A kobitka na etykiecie jest nawet podobna do ciebie, te oczy i włosy, coś w tym jest. Butelkę trzeba było

opróżnić, no i tak jakoś wyszło... Dlatego powinienem mieć dzisiaj wolne... Na dodatek nie mogę dostać się do domu. Zatrzasnąłem drzwi wejściowe, a klucz jest w kieszeni kurtki, która wisi w przedpokoju. Kumpel mi powiedział, że ślusarz od zamków życzy sobie za coś takiego pięć tysięcy koron. To naprawdę tyle kosztuje? — Ricky kieruje ku mnie mizerny uśmiech.

Próbuję zaprotestować, gdy on usiłuje przedstawić swoje wczorajsze opilstwo i rzyganie jako gest szlachetnej wspaniałości.

— Nie jestem ci za to wdzięczna, ani też nie jestem zadowolona. Mogłabym przecież wziąć pierwszą lepszą butelkę po soku, jeśli już tak bardzo chcesz wysłać ten list. Mam ich całą piwnicę. Poza tym mógłbyś sobie dać spokój z tym dzikim pomysłem. Co dobrego może z tego wyniknąć?

— Szczęście w miłości to chyba najlepsze, co może być. Wyślemy list w butelce po absyncie, żeby ten, kto ją znajdzie, od razu wiedział, że masz klasę. Wymyśliłem adres mejlowy, na który znalazca może napisać: angelika@boginilosu.se. Wykupiłem tę domenę specjalnie dla ciebie w prezencie urodzinowym. Z małym wyprzedzeniem. Zaraz dam ci hasło i login. — Zaczyna szukać w kieszeni spodni i nagle uzmysławia sobie, że to nie jest jego ubranie. — Moje spodnie są w pralce, tak?

— Bogini losu? — Naprawdę nie nadążam za nim.

— No bo ty jesteś taką Boginią Losu z Salonu d'Amour.

— Okej. Kieszenie opróżniłam, zanim wrzuciłam wszystko do pralki. Imponujący zbiór. Ekspozycję można zwiedzać od wtorku do niedzieli w godzinach między dziesiątą a osiemną. W poniedziałki nieczynne. I odebrałam sobie swoje sitko do parzenia herbaty.

Ricky nie jest w stanie zdobyć się na uśmiech. Nie jest w stanie nawet utrzymać otwartych powiek. Jego tułów wisi przywiedły nad stołem.

Wreszcie nie wytrzymuje i kładzie głowę na blacie.

— Dzisiaj jest idealny dzień, żeby umrzeć. Rany boskie, jak ja się podle czuję. Nie dasz sobie sama rady w salonie?

— Nie wchodzi w rachubę. Przecież tylko napiłeś się absyntu. Mamy umówione podwójne strzyżenie o piątym stopniu ważności.

— Ale przecież rzygałem.

— Niech to pozostanie między nami. Masz, weź moje tabletki na gardło, żeby klienci nie doznali żadnych poparzeń, jak będziesz na nich chuchał. No, idziemy!

— Neeee — jęczy Ricky i chwyta się zlewu, kiedy próbuję wyciągnąć go z kuchni.

Żeby dodać mu trochę animuszu, próbuję udawać starego reportera, podczas gdy on postępując, sznuruje swoje conversy, które teraz są koloru żółtobrązowego.

— Blade poranne słońce oblewa swymi złocistożółtymi promieniami wyłożone kocimi łbami ulice w mieście Visby... Mieszkańcy opuszczają swoje domostwa i znowu zaczynają prowadzić ze sobą rozmowy. Podczas długiej zimy niektórym przybyło dzieci, inni zapuścili sobie brody. Już niebawem nastanie pora na grillowanie i na puszczanie ku błękitnemu niebu sygnałów dymnych: Zbierzcie się, dobrzy ludzie, zbierzcie się, bo wiosna nastąpi...

Ale Ricky nie daje się ożywić. On chce skonać.

Kiedy wychodzimy na chodnik, zauważam ruch za firanką u sąsiadki Tilly i natykam się na jej świdrujące spojrzenie w lusterku do obserwowania ulicy przy oknie. Właśnie widzi, jak mężczyzna o świcie opuszcza mój dom. Potem dopatrzy się pewnie jego ubrań trzepoczących na wietrze na sznurze. Może rozpozna ubrania Joakima na Rickym. Skandal! Wreszcie będzie miała o czym opowiadać. Proszę bardzo. A co mam zrobić? Zapukać do jej drzwi

i przedstawić Ricky'ego jako nowego pracownika mojego salonu?

Całe Visby się dowie, że Angelika Lagermark sprowadziła sobie na noc młodego kochanka. Ricky chyba by się udusił ze śmiechu, gdyby to usłyszał. Dlatego nic nie mówię, tylko cierpię, wlokąc go za sobą skacowanego przez ulice miasta.

Kiedy Hästgatan docieramy do placu Walléra, on ociera sobie z czoła zimny pot. Potem, idąc Adelsgatan, jęczy przy każdym kroku i spogląda na mnie z nieopisanym cierpieniem w oczach, ale ja jestem niewzruszona. Nie daję się złamać. Nie we wtorek.

— Masz może łom? — pyta nieśmiało, po czym opiera się o fasadę księgarni Wessman & Pettersson i osuwa się po niej. Przykucnąwszy na chwilę, zaczyna głośno dyszeć.

— Co to za pytanie — wybucham śmiechem. — Łom?

— No tak, chyba że mógłbym trochę pomieszkać u ciebie, przekimać na sofie? — Unosi ramiona w bezradnym geście.

— A do czego ci łom? — pytam podejrzliwie.

— Wprawienie nowego zamka do moich drzwi będzie kosztować kilka tysięcy, ale najpierw trzeba wyłamać stary, więc równie dobrze mogę zrobić to sam i powiedzieć, że ktoś się do mnie włamał. I to wcale nie będzie kłamstwo. Albo mogę mieszkać u ciebie aż do najbliższej pensji. Mogę zmywać i sprzątać, i świadczyć usługi okołodomowe.

— Moi sąsiedzi już są przekonani, że świadczysz usługi „okołodomowe”... — bąkam ponuro. — Pożyczę ci na ślusarza. — Jednak po chwili zastanowienia dodaję: — Przecież musi być jakiś gospodarz domu, który ma klucz zapasowy.

— No tak, tak. Ale jeśli jeszcze raz spróbuję zawrócić mu głowę, to chyba wyląduję na ulicy. To niedobry moment na coś takiego.

— Czyli jesteś gotów zapłacić pięć tysięcy, bo boisz się pogadać

z dozorcą? To chore.

— Moi kumple mają zakaz wstępu do mnie od czasu, jak zabawialiśmy się we flambirowanie. I to była ta kropla, która przelała czarę. — Spogląda na mnie spod grzywki. — Moje mieszkanie wygląda jak szcurza nora. Nie pachnie w nim czystością. Nie mam pojęcia, jak mam je doprowadzić do porządku. To jest jeden wielki śmietnik! Nie mógłbym u ciebie pomieszkać?

— No ale jak się wprowadziłeś, to chyba było w nim ładnie? Co się stało?

— Nic się nie stało, po prostu zrobiło się obrzydliwie. Mam ptaka, który na wszystko sra, a jedzenie porasta pleśnią. Mogę pomieszkać u ciebie, dopóki nie zbiorę pieniędzy?

— Wykluczone.

— Nie chcę mieszkać u brata i jego зараżonej wścieklizną dziewczyny, wolałbym już przekimać w rynsztoku. A matka mnie wyrzuciła. To może mógłbym spać w kąciku socjalnym w salonie?

— Zastanowię się.

— Dzięki! — Ricky posyła w moją stronę uśmiech, który szybko gaśnie. — Za każdym razem, kiedy poznaję nową dziewczynę, chodzimy do niej do domu, bo wiem, że kiedy tylko otworzyłaby drzwi do mojego mieszkania, od razu wszystko by się spieprzyło. Tak się nie da na dłuższą metę.

— To prawda, Ricky, to prawda.

LEDWIE ZDAŻYŁAM otworzyć drzwi salonu, a już słyszę, że dzwoni telefon, i potem przez cały dzień jest gorąco. Salon d'Amour jest oblegany. Mojej uwadze nie uchodzi też to, że od rana do późnego popołudnia pod oknami co rusz spacerują jakieś starsze panie, trzymając się pod rękę. Nawet sama Tilly rezerwuje sobie wizytę, żeby wyjść naprzeciw wiośnie i poznać ostatnie plotki. Za karę zapisuję ją w tym samym terminie co Obdartego Stevena. Sama jest sobie winna.

— Chodzi nie tylko o kojarzenie ludzi w pary kochanków — mówię do

Ricky'ego, kiedy blady jak śmierć wytacza się z toalety. — Czasami robię to po to, żeby ludzie o ugruntowanych i niezachwianych poglądach spotkali się z kimś o poglądach przeciwnych i wypadli z tych swoich utartych kolein. Tilly jest strażniczką moralności, a Obdarty Steven to niekoronowany rycerz braku moralności.

— Jaka to będzie kategoria? — Ricky chłepcze mleko z kartonu stojącego w lodówce, a potem opada na kanapkę. — Może K jak konfrontacja, stopień ważności trzech — proponuje.

— Znowu żłopiesz mleko prosto z kartonu! To obrzydliwe! Czy to naprawdę tak trudno wziąć sobie szklanekę?

Wzrusza ramionami.

— Cholera. Jaki to stopień ważności?

— Żebyś zachowywał się wreszcie w cywilizowany sposób? Dziesiąty. A konfrontacja Tilly z Obdartym Stevenem — piąty — oświadczam. Ricky nie ma nawet pojęcia, jakie plotki są w obiegu. — Zdecydowanie stopień piąty. Kategoria K jest okej. Konfrontacja — tak, to dobry pomysł.

MOJĄ PIERWSZĄ KLIENTKĄ dzisiaj jest dziewczyna, którą w ubiegłym tygodniu spotkałam w bibliotece. Jessika wybrała w gimnazjum profil ekonomiczny. Ledwie jej klasa weszła do biblioteki, od razu się zorientowałam, że ona nie należy do tych najbardziej super. Trzymała się z boku, wzrok miała dosyć ponury, ale czujny. Kiedy reszta rzuciła się na wyścigi, żeby zająć miejsca, ona odczekała spokojnie i przysiadła przy innym stole niż oni. Starła się być niewidoczna. W tej samej sytuacji Kask Rowerowy rozsiadłby się w samym centrum, pośrodku stołu, jednak ta dziewczyna nie miała takiej siły przebiccia jak tamta. Zrobiło mi się jej żal, ponieważ przypomniała mi inną dziewczynę z innego czasu — kogoś, kogo bardzo dobrze znam. Usiadłam więc obok niej i zaczęłyśmy rozmawiać. Wysłuchawszy jej planów na przyszłość, zaproponowałam, żeby

popracowała u mnie w wakacje, i zaprosiłam przy okazji do salonu. Obiecałam też strzyżenie na próbę. Tak więc ona nie jest zwykłą klientką, tylko osobą bliską memu sercu.

Kiedy Jessica staje w drzwiach salonu, widzę, że ma spłoszone spojrzenie. Kuli się w swoim wielkim swetrze, ciasno oplatając tułów rękoma. Jej cała istota zdradza rezygnację. Ogromny workowaty sweter ukrywa jej biust i sprawia, że ona cała wygląda grubo, a nie z polotem. Zwyczajne, pozbawione formy spodnie tylko wzmacniają to wrażenie. Włosy ma długie, proste jak druty i nieumyte. Najwyraźniej wszystko jej jedno, jak wygląda. Paznokcie poobgryzane, a skórki uszkodzone i nabrzmiące. Ricky, któremu głowa zwykle obraca się niemal dookoła, kiedy do salonu wchodzi jakaś młoda kobieta, nawet jej nie zauważa.

— Powinniśmy przed wakacjami omówić parę rzeczy praktycznych. Niby jest jeszcze trochę czasu, ale dni mijają tak szybko. Co ty na to, żeby wpaść już jutro? — pytam. Ricky ma być cały dzień na targach, więc myślę sobie, że to dobra okazja, żeby porozmawiać z nią w cztery oczy.

— Jutro jest okej. Mamy wolne w szkole.

Umawiamy się na spotkanie po lunchu w salonie. Przyglądam się uważnie twarzy Jessiki. Ma kształt serca i jest podłużna. Sarah Jessica Parker w *Seksie w wielkim mieście* właściwie też ma podobną podłużną twarz, tyle że ona rzadko nosi rozpuszczone proste włosy, raczej zakłada je za uszy albo kręci. Grzywka częściowo by skróciła ten długi owal. Profil jest ładny, klasycznie czysty. Wysoko związany koński ogon i grzywka albo kaskada loków z kilkoma kosmykami upiętymi nieregularnie po bokach nadałyby tej twarzy zupełnie inny, lekki wygląd. Najważniejsze jednak jest zbudowanie pewności siebie. Liczy się prosta sylwetka. Sztuka wchodzenia do pomieszczenia i zajmowania w nim miejsca w taki sposób, aby zostać zauważonym. To i owo przyswoiłam sobie na ten temat, kiedy w młodości pracowałam jako

modelka we Francji.

Moje wewnętrzne postanowienie staje się coraz silniejsze. Zamierzam zrobić wszystko, aby Jessica mogła się zemścić. Wilk we mnie zwęszył jej dręczycieli między cieniami — pokażę im swoją broń.

CZAS MIJA, A MY Z NIM

Mnie dzień mija szybko, ale Ricky'emu wolniej. W porze lunchu leży blady i zmarniały na kanapce i przeskakuje z kanału na kanał w telewizorze. Wmuszam w niego odrobinę herbaty i parę sucharków. Pod oczami ma sińce i zlany jest zimnym potem.

— Chyba powinniśmy odwołać Gunnara i Åsę. — Unosi głowę, ale zaraz opuszcza ją ciężko na poduszkę. — I tak nic z tego by nie wyszło. W najlepszym razie będzie niezręczna cisza, a w najgorszym — dojdzie do kłótni albo zrobi się naprawdę nieprzyjemnie. Gunnar popsuje wszystko swoim zrządzeniem. Zadzwoń i powiedz, że mamy gripę żołądkową albo wszy, albo jeszcze co innego. — Ciągnie dalej swój długi wywód, dlaczego to oni dwoje do siebie nie pasują. — Potrafisz sobie wyobrazić Gunnara w łóżku? Potrafisz? W pewnym wieku człowiek lepiej wygląda w ubraniu.

— Ale z ciebie, Ricky, cholerny wieko-szowinista! — Czuję, że robię się naprawdę wściekła. — Przyjdzie dzień, że ty też się zdziwisz, gdzie się podziały włosy na twojej głowie, i zaskoczony odkryjesz, że zaczynają ci za to wyrastać w nosie i w uszach. Potem nagle zauważysz, że masz cycki. Będą ci zwisać nad brzuchem, który urośnie do rozmiarów piłki lekarskiej, a za miłością będziesz tęsknił dokładnie tak samo jak teraz i marzył, żeby ktoś uznał, że jesteś apetyczny. I możesz mi wierzyć, że jest to całkiem możliwe, dopóki tacy wieko-szowiniści jak ty tego nie unicestwią.

— To pewnie dlatego w starszym wieku ludzie widzą gorzej, bo potrzebny jest filtr, żeby rzeczywistość nie była zbyt rzeczywista. Powiedziałaś wcześniej, że różnice rozpalają zakochanie, a podobieństwa pozwalają żyć

parom dalej w relacji pełnej miłości.

— Tak, uważam, że tak właśnie jest.

— Będziemy ponosić odpowiedzialność, jeśli połączymy Gunnara z kimś w parę! A przecież nawet nie wiemy, czy ta Åsa interesuje się sportem. — Ricky ma tak skupioną i poważną minę, że nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

— Daj spokój, Ricky. Po prostu jesteś leniwy! — Wkładam sobie prymkę snusu pod wargę. — Wstawaj.

— Zobaczysz, że będziesz żałowała.

KIEDY OBOJE wchodzimy do salonu, zastajemy w nim klientkę, która stoi i przegląda mój kalendarz. Jest mocno przysadzista, niewysokiego wzrostu, w wieku między czterdziestką a pięćdziesiątką. Rzadkie włosy koloru szcurzej sierści ma zebrane w koński ogon zwykłą recepturką. Czyli jest potencjał do zmiany na lepsze. Ale nie to głównie rzuca mi się w oczy, gdy klientka spogląda na mnie swoimi roziskrzonymi orzechowobrazowymi oczami. Stając za ladą, za moją ladą, wkroczyła w mój rewir. Bezczelnie przewraca kartki w kalendarzu, który jest dla mnie jak biblia. To naprawdę przekracza już wszelkie granice.

W tej samej chwili wchodzi Gunnar i zostaje przejęty przez Ricky'ego. Mam nadzieję, że mój współpracownik nie zapomniał o tabletkach do ssania, bo wciąż jest jeszcze trochę wczorajszy. Zaraz potem wpada do środka zadyszana Åsa. Zapraszam ją na fotel, po czym zwracam się do nieproszonego gościa, żeby się dowiedzieć, czego chce. To nie najlepsza pora na wizyty osób postronnych, skoro mamy zająć się kojarzeniem Åsy i Gunnara.

— Przyjmujemy wyłącznie po wcześniejszym ustaleniu terminu. Chce się pani umówić? — pytam i zabieram jej kalendarz. Kobieta wygląda straszliwie nijako w tych swoich spranych bawełnianych ciuszkach w kolorze

jasnej oliwki i beżu. Ona sama nie ma żadnej własnej barwy i jej ubrania tak samo. Jedyne, co przełamuje tę szarość, to jej ciemne oczy.

— Jestem z urzędu skarbowego. — Legitymuje się w taki sam sposób jak policjanci z *Kryminalnych zagadek Nowego Jorku*. Jovisa Mörk, czytam. — Chciałabym zobaczyć księgę rachunkową. Bezzwłocznie.

— Właśnie mam umówioną klientkę i obiecuję, że nie prysnę z dziennym utargiem — mówię, żeby rozluźnić trochę atmosferę. — Proszę może usiąść i poczekać. Potem bardzo chętnie pokażę pani wszystko, co pani zechce.

— Zobaczyłam już wystarczająco dużo, żeby stwierdzić, że dochodzi tu do nieprawidłowości — oznajmia Lovisa Mörk nieustępliwie i z ogromną powagą.

— Co takiego? — Oboje z Rickym otwieramy usta ze zdziwienia.

— W kalendarzu są ślady po wytartych zapisach. To dosyć oryginalne postępowanie, a dla nas istotny materiał świadczący o sposobie prowadzenia przez panią dokumentacji dotyczącej klientów.

— Zawsze wszystko zapisuję ołówkiem w kalendarzu.

— To każe mi podejrzewać, że przyjmuje pani klientów na czarno, skoro najpierw pani ich zapisuje, a potem wyciera gumką.

— Jeśli kogoś wycieram, to tylko dlatego, że ludzie dzwonią i zmieniają termin. To normalne. Wszyscy fryzjerzy piszą ołówkiem, nie wyobrażam sobie, żeby można było robić to inaczej. — Mam wrażenie, że się kulę, i czuję się winna, chociaż nie zrobiłam nic złego. — Wszyscy moi klienci otrzymują paragon, zapewniam panią.

— Podobno strzyże pani wieczorami u siebie w domu? Dotarła do nas taka sugestia — mówi Lovisa Mörk, zaciskając usta tak mocno, że robi się z nich jedynie cienka kreska. W tym samym momencie dostrzegam kątem oka Ricky'ego. Co prawda nie trzyma zaparzaczkę do herbaty, ale już jest gotowy, żeby zrobić znajomy gest samą ręką. Sytuacja jest tak absurdalna, że

z ogromnym trudem powstrzymuję się od śmiechu.

— Słucham?

— Jak powiedziałam, otrzymaliśmy taką anonimową informację. Czy wczoraj wieczorem odwiedził panią pewien młody mężczyzna?

Spoglądam na Ricky'ego, próbując surowym spojrzeniem powstrzymać go przed odpowiedzią. Jednak do niego nic nie dociera.

— To ja byłem dziś w nocy u Angeliki. Kto by pomyślał, że w takiej przyzwoitej dzielnicy jest potajemny burdel? — Ricky uśmiecha się od ucha do ucha. — Uprawialiśmy dziki seks grupowy w czerwonych lateksowych kozakach i nakolannikach. Ciągle nie wiem: czy za usługi erotyczne obowiązuje dwanaście czy dwadzieścia pięć procent podatku? Czy może sześć? Tak, chyba sześć!

— Ricky! — mówię przerażona. Następnie zwracam się do pani inspektorze ze skarbówki. — Oczywiście to nieprawda!

— Tak naprawdę to się porzygałem, bo spiłem się absyntem, i to nasunęło mi pytanie o podatek na alkohol. Czy faktycznie powinno się płacić podatek za wódkę, jeśli się ją wyrzyga? Czy też należałoby dostać go z powrotem w ostatecznym rozliczeniu podatkowym, skoro że tak powiem człowiek zwraca to, co kupił w sklepie monopolowym? — niewzruszenie kontynuuje Ricky, zawiązując na szyi Gunnara pelerynkę. Jednocześnie mruga do mnie w lustrze, dając mi do zrozumienia, że to jest kara za zmuszanie go do pracy, kiedy jest w takiej złej formie.

Nie daruję ci tego, możesz sobie spać na ulicy — odpowiadam mu pantomimą zza pleców inspektorki. Specjalnie poszłam na spotkanie z konsultantką do spraw nadwagi i wszystko już zmierzało do sukcesu, a teraz Ricky z premedytacją psuje mi całą robotę.

— Trochę się spieszę. — Åsa spogląda na zegar, a potem rzuca okiem przez szybę na ulicę. Przed salonem stoi Majvor z Doradcy Wagi SA. Åsa

posyła jej całusa, po czym tamta wchodzi do środka. Obie całują się szybko w usta, następnie Majvor siada na krześle przy drzwiach, ja zaś uzmysławiam sobie, że nasze intencje, by połączyć Åsę w parę z Gunnarem, były od samego początku skazane na niepowodzenie. Dla Åsy i Majvor to zabawne, ale dla Gunnara — smutne. Robię dobrą minę do złej gry i posyłam ku Lovisie Mörk uprzejmy uśmiech.

— Może pani przejdzie do naszego pokoiku socjalnego. Na półce stoją teczki z moimi tegorocznymi wykazami. Proszę poczęstować się herbatą, stoi gotowa w termosie, a na stole znajdzie pani szafranowe sucharki.

— Ma pani pozwolenie na sprzedaż artykułów spożywczych?

— To wszystko jest gratis.

— Co za fantastycznie kompetentna kobieta — słyszę głos Gunnara, który wiedzie za Lovisą wzrokiem, gdy ta zdecydowanym krokiem zmierza ku półce w kąciu socjalnym.

Ricky wywraca oczami i wali się dłonią o czoło.

Ignoruję go i pełną uwagę poświęcam teraz Åsie.

— Co mogę dla ciebie zrobić?

— Dzisiaj zdążę się już tylko uczesać, może następnym razem nałożymy farbę, tak jak proponowałaś.

Rozmawiamy chwilę o zrzucaniu kilogramów. Jeśli o mnie chodzi, nie odnotowałam na razie sukcesów, ale Åsa, korzystająca z całobowej opieki trenerskiej, radzi sobie lepiej.

— Wystarczy wciągać rozcieńczalnik i człowiek od razu chudnie — wtrąca Ricky, abym wiedziała, że to jeszcze nie koniec jego zemsty.

— Zamiast diety 5:2 czy LCHF, moją metodę można by nazwać dietą wciągaczy. Wystarczy plastikowa torebka i szmatka z rozcieńczalnikiem. Nie potrzeba żadnych recept ani nic z tych rzeczy. Jak człowiek czymś takim się odurzy, to całkiem zapomina o jedzeniu.

ODPROWADZAM ĄSĘ WZROKIEM, gdy ta bierze Majvor za rękę i razem wychodzą na słońce. Na dworze jest wiosna, ale w salonie panuje chaos. Zamiatam podłogę, zdejmuję fartuch i nabieram głęboko powietrza, zanim decyduję się wejść do pokoju socjalnego, aby dalej bronić swojej metody prowadzenia dokumentacji. Lovisa przekłada segregatory na półce i wyjmuje ten z fakturami z ostatniego roku.

— Kto wam dał tę anonimową informację? — pytam zdecydowanym tonem, stając tuż za jej plecami. Inspektorka odwraca się gwałtownie.

— Może nie do końca anonimową. Spotkałam pani sąsiadkę, a z jej słów wynikało, że to, co działo się w pani domu, to istna Sodomia i Gomora. Pomyślałam sobie jednak: to niemożliwe, żeby ona miała takiego młodego kochanka. To musiał być klient. Proszę mnie tylko źle nie zrozumieć. — Lovisa czuła, że powinna doprecyzować. — Strzyżenie na czarno.

— Wie pani co, Loviso, jestem dumna z tego, że płacę podatki, które idą na służbę zdrowia, opiekę, szkoły, zależy mi również na tym, aby ta część, która wędruje do państwowej kasy, była wykorzystana na polepszenie komunikacji z wyspy i na wyspę.

— Całkiem słusznie, w zupełności się z panią zgadzam! — Lovisa nagle rozchmurza się w promiennym uśmiechu, a ja jakoś nie mogę zrozumieć, dlaczego początkowo uważałam, że ona wygląda mdło. Ta kobieta ma niesamowicie piękny uśmiech. W naszej rozmowie następuje całkowity zwrot. Po chwili sympatycznej pogawędki, podczas której znajdujemy wiele punktów wspólnych, Lovisa udziela mi kilku wskazówek dotyczących możliwości odliczania podatku, z których do tej pory nie korzystałam.

— Wie pani, że może pani potrącać sobie wydatki na kawę, plastry i na jedną parasolkę?

Koszt jednej parasolki w ogólnym rachunku poniesionych kosztów nie wydaje się rujnującym zakupem, ale nie jest też zamachem na państwową

kasę.

— Kiedy panią dziś zobaczyłam, od razu przyszło mi do głowy, jak mogłabym panią obciąć. Mam bardzo oryginalny pomysł. Przyszła wiosna, więc może odważyłaby się pani na trochę koloru? Takiego, który by pasował do pani ładnych oczu?

— Czy to nie jest próba przekupienia urzędnika? — Inspektorka spogląda na mnie zaniepokojona.

— Ależ skąd, to próba skojarzenia pani z tamtym mężczyzną. — Ricky wszedł właśnie do pokoiku i wskazał głową na Gunnara.

— Pan sobie chyba żartuje! — Lovisa wybucha śmiechem i cały jej niepokój znika. — A zdąży mi pani dzisiaj obciąć włosy? — zwraca się do mnie.

— Jasne! Proszę przejść na fotel. — Spotykam pytające spojrzenie Ricky'ego. „Nagły zwrot, co mam robić?” Świadomie przeciąga w nieskończoność strzyżenie Gunnara, a potem usuwa mu włoski z uszu trymerem, który kupiłam rok temu w lipcu. Rozmawiają o Zlatanie i Messim, podczas gdy oczy Gunnara śledzą w lustrze Lovisę kroczącą przez salon. Jak wspomniałam, jest dosyć masywna, ale nie zanadto otyła, i nie blondynka, więc może w grę wchodzi feromony albo jakaś inna przenoszona przez powietrze niewidzialna energia, niezidentyfikowana jeszcze przez naukę.

— Z taką krótką fryzurą — mówi Ricky do Gunnara — ...musi pan teraz przychodzić do nas co tydzień. Ale co druga wizyta jest za darmo, więc nie grozi panu bankructwo.

— Proponowałabym wprowadzać zmiany stopniowo, żeby mogła się pani z nimi oswoić — zwracam się do Lovisy. — Może mogłybyśmy się już umówić na kilka następnych spotkań co tydzień. — Mrugam do Ricky'ego. Jego prawa dłoń lekko drgnęła, jakby chciał przybić piątkę, na szczęście udaje mu się opanować.

— *Heeell yees!* — syczy przez zęby, kiedy przechodzę obok niego, aby wziąć pomocnik z przyborami.

TAJFUN W SALONIE D'AMOUR

Środa rano. Otwieram drzwi do salonu i czuję to samo co zawsze. Obezwładniającą wdzięczność. Swoją drogą to dziwne, że urząd skarbowy nie wpadł na to, żeby obłożyć podatkiem dochodowym to uczucie. Marzyłam o salonie już jako mała dziewczynka i przez lata pracy u innych dążyłam do tego. Do posiadania własnego salonu.

Zaraz po kupieniu go leżałam bezsennie po nocach i drżałam, że nie będę miała klientów. Moje siostry zaciągnęły kredyt na milion koron na siedem lat i pożyczyły mi pieniądze, nie biorąc ode mnie procentu. Jedna za wszystkie, wszystkie za jedną. Najpierw nie miałam odwagi ich przyjąć. Nie chciałam narażać żadnej z nich na ryzyko, że pójdą z torbami, jeśli się okaże, że nie będę zarabiać. Namówiły mnie jednak i dziś bardzo się z tego cieszę. Klientów nie brakowało. Przez te wszystkie lata oszczędzałam, zaciskałam pasa i nie pozwalałam sobie dosłownie na nic, ale po Wielkanocy spłacę już ostatnią ratę. To będzie wielkie święto.

Biorę kubek z kawą i na chwilę siadam w słońcu na ławce przy fontannie. W piekarni po drugiej stronie rynku mają fantastyczne kanapki. Kiedy już oddam dług, będę je sobie fundować codziennie, poza tym kupię też nową sukienkę. Kioskarz wystawia najgorętsze tytuły przed wejściem. „Coraz więcej kradzieży danych z kart bankowych — łatwe sposoby kantowania innych”, i w innej gazecie: „Najemcy-oszuści — jak można stracić dom”. Zamieniam jeszcze kilka słów z jubilerem, który właśnie otwiera swój sklep, po czym wracam do salonu i przygotowuję się do pracy.

Ricky jest na targach fryzjerskich na lądzie, żeby przyjrzeć się nowym

trendom, i nie wróci wcześniej niż późnym wieczorem, jeśli zdecyduje się na samolot, albo jutro rano, jeżeli przypłynie promem. Zanim rozstaliśmy się wczoraj wieczorem, wyjął jeszcze butelkę po absyncie, żeby pokazać mi list, który wygładził wprost perfekcyjnie, jak powiedział. Miałam nadzieję, że zapomniał o tym bzdurnym pomysłe. No bo jeśli ktoś znajdzie butelkę za pięćdziesiąt lat... będę miała wtedy dziewięćdziesiąt osiem. Może i miła byłaby taka wizyta w domu starców, ale pomysł jest mimo wszystko kiepski, a jeżeli list trafi w czyjeś ręce za sto lat, wtedy pozostanie mu już tylko szukanie mojego nagrobka.

Oczywiście najgorzej by było, gdyby ktoś natrafił na butelkę już zaraz. Ktoś, kto nagle bez pardonu wejdzie w moje życie i będzie uważał, że ma prawo oczekiwać jakichś amorów. Nie jestem na to gotowa.

Akurat w tym samym momencie rzucam okiem za okno i widzę, że on tam stoi. Mężczyzna z Lindgården, z którym flirtowałam poprzedniego wieczoru i o którym — mówiąc szczerze — myślałam od tamtej pory w każdej wolnej minucie. Stoi zupełnie spokojnie i patrzy na mnie swoimi brązowymi, radosnymi oczami. Uświadamiam sobie, że się czerwienię, a puls irytująco mi przyspiesza. Macha do mnie ledwie zauważalnie i nie spuszcza ze mnie wzroku. Potem rusza przed siebie i znika. Jestem kompletnie oszołomiona, wstrząśnięta i wytrącona z równowagi. Żeby dostrzec go jeszcze z daleka, wspinam się na palce. Nie otwieram drzwi i nie wołam za nim, nie biegnę, żeby go złapać i spytać, czy nie byłby zainteresowany abonamentem na strzyżenie, tylko stoję z opuszczonymi ramionami i dochodzę do wniosku, że w nim to nawet mogłabym się zakochać.

PIERWSZY KLIENT tego dnia przychodzi z reklamacją. Sprawa jest dosyć delikatna, nienadająca się dla wielu par uszu, dlatego zdecydowałam się zarezerwować czas dla niego, kiedy jestem sama w salonie. Reklamacja dotyczy relacji, w jaką go wplątałam. Zawsze poczuwam się do

odpowiedzialności, kiedy aranżuję małżeństwo. Konrad i Elisabeth to pierwsza para, jaką skojarzyłam siedem lat temu, a teraz pojawiły się między nimi trudności.

Fryzjer słyszy najwięcej, nic co ludzkie nie jest nam obce. Zawijam więc Konradowi pelerynkę i proszę, aby opisał problem.

— Wchodzę i wychodzę, a ona nic nie czuje — mówi z zatroskaną i tak przegraną miną, że we mnie niemal coś pęka.

— Nic? — powtarzam za nim, aby naprowadzającymi pytaniami nie uprzedzać tego, co on chce mi powiedzieć.

— Na początku bzykaliśmy się ciągle i wszędzie, ale teraz dla niej ważniejsze jest wytarcie szafek w kuchni niż seks. Odnoszę wrażenie, że ona robi dosłownie wszystko, żeby się tylko od niego wykręcić. Pozmywać możemy przecież później. W ostatnią sobotę, kiedy zjedliśmy pizzę i kiedy można było wykorzystać przerwę po pierwszej tercji hokeja na trochę przyjemności, ona zabrała się do czyszczenia filtra w kuchennym okapie.

— I co sobie wtedy pomyślałaś?

Konrad nabiera głęboko powietrza, a potem wyrzuca z siebie wszystkie emocje naraz.

— Że już mnie nie kocha. Że może ma innego. Spytałem ją wprost. A ona mi tylko powiedziała, że nie zniosłaby już żadnego faceta. A potem się kochaliśmy. Bez entuzjazmu. Straciłem przez to drugą tercję, chociaż przecież mogliśmy to zrobić w przerwie. Nie było to szczególnie udane. Jakbyśmy się sobie wstydzili. Muszę ci przyznać, że łatwiej było się nam kochać, kiedy prawie się nie znaliśmy. Dlaczego to tak jest, że prościej jest mieć seks z kimś obcym niż z własną żoną? Czuję się tak, jakbym całował własną siostrę. Ona zamyka oczy i ja zamykam oczy, i zawsze gasimy światło.

— I ona nic nie czuje?

— Zawsze byłem dumny z tego, że natura mnie hojnie wyposażyła. Ale nie, ona nic nie czuje. Nie mam pojęcia, co robię źle.

Jestem osłupiała jego brakiem wiedzy. Normalnie zbudowanej kobiecie wystarczy ołówek, więc wcale niepotrzebne jest lepsze wyposażenie. Zdaje się, że problem w tym przypadku polega na niedostatecznej znajomości biologii i braku fantazji. Biorę papier i długopis i rysuję mu schemat anatomiczny. A wydawałoby się, że coś takiego powinno być zupełnie zbędne w naszym oświeconym kraju, gdzie z tytułów w popołudniówkach porady erotyczne wręcz krzyczą grubą czcionką, jakby chodziło o wojnę domową. Czy to takie trudne do zrozumienia? Wypytyuję dyskretnie o technikę i przedstawiam kilka propozycji służących poprawie.

— Spytaj ją, jakie ona ma fantazje, co by pobudziło jej pożądanie. Może ona chce to robić w miejscach, gdzie ktoś mógłby was nakryć. Chce być związana albo smagana, albo słyszeć od ciebie wulgarne słowa. Może pobudzi ją masaż stóp albo lateks. Próbowalesz się od niej dowiedzieć, jakie ona ma życzenia? I co najważniejsze: Powiedziałeś jej, że ją kochasz?

— Czy to naprawdę potrzebne? Przecież jestem ja i mój cudowny wacek — mówi z powątpiewaniem.

— To nie jest takie złe, ale może po siedmiu latach przydałoby się coś więcej, żeby podtrzymać namiętność. Powtarzaj jej, że ją kochasz. Że jest taka seksowna, że doprowadza cię do obłędu. Dotykaj jej, pieść. Mów, że jest piękna. I ciągle dotykaj. — W końcu dochodzę do wniosku, że nie dam rady w ciągu trzydziestu minut przekazać wszystkich wskazówek. — Mam tu taką niewielką książkę, którą według mnie oboje powinniście przeczytać. *Źródła rozkoszy*. Została napisana w trzynastym wieku przez egipskiego medyka leczącego kobiety, Hatema El-Khalidiego, i jest w niej prawie wszystko, co powinieneś wiedzieć. Mogę ci ją pożyczyć.

— I uważasz, że wystarczy dotykać? — pyta pogrążony w zadumie

Konrad.

— Nie wystarczy, radziłabym też, żebyś to ty oczyścił filtr w kuchennym okapie. A wtedy mogą zdarzyć się rzeczy magiczne. Musicie ze sobą rozmawiać — mówię mu. — Zapytaj ją, co według niej jest dobre, a co nie działa tak jak trzeba w waszym seksie. Nie uważasz, że istnieją gry wstępne, które działają lepiej niż hokej?

— Cholera, strasznie dużo z tym roboty — stwierdza, studiując rysunek kobiecej anatomii, który mu dałam.

— Owszem — potwierdzam, uśmiechając się do niego pokrzepiająco. — Powodzenia! — Kiedy wychodzi, wciskam mu do ręki książkę. Nie liczę na to, że dostanę ją z powrotem.

DRUGA Z KOLEI JEST Z5, Regina, z siedmioletnim synem, który ma na imię Folke. Obcinam mu włosy tylko wtedy, kiedy w salonie jest zupełnie pusto. Ostrzyżenie go tak, aby on sam nie nadział się na nożyczki, jest wyzwaniem samym w sobie. Ostatnio uwinęłam się w ciągu dwóch minut i obsmyczyłam go do gołej skóry. Jeśli trwa to dłużej, chłopak przestaje być sterowalny i demoluje lokal. Nie przesadzam. Za pierwszym razem, kiedy jeszcze nie byłam zaznajomiona z problematyką ADHD, Folke urządził dziki wyścig wózkiem fryzjerskim po rynku, aż fruwały nad brukiem wałki, nożyczki i grzebienie. Aby potem ustroić się w czarną pelerynkę i w mgnieniu oka przeistoczyć w wampira, i ugryźć moją sąsiadkę Tilly w szyję. Później zmienił się w czarnego psa, który ukąsił Gunnara w nogę, by już po chwili rzucić się na pojemnik z pianką do golenia i wypisać nią DUPA na całą szerokość wystawowej szyby. To był poziom, który osiągnął tuż przed pójściem do szkoły.

Tamtym razem próbowałam w swojej naiwności przekupić go ciastkiem, żeby choć trochę go okiełznać. Wtedy Regina, jego mama, zaczęła płakać. Bo Folke po cukrze dostaje jeszcze większego napędu i robi się jeszcze

bardziej nie do opanowania. Jeśli to w ogóle możliwe. Kiedy Tilly otrząsnęła się już trochę, zaczęła krzyczeć na Reginę, że jest złą matką i że powinna dać chłopcu porządne lanie, żeby się nauczył, jak należy się zachowywać między ludźmi.

— Bicie to nie jest żadne rozwiązanie — stwierdził wtedy Folke, zyskując poklask Gunnara, który jednocześnie nie ukrywał przede mną, że nie jest specjalnie zachwycony tym dzieckiem. Po tamtej wizycie postanowiłam, że najlepiej, jeśli w przyszłości będę zapisywać ich na trochę spokojniejsze godziny. Regina jest mi za to wdzięczna. Dzięki temu omijają ją te wszystkie znaczące spojrzenia i zjadliwe komentarze, a ona ma dwie minuty wyłącznie dla siebie. Zwykle mam dla niej przygotowany kubek herbaty i kanapkę, tak żeby mogła sobie usiąść spokojnie, w czasie gdy ja strzygę jej syna, i staram się tak wycyrklować, żeby zdążyła wypić, zjeść i trochę odetchnąć.

Samą Reginę obsługuję zazwyczaj w sobotę w jeden weekend w miesiącu, kiedy chłopcem zajmuje się jego ojciec. Na więcej nie może się zdobyć. Ma przecież nową żonę i nowe dzieci, którymi się opiekuje. Regina też chciałaby mieć kogoś, ale ktokolwiek pozna jej syna, nie zamierza planować wspólnej przyszłości z nią. Folke już jako trzylatek był przekonany, że potrafi latać. Powiedziałabym, że chyba nie do końca porzucił tę myśl. Mimo że udowodnił coś wręcz odwrotnego. Co najmniej w dwóch przypadkach jego próby skończyły się pobytem w szpitalu.

Drzwi do salonu otwierają się z hukiem i Folke wpada do środka niczym kula armatnia, rzuca mi się w objęcia i ściska mnie mocno jak w imadle. Zerwał dla mnie bukiet białego bzu, który po wylądowaniu z impetem w moich objęciach wygląda na dosyć zmasakrowany. Wspólnie wstawiamy go do wody. Mały śmieje się do mnie całą swoją piegowatą buzią.

— Kocham cię, Angeliko. I kocham parówki!

Regina zapada się z kubkiem herbaty na kanapce w kąciaku socjalnym

i przymyka oczy. Wygląda na ledwie żywą. Tak bardzo chciałabym im pomóc, ale nie wiem jak. Folke znika w salonie, więc pędzę za nim. Kręci się jak oszalały na fotelu, na którym już siedzi, odpycha się nogami i obraca z coraz większą prędkością, aż w końcu siedzenie nagle się obluzowuje i mały spada na podłogę, a z nosa zaczyna mu lecieć krew. Biorę go na rękę i niosę do kuchni, po czym sadzam na szafce i zaczynam szukać wacików, usiłując jednocześnie zatamować krew wolną ręką. Jemu zaś w tym czasie udaje się wepchnąć w siebie pełną garść jajek z czekolady, które miałam przygotowane na jutro dla dzieci przebranych za czarownice i chodzących od drzwi do drzwi z życzeniami, jak to zwykle w Wielki Czwartek. Bo na Gotlandii ta tradycja podtrzymywana jest właśnie w Wielki Czwartek, a nie w Wielką Sobotę, żebyśmy mieli już za sobą tę zebraninę o słodycze i mogli zjeść w spokoju wielkanocny obiad. Rzucam nerwowe spojrzenie na Reginę. Zasnęła na kanapce.

SODOMA I GOMORA

W czasie lunchu dzwonię do swoich sióstr i zdaję im krótkie sprawozdanie oraz dowiaduję się, jak się sprawy mają w Slite i Hemse. Potem próbuję jeszcze trochę popracować nad moim strojem na maskaradę, która ma się odbyć w Wielką Sobotę w Hotelu Miejskim. Jej temat przewodni to: „Dobry, zły, brzydki”. Interpretacja dowolna.

Rut, której w ostatni poniedziałek pomogłam uwolnić się od lokówki, zamierza iść w swoim mundurze policjantki. Uważa, że tak jest najprościej. Ricky początkowo planował w damskich ciuchach udawać słynnego złodzieja Lasse-Maja albo przebrać się za Kubę Rozpruwacza, w końcu jednak zdecydował się na Batmana. Mnie i moim siostrom zaproponował, żebyśmy były Braćmi Be z *Kaczora Donalda*. Ale ja nie mam ochoty iść na bal jako wstrętny spaślak z numerem na piersi i w czarnych okularach. Chciałabym być proszona do tańca. Dlatego postanawiam być Kobietą-Kotem w czarnych trykotach, żeby pasować do Ricky'ego. Zamierzamy wybrać się tam razem, choć oczywiście nie opuszcza nas nadzieja, że będziemy mieć szczęście i każde z nas wróci do domu z kim innym.

Zdążyłam już uszyć czarną, miękką jak rękawiczka skórzaną kurtkę, którą zamierzam mieć rozpiętą na koronkowej koszulce. Na trykocie będzie czarna jedwabna spódnica z długim rozcięciem. Jeśli zdejmę kurtkę, zrobi się elegancka balowa suknia z głębokim dekoltem w kształcie litery V na plecach. W zależności od potrzeby.

W tym momencie pracuję właśnie nad kocimi uszami, które zrobiłam z poduszek do wypychania ramion obszytych czarnym jedwabiem,

i zamierzam umocować je na diademie. Kobieta Kot dokonuje włamań nocą i jest niezwykle zwinna — pewnie ją znasz. Pomyślałam sobie, że Ricky mógłby mi pokazać parę trików z tańca na rurze.

Gdy kończę robotę przy diademie i na próbę upinam sobie włosy, pojawia się Jessica. Ma na sobie te same workowate spodnie i porozciągany sweter co ostatnio i na dobrą sprawę wtacza się do środka. Jest zdenerwowana. Kiedy na nią patrzę, odnoszę wrażenie, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa, jakby załamywały się w kolanach, w związku z czym jej chód jest sztywny i mechaniczny. Zapraszam ją do naszego kącika socjalnego i proponuję, żeby usiadła na sofie, podczas gdy ja wyjmuję kubki do herbaty.

— Nie zostało ci już zbyt dużo czasu do końca liceum — mówię.

— No nie. — Jej głos jest papierosowo ochryply i jednostajny. Widzę, że wyciera dłonie o nogawki spodni, żeby się mniej pociły. Zupełnie nie wiem, co mam zrobić, aby zapomniała o sobie i się odprężyła.

— Masz jakieś hobby? — pytam przyjaźnie i nalewam nam herbaty.

Zastanawia się przez chwilę, a potem wykrztusza:

— Komputery i ekonomia, głównie problemy bezpieczeństwa. Chcę się dostać do Wyższej Szkoły Handlowej.

— I dostaniesz się? — Podsuwam jej talerz z szafranowymi sucharkami.

— Dziękuję. — Bierze jeden i odgryza ostrożnie kawałek, a potem odpowiada: — Jestem prawie pewna, że tak, bo nie mam ani jednej trójki na świadectwie. — Uśmiecha się nieśmiało.

— Niech zgadnę: masz ze wszystkich przedmiotów dobry.

— Bardzo dobry. — Jessica opuszcza wzrok, usiłując ukryć uśmiech, który rozlewa się coraz szerzej na jej twarzy. — Ze wszystkich poza wf. Z niego mam dobry.

I tak minuta po minucie zaczyna opowiadać o tym, co ją interesuje, a ja obserwuję, jak zmienia się jej postawa i brzmienie głosu. Gawędzimy o tym

i owym. Okazuje się, że ona też wybiera się na bal maskowy, żeby dotrzymać towarzystwa swojej ciotce. Chciałaby być dziewczyną gangstera, ale nie ma odpowiednich butów. Nigdy nie chodziła na wysokich obcasach. Zrzucam z nóg swoje szpilki.

— Przymierz te. Mogę ci jakieś pożyczyć, chyba nosimy ten sam rozmiar. W szafie mam ich więcej. Na pewno znajdziesz coś, co ci się spodoba.

Jessika wkłada moje buty, a jej uśmiech staje się promienny jak słońce.

— Mogę? — Próbuje przejść się w nich kawałek i z każdym krokiem radzi sobie lepiej. — A jeśli chodzi o prowadzenie tej księgowości — wykrztusza już później — czy mogłabym to robić w domu?

— Jasne, jeżeli załatwimy odpowiedni program do twojego komputera.

— Wobec tego biorę tę pracę. Przyda mi się każda korona.

Usiłuję naśladować Lovisę z urzędu skarbowego, kiedy wymieniam pozycje do odliczenia:

— Kawa, plastry i parasolka, zgadza się? Uczycie się takich rzeczy w szkole?

Jessika nie może powstrzymać się od śmiechu.

— Lovisa Mörk to moja ciotka, to wypisz wymaluj ona.

— Ojej — bąkam i dopiero teraz do mnie dociera, co tak naprawdę powiedziałam. Na Gotlandii wszyscy ze wszystkimi są spokrewnieni. Przecież dobrze to wiem.

— Od kiedy porzucił ją gość z izby komorniczej, całkiem zdziwaczała. Nie zawsze była taka jędzowata.

Zostawiamy ten temat i zaczynamy przymierzać buty. Jeśli ktoś nigdy wcześniej nie miał na nogach wysokich obcasów, powinien zacząć od sześciu centymetrów i iść coraz wyżej. Pokazuję jej, że najpierw stawia się piętę i cała stopa sama opada, i że wcale nie trzeba chwiać się na palcach. Jessika robi parę rundek po salonie, a potem obowiązkowo kładę jej książkę na

głowie i proszę, żeby się wyprostowała.

— To była lekcja numer jeden. Weź sobie z mojej szafy ośmiocentymetrowe szpilki i poćwicz w nich chodzenie po schodach. Zejść po schodach w elegancki sposób na wysokich obcasach to trudniejsze zadanie, niż można by sądzić. Ale jak potrenujesz, do soboty się nauczysz. Jeślibyś chciała, żebym zrobiła ci coś z włosami, możesz wpaść w sobotę po południu.

— Naprawdę dziękuję! — Jessika nie wie wręcz, co ma zrobić, tak bardzo jest zadowolona.

— Zostaniesz królową balu — mówię, podtrzymując ją, gdy potyka się o brzeg maty i odruchowo ściąga obrus ze stołu. — Pod warunkiem, że poćwiczysz — dodaję.

PO NIEJ pojawia się moja sąsiadka Tilly. Jak wiesz, zapisałam ją za karę razem z Obdartym Stevenem. Jego będę strzygła, podczas gdy jej zrobię białe pasemka w siwych włosach. Tilly dwa razy do roku przychodzi na trwałą, żeby jej małe loczki dłużej się trzymały. Przez wiele lat proponowałam, żeby nosiła włosy proste i lekko ufarbowane, jednak do tej pory odmawiała. Najpierw zdecydowała się tylko na mycie i modelowanie, a teraz chce coś wyjątkowego. Parę białych pasemek w stalowej szarości może wyglądać nawet atrakcyjnie.

Rzecz jasna umówiła się na wizytę z żądyz sensacji. Chce zdobyć informacje i podzielić się nimi później ze swoim kółkiem różańcowym jak herbatnikami przy kawie. Ten młody człowiek, który nocował u Angeliki, podobno pracuje u niej w salonie. To istna Sodoma i Gomora, doprawdy!

Dlatego według mnie dobrze się składa, że Ricky jest akurat poza wyspą. Jego poczucie humoru w delikatnych sytuacjach działa mi na nerwy.

Obdarty Steven jest muzykiem o niechlubnej przeszłości w zespole Lokaje z Lokrume. Jego organizm wchłonał podobno więcej narkotyków niż można

znaleźć w przeciętnej środkowoszwedzkiej aptece, i to zabiło część jego mózgu odpowiadającą za uczuciowość. Według jego własnych słów ma dziesiątkę dzieci z pół tuzinem kobiet i przez cieplejszą połowę roku sypia pod stosem gazet na parkowej ławce w Almedalen. Kiedy pozdrawia swoich kompanów, wyrzuca przed siebie prawe ramię, jakby wyciągał pistolet, unosi lewą nogę pod kątem prostym w stosunku do ciała i popierduje.

— Hotel Zacisze! — wydziera się też dzisiaj, powstrzymuje się jednak przed odpaleniem powitalnego sygnału. Tilly siedzi już na fotelu. Spogląda przerażona na niego i chwyta się za szyję. Proszę go uprzejmie, aby zajął miejsce i poczekał. Dla uczczenia tego dnia włożył nowy T-shirt z napisem: „Kto to, do cholery, jest umiar i dlaczego mam z nim pić?”. Wydaje się ociupinę lepszy niż ten, który miał na sobie ostatnio: przedstawiał dwie kopulujące świnie, a poniżej widniał tekst: *Makin' bacon*. Przygląda się z zaciekawieniem, kiedy malując szarą wełnę Tilly.

— Opowiadałem już o babci, która chciała kupić warzywa na rynku? — Śmieje się tak szeroko, że w kącikach ust pokazują się dwie czarne strużki snusu.

— Nie, opowiedz — zachęcam go, bo wiem, co zaraz nastąpi. Słyszałam tę historię już z siedemnaście razy, ale Tilly jeszcze nigdy.

— No więc babcia podeszła do dziadka, który miał stragan na rynku, i podniosła do góry marchew. Piękny, duży okaz. „Podoba się pani? — spytał. — Taak, mój mąż ma takiego samego... — wyjaśniła. — Naprawdę? — Dziadek był pod wrażeniem. — Tak samo dużego? — Nie — odrzekła babcia.... — Tak samo zafajdanego”. Obdarty Steven śmieje się tak serdecznie, że aż prychnął snusem.

Tilly udaje, że jej w ogóle nie ma.

— Tak samo zafajdanego... — Steven powtarza ostatnie zdanie i pochyla się do przodu, żeby sprawdzić, czy Tilly chwyciła, na czym polega dowcip.

Aby uniknąć niezręcznej sytuacji, moja sąsiadka sięga do stosu czasopism. Bierze do ręki okazały numer „Råd och Rön” i zaczyna go kartkować z wyraźnym rozdrażnieniem. Widzę, że między stronami leży jakaś kartka. W pierwszej chwili nie domyślam się, co to jest, w ogóle nie zawracam sobie tym głowy. Potem słyszę, jak Tilly dyszy, i dopiero wtedy uzmysławiam sobie, na co ona patrzy. Na dowód, że mój salon jest naprawdę Sodomą i Gomorą, tak jak ona podejrzewała. Z magazynu wypada na podłogę mój odręczny szkic kobiecej anatomii, który tak pieczołowicie narysowałam dla Konrada.

Obdarty Steven pieje z zachwyty.

— O, jaka ładna mała cipka! A słyszałyście to? Kiedyś jeden gość mieszkał w hotelu. Hotel był bardzo akustyczny i przez ścianę słyszał, jak ktoś powiedział: „Czyja to może być cipka?”. I po chwili znowu: „Czyja to może być cipka?”. Gość dostał szału, bo nie mógł zasnąć. Kiedy sześćdziesiąty drugi raz z rzędu usłyszał, jak ktoś mówi: „Czyja to może być cipka?”, zabębnił w ścianę i wrzasnął: „No powiedzcie w końcu, czyja jest ta cipka, żeby można było zasnąć!”. — Steven odwraca się do Tilly, spodziewając się aplauzu, jednak nic z tego. Trąca ją więc w bok, jakby chciał, żeby w ten sposób łatwiej załapała.

— Powiedz mu, żeby natychmiast przestał! — Tilly zrywa z siebie pelerynkę, gotowa uciec z salonu, kiedy nagle uprzytamnia sobie, że ma na włosach farbę. Nie może ani wybiec na rynek i się zbłąźnić, ani zostać w Sodomie i Gomorze. Czuję, jak bulgocze we mnie podłość i wydobywa się stłumionym, dychawicznym śmiechem.

PRZEDSIĘBIORCY POGRZEBOWI WYŁANIAJĄCY SIĘ Z TRZĘSAWISKA MJÖLHATTE

Przed Wielkim Czwartkiem robię w oknie salonu wychodzącym na rynek dekorację ze słomy i jajek wielkanocnych. Do skrzynki z metalowej siatki wstawiłam ozdobnego koguta z wielobarwnymi piórami, a dookoła niego drepczą zadowolone żółte kurczaczki. W słomę wetknęłam w kilku wazonikach bukiety narcyzów, krokusów, fioletowego bzu i mimozy. Uwielbiam mimozę. Nad całym tym bogactwem udrapowałam żółtą tiulową firankę. Potem zamykam salon, otwieram drzwi i wychodzę w ciepłe światło wieczoru spowijające rynek.

Idę Adelskatan i po drodze podziwiam w oknach wystawowych piękne dekoracje zrobione przez właścicieli sklepów przed jutrzejszą wielkoczwartkową paradą. W zeszłym roku 3288 przebranych dzieci przemaszerowało od Öster Centrum do Almedalen, gdzie każde znalazło swoje jajko. W tym roku przypada jubileusz czterdziestolecia, dlatego postanowiono, że orszak odbije też na rynek.

Mam poczucie, że wiosna domaga się ode mnie jakiejś zmiany. Na wystawach u Sióstr Malmgren, w Indiska i u Julii Haltgren wiszą wiosenne sukienki w jasnych kolorach. Jak tylko spłacę dług swoim siostram, zafunduję sobie coś nowego do ubrania. Patrzę z rozmarzeniem na krótką białą sukienkę z angielskim haftem, bufiastymi rękawkami, lekko udrapowaną na biuście. Na metce widzę Angelika, i nic poza tym.

Idąc dalej do domu, myślę o nim, o mężczyźnie z restauracji. O jego

pogodnych brązowych oczach i przelotnym uśmiechu. Jakby przez głowę przemknęła mu jakaś wesoła myśl. Wystarczy zaledwie kilka drobnych niuansów w twarzy, aby jej wyraz uległ zmianie. Przypisałam jego uśmiechowi dosyć bogatą treść. *Widzę cię, jesteś piękna. Chciałbym wiedzieć, kim jesteś.*

Pałają mi policzki, kiedy myślę, co ja jemu mogłam zasygnalizować. Przecież w ogóle go nie znam. Nie rozmawialiśmy ze sobą, nie zamieniliśmy ani jednego słowa, a mimo to chorobliwie pragnę go znowu zobaczyć. W długich monologach opowiadam o swoim życiu, a on słucha ze zrozumieniem i serdecznością. Czy to nie jest najgorszy rodzaj samooszukiwania siebie, jeśli nadaje się komuś cechy i przypisuje uczucia, które temu komuś są prawdopodobnie obce? No to dlaczego stał przed moim salonem i patrzył na mnie? Czy to przypadek, że znalazł się w tym miejscu albo że pytał kelnera z Lindgården, kim jestem, żeby móc mnie odszukać? A gdyby tak wszedł do salonu i poprosił o ostrzyżenie? Co bym wtedy zrobiła? Upuściłabym nożyczki i zapomniała języka w gębie ze zdenerwowania?

Mijąc po drodze Lindgården, nie mogę się powstrzymać i zaglądam do środka. Krzesło, na którym on siedział, jest puste, a przy moim stoliku pod morwą kolację je jakaś starsza para. Czas nie stoi w miejscu, życie płynie dalej. Dzisiaj staje się wczoraj i stracone spojrzenia już nie wrócą. Miałam nadzieję, że go tam zastanę. Zawiedziona ruszam dalej w kierunku Fiskargränd.

Po dotarciu do domu w pierwszej kolejności sprawdzam pocztę. Formularza podatkowego, na który czekam, wciąż nie ma, ale w skrzynce leży list z Kasy Ubezpieczeniowej do niejakiego Ludviga Svenssona. Adres się zgadza, tylko kto to jest Ludvig Svensson? Przekreślam adres, stawiam na kopercie kilka znaków zapytania i postanawiam odesłać list później.

W DOMU wszystko wygląda jak zwykle. Nic się w nim nie zmieniło od czasu Joakima. Ani jeden detal, jakbym niczego nie naruszając, mogła zatrzymać go jeszcze trochę. Biurko stoi nietknięte, jego notes i długopis leżą obok komputera, pęk kluczy i kalendarz — w górnej szufladzie. Segregatory stoją równiutko na półce powyżej, a książki ustawione w alfabetycznym porządku zajmują połowę jego gabinetu. Przesuwam ręką po oparciu krzesła, na którym zwykle siedział. Od czasu do czasu siadają na nim moje siostry. Przez wzgląd na mnie Vera i Ulrika nigdy nie wspominają spontanicznie o Joakimie. W naszej rodzinie zawsze w ten sposób radzimy sobie z żałobą i nieszczęściami, pomagamy sobie nawzajem dzielnie przetrwać. Tak wzięła się w garść moja babcia, kiedy umarł dziadek, i mama, kiedy umarł tata. Zaciskamy zęby i żyjemy dalej.

Idę na górę do sypialni. Ubrania Joakima wiszą nadal w jego szafie.

Nagle mam wrażenie, że nie mogę oddychać. Przecież Joakima tutaj nie ma. On nigdy już nie wróci.

Nieoczekiwanie uświadamiam sobie, że pora na wiosenne porządki. Pora posprzątać. Zacząć od nowa.

Z pieczołowitością składam ubranie za ubraniami i chowam do dużej papierowej torby. Oddam wszystko do Czerwonego Krzyża. I poproszę, by wysłali to do innego miasta, żebym nie natknęła się na ulicy na nikogo w rzeczach Joakima.

Po opróżnieniu jednej szafy ogarnia mnie nieopisane zmęczenie, zupełnie jakbym wzięła tabletki nasenne. Nie daję rady nawet odgrzać sobie nic do jedzenia ani umyć zębów, tylko wślizguję się do łóżka w ubraniu. Rozbiore się potem, najpierw trochę odpocznę, ale ciało wydaje się ciężkie, dziwnie ciężkie i otępiałe.

KIEDY SIĘ BUDZĘ, jest już Wielki Czwartek rano. As Kier mruczy i liże mnie po twarzy, a ja patrzę na zegarek i widzę, że przespałam równe

czternaście godzin. Ubranie mam wymięte, prześcieradło jest pościągane i wilgotne od potu. A tyle miałam zrobić wczoraj wieczorem. Upiec bułeczki na Wielki Piątek. Jutro są moje urodziny, w piątek trzynastego, jakby nie było innych dni. Przyjadą moje siostry, żeby mnie uczcić.

Chociaż dochodzi dopiero wpół do dziewiątej, jest już słonecznie i ciepło. Po szybkim prysznicu robię sobie śniadanie i siadam na zewnątrz między małą szklarnią a grządką z ziołami, w wyłożonej kamieniami części ogrodu. Jak tylko puścił mróz, od razu zasadziłam ziemniaki — Rocket, wczesną odmianę, żeby można najeść się tych delikatesów na Sobótkę z matiasami, śmietaną i pajem zapiekany z masą jajeczną i serem. Widzę, że na grządce z ziołami wschodzi już mięta, także oregano i melisa cytrynowa, które zasadziłam w doniczkach, żeby nie rozsiały się po całym ogródku.

Mój dom leży blisko ogrodu botanicznego. W ładne letnie wieczory chodzę do niego często, żeby usiąść sobie w rosarium i poczytać książkę albo po prostu upajać się zapachami ogrodu warzywnego, który rozciąga się aż do pawilonu letniego na Wzgórzu Świątynnym. Czasami wychodzę przez Bramę Miłości i idę nadbrzeżną promenadą do szpitala, a potem wracam, żeby obejrzeć zachód słońca, na chwilę siadam na łące i patrzę na morze. Jestem taka wdzięczna, że to właśnie mnie przypadł w udziale nasz dom rodzinny, mimo że oznaczało to siedem naprawdę ciężkich lat pod względem finansowym.

Wychodząc, zdejmuję zimową kurtkę Joakima, która wciąż wisi na wieszaku, i dokładam ją do pozostałych rzeczy przeznaczonych dla Czerwonego Krzyża. Może trzeba by trochę przemeblować, zastanawiam się i nieoczekiwanie czuję się zadowolona. Wkładam rękę do skrzynki na listy, żeby wziąć ze sobą do pracy gazetę. Leżą w niej dwie. Jedna jest dla Ludviga Svenssona, druga dla mnie, jak wynika z nazwisk odbiorców. Ale kto to jest ten Ludvig Svensson?

PRZED LUNCHEM mam ostrzyc dwie wielkanocne wiedźmy i Juliusa Dubbego, przedsiębiorcę pogrzebowego, który pomógł mi we wszystkich papierkowych sprawach, gdy umarł Joakim. Kiedy w Szwecji ktoś umiera, do tradycji należy, aby zasypać tych, którzy zostają, formularzami i blankietami. Stół w kuchni uginał się od dokumentów z różnych urzędów, firmy ubezpieczeniowej i od ofert sprzedawców nagrobków, a ja ryczałam i próbowałam to wszystko jakoś ogarnąć. Mój wybawiciel miał na imię Julius. Bardzo łatwo jest mieć niesprawiedliwy i pełen uprzedzeń osąd na temat przedsiębiorców pogrzebowych. Według Ricky'ego oni wyłaniają się z trzęsawiska Mjölhatte w ponure listopadowe noce, kiedy szaleją sztormowe wiatry. Ale Julius nie jest bynajmniej mrocznym typem. Jest barwny i pogodny. Można by pomyśleć, że wręcz do przesady, kiedy zrzuca z nóg chodaki i odsłania skarpetki w paski z jednym palcem. Nosi czerwone dżinsy i czerwony T-shirt z napisem *I put the fun in funeral*. Julius chce mieć znowu nową fryzurę.

— Do diabła z tym, już nikt nie robi sobie fryzury w domu! — rzuca. Julius ma ze sobą zdjęcie austriackiego pianisty, który wygląda jak na wpół obłąkany. Krótko obcięty z tyłu, ale z długą grzywą, żeby móc nią rzucać, kiedy wymachuje głową na koncertach, i zaczesać do tyłu, gdy profesja wymaga stonowanego wizerunku. Julius jest wysoki jak tyczka do chmielu, dlatego muszę opuścić fotel do samego dołu. Ma brązowe oczy i zbędnie długie rzęsy jak na mężczyznę. To niesprawiedliwe. Podcinam ufarbowaną na brązowo grzywkę, która kiedyś była cedrowego koloru, gdy do środka wchodzi posłaniec z kwiatami. W tym samym momencie pojawia się Ricky i odbiera bukiet. Domyślałam się, że wczoraj zdecydował się wrócić z targów samolotem.

— Dostałaś kwiaty, Angeliko. — Unosi i opuszcza brwi w jednoznaczny sposób. Kiedy zaczyna rozrywać papier, protestuję.

— Ja to potem zrobię, Ricky. Połóż je na razie na szafce. — Czuję, że się czerwienię, kiedy obrzuca mnie szczególnym spojrzeniem. Co on sobie wyobraża? Że te kwiaty są od potajemnego kochanka? A jeśli są od tamtego gościa z Lindgården? Od tej myśli kręci mi się w głowie, jestem szczęśliwa i chichoczę w głębi ducha.

— Myślałam, że poczekaś na odpowiedź na list z butelki — mówi z udawanym nadęśaniem. — Powiedziałaś: los. Niech los zadecyduje.

— To pewnie od ciotki Lilian, jutro mam urodziny — kłamię. W połowie to kłamstwo, a w połowie prawda, dokładnie rzecz biorąc. Ciotka Lilian nie przysłała mi kwiatów. Bo nie ma jej wśród żywych od trzydziestu lat. Ale po prostu chcę mieć już spokój. Gdyby bukiet pochodził od niego, byłaby to bardzo delikatna i drażliwa sprawa.

Proszę Juliusa, aby pochylił się do przodu, i golę mu szyję maszynką, pytając jednocześnie, co u niego w pracy. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, powiedział, że pracuje jako instrumentariusz w szpitalu, ale że nie nadaje się do tego. Twierdził, że robił się za bardzo głodny, kiedy widział te świeże połączenie mięsa i zgrabne filety. Przez moment wzięłam to rzeczywiście na serio, ale potem się zorientowałam, że to żart. W czasie wolnym Julius jest wielkim jajcarzem. W kalendarzu przypisałam go do kategorii S3. Jest singlem, i to całkiem trudnym do dopasowania z powodu swoich dziwnych żartów i ogromnego zainteresowania starymi samochodami. Jest posiadaczem bordowego volvo PV z 1951 z tak zwaną kukułką na dachu, czyli lampą wskazującą zmianę kierunku jazdy. To auto przechodzi w jego rodzinie z pokolenia na pokolenie: z dziadka na ojca, a potem na syna. Julius poświęca cały swój wolny czas i całe serce starej Betty, jak je nazywa.

— W pracy czekamy na lepszy czas — odpowiada na moje pytanie o sytuację w zakładzie pogrzebowym. — Ludzie zazwyczaj umierają w tej zimniejszej połowie roku, a najczęściej pierwszego kwietnia, potem już jest

lżej.

— Pierwszego kwietnia, naprawdę?

— Nie, to oczywiście żart, ale niektórym faktycznie się to zdarza. Umierają pierwszego kwietnia. I według nas powinni dostawać za to jakąś premię, jeśli potrafią wytrwać we własnej skórze do chwili, dopóki mróz nie puści. — Wydaje się, że jest mu całkiem obojętne, czy słuchając tego, nie czuję się niezręcznie. Ale on jest skrzywiony zawodowo i oswojony z trupami, jak sam zwykł mawiać.

— Kto potrafi wytrwać do chwili, dopóki mróz nie puści? — pyta Ricky, który właśnie wyszedł z kuchni. Nie jestem wcale przekonana, czy zostawił mój bukiet w spokoju.

— Ci, co skonali, odeszli — umarłaki. Ukochane dziecko ma wiele imion. Ci, co opuścili ten świat i zamknęli powieki. Ci, co przywdziali drewnianą jesionkę i wyciągnęli kopyta.

— Zawsze pracowałeś w zakładzie pogrzebowym? — Ricky nie słyszał jego wyznania o krwawych befsztykach.

— Kształciłem się też na pastora, ale nie mogłem kontynuować. W pierwszym miejscu pracy stawiali bezzasadne wymagania. Oczekiwali wiary w Boga. Twierdzili, że to podstawa. Muszę przyznać, że przeżyłem spore zaskoczenie.

Julius nagle przybiera poważny wyraz twarzy.

— Żona mnie opuściła. Nie wytrzymała, kiedy ćwiczyłem kawałki, które pastor śpiewa w kościele solo. Nawet sobie nie wyobrażacie co to za akustyka. Nigdy nie czułem się tak podniośle i taki przepełniony energią. Mój głos wypełniał naszą wyłożoną kafelkami łazienkę z taką samą mocą jak pod sklepieniem świątyni. *Introit, Kyrie, Gloria, Laudamus, Credo*. Kiedy ćwiczyłem *Agnus Dei*, poddała się. No i teraz jestem sam, otwarty na wszelkie propozycje. Angeliko, co robisz dziś wieczorem? Może dałabyś się

zaprosić na przejażdżkę do Högklint ¹ starą Bettą?

— Dziś wieczorem Angelika leci na Blåkulla z innymi wiedźmami — bąka Ricky.

Stoi za moimi plecami i odpowiada za mnie. Uważa, że będę wierna pomysłowi listu w butelce. Że niczym duch uwięziony w butelce będę tkwić zamknięta, dopóki nie pojawi się ten właściwy i mnie nie uwolni. Łypię na niego. Nikt nie będzie decydował, z kim mam się spotkać albo nie spotkać. Julius wygląda nawet całkiem nieźle, ale wystarczy, że otworzy usta i wszystko traci.

— Kto by wytrzymał te jego żarty — mówi Ricky po wyjściu Juliusa.

— To staje się jasne dopiero później. Prowadzimy naszych klientów do źródła, ale nie możemy się za nich napić.

Idę do kuchni i biorę się za rozpakowywanie kwiatów. Z delikatnego papieru wydaję gigantyczny bukiet czerwonych róż. Od razu uderza mnie ich zapach. Między liście wetknięta jest mała koperta. Przymykam powieki, rozmarzam się i czuję ciarki na plecach. Otwieram ją gorączkowo, zdając sobie sprawę, że irytujący rumieniec rozlewa się po mojej szyi. Wyjmuję kartkę, niemal nie będąc w stanie oddychać z napięcia. Czytam.

— Od kogo są? — Ricky wkracza za kotarę. — Ale dziwnie wyglądasz! No powiedz wreszcie! Od kogo te kwiaty?

Pokazuję mu bilecik. Widnieje na nim jedynie: „Dzięki!”. Podpisali: Lisbeth i Konrad.

— Kto to jest?

— Zadowoleni klienci — uśmiecham się i przypominam sobie rysunek znalezony przez Tilly. Ricky nie musi wiedzieć wszystkiego.

1. Punkt widokowy na urwistej skale, ok. 7 km od Visby. [\[wróć\]](#)

W JEGO RĘKACH LEŻAŁO NAGLE COŚ OŚLIZŁEGO...

— Czego się dowiedziałeś na targach fryzjerskich? — pytam Ricky'ego, kiedy w salonie nikogo już nie ma. Nie był zachwycony pomysłem, żeby na nie jechać; podejrzewam, że z powodu kogoś, kto został w domu. Mam jednak nadzieję, że powie mi coś ciekawego, kiedy siadamy razem do lunchu. Dziś jest ulubione danie z Fiskargränd — wieprzowina z opiekаныmi ziemniakami. Ogromny bukiet róż zasłania mi jego twarz, toteż przesuwam go, żeby lepiej widzieć mojego współpracownika.

— Jakiś szczególny kolor będzie modny na wiosnę?

Ricky zastanawia się przez dłuższą chwilę, zanim się odzywa.

— Żaden konkretny.

— Co roku jest jakiś. Jak mogłeś to przeoczyć! — Odkładam nóż i widelec, nie mogąc się nadziwić. — Kolor roku to temat całych targów!

Ricky spogląda na mnie niepewnie.

— Na przykład lila.

— Ale jaki lila, przecież istnieje cała masa odcieni. I jakie fryzury? Jakie preparaty do włosów? Przywiozłeś jakieś foldery?

— Nie za bardzo.

— Nie masz żadnych materiałów? Przecież zapisałam cię na kilka seminariów. — Ricky wygląda na coraz bardziej zakłopotanego, a ja zaczynam odnosić nieprzyjemne, ale coraz silniejsze wrażenie, że coś jest nie tak. — Czy ty w ogóle byłeś na tych targach?

— W pewnym sensie...

— Nie można być na targach fryzjerskich w pewnym sensie — albo wsiadłeś na prom, pojechałeś i tam byłeś, albo nie byłeś. Spóźniłeś się na prom? Upiłeś się na nim? Poznałeś jakąś dziewczynę, zanim dopłynąłeś na miejsce?

— Byłem całkiem trzeźwy, przysięgam. Po poniedziałkowym potopie mój żołądek jest jak tatar.

— No to skoro nie byłeś pijany, musisz wiedzieć, gdzie się podziewałeś!

Podniosłam głos, coraz bardziej zirytowana tym, że nie słyszę żadnej sensownej odpowiedzi. Widzę, że Ricky bawi się sitkiem do zaparzania herbaty, więc zabieram mu je z rąk, zanim zdarzy się nieszczęście.

— Tylko spróbuj!

— Stała się pewna rzecz. — Wygląda na to, że skapitulował.

— Niby co? Uziemił cię nalot bombowy z wielkim biustem i nie jesteś w stanie ponieść konsekwencji?

Właśnie coś takiego zdarzyło się w pierwszym tygodniu pracy Ricky'ego u mnie. Któregoś dnia przyszedł cztery godziny spóźniony, był głodny, zmaltretowany i nieobecny. Po chwili zaczął opowiadać o jakiejś kobiecie, którą poznał poprzedniego wieczoru... Odesłałam go do domu, żeby się przespał, potrącając mu odpowiednio z pensji. W tym stanie do niczego się nie nadawał. Obiecał uroczyście, że to nigdy się nie powtórzy.

— Nie, stało się coś zupełnie innego.

— Posłuchaj, Ricky. Ja jestem twoją pracodawczynią, a nie matką. Jeśli chcesz zachować tę robotę, przydałoby ci się mieć piekielnie dobre usprawiedliwienie swojej nieobecności. Więc może byś tak powiedział prawdę?

— Nie ma sensu, żebym ci mówił, bo i tak mi nie uwierzysz. Słowo. Po prostu nie uwierzysz.

Patrzy na mnie z poważną miną. Jego dłonie zostawiają wilgotne ślady na

blacie stołu.

Przyglądam się wnikliwie jego twarzy, żeby się przekonać, czy dopiero w tej chwili nie wymyśla jakiejś historii. Tak ckliwej i ściskającej za serce, że zaraz spuszczę z tonu i zacznę prosić o wybaczenie, że go zrugalam. On byłby do tego zdolny.

— No, słucham.

Ricky wypełnia policzki powietrzem, a potem wypuszcza je równomiernym strumieniem, zastanawiając się jednocześnie, jak ma to sformułować.

— Wszystko było zapakowane i gotowe, brat miał przyjechać po mnie swoją taksówką i zawieźć na prom. Z Irisdalsgatan to daleko na piechotę. Kiedy minęliśmy komendę policji, dostał pilne wezwanie. Jakaś kobieta zaczynała rodzić i musiała natychmiast jechać do szpitala. Nie było żadnego innego wolnego wozu, więc brat zawrócił. A ja siedziałem na tylnym siedzeniu jak przerażony chomik.

— Twój starszy brat? — Nie zdążyłam go jeszcze poznać, ale sądząc po tym, co opowiadał Ricky, jest jego całkowitym przeciwieństwem: porządny, życiowy i ambitny. Człowiek opatrnościowy, który zawsze wkracza do akcji, żeby uratować młodszego brata z opresji. Razem ze swoją partnerką przeniósł się niedawno na wyspę.

— Kiedy dotarliśmy do Kräklingbo, kobieta leżała na podłodze w kuchni i rodziła na całego. Magnus wyjął czyste ręczniki, umył ręce i pomógł dzieciakowi przyjść na świat. „Oddychaj, oddychaj, a potem przyj” — powtarzał i plums — w jego rękach leżało nagle coś oślizłego.

— I ja mam w to uwierzyć? — W środku skręcam się ze śmiechu. — Szczerze, Ricky, mogłeś wymyślić coś lepszego!

— Brat odbierał cielaki i żrebaki. On to potrafi. Jak mi nie wierzysz, za jakiś tydzień możesz sprawdzić ogłoszenie w gazecie — mówi, po czym

wychodzi do magazynku z perukami. Uwielbia tam siedzieć i się malować. Poza kursem tańca na rurze zaczął się też szkolić na makijażystę. I jest w tym coraz lepszy, a kiedy przepoczwarza się w kobietę, jest bardziej kobiecy ode mnie.

GDY WRACAM do salonu, natykam się na Jessikę, która właśnie przyszła po segregator z dokumentami finansowymi. Dziś wygląda na trochę mniej bezradną niż poprzedniego dnia. Trzyma się prosto i posyła mi ostrożny uśmiech. Luźne, workowate spodnie ustąpiły miejsca dobrze dopasowanym džinsom, ale rozwleczone sweter ma nadal na sobie.

— Serwus! — rzuca do niej Ricky w przelocie i zdejmuję z głowy perukę. A więc nie jest już kompletnie niewidzialna. Wyjaśniam, że Jessika została zatrudniona na godziny, a on spogląda na nią z pewną dozą dezaprobaty, jakby miał trzy lata i właśnie usłyszał, że urodziła mu się mała siostrzyczka. Możesz być spokojny, Ricky, ona nie zje ci twojej pensji.

— Cześć. — Jessika chowa się w swoim wielkim swetrze, wykonując poddańczy gest. Jej uśmiech gaśnie. Ale nie z powodu Ricky'ego. W drzwiach pojawiają się trzy dziewczyny w wieku około dwudziestu lat. Najwyższą z nich, Alexandrę, znam z biblioteki — to najbardziej wystrzałowa laska ze wszystkich koleżanek z klasy Jessiki. Spotkałyśmy się kilka razy. Wystukuje coś od niechcenia na swoim iPhone. Torebka od Gucciego na sto procent jest prawdziwa. Włosy to istna kaskada blond loków, a szmaragdowozielona wiosenna kurtka kończy się dokładnie poniżej pośladków, gdzie zaczynają się czarne szorty i cienkie rajstopy. Buty, też szmaragdowozielone, doskonale pasują do kurtki i mają co najmniej dziesięciocentymetrowe obcasy. Duże zielone oczy są mocno umalowane, a spojrzenie lekko nieobecne, gdy najpierw spogląda na Ricky'ego, a potem na mnie.

— Alexandra. Może mnie pamiętasz z czasów, gdy byłam mała. — Podaje

rękę i mocno mi ściska dłoń. — Chcę być twoją panną młodą na wybiegu. Moja mama uważa, że ty jesteś najlepsza. Podobno będzie otwartyasting dla tych, co chcą być modelkami, a ja chcę być modelką.

Alexandra ma minę, która mówi, że powinnam paść na kolana i ucałować jej stopy za to, że w swojej łaskawości wybrała mnie jako trampolinę w swojej karierze. Jessika zniknęła za kotarą oddzielającą kącik socjalny. Ale na pewno słyszała głos koleżanki, wysoki i emanujący pewnością siebie. Pozostałe młode damy puchną z podziwu, kiedy patrzą na swoją władczynię.

— Ale ja już mam modelkę.

— To się da zmienić, mam nadzieję. — Alexandra wybucha śmiechem, próbując mnie nim zarazić, jestem jednak odporna. Jej kumpelki rechoczą histerycznie, a Ricky, ten zdrajca, także rzy i rysuje w powietrzu znak zapytania. On dobrze wie, że nie wybrałam jeszcze żadnej modelki, i oczywiście kompletnie stracił głowę dla Alexandry.

— W tym roku znalazłam idealną modelkę na pannę młodą.

— Kogo? — Oczy Alexandry ciskają błyskawice i teraz robią się ciemnozielone.

Uśmiecham się do niej. Posyłam jej swój najbardziej promienny uśmiech.

— To będzie niespodzianka.

— *UN FUCKING BELIEVABLE!* — mówi Ricky, kiedy dziewczyny opuściły już salon. Odczytuję to jako podanie w wątpliwość mojej decyzji oraz jako wyraz jego oczarowania młodą panną Alexandrą na równi z innymi. Znam ją od czasu, kiedy jeszcze nie odrosła od ziemi, a ja pracowałam na etacie. Dostawała wszystko, co chciała, od swojej mamy, a jeśli nie udało jej się czegoś od niej wymóc, rzucała się na podłogę i wrzeszczała jak opętana. Ja jestem odporna.

— Piękno pochodzi z wnętrza — stwierdzam stanowczo, kierując te słowa do Ricky'ego, gdy Jessika wychyla się z kryjówki. — To jest dziewczyna,

którą chcę mieć jako modelkę. Pan pozwoli: Jessika Gardell.

— Ale ja nie chcę. To nie dla mnie — bąka tak cicho, że prawie jej nie słyszę.

Błagam ją:

— Zastanów się jeszcze! Nie chcę mieć malowanej lali jak Alexandra. Zależy mi na kimś z osobowością i stylem. Zgódź się.

— Nie, Angeliko. Nie nadaję się jako ilustracja bajki o Kopciuszku. Przepraszam, nie chcę być niewdzięczna, ale to naprawdę nie dla mnie. Ludzie próbowali już mnie zmienić, żeby wepchnąć w jakieś schematy. W moim przypadku to nie działa. Kopciuszek ma tylko jeden pantofelek, a ja potrzebuję pary butów, żeby stać mocno na ziemi. Gdybym przez cały czas się odmieniała, bo inni uważają, że tak powinnam, zatraciłabym siebie.

— Dobrze powiedziane! — Po raz pierwszy słyszę, jak Jessika mówi z głębi serca, i to mnie cieszy. To pokazuje, że ona mi ufa i czuje się bezpieczna.

RADY NORN

Idąc do domu w ten olśniewająco piękny Wielki Czwartek, myślę o Jessice. Wystarczyło jedno jedyne spojrzenie Alexandry, aby ta dziewczyna skurczyła się do mokrej plamy, i bardzo mnie to boli. Czy jest w niej chociaż krztyna chęci rewanżu, czy też Jessika nie pragnie niczego innego, jak tylko zniknąć?

Dobrze jej zrobi, kiedy wyjedzie z wyspy i zacznie studiować w Wyższej Szkole Handlowej. W całkiem nowym środowisku, gdzie nikt nikogo nie zna, łatwiej jest stworzyć sobie pozycję. W zetknięciu z nowymi ludźmi, gdzie nikt nie żywi żadnych uprzedzeń, każdy ma szansę wybrać, kim chce być. Może się odważyć wypróbować nowe słowa i nowe gesty oraz sprawdzić, jak zostaną przyjęte. Jestem przekonana, że ona obserwowała dziewczyny mające wiarę w siebie i wie, jak powinny wyglądać odpowiedzi, reakcje, mowa ciała i ton głosu. Ci, których się odrzuca, nierzadko stają się wnikliwymi obserwatorami i potrafią doskonale naśladować. Ale najlepszą drogą prowadzącą do pewności siebie jest zapomnienie się i wzniesienie w sobie ognia dla czegoś innego.

Niewiele rzeczy mnie tak wkurza jak mobbing. Obrażenia fizyczne z czasem się goją, ale rany na duszy pozostają niczym skaza do końca życia, rodzą lęk przed krytyką i odrzuceniem. W Szwecji mamy obowiązek szkolny. I jeśli nawet jakieś dziecko jest prześladowane, to i tak musi być wśród swoich prześladowców. Jak długo Jessika była zmuszona znosić coś takiego, nie mam pojęcia, lecz każdy element mowy jej ciała wskazuje na długotrwałe upokarzanie. Zaciskam pięści tak mocno, że aż bieleją mi kostki.

Najchętniej wysłałabym wszystkich mobbujących do zakładu, w którym w programie zajęć byłby bieg z przeszkodami. Najlepiej pod okiem jakiegoś zacieklego autokraty o energii dorównującej myjce ciśnieniowej i potrafiącego przeprogramować ich mózg. Mój język ciała podąża za myślą i wyobrażeniem, gdy powalam owych delikwentów na ziemię fikcyjnym strumieniem wody.

Jeśli ktoś nie słyszał moich najskrytszych myśli, mógł osobliwie zinterpretować ten mój gest. Uzmysławiam to sobie, spotykając pełne zdziwienia spojrzenie Gunnara idącego drugą stroną ulicy. Ku mej wielkiej radości nie jest sam. Kiedy wstępuje do creperii mieszczącej się w starym narożnym domu nazywanym Żelazkiem, widzę, kto mu towarzyszy, i bardzo się z tego cieszę. To Lovisa Mörk z urzędu skarbowego. Gunnar ma przy sobie starodawny sprzęt nagrywający w postaci magnetofonu i osobnego mikrofonu. Prawdopodobnie chce zrobić wywiad. Zdarza się, że miewa w swoim programie jakiegoś gościa, jeśli brakuje mu uczestników do przeprowadzenia quizu. Zawsze to jakiś początek. Dałabym rok własnego życia, żeby usłyszeć, o czym rozmawiają poza nagraniem, jednak każda ciekawość ma swoje granice. Wszystko mi mówi, że Gunnar potrzebuje pomocy, aby mógł wyjść ze swojej zawodowej roli i przekroczyć próg w stronę bardziej prywatnej relacji. Lovisa jest niesprawdzonym potencjałem i być może potrafi otwierać zamknięte drzwi siłą własnych myśli.

Przy stoliku pod oknem siedzi Irma z kursu przewycięzania żałoby. Ma na sobie czarną bluzkę z wiążaną szarfą. Jej strój wygląda zdecydowanie zbyt zimowo jak na dzisiaj. Poza tym stanowi ostry kontrast w stosunku do dżersejowych piżam, jakie nosiła, kiedy widziałyśmy się po raz ostatni po pogrzebie Joakima. Sami znajomi naokoło.

W drugim końcu placu Walléra stoi Obdarty Steven i gra na trąbce w nierównym tempie. Na ziemi przed sobą położył czapkę w nadziei na jakąś

monetę, która w całości zostanie przeznaczona na działalność dobroczynną sieci monopolowej na rzecz tych, którzy pilnie potrzebują uciec od rzeczywistości pod wpływem działania taniego wina. Posyłam mu uśmiech. Steven dobrze wie, że jeśli bardzo go przycisnie, zapraszam go zwykle na lunch albo na strzyżenie z rabatem.

— Angeliko, aniele ty mój! — woła, gdy mnie spostrzeża. — Możesz sobie zażyczyć, co tylko chcesz. Moja muzyka będzie ci towarzyszyć do końca świata, ty najpiękniejsza ozdobo Visby. Dla ciebie żaden kawałek nie jest wystarczająco piękny. Co mam zagrać na twoją cześć? — Wyrzuca ręce przed siebie w tak zamaszystym geście, że niemal traci równowagę.

Oczywiście najbardziej by mi odpowiadało, gdyby był cicho, ale to by go tylko zraniło, dlatego takie życzenie nie wchodzi w rachubę. Proszę więc, aby zagrał *Gotlandzką letnią noc*, którą zna na blachę, niezależnie od stopnia odurzenia. A skoro już jest się opiewaną taką serenadą, nie wypada uciekać, toteż stoję grzecznie i słucham, dopóki on nie zakończy swojego solo na trąbce.

Żegnana całusami posyłanymi z rozmachem z daleka, ruszam w dół do Bertholdsson & Holm, aby kupić tort czekoladowy, ponieważ poprzedniego dnia nie udało mi się nic upiec. I właściwie dobrze. Bo ten tort to po prostu marzenie każdego amatora czekolady, i mam nadzieję, że zostanie dla mnie przynajmniej jeden kawałek, ponieważ tort jest naprawdę okazały. Biorę jeszcze kilka kurczaczków z marcepanu do dekoracji, a kiedy odwracam się od lady, niemal upuszczam karton na podłogę... bo naprzeciwko mnie stoi on, facet z Lindgården. Mówię „hej” i on mówi „hej”, a potem zapada cisza. On tylko stoi całkiem blisko i uśmiecha się do mnie. W ogóle się nie odzywa, a w moim mózgu dochodzi do jakiegoś zakłócenia w przekazie impulsów nerwowych do ośrodka mowy. Desperacko próbuję wymyślić coś sensownego — ja, profesjonalistka w tej dziedzinie. Jeszcze nigdy mi się nie

zdarzyło, abym nie była w stanie zagadać do swojego klienta, jednak teraz mam całkowitą pustkę w głowie. Najchętniej rzuciłabym się mu na szyję i ukryła swoją purpurową twarz w jego marynarce. Ale przecież nie robi się takich rzeczy z obcym mężczyzną, nawet jeśli w wyobraźni jest już nam całkiem bliski. I chyba właśnie dlatego czuję się straszliwie zażenowana i chcę stamtąd uciec. Nie cierpię być zażenowana. I nie chcę być zakochana. Za dużo z tym roboty. Nie potrafię jednak sterować swoimi reakcjami. On na pewno widzi, że jestem zakłopotana, i to czyni sytuację jeszcze bardziej nie do zniesienia.

— Może mógłbym zaprosić na kawę? — Jego głos jest niespodziewanie głęboki i melodyjny. Brązowe oczy iskrzą się śmiechem.

Kręcę przecząco głową i odmawiam. Chociaż cała moja istota krzyczy „tak”. Natomiast ciało przechodzi do samoobrony. Nie potrafię wyjaśnić tego w inny sposób, gdy następnego dnia opowiadam o tym zdarzeniu siostrze.

VERA I ULRIKA zjawiają się w Wielki Piątek już w porze lunchu. Bliźniaki Ulriki są u ojca. Żałuję, że nie będzie ich z nami na moich urodzinach. To są dla mnie najukochańsze stworzenia na świecie i dlatego nigdy nie odmawiam, jeśli jestem proszona, żeby się nimi zająć. Podczas obiadu, gdy delektujemy się zapiekanką ze szparagami, a potem jeżynowym parfait z likierem czereśniowym, milczę. Ale przy popołudniowej kawie i torcie nie mogę już dłużej wytrzymać i opowiadam o facecie, którego spotkałam w Lindgården, a potem jeszcze przez przypadek kilka razy.

— A co w tym było niebezpiecznego — chichocze Vera, sięgając po duży kawałek tortu, ponieważ wie, że jest dobry. — Spytał cię tylko, czy nie napiłabyś się kawy. — Kiedy dostrzega w mojej twarzy zaniepokojenie, wybucha beztróskim śmiechem w swoim stylu. Vera mogłaby przejść tak, chichrając się, przez całe życie. Ulrika jest zupełnie inna: jasnowłosa, chłodna i sceptyczna.

— Czasami kawa jest tylko kawą — stwierdza z taką rzeczowością i trzeźwością, że żałuję, iż im o tym powiedziałam. — Kiedy człowiek jest zakochany, łatwo przypisać różnym sygnałom zbyt duże znaczenie. To jest proces, który nie ma nic wspólnego z rozsądkiem. A jak ten facet się nazywa?

— Nie mam pojęcia. Nic o nim nie wiem. Może być żonaty, może być gwałcicielem, psychopatą albo jeszcze jakimś innym wariatem. Terrorystą samobójcą albo kolekcjonerem znaczków. Diabli wiedzą. Nawet nie zdążyłam zobaczyć, czy nosi obrączkę.

Vera marszczy czoło i zakłada sobie swoje miedziane włosy za uszy.

— Jeżeli jest żonaty i siedzi w restauracji, i flirtuje, to nie ma co zawracać sobie nim głowy. Dobrze znamy takich gości. — Kiwa głową ku Ulrice. Jej pierwszy mąż był z tego gatunku. Posłaliśmy go do wszystkich diabłów parę lat temu, kiedy Ulrika nakryła go z piętnastoletnią uczennicą na zapleczu szkolnej pracowni. Miał na sobie jedynie skarpetki. Vera wtedy też rechotała, w całkiem niepoprawny sposób, podczas gdy Ulrika wylewała morze łez.

— Chociaż tacy, co kokietują i próbują przygadać sobie jakąś babkę, rzadko są niebezpieczni. Najbardziej trzeba się wystrzegać facetów o niskim poczuciu wartości. — Ulrika, która próbowała zostać psychologiem, ale zrezygnowała, kiedy na świecie pojawiły się bliźniaki, przeszywa mnie rentgenowskim spojrzeniem. — Czy on wydaje się potencjalnie agresywny?

— Nie, wydaje się pogodny, sympatyczny i... zbyt pozytywny, żeby to mogło być prawdziwe. Moja podświadomość wyposażyła go w wiele cech. W mojej wyobraźni potrafi słuchać, jest inteligentny, wrażliwy i w ogóle fantastyczny...

— W twojej wyobraźni — powtarza Ulrika, która najwyraźniej straciła już zainteresowanie. Można to od razu poznać, bo w takich momentach zaczyna grzebać w torebce.

— Tak — potwierdzam. Ponieważ nie mam nic więcej do powiedzenia na ten temat, zaczynamy rozmawiać o naszej działalności. Ja opowiadam o Gunnarze i Lovisie ze skarbówki, co do których jestem dobrej myśli, i o Jonnie z gazety, która chyba jeszcze nie trafiła na właściwego, mimo flirtu z CUS-em. Wspominam o kwiatkach otrzymanych od Konrada i Lisbet, a także o Reginie i jej nieokiełznanym synku Folkem, dla którego nie udaje się znaleźć przyszywanego ojca. Napomykam też o Juliusie, barwnym przedsiębiorcy pogrzebowym, aby potem przejść do największego wydarzenia roku — Visby Fashion Weekend.

— Ulrika, nie pomogłabyś mi w znalezieniu sukni ślubnej na finał? Zostało strasznie mało czasu. Nawet nie wiem, skąd wezmę modelkę. Wiem tylko na pewno, że nie mogę wypożyczyć sukni z butików mamy Alexandry. — Wyjaśniam dlaczego.

— Chętnie ci pomogę, przecież wiesz. W zamian dostaniesz kilku moich klientów. Zgoda? — Na Ulrice zawsze można polegać. Vera by obiecała, ale potem by zapomniała, nie przejmując się wcale, że kogoś zawiodła. Głośny śmiech, a potem wow, i byłoby po sprawie.

— A coś by chciała na finał pokazu?

— Szukam czegoś wyjątkowego, zaskakującego.

— Wracając do tego, o czym mówiłyśmy przed chwilą. — Ulrika nie lubi przeskakiwać z tematu na temat, jak przed sekundą ja zrobiłam z Verą. — Według mnie, jeśli ta kobieta ze skarbówki pojawiła się sama z siebie, to nie liczy się raczej jako swatanie — mówi, patrząc surowo na Verę, która bez najmniejszych zahamowań wydłubuje z tortu marcepanowe kurczaki i odgryza im głowy. — Twój udział w tym procesie nie jest aktywny, Angeliko. I co z tego wyszło?

— Jeszcze nie wiadomo, dopiero się poznali. Razem z Rickim zapisaliśmy ich oboje na ten sam termin. A raczej trudno o nich powiedzieć, żeby byli

kokieteryjni czy choćby zainteresowani. Gunnar z Radia Gute był niesamowicie oporny i całkiem niepodatny na terapię — usiłuję się bronić.
— A co u was?

Vera parska śmiechem tak głośno, że aż podskakuje mi żołądek.

— Jestem w ciąży. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Ulrika okazuje umiarkowane zainteresowanie.

— Pewnie wmawiasz sobie, jak tyle razy wcześniej. Zawsze tak jest, jak przybędzie ci parę kilo. Ile testów ciążowych zużyłaś przez ostatnie lata tylko dlatego, że przytyłaś?

— Tym razem to nie jest *foodbaby*. I to nie Ove.

— Skończyłaś z Ovem na dobre? — Wyraźnie nie jestem na bieżąco. Życie prywatne Very jest dynamiczne.

— Ove zrobił się zbyt wygodny i leniwy. Pamiętacie, jak mi na początku zazdrościłyście tych kwiatów, które mi przynosił, i tych miłutkich kolacji przy świecach? Razem sprzątałyśmy, razem gotowaliśmy, ale potem on powoli zaczął się wykręcać z naszych wspólnych ustaleń. Specjalnie zostawał dłużej w pracy, żebym sama zdążyła posprzątać albo zabrała się do gotowania. Jego zwinięte jak kondomy skarpetki znajdowałam dosłownie wszędzie: na podłodze w sypialni, w salonie i obok kosza na brudną bieliznę. W najlepszym razie trafiał precyzyjnie do kosza, ale tak czy inaczej były zwinięte w kłębek. W końcu człowiekowi się odechciewa bez przerwy je rozsypywać. Moim zdaniem nie da się długo być z takim facetem. Życie jest za krótkie, żeby nie cieszyć się każdym dniem, a sprzątanie po Ovem niespecjalnie mnie cieszyło.

Nadażanie za Verą, kiedy mówi, przypomina łapanie w szklanekę wiosennej rzeki — przeleje się.

Ulrika jest z nas najmłodsza i często ogranicza się do potakiwania albo kręcenia głową. Wciąż jednak chce wierzyć w dozągonną miłość, mimo

wielkiego zawodu, jaki przeżyła. Patrząc od tej strony, jest prawdziwą Norną.

Vera, jako średnia, jest bardziej afirmująca i dyplomatyczna.

— No więc teraz jestem z bratem Ovego, Torgnym. Znamy się już od dawna. Dobrze rozumiem się z jego mamą i nie muszę się oswajać z nową rodziną. Mniej komplikacji.

— A co na to Ove? — pytam. — Nie wydaje mu się to trochę dziwaczne, zwłaszcza jeśli zostanie wujkiem?

Vera parska śmiechem nad filiżanką i rozpryskuje kawę na haftowany obrus.

— Przecież jesteśmy jedną wielką rodziną. — Wywód, który następuje, jest długi i pozbawiony spójności dla kogoś, kto nie jest oswojony z pozytywnym nastawieniem Very do czasu i miejsca. Ale ja dokładnie rozumiem, co ona ma na myśli.

Ulrika zamyka swoją torbę i wychodzi do ogrodu, żeby nazrywać czosnku niedźwiedziego. Przecież to jej dom rodzinny. Właśnie dlatego nigdy nie wydawał mi się do końca mój własny. Kocham siostry, jednak irytuje mnie, kiedy uważają wszystko, co w nim jest, za swoje, mimo że teraz należy do mnie.

Upewniwszy się, że Ulrika zamknęła za sobą drzwi, Vera odwraca się do mnie.

— Tym razem to na poważnie. Wydaje mi się, że naprawdę kocham Torgny'ego. Szczerze. Rozmawialiśmy już o tym, żeby zamieszkać razem. Kupić dom. Ale potrzebujemy pieniędzy na wkład. To pewne, że spłacisz cały kredyt po Wielkanocy?

— Co do ostatniego öre. Sprawdziłaś, czy jesteś w ciąży?

— Nie, ale czuję to po sobie. Tym razem na serio.

— No dobrze. — Nie mogę się powstrzymać, żeby się nie uśmiechnąć, widząc jej zmieszanie, chociaż dokładnie to samo mówi za każdym razem,

kiedy znajdzie sobie kogoś nowego. Zawsze jest na serio. Ulrika zwykle podśmiewa się z tego, dlatego nie może się dowiedzieć o kupnie domu. — Czyli powiadasz, że tym razem to na poważnie! — odzywam się po chwili. — No to gratuluje. Kiedy po świętach otworzą bank, pieniądze, które mi pożyczyłyście, będą spłacone. To był pracowity rok.

Ulrika, zerwawszy już swój bukiet, wraca do pokoju, gotowa opowiedzieć, co się stało od czasu, kiedy ostatnio się widziałyśmy. Gdy słyszę, co mówi, rozumiem ją, że miała kłopot z przyznaniem się do czegoś takiego. Zwłaszcza że ona chciałaby być perfekcyjna.

— Jedna z moich klientek trafiła na oszusta. A to ja ich skojarzyłam.

— Zdradził ją i zniknął z jakąś inną? — Vera poprawia sobie sukienkę, która w ataku śmiechu podjechała jej niemal do talii. — Nie da się zawsze sterować ich wyborami, jeśli oni walczą z własnym przeznaczeniem albo robią inne głupoty. O tym decyduje wolna wola. Czasami znajdują kogoś innego i trafiają jak kulą w płot. Możemy im serwować pyszności, ale jeśli postanowią, że wolą zjeść odgrzewaną kaszę... *fine!* Nic nie da się zrobić.

— Ale tu nie chodzi o zdradę, tylko o przestępstwo finansowe. Tove straciła swój dom. To mój błąd, powinnam była być bardziej czujna. Powinnam była to przewidzieć. — Ulrika wydaje się kompletnie zdruzgotana.

— Czyli to zwykły złodziej! — rzuca Vera.

— Jaka jest nasza odpowiedzialność, jeżeli coś pójdzie nie tak? — stawiam pytanie, po czym przez dłuższą chwilę dyskutujemy na ten temat, nie dochodząc do żadnego jednoznacznego wniosku. — Musimy zrobić, co w naszej mocy, aby jej pomóc — stwierdzam.

— Tove przyszła do mnie zaraz po śmierci swojego męża. Była przybita i nie miała ochoty dalej żyć — opowiada Ulrika. — Odzyskanie równowagi zajęło jej dobrych parę lat. Czuła się potwornie samotna. Przyjaciele, którzy

zapraszali ich oboje na wspólne kolacje, przestali się odzywać. Życzyłam jej z całego serca, aby znalazła sobie nowych i nową miłość. To była dla mnie sprawa priorytetowa. I kiedy w końcu znowu się zakochała...

— ...to on okazał się oszustem. — Vera potrzebuje sporo czasu, żeby zaskoczyć, ale jak już zaskoczy, to rozpala się niemal do czerwoności. — Powinno się go żywcem obedrzeć ze skóry! — Kara więzienia to w porównaniu z furią Very łagodny zachodni zefirek.

Na odchodnym siostronom przypomina się wreszcie, że to moje urodziny i że mają dla mnie prezent. Niespodziankę przygotowaną przy udziale Ricky'ego. Vera wręcza mi kartkę urodzinową, którą sama sfabrykowała. Ma tak tajemniczą i jednocześnie zadowoloną minę, że muszę ją lekko uszczypnąć w policzek.

— Pobyt w Naantali Spa, wyjazd w niedzielę wielkanocną — oznajmia, zanim sama zdąży otworzyć kopertę i przeżyć zaskoczenie. — Ricky odwołał twoich klientów i sam zajmie się salonem.

To była zgrabnie przeprowadzona akcja, bo niczego nie zauważyłam.

— Hurrra — mówię, ponieważ chyba nic innego nie wypada powiedzieć w dniu własnych urodzin.

SINDBAD ŻEGLARZ

Dzisiaj salon jest otwarty tylko do czternastej, ponieważ to Wielka Sobota. Nie brakuje osób, które chcą mieć piękne włosy specjalnie na święta, a ja nie mogę sobie pozwolić, żeby zrezygnować z dodatkowego dochodu. Poza tym fajnie jest robić wyjściowe fryzury.

Ricky też dziś pracuje. Potrzebuje pieniędzy, a Generał chce być fachowo ogolony. Przy wyjątkowych okazjach starszy pan chce być ogolony w salonie brzytwą. Nie mam pojęcia, dlaczego naraża się na coś takiego. Obawiam się, że nie starczyłoby mi odwagi, by pozwolić Ricky'emu jeździć po swojej twarzy ostrym nożem, nawet gdyby był na sto procent trzeźwy. A raczej wątpię, żeby w Wielki Piątek dotrzymał słowa. Wręcz przeciwnie, wygląda na to, że złamał obietnicę, którą złożył po upiciu się absyntem — zarzekał się, że już nigdy nie weźmie do ust kropli alkoholu.

Salon fryzjerski powinien mieć wśród oferowanych usług także golenie. Kiedy zatrudniałam Ricky'ego, powiedział mi, że w szkole ćwiczyli je na balonach. Ten, komu udało się to zrobić, nie wywołując pęknięcia z hukiem ani jednego balonu, przechodził dalej. Mam więc nadzieję, że nic się nie stanie.

W namydlonym wydaniu Generał wygląda jak zmarniała wersja Świętego Mikołaja. Nieodmiennym tematem rozmowy są samochody. Generał jest posiadaczem białego mercedesa 250 SL z 1967 roku. To kabriolet, którym starszy pan robi małą rundkę w każdą sobotę, a potem całą niedzielę poświęca na jego mycie i pucowanie.

— Człowiek się rozgrzewa i noga sama mocniej naciska pedał, aż damy

muszą trzymać peruki — gulgocze Generał z ożywieniem.

Ricky nie ma prawa jazdy, majsterkowanie przy samochodach to nie jego bajka. Mimo to jestem pod wrażeniem, jak umiejętnie podtrzymuje konwersację na ten temat, nie demaskując się przy tym.

Wchodzi Tove, klientka Ulriki. Ta, która została oszukana przez jakiegoś faceta ze Slite. Ma bilet na wielką wieczorną maskaradę, a ja obiecałam zrobić coś z jej włosami, które są półdługie, brązowe i proste jak druty. Tove ma bardzo blisko osadzone oczy, perkaty nos i szerokie usta, co nadaje jej trochę trollowaty, ale uroczy wygląd. Przyniosła mi świeżo złowione ryby od Ulriki, która kupuje je w porcie prosto z łodzi rybackich wracających z połowu.

— Co mogę dla ciebie zrobić? — pytam i zawiązuję jej pelerynkę, włożywszy uprzednio paczkę z rybami do lodówki.

— Nie wiem. Szczerze mówiąc, nie mam najmniejszej ochoty iść na tę maskaradę, ale Ulrika mnie namówiła. — Tove jest w większym stopniu zrezygnowana i zgnębiona niż wściekła, i to nie jest dobre. Ona musi odnaleźć w sobie złość.

— Za kogo się przebierasz?

— Ulrika zaproponowała, żebym była seryjną morderczynią, Elżbietą Batory. — Próbuję sobie wyobrazić, jak powinna wyglądać jej fryzura. Strój, który Tove przyniosła, wisi na wieszaku przy wejściu. Wygląda jak renesansowa suknia: jest ze złotego brokatu, ma szeroką spódnicę i obfite rękawy. — To była węgierska hrabina, która zamordowała sześćset dwanaście młodych kobiet, żeby kąpać się w ich krwi, bo wierzyła, że taka kąpiel ją odmładza. Czasami też piła krew, bo to podobno miało jej dawać wewnętrzną urodę. Zachował się protokół z jej procesu. Elżbieta torturowała swoje służki i prowadziła skrupulatne zapiski. Chciała być wiecznie młoda i piękna, miała obsesję na punkcie własnego wyglądu. Podobno rozmawiała

z lustrem.

— Jak zła macocha z *Królowny Śnieżki*.

— Może Disney wziął pomysł z tej historii. Chcę być okrutna i piękna. Nawet trochę zakrwawiona, jeśli masz czas, żeby mnie ucharakteryzować.

Tove z każdą minutą dorasta do swojej roli. Upinam jej wysoką fryzurę ozdobioną dużymi, stylizowanymi lokami i robię makijaż wydobywający jej gniew wobec podłości życia. Ricky płucze brzytwę i próbuje pozbyć się Generała, który utkwił nos w gazecie i nie może oderwać się od reportażu o finansście Simonie Bogrenie, który wzbogacił się na budowaniu tuneli. Proponuję mu, żeby wziął gazetę do domu, a potem wrzucił mi ją do skrzynki.

— Ten dureń chce zbudować pod morzem tunel łączący wyspę z lądem — mamrocze Generał. — Ludzie będą się topić jak szczury!

Kiedy zostajemy sami, Tove pęka i zaczyna opowiadać, jak została oszukana.

— Spotykałam go w salonie Ulriki. Zawsze płacił gotówką. Inaczej byśmy go sobie darowały. Przez trzy tygodnie żyłam w miłosnym odurzeniu. A potem facet zniknął. I wszelki ślad po nim zaginął.

— Przecież wciąż żyje i my go znajdziemy!

Tove chyba nie ma odwagi mi uwierzyć. Pociąga nosem, odrywam więc kawałek papierowego ręcznika i jej podaję.

— Kiedy zniknął, na mój adres zaczęła przychodzić poczta do niejakiego Sturego. Tydzień później na schodach pod drzwiami stał Sture z żoną, gotowy się wprowadzić. Tamten naciągacz przejął mój dom i sprzedał go im. Nie mam pojęcia, co robić.

— I nie istnieje nic, co by go obciążało?

— Nie, nie jestem w stanie w żaden sposób udowodnić, że to jego sprawka. Jedynie to, że wszystko zdarzyło się wtedy, jak on się ulotnił. Nie

wiem, co mam począć z tym Sturem i jego żoną, bo oni są tak samo przegrani i załamani jak ja. Dopóki sprawa się nie wyjaśni, mieszkamy wszyscy troje pod jednym dachem. Jest po prostu beznadziejnie. Sture ma nocną pracę, więc w dzień trzeba być cicho, żeby mógł spać, a jego żona z kolei tłucze się po całych nocach na górze, więc nie mogę zmrużyć oka.

— Domyślam się, że to musi być podwójnie bolesne, jeśli oszukuje nas ktoś, kogo kochamy.

Podczas naszej rozmowy na drugim fotelu siada Rut z policyjnego komisariatu. Ricky ma ją przeobrazić w Magikę de Czar. Zmieniła bowiem zdanie i nie chce iść na maskaradę w policyjnym mundurze. Woli nie narażać się na ryzyko, by ktoś pomyślał, że będąc na służbie, pije alkohol. Chce zostawić sobie możliwość i być niesubordynowana po północy.

— Przepraszam, ale mimo woli usłyszałam, o czym mówicie — zwraca się Rut do przyszłej Elżbiety Batory. — Zgłosiłaś to na policji?

— W banku mówią, że powinnam to zrobić, ale strasznie się wstydę, że dałam się tak nabrać. Ile trzeba mieć próżności w sobie, żeby przy tak przeciętnym wyglądzie jak mój uwierzyć, kiedy jakiś przystojniak jak z filmu zaczyna cię uwodzić i mówi, że wielbi ziemię, po której stąpasz.

— Zaslługujesz na to, żeby być kochaną, właśnie powinnas w to wierzyć. Nie pozwól sobie tego odebrać. — Ogarnia mnie wściekłość, kiedy uświadamiam sobie, jak bardzo ten typ podkopał jej poczucie własnej wartości.

— Powinnam była się domyślić, że to jest zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Nigdy nie byłam taka szczęśliwa i nie czułam się taka kochana.

— Nie czekaj i koniecznie to zgłoś! Nie tylko ty zostałaś nabita w butelkę — musisz wiedzieć, że jest was więcej. — Rut wyciąga z kieszeni kartkę. — Jak chcesz, mogę spisać zgłoszenie już teraz. Trzeba temu jakoś zaradzić! Masz może coś, co należało do niego? Szczotkę do włosów albo do zębów?

Wtedy ustalilibyśmy jego DNA i wysłali do centralnego rejestru karnego.

— Nie mam nic. Ani jednej jego rzeczy. Jakby nigdy go u mnie nie było. Jakby to był sen i jakbym obudziła się w znacznie uboższej rzeczywistości.

— Ale może dałoby się znaleźć odciski palców? Masz jakieś jego zdjęcie?
— Rut schyla się, żeby wyjąć z torebki długopis.

Widać, że Ricky się miota. Ma dzisiaj grafik pełny po brzegi. Przed zamknięciem musi jeszcze ucharakteryzować przedsiębiorcę pogrzebowego Juliusa na Różową Panterę, używając różowej peruki z uszami. Czy Różowa Pantera pasuje do tegorocznego tematu przewodniego — dobry, zły, brzydki — nie jestem pewna. Inna para ma być wystylizowana na Bonnie i Clyde'a (zło), a Tilly chce wyglądać jak Agatha Christie (dobro).

Tove pochlipując, prostuje się na fotelu.

— On nigdy nie pozwalał, żeby robić mu zdjęcia. Kiedy teraz się zastanawiam... któregoś razu okropnie się zezłościł i zabrał mi aparat, gdy próbowałam go sfotografować przy Bramie Miłości.

Ricky chrząka znacząco.

— Rut, wydaje mi się, że powinniśmy zabrać się za twoją fryzurę. — Spogląda na zegar, na co Rut poprawia się na fotelu, nie przestając spisywać zawiadomienia o przestępstwie, podczas gdy jej włosy są farbowane na kruczoczarne.

— Sporo osób na wyspie zostało okantowanych w identyczny sposób — i mężczyzn, i kobiet. Nie mamy tu do czynienia z klasycznym naciągaczem. Jak on wyglądał?

Tove koncentruje się niechętnie.

— Był wysoki i mocno zbudowany. Ciemne włosy. Brązowe oczy. Żadnych tatuaży ani znamion. Styl ubierania się — od sportowego po artystycznie niedbały. Czasami nosił garnitur.

Rut przybiera diaboliczny wyraz twarzy.

— Metoda działania jest identyczna, dlatego myślę, że to może być ta sama osoba. Dzień, w którym ten gość trafi za kratki, będzie moim szczęśliwym dniem.

Akurat kiedy kończę Elżbietę Batory, do salonu wchodzi Jessika w superkrótkiej spódniczce i bluzce w czerwone i białe cętki podkreślającej jej biust, a na nogach ma moje czarne buty na ośmiocentymetrowych obcasach. Ricky gapi się z rozdziawionymi ustami, na co ja gestem zaparzaczkę pokazuję mu, żeby je zamknął. Jessika idzie na maskaradę razem ze swoją ciotką Lovisą ze skarbówki. Mam nadzieję, że Gunnar wpadł na to, żeby też się tam wybrać, nie wspominam jednak o tym Jessice, kiedy zawijam jej włosy na grube podgrzewane wałki, żeby po chwili uczesać ją w stylu Rity Hayworth. Rezultat mogę odczytać po minie Ricky'ego.

MASKARADA ZACZYNA SIĘ tradycyjnie od powitalnego drinka w Hotelu Miejskim o godzinie dziewiętnastej. Spieszę się więc do domu, żeby doprowadzić się do porządku. Deszcz wisi w powietrzu, dlatego ostatni odcinek biegnę, aby nie przemoknąć. Za dziesięć siódma ma wstąpić po mnie Ricky. Nie chce iść sam, bo mało kogo tam zna. Ciekawie będzie zobaczyć miliardera Bruce'a Wayne'a wyłaniającego się z jaskini Batmana jako człowiek-nietoperz! Czepek był co prawda trochę za duży, ale Ricky miał go wypchać papierowym ręcznikiem.

Oprawiam ryby od Ulriki i wkładam filety do zamrażarki. Torebkę z wnętrznościami stawiam przy drzwiach wyjściowych, żeby nie zapomnieć jej zabrać. Biorę szybki prysznic. Suszę włosy i upinam je wokół głowy, zostawiając tylko na karku kilka luźnych pukli. We włosy wtykam opaskę z kocimi uszami. U optyka na rogu kupiłam parę zielonych soczewek kontaktowych o podłużnym kształcie kocich źrenic. Uporanie się z nimi zajmuje mi dłuższą chwilę, ale dzięki nim metamorfoza jest totalna.

Mam jeszcze dość czasu, żeby zrobić sobie makijaż. Wciąż w szlafroku,

siadam przy komputerze. Na Facebooku nic nowego. Bawię się i updatuję swój status na MASŁO. Po następnym kliknięciu widzę, że po prawej stronie ekranu pojawia się reklama margaryny Arla, Milda i kuracji odchudzającej. Wtedy wpisuję SIKI i GÓWNO, ryzykując, że zostanę zablokowana. No i proszę, na prawym marginesie pokazuje się reklama pieluch dla dorosłych! To czysta bezczelność. Wielki brat na mnie patrzy.

Przeglądam ciuchy w sklepie wysyłkowym i bardzo szybko dochodzę do wniosku, że tego, co bym chciała, nie ma w moim rozmiarze. Dlaczego robi się ubrania lilipuciej wielkości, skoro ludzie rzadko tak wyglądają? Na wyprzedażach też zawsze zostają same miniaturki. Potem przypomina mi się list w butelce wymyślony przez Ricky'ego. Nie umieścił na nim mojego prawdziwego adresu, tylko adres mejlowy, który sam wykombinował. Dobrze jest zachować anonimowość, dopóki człowiek nie ma pewności, czy rzeczywiście chce z kimś nawiązać kontakt.

Loguję się pod adresem angelika@boginilosu.se. Jest kilka wiadomości powitalnych od Google'a i jeden list od kogoś, kto nazywa siebie Sindbadem Żeglarzem. Przypominam sobie jak przez mgłę, że to postać z baśni z *Tysiąca i jednej nocy*.

*Przeżyłem przygód wiele
W Afryce, Europie i na Alasce,
Ale największą jest dla mnie
Ten list znaleziony we flaszcze.*

I to wszystko. Ani słowa o tym, jak znalazł butelkę po absyncie z moim listem. Z jakim znowu moim? To przecież Ricky go ułożył. Nie mogę się powstrzymać i parskam głośnym śmiechem, bo to komiczne, że ktoś się jednak odezwał. Jestem w odświeżonym nastroju i nie zastanawiając się wiele, odpowiadam:

*Wiodłam życie ograniczone i nudne,
A wyciągnięcie korka to krok wielki.
Ach, Sindbadzie, mórzu władco,
Jestem duchem, którego wypuściłeś z butelki.*

Kiedy przychodzi Ricky, pytam go, co zrobił z butelką, bo przecież nigdzie nie popłynął.

— Wrzuciłem ją do stawu w parku Almedalen. Co mi pozostało? Nie było czasu na dłuższe wycieczki. — Prześwietla mnie swoim laserowym spojrzeniem. — Dostałaś odpowiedź? Mogę zobaczyć?

Otwieram swoją skrzynkę mejlową. Przyszła kolejna wiadomość.

— Temu Sindbadowi brakuje chyba stymulacji, skoro w taki wieczór siedzi przy komputerze — komentuję.

— Ty przecież też nie robisz nic innego — mówi Ricky, pochylając się nad moim ramieniem.

*Duch, którego uwolniłem,
Aby nacieszył się wiosenną zielenią,
Niech da mi ten przywilej
I pozwoli na trzy życzenia.*

ARSÈNE LUPIN

— Czyli flirtujesz online z jakimś wielkoświatowym nadętym kolesiem, który nazywa siebie Sindbadem — mówi do mnie Ricky z pewnym lekceważeniem w głosie, gdy przebrani za Człowieka-Nietoperza i Kobietę-Kota zmierzamy w zmierzchu mokrymi od deszczu średniowiecznymi zaułkami w stronę Hotelu Miejskiego. — Z pozerskim gościem, który pisze poezję — kontynuuje. — Jestem w stanie sobie wyobrazić tego wychudzonego wierszokletę. Jak siedzi przy cuchnącej lampie naftowej i skrobie gęsim piórem. Gruźliczo blady facet w pozaciąganym burym akrylowym blezerze i w kapciach dziadka w brązową kratkę. Podpis Sindbad Żeglarz brzmi tak, jakby chciał uchodzić za supermana, a tak naprawdę cię nabiera. Na twoim miejscu miałbym się przed nim na bacności.

— No a może wcale tak nie jest? To znaczy, sądząc po tych częstochowskich rymach, on jest raczej amatorem.

Przy wejściu do hotelu stoi Obdarty Steven i gra na trąbce trochę na wyczucie. Pozdrawiam go, ale on opuścił już ziemski padół i poszybował ku niebiańskim sferom na tęczowych skrzydłach związków chemicznych.

Hotel Miejski był w trzynastym wieku lamusem, w którym żeglujący morzem kupcy przechowywali swoje towary. Do dziś zachowały się średniowieczne krzyżowe sklepienia, a także malowidła naścienne, co nadaje temu miejscu niepowtarzalny charakter.

Wchodzimy do środka. W lobby, w którym serwowane są powitalne drinki i drobne przekąski, goście zgromadzili się pod banerem z tematem przewodnim: *Il Buono, il Brutto, il Cattivo*. Dobry, zły, brzydki. Muzyka

z filmu rozbrzmiewa wokół. Podział na dobrych, złych i brzydkich jest w miarę proporcjonalny, choć, jak należało się spodziewać, dominują rewolwerowcy. Poza tym naliczyłam co najmniej dwunastu Clintów, czterech Frankensteinów, jednego Dzwonnika z Notre Dame, jednego King Konga, jedną Matkę Teresę i dwie Magiki de Czar. Jedną z nich jest Jonna, w tym momencie łądująco podobna do Rut. Jonna akurat obściskuje się w kącie z Petterem z CUS-u, który jest przebrany za inspektora Jacques'a Clouseau. „Does your dog bite?”. Z niemałym zainteresowaniem bada jej dekolt przez szkło powiększające.

Ricky przynosi mi drinka z dżinem, po czym znika w poszukiwaniu własnych przygód.

— Udanych łowów, *Catwoman!*

— Wzajemnie, Ricky!

Przechodzę do pięknego Ogrodu Zimowego, którego jedną ścianę stanowi średniowieczny mur. Szklany strop łączy średniowiecze z nowym tysiącleciem. W kominku pali się ogień. Kolacja, którą zamówiłam, podawana jest w Sali Lustrzanej. Zmierzając w stronę schodów na górę, spotykam wielu znajomych, między innymi Gunnara Walléna w stroju pastora. Na razie nigdzie nie widać Lovisy ze skarbówki ani Jessiki. Sąsiadka Tilly jakoś dziwnie zerka na mnie. Mogłam stracić klientkę, próbując skojarzyć ją ze Stevenem, nie miałam jednak wyjścia.

Ricky się myli. Ja nie jestem na łowach. Nawet przez chwilę nie mam wątpliwości, że gdybym tylko chciała, mogłabym dzisiejszego wieczoru wrócić do domu nie sama. Ale co potem? Problemem nie jest samo bzykanko, jak mawia Ricky. Chodzi o oczekiwania, co będzie później, i to przed tym się bronię. Bo zaspokajanie potrzeb seksualnych na własną rękę jest znacznie mniej skomplikowane niż jedzenie śniadania z obcym facetem, który czuje się jak u siebie i paraduje po twoim domu w slipach i T-shircie,

i wpycha oddarty rózek kartonu z mlekiem do środka opakowania, kiedy jest w nim jeszcze pełno mleka. Zresztą kiedy idzie się z kimś nowym pierwszy raz do łóżka, zwykle wcale nie jest tak fantastycznie, jak człowiek sobie wyobraża. Niezbędna jest chociaż pewna doza zakochania, aby skompensować całą resztę.

Gdy pogrążona w takich myślach wchodzę do Sali Lustrzanej między głośnych uczestników maskarady, natychmiast dostrzegam go przy jednym ze stołów. Mężczyznę z Lindgården. On też jest tutaj.

W jednej chwili jestem gotowa przewartościować cały swój dotychczasowy tok rozumowania. Gapię się na niego, jestem tego świadoma, ale nie chcę stracić go z oczu. Jest ubrany we frak, a na głowie ma cylinder, który eleganckim ruchem właśnie zdejmuje i kładzie na parapecie okna, po czym ściąga białe rękawiczki i wciska sobie monokl pod uniesioną brew. Gdy jego spojrzenie natrafia na mnie, na jego twarzy pojawia się szeroki uśmiech, a on zapraszającym gestem wskazuje krzesło naprzeciw siebie przy stole.

To niemożliwe. Wszystkie miejsca zostały wcześniej przydzielone. Nasze nazwiska są wyraźnie wypisane na białych kartonikach przy każdym nakryciu i trudno je przegapić. A to może oznaczać tylko jedno: on wie, jak się nazywam. Prawdopodobieństwo, że to za sprawą ślepego przypadku znalazłam się obok niego, wynosi jak jeden do stu dwudziestu. Czy mam wierzyć w przeznaczenie, czy w niezwykle umiejętności dżentelmenawłamywacza, Arsène'a Lupina? Bo chyba to za niego, tego uwodziciela kobiet i mistrza wśród złodziei się przebrał? Którego ofiarami padali zawsze ludzie źli i podli i który kradł nie dlatego, że musiał, ale dlatego, że lubił piękne przedmioty i piękne kobiety.

— Panie Arsène Lupin, czy pan dopuścił się jakiegoś szachrajstwa z wizytówkami? — szepczę mu do ucha, okrążywszy stół, po czym śmieję

się do niego. Ale on nagle poważnieje.

— Muszę się z tobą spotkać — odpowiada także szeptem, a jego głos miesza się z gwarem sali, co powoduje, że nie jestem pewna, czy dobrze usłyszałam. Kiedy chcę usiąść, wysuwa uprzejmie krzesło, a potem nalewa mi wino do kieliszka, spytawszy uprzednio: — Czerwone, prawda?

Pamięta, co piłam w Lindgården. Czyli interesuje się mną. Zamiast spytać wprost o nazwisko, wyciągam rękę po stojący przed nim biały kartonik, lecz w momencie, gdy już mam go wziąć w palce, on chwyta wizytówkę i wkłada do kieszeni.

— Co za ciekawość.

— Kim jesteś? — pytam.

Znowu podnosi brew i poprawia sobie monokl.

— Przecież już wiesz, mimo że jestem w przebraniu. Jedynie Sherlock Holmes mógłby przeniknąć przez mój kostium, jednak tobie intuicja podpowiada, kim jestem. Jestem wszędzie i nigdzie, może nawet pojawia się w twoich snach. Co więcej chciałabyś wiedzieć?

Czuję delikatny, ale bardzo przyjemny zapach jego wody kolońskiej.

— Opowiedz mi o swoim smutnym dzieciństwie — mówię nieco urażona i demonstracyjnie przykładam do ust dłoń w czarnej rękawiczce, aby ukryć ziewnięcie. Chcę mu dać do zrozumienia, że odgrywana przez niego rola w ogóle mnie nie interesuje i że wolałabym poznać, kim jest w rzeczywistości. On jednak to ignoruje.

— Pochodzę z francuskiego rodu. Mój ojciec został zamordowany przez włamywacza, a ból po jego śmierci wpędził mą biedną matkę do grobu. Postawiłem sobie za cel zemścić się na tym, który to uczynił. Tymczasem życie rozpięte między smutnym dzieciństwem a dokonaniem zemsty ma tyle do zaoferowania, że trochę to przeciągam.

Unosi kieliszek, zamierzając wznieść toast.

— Może powinniśmy zrobić dzisiaj wspólny skok. Jak pamiętam, Kobieta-Kot działa nocą. Wiem, że jest zakochana w Batmanie, ale nie ma chyba żadnych przeciwwskazań, aby mogła wymienić go na kogoś innego.

— Ciekawe. — Też unoszę kieliszek i patrzę mu prosto w oczy z lekkim uśmiechem, po czym zaczynam się rozglądać za odpowiednim kandydatem. Aby odpowiedzieć mu pięknym za nadobne. — Jak miałabym go wymienić, przecież nikogo tu nie znajdę?

Och nie, tylko nie to! Clemens, mój dawny kolega szkolny, odbiera moje błędzące po sali spojrzenie jako zaproszenie i podchodzi do stolika.

— Cześć, Angeliko! — Przechyliła się ciężko przez moje ramię i całuje mnie wilgotnymi wargami w policzek. — Mogłabyś mi pożyczyć z pięć stów? Zapomniałem wziąć portfel.

Clemens nigdy nie ma przy sobie portfela, tak było zawsze w szkole i tak jest nadal. Nie należy jednak drażnić psa rasy bokser, jeśli nie chcemy być capnięci za łydkę i obślinieni. Dokładnie tak samo jest z nim, kiedy jest wstawiony. W stanie poczytalności pracuje w izbie komorniczej. Całkowicie fałszywie zrozumiał motyw przewodni imprezy i myśli, że brzmi on: dobry, zły i brzydki. Unikam więc patrzenia na niego. W czasie wolnym Clemens pisuje zaangażowane książki poświęcone wykluczonym grupom społecznym. Chce udzielić głosu szwedzkim zniewolonym robotnikom, którzy są wykorzystywani przez krezusów. Opisuje ich jako bezradnych, godnych pożałowania nieszczęśników pozbawionych możliwości wyrażenia własnego zdania. Między wierszami można wyczuć, że on sam patrzy na nich z góry ze swojej uprzywilejowanej pozycji. Wcale nie jestem przekonana, czy ktoś chciałby mieć w nim swojego reprezentanta i rzecznika. A zyski z książek, profity z nędzy i niedoli, które przypisuje tym grupom, wkłada rzecz jasna do swojej kieszeni.

Czuję, że dłużej go nie zniosę. Może warto odżałować pięćset koron, byle

się go pozbyć. Chcę poświęcić swój czas wyłącznie Arsène'owi Lupinowi, a Clemens mi w tym przeszkadza.

— Pięć stów to dla mnie bardzo dużo pieniędzy.

— Angelika, no nie bądź taka. To przynajmniej postaw mi jeden kieliszek wina.

— Jeden kieliszek, okej? A potem musisz sobie znaleźć innego sponsora.

— Wzdycham i daję mu swoją kartę kredytową. Wystarczy, że nabazgrze na paragonie cokolwiek, co będzie przypominało podpis. Odczuwam ogromną ulgę, zawsze kiedy uzmysławiam sobie, że Clemens nigdy nie będzie moim klientem. Miał kiepskie włosy już w gimnazjum, a teraz jego łysa czaszka błyszczy jak kawał granitu oblewanego przez morze, choć akurat w tym momencie nie widać tego pod kowbojskim kapeluszem. Z ręką na kaburze rewolweru Clemens zatacza się w kierunku klatki schodowej jako Zeb Macahan.

— Czyli jednak wymiana? — Arsène kiwa głową z aprobatą i wypycha zza wargi prymkę snusu. Robię to samo. Pewnie uważa to za bardzo męskie, bo mówi: — No dobrze, to co, siłujemy się na ręce czy na palce? — Jego brązowe błyszczące oczy doprowadzają mnie do szaleństwa. *Zostaw mnie w spokoju! Nie patrz na mnie w ten sposób!*

— Proponuję cywilizowaną rozmowę.

— A jak wyglądało twoje dzieciństwo, Kobieto-Kocie?

— Bardzo przyzwoicie. — Jego spojrzenia sprawiają, że muszę się bronić.

— O ile pamiętam, Kobieta-Kot wrzuciła swoje pluszaki do rozdrabniacza na odpady, żeby zerwać z nienagannym życiem. Potem wyrosła na niesłychanie sprawną i podstępną włamywaczkę i nauczyła się walczyć o swoje.

Podano kolację. Arsène odkrawa kawałek jagnięciny, wkłada go sobie do ust i wzdycha z upojeniem. A przy tym przez cały czas nie spuszcza ze mnie

oczu. Ku swojej irytacji zdaję sobie sprawę, że się czerwienię. Na szczęście światło jest przytłumione, mimo to jestem na niego zła, że doprowadza mnie do takiego stanu. To typowe dla mnie, że gdy w końcu go spotkałam, uległam paralizującemu zdenerwowaniu, chociaż w skrytości ducha tak bardzo pragnęłam zobaczyć go znowu.

— A co konkretnie miałyby oznaczać wspólny skok?

— Może najpierw powinnaś się zatroszczyć o własny dom, zanim włamiesz się do obcego? Twój kawaler właśnie zszedł na dół z twoją kartą kredytową, chociaż bar jest przecież tutaj.

— Clemens nie jest moim kawalerem!

Odwracam się. Wszystko dzieje się bardzo szybko. Dostrzegam białe rondo kowbojskiego kapelusza na schodach i zrywam się z krzesła. Ale po chwili nigdzie już go nie widać. Mam dwie możliwości do wyboru: albo będę kontynuować kolację z mężczyzną, którego tak bardzo chciałam poznać, albo ruszę w pościg za Clemensem, którego nie chcę mieć blisko siebie. Wracam na swoje miejsce.

— Zabiłaś go?

— Nie, nakarmiłam nim czarną wdowę. Jest już o głowę krótszy. A mówiąc szczerze, straciłam go z oczu. Ale dopóki zabawa trwa, Clemens się stąd nie oddali — to jego potem stąd wyniosą.

Rozmawiamy o tym i owym, jedząc sorbet czereśniowy. Spięcie i zdenerwowanie ustępuje stopniowo wraz z winem. Teraz mam odwagę spojrzeć w pełne niuansów labirynty jego oczu, nie uciekając spojrzeniem, a jego oczy mówią mi więcej niż słowa. Pieszczą mnie. Bawią się ze mną. On nie chce mnie opuścić. Ja zaś pragnę, aby ta chwila nigdy się nie skończyła. Gdy myśl ta przemyka mi przez głowę, z daleka słyszę dobrze mi znany głos.

Kiedy podnoszę oczy, żeby spojrzeć na salę, widzę przy drzwiach Tove. Oszukana seryjna morderczyni Elżbieta Batory kiwa do mnie, na co wstaję

od stołu, przepaszając Arsène'a, i idę zamienić z nią parę słów. Bardzo bym chciała, żeby miała udany wieczór. Wygląda na to, że Tove jest w wyśmienitym nastroju i dobrze się bawi. Rozmawiamy przez chwilę. Gdy wracam na swoje miejsce, Arsène Lupin znika gdzieś w tłumie.

MAM PLAN

Muszę odzyskać kartę kredytową. Kolacja w Sali Lustrzanej dobiegła końca. Większość gości wstaje od stolików i zmierza stopniowo ku schodom. Razem z Tove schodzimy ze wszystkimi na dół, do Ogrodu Zimowego, skąd dochodzą dźwięki muzyki tanecznej. Pada deszcz konfetti.

Tove zostaje od razu poproszona do tańca przez Herculesa Poirot, który prowadzi ją na parkiet, ja zaś ruszam w stronę baru w Domku Kapitańskim, który na co dzień pełni rolę śniadaniowej jadłodajni.

Coś się dzieje w samym środku kręgu złożonego z przebranych uczestników balu. Przepycham się do miejsca, z którego mogłabym zobaczyć, o co chodzi. Po przekątnej widzę iluzjonistę w czarnej pelerynie, który wciąga na scenę jednego z gości i zabiera mu portfel, klucze i komórkę, po czym wprowadza kolejnego widza. Następnie wykonuje magiczny ruch czarną peleryną i zatacza koło swoją różdżką, a wyjęte przed chwilą przedmioty przenoszą się do kieszeni tego drugiego. Oklaski.

Gdy magik dziękując, odwraca się w moją stronę, widzę, że to on. A więc taki jest jego zawód! Jest kuglarzem. Przy kolacji nie zdołałam go nakłonić, żeby powiedział coś o sobie, bo wszystko obracał w pytania, na które w rezultacie ja miałam odpowiadać. Zdążyłam jednak wydedukować, że dopiero niedawno sprowadził się na wyspę.

Przypominam sobie o swojej karcie i ruszam dalej, żeby znaleźć Clemensa. Oczywiście utknął w barze. Mam nadzieję, że nie postawił wszystkim kolejki. Obok niego widzę Jonnę i rękę Frankensteina na jej kształtnej pupie. Gość z CUS-u się nie pokazał. Gunnar z Radia Gute też zalega w barze.

Widziałam go już w takim stanie nieraz: kiedy się napije, jego cienka szyja nie jest zdolna udźwignąć głowy, dlatego z brodą opartą na piersi Gunnar zjada własny krawat.

— Clemens, moja karta. — Przeciskam się obok Jonny i Frankensteina.

— Jasne. Chcieli twój podpis, więc coś tam nabazgrałem. — Clemens zaczyna wyciągać po kolei wszystko, co ma w swojej obszernej, ale jednak dziadowskiej kieszeni. Na końcu ukazuje się moja karta. — Dzięki, Angeliko.

W Ogrodzie Zimowym tańce rozkręcają się na dobre. Gdzieś miga mi Alexandra w długiej, białej sukni bez ramiączek. Wybrała taki strój, aby nikt nie miał wątpliwości, że jest perfekcyjną modelką na wybieg. Wystarczająco przekonującą na swoich dziesięciocentymetrowych obcasach, by móc wystąpić w High Heel Race w Båstad. Czegoś jednak jej brak. Decydujący jest moment przeobrażenia. Zbyt duża perfekcyjność, takie trafianie idealnie w punkt jest nudne. Żeby bajka o Kopciuszkę mogła być prawdziwa, musi być też Kopciuszek. Inny przed metamorfozą, inny już po niej. Niespodzianka.

Jessika stoi pod ścianą, lecz nikt jej nie prosi. Wygląda przesłodko jako dziewczyna gangstera, jednak jest tak wystraszona i odpychająca, że nikt nie ma odwagi do niej podejść. Ale aż pali się do tańca, widzę jej spojrzenia, widzę, jak jej stopa podryguje w takt muzyki. Ktoś chwyta mnie za ramię. To Ricky.

— Musisz mi pomóc. — Nie mogę zobaczyć jego twarzy, bo nakrycie głowy zsunęło mu się bardzo nisko, dostrzegam jednak dzikość w spojrzeniu.

— Co mogę dla ciebie zrobić? — Mówię takim samym tonem jak do nowego klienta i kandydata do skojarzenia w parę.

Zauważa to i w jego oczach pojawia się uśmiech.

— Muszę koniecznie dostać się do swojego mieszkania. Mogłabyś mi

pożyczyć na ślusarza? Ustalimy harmonogram spłat, będę pracować siedem dni w tygodniu albo wymyślimy jeszcze co innego. Zrobię wszystko, co chcesz, bylebym tylko się do niego dostał.

— Teraz, w nocy? I to w Wielką Sobotę? To by kosztowało jak nic podwójnie. Nie możecie iść do hotelu? — pytam, ciągnąc go za skórzane ucho. — Będzie taniej.

Wybuchła głośnym śmiechem w reakcji na moje przypuszczenie, ale nie dementuje.

— Trzymam w mieszkaniu ptaka, muszę go nakarmić. Co prawda w klatce jest automatyczne poidelko i karmidło, ale boję się, że mogą nie zadziałać. A może ty byś się włamała, w końcu jesteś Kobieta-Kotem?

— Żaden problem, załatwię to.

— Serio? — Ricky pociąga mnie za moje kocie ucho i jesteśmy kwita.

— Co się dzieje z Jessiką? Wygląda na smutną.

Ricky wiedzie wzrokiem po sali, aż w końcu ją dostrzega.

— Wcześniej była wesoła. Gadaliśmy i tańczyliśmy, ale kiedy pojawiła się Alexandra, od razu przygasła. Nie słyszałem, co tamta jej powiedziała, zauważyłem tylko, że Jessika od razu pognęła do toalety. A potem wyszła z kwaśną miną. Cały czas stoi taka nadąsana, więc nic dziwnego, że nikt jej nie prosi.

Odwracam się i kątem oka zauważam Arsène'a Lupina przy kominku. Rozgląda się po Ogrodzie Zimowym. Mam nadzieję, że to mnie wypatruje. Jednak w tym momencie nie mogę zostawić Jessiki w potrzebie. Przeciskam się w jej stronę i staję obok niej niemal równocześnie z ciotką Lovisą ze skarbówki, która trzyma dwa dziny z tonikiem.

Jessika kręci głową.

— Po alkoholu człowiek powinien być wesoły, a jak napije się, kiedy jest mu smutno, to robi się jeszcze gorzej.

— To prawda — stwierdza Lovisa i podaje mi drinka, którego odmówiła Jessika.

— Jak tam wywiad z Gunnarem Wallénem? Udał się? Widziałam was razem w czwartek w creperii — zwracam się do niej.

— Chyba tak. On niesamowicie dużo wie i przyjemnie się z nim rozmawia. Uwielbiam jego radiowy głos. — Zauważam, że Lovisa zerka w stronę baru, co mnie cieszy, mimo że nie jestem pewna, czy z tą głową na piersi jest to najlepsze wydanie Gunnara. — Przepraszam was na chwilę — rzuca.

Zostaję z Jessiką sama — jeśli można tak się czuć wśród czterystu uczestników balu maskowego. Kiedy pytam ją, jak się miewa, wzrusza ramionami, a potem wychodzimy we dwie na dwór, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

— Co się stało? — mówię. — Co ci powiedziała Alexandra?

Szare oczy Jessiki wypełniają się łzami.

— Nic. Nie było żadnej sceny. Jeśli ktoś patrzy z boku, widzi jedynie, że ona się uśmiecha i jest wesoła, a ja jestem kwaśna i ponura.

— Alexandra z całą pewnością jest świadoma tego, jakie robi wrażenie. Domyślam się, że od dawna zachowuje się wobec ciebie wyniośle. I ty świetnie wiesz, co oznacza ton jej głosu i każde spojrzenie, którym cię obrzuca, a twoje ciało reaguje automatycznie na te jej sygnały, zgadza się?

— Masz rację. Spytała mnie, czy pożyczyłam bluzkę od mamy. Powiedziała to całkiem zwyczajnie. Na pozór trudno dopatrywać się w tym jakiegokolwiek złośliwości, prawda? Ale zaraz ci powiem, dlaczego to jest podłe. Moja mama jest chora psychicznie, bywają okresy, że nie zachowuje się normalnie. Nie chcę się jej wstydzić, jednak Alexandra zmusza mnie do tego. Kiedy mama czuje się gorzej, chodzi wystrojona nie wiadomo w co, wymalowana po uszy i robi różne przedziwne rzeczy. Rozumiesz? Kocham

ją i nie chciałabym się od niej odwracać. Ale Alexandra doprowadza do tego, że się jej wstydzę i czasami wołałabym mieć inną mamę. I to mnie najbardziej męczy.

— Co mogłabyś zrobić, żeby nie pozwalać się tak łatwo ranić? — Myślę na głos, nie mając na razie gotowej odpowiedzi na to pytanie. — A co by było, gdybyś sobie pomyślała, że Alexandra strasznie cuchnie? Wszyscy czują, że śmierdzi, tylko ona tego nie czuje. Jesteś w stanie to sobie wyobrazić? I czy coś takiego zmieniłoby układ sił między wami?

— Słucham? — Jessika próbuje otrzeć łzy i nie rozmazać sobie tuszu.

— Proponuję, żebyś podeszła do niej, kiedy już uznasz, że jesteś w stanie wcielić się w taką rolę, obwąchała ją dookoła, pociągnęła nosem i powiedziała: *Przepraszam cię, Alexandra, ale od ciebie okropnie zalatuje.*

Jessika dostaje histerycznego ataku śmiechu. Zanosi się tak mocno, że ledwie może utrzymać się na nogach.

— Można zaaranżować to jeszcze bardziej elegancko, jeśli ja i Ricky zrobimy wstęp i dyskretnie zwrócimy jej uwagę, że brzydko pachnie. Potem wystarczy, że pociągniesz nosem i spytasz ją, czy przypadkiem nie zjadła czegoś nieodpowiedniego. Nic więcej.

Obie zwijamy się ze śmiechu, na co ochroniarz pilnujący porządku przed hotelem rzuca w naszą stronę pełne zdziwienia spojrzenie. Daję mu znak, że wszystko jest okej. Po powrocie do środka wtajemniczam Ricky'ego w nasz plan. Mamrocze coś o jakimś poradniku skutecznego podrywania pod tytułem *Gra*. Poniżenie dziewczyny to podobno niezawodny sposób, żeby wzbudzić jej zainteresowanie. Oczywiście wchodzi w to!

W samym centrum parkietu, pod ogromną świecącą dyskotekową kulą Alexandra wiruje niczym biały motyl. Ricky zaprasza ją do tańca. Czekamy w napięciu. Szepcze jej coś do ucha. Ona zatrzymuje się jak wryta, wbija w niego wzrok, po czym kołysząc się, rusza na swoich wysokich obcasach

w kierunku damskiej toalety i znika za drzwiami.

Zaczęły się występy karaoke. Rozglądam się za Arséne'em, jednak nigdzie go nie widzę. Wszyscy tłoczą się w pobliżu sceny. Wspinam się na palce w nadziei, że go gdzieś wypatrzę, gdy nagle czyjeś ramię otacza moją talię.

— Zatańczysz?

— Z przyjemnością.

— To dobrze.

Arsène chwyta moją dłoń i prowadzi mnie przez morze ludzi na parkiet, który teraz jest całkiem pusty, ponieważ reflektory są skierowane w zupełnie inną stronę. Odwracam się i widzę, że Gunnar wdrapuje się na scenę, żeby zaśpiewać *Living next door to Alice*. Jonna klaszcze jak oszalała, gdy jej rywal z Radia Gute wręcz tragicznie fałszuje. Następny kawałek to *Love me tender* Elvisa. A śpiewa go nie kto inny, tylko sam inspektor Clouseau z przeszłością w CUS-ie i on... On naprawdę umie śpiewać!

Arsène patrzy mi w oczy, bierze moją dłoń i obejmuje mnie w pasie, przyciągając bliżej do siebie. Czuję ciepło i zaniepokojenie, opuszczam powieki i opieram głowę na jego ramieniu. Podczas gdy tak żeglujemy przez uniwersum, nie mając ani kamizelek, ani kół ratunkowych, czuję jego zapach, a kiedy taniec dobiega końca, wiem, że jestem beznadziejnie zakochana.

Muzyka milknie. On przytula mnie i mówi „dziękuję”, po czym całuje mnie w czoło i patrzy mi w oczy, ja zaś dostrzegam w jego spojrzeniu rozbawienie.

— To jaki będzie nasz dzisiejszy skok, *Catwoman*? Jakież propozycje?

Uzmysławiam sobie, że chyba nie jestem całkiem trzeźwa, gdy mu odpowiadam. Nie mam co do tego wątpliwości. Ale jednocześnie włamanie się do Ricky'ego wydaje się czymś zupełnie naturalnym, skoro on sam tyle razy o tym papłał.

— Mam pewien plan.

W PODZWROTNIKOWEJ STREFIE KAKADU

Biorę kurtkę z szatni i przed opuszczeniem imprezy rzucam spojrzenie przez ramię. Jessica stoi pod sceną i słucha Petera z CUS-u, śmiejąc się całą twarzą. „*Pretty woman walking down the street...*”. Muzyka towarzyszy nam jeszcze na ulicy — a tam stoi Alexandra ze swoimi przyjaciółkami.

— Czy ja cuchnę? No, powiedzcie, do cholery! Śmierdę? — Wykręca w bok głowę i próbuje się obwąchać. Potem ściąga oba buty, żeby sprawdzić, czy w coś nie wdepnęła, idąc na bal.

— No, trochę — mówi najniższa z koleżanek, a ja dostrzegam w jej spojrzeniu błysk triumfu. Zdaje się, że przyjaźń między nimi nie ma mocnych podstaw.

— Przykro mi, Alexandra, ale faktycznie trochę od ciebie zajęcza — odzywa się druga przyjaciółka, tak samo obcesowo, jak zwykle robi to Alexandra. — Na twoim miejscu poszłabym do domu i się przebrała.

Ja milczę, tymczasem Arsène mimo woli pociąga nosem, przechodząc obok, co Alexandra od razu zauważa. Co za wspaniały wieczór!

— No dobrze, Kobieto-Kocie, jaki jest ten twój plan? — Bierze mnie pod ramię i ruszamy Strandgatan. W drugiej ręce trzyma staromodną teczkę. Można przyjąć, że to element jego stroju. Pelerynę i cylinder zostawił w szatni.

— Mój plan? A co byś powiedział na włamanie się do mieszkania przy Irisdalsgatan?

— Aha. A co mielibyśmy stamtąd ukraść? — Na razie wydaje się

umiarkowanie zafascynowany tym pomysłem.

— Klucz. Problem polega tylko na tym, jak dostać się do środka, ale jakoś to rozwiążemy już na miejscu.

— Pierwszym problemem jest to, jak ty tam dojdiesz na swoich niebotycznie wysokich obcasach. Chętnie bym cię zaniósł na rękach, ale chyba nie dam rady przez całą drogę. Proponuję, żebyśmy pożyczili rower.

Arsène odbija w lewo i ciągnąc mnie za sobą, przechodzi przez bramę w murze od strony Almedalen. Zatrzymuje się przed zardzewiałą damką.

— Ten nie jest zabezpieczony. Zauważyłem go po drodze do hotelu.

— Daj spokój, możemy wziąć mój rower — mówię. Kradzież nie wydaje mi się w porządku. Przecież nie da się wykluczyć, że właścicielka będzie go potrzebować jeszcze dzisiejszej nocy, przyjdzie tu i go nie zastanie. — Mieszkam na Fiskargränd.

— Niezabezpieczony rower to jak zaproszenie.

Nie bez trudu przekonuję go, żeby zrezygnował z kradzieży, i przedstawiam dobre strony skorzystania z niekradzionego roweru — uchroni nas przed wpadnięciem jeszcze przed samym włamaniem, gdyby na przykład za chwilę pojawiła się tu właścicielka damki.

Arsène porzuca swój plan i znowu chwyta mnie za rękę. Idziemy razem przez ciepłą noc nad Visby. Trawa w parku jest mokra. W oknie dawnego hotelu Almedal, w którym obecnie mieści się oddział onkologiczny z hospicjum na piętrze, pokazuje się czyjś cień. Arsène macha w jego stronę.

— To mój stary dobry przyjaciel.

Noc wydaje się magiczna. Czarne fale rozbijają się o kamieniste nabrzeże. Arsène opowiada mi o duńsko-lubeckiej flocie, która pewnej nocy w 1566 roku zginęła podczas przerażającego sztormu.

— Podczas walki ze Szwedami jednemu z admirałów odstrzelono głowę. Ponieważ miał prawo być pochowany w poświęconej ziemi, cała flota, mimo

ostrzeżeń, przybiła do brzegu pod Visby. Nocą rozszalał się jeden z najpotworniejszych sztormów w dziejach Bałtyku. Pozrywał kotwice i okręty roztrzaskały się o skały. Tamtej nocy życie straciło wiele tysięcy ludzi.

Słucham, kompletnie oczarowana jego głosem. Jest cudownym gawędziarzem. Księżyc odbija się w wodzie, a my w milczeniu, ramię w ramię, idziemy dalej i w końcu stajemy przed moim domem. Wtedy on puszcza rękę i bierze mnie w objęcia. Światło latarni lśni w jego oczach. Pochyla się lekko, a ja czuję, że zamierza mnie pocałować. W tym samym momencie wydaje mi się, że dostrzegam lekki ruch firanki w oknie Tilly. Choć to mogło być tylko złudzenie, cofam się jednak i chwila ulatuje.

— To tutaj mieszkasz? Fantastycznie! Jaki piękny dom!

— Tak, mieszkamy tutaj — ja i As Kier.

Rozpiera mnie duma, gdy wsuwam klucz do zamka i otwieram drzwi wejściowe. Wchodzę do przedpokoju i zapalam światło. W pierwszej chwili nie pojmuję, co to za śmieci walają się po podłodze. As Kier siedzi na dywanie z nosem w porwanej papierowej torbie. Kiedy dociera do mnie, skąd te odpadki, próbuję zatrzymać Arsène'a, aby nie wchodził, ale jest już za późno. On widzi to samo co ja. Na podłodze leżą porzrzucone resztki i wnętrzności ryb, a pośrodku tego wszystkiego króluje mój kot. Usiłuję wyciągnąć głowę dorsza z torby, którą zapomniałam wynieść do kompostownika. To jest protest przeciwko temu, że zostawiłam go w domu, a sama poszłam się bawić. Żenada, żenada, żenada! W domu cuchnie starą rybą i cały nastrój pryska.

Zapraszam Arsène'a do salonu, a kotu daję burę, na co on z dumnie uniesionym ogonem drepcze do swojej miseczki, mając nadzieję na nagrodę. Już ja ci dam nagrodę!

— Zaraz po świętach wymienię cię na złotą rybkę — syczę przez zęby,

sprzątając cały bałagan.

Mój gość rozgląda się ciekawie po salonie i w pełnych uznania słowach wypowiada się o jego wystroju i meblach. Wracam do niego, chcąc pokazać mu dom. Moje ramię lekko ociera się o jego tors, w końcu Arsène chwytam mnie za rękę i ze splecionymi dłońmi odbywamy przechadzkę po wszystkich pokojach, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie. Gdy w końcu się zatrzymujemy, obejmuje mnie wpeł. Zerka do sypialni i patrzy na moje zdjęcie ślubne wiszące nad podwójnym łóżkiem. Chyba nigdy nie wyglądałam tak pięknie albo tak szczęśliwie jak tamtego dnia. Joakim patrzy na mnie teraz swoimi łagodnymi niebieskimi oczami. Patrzy na mężczyznę, który zamierza mnie pocałować — wiem, że chciałby, abym korzystała z życia. Mimo to przyprowadzenie obcego faceta do naszej sypialni wydaje mi się nie w porządku, dlatego wycofuję się szybko, czując, że jestem winna wyjaśnienie. Ale Arsène mnie ubiega.

— Bardzo ci go brak?

— Tak, czasami. Minęło siedem lat. — Robię krok do tyłu. — Skąd wiesz, że żyję sama?

— W Lindgården spytałem o twoje nazwisko, a potem sprawdziłem w Internecie. Pod tym adresem nie jest nikt zameldowany oprócz ciebie. Choć to oczywiście nic nie znaczy, bo przecież i tak może być w twoim życiu jakiś mężczyzna.

Gdy zamierzam spytać, jak wygląda jego życie, on wtrąca:

— Musimy się pospieszyć, jeśli chcemy włamać się po klucz na Irisdalsgatan i zdążyć wrócić na bal przed końcem.

Zmieniam buty i wyprowadzam rower ze składziku. Jedziemy Studentallén, a potem przez Bramę Północną. Trzymam się mocno jego pleców, podczas gdy on pedałuje raz po raz pod górę, imponując mi kondycją.

Przymykam powieki i opieram policzek na fraku, kołysząc się w takt ruchu. Dlaczego on jest taki tajemniczy? Niemal bezwiednie moja lewa dłoń wsuwa się do jego kieszeni. Jest pusta. Sprawdzam prawą i wyjmuję ostrożnie jakąś karteczkę, którą chowam sobie za stanik. Nie powiedział mi, jak się nazywa ani kim jest, a ja przecież muszę mieć jakikolwiek trop, myślę pokrętnie.

Mijamy skrzyżowanie Brömsebroväg z Norra Hansegatan i jedziemy dalej prosto. Wreszcie Arsène przystaje i prosi, żebym zeskoczyła. Zabezpieczam rower i nagle znajduję się w jego ramionach. Trzyma mnie w niewielkiej odległości od siebie, dzięki czemu mogę spojrzeć mu w oczy. Patrzy z prowokującym uśmiechem i czeka. Chciałabym go pocałować, jednak nie mam odwagi. Gdy ujmuję mnie pod brodę i delikatnie unosi moją twarz, staję na palcach i też czekam.

— Które to mieszkanie? — Uśmiecha się promiennie i cofa rękę.

Odpowiadam mu uśmiechem, mając nadzieję, że nie widać po mnie rozczarowania. Pokazuję mu. Do balkonu są dwa piętra. Sprawdzam rynnę. Wydaje się stabilna.

— Jeśli pomożesz mi na początku, a potem będę mogła stanąć ci na ramionach, dalej wejdę już sama — mówię zarozumiale. Ricky demonstrował kiedyś, jak należy chwycić rurę, wspinając się po niej, a w końcu jaka to różnica, czy to rynna, czy kij od szczotki.

— A do czego ci ten klucz, który chcesz ukraść?

— Spłacam dług wdzięczności — odpowiadam tajemniczo. — To taki mały podarunek w podziękowaniu za przysługę wyświadczoną dzisiejszego wieczoru.

— Czy ta przysługa polegała na ośmieszeniu królowej nocy?

— Widzę, że jesteś byстрыm obserwatorem — mówię, wdrapując się na jego pochylone plecy. — Jak wejdę na górę, wpuszczę cię do środka.

— Arsène prostuje się, ja zaś chwytam się rękami rynny i podciągam, obejmując ją nogami. Arsène puszcza mnie, a ja nie spadam. Centymetr po centymetrze gramolę się coraz wyżej i wreszcie przerzucam ciało przez barierkę balkonu.

Opieram dłonie na kolanach, żeby zaczerpnąć tchu. Arsène'a nie widać. Wypatruję go w ciemności, zdejmując równocześnie z pleców mały czarny plecak, gdzie mam pilnik do paznokci, za pomocą którego planuję sforsować drzwi balkonowe. Mój tata potrafił otworzyć zamek w volvo samym paznokciem kciuka, więc coś takiego nie jest niemożliwe. Wkładam pilnik do dziurki i zaczynam manipulować przy zamku, gdy nagle z mieszkania dobiega przerażający krzyk. Usiłuję zajrzeć do środka przez ciemną szybę, żeby przekonać się, co to za odgłos, gdy przez głowę przemyka mi myśl, że być może stoję na niewłaściwym balkonie, ubrana w trykot, z kocimi uszami na głowie i z przeraźliwie zielonymi szklami kontaktowymi w oczach.

Za czarną taflą szyby przemyka jakiś cień. Odwracam się w stronę barierki, gotowa zeskoczyć na asfalt. Skręcenie kostki to tylko skręcenie kostki — umiarkowana cena jak na ocalenie własnej skóry. W tym momencie drzwi balkonowe otwierają się od wewnątrz. Dostrzegam w nich Arsène'a z włosami stojącymi dęba.

— Co się stało? — pytam szeptem.

— Zaatakował mnie jakiś cholerny ptak! — Arsène wygląda na zbulwersowanego, gdy chusteczką wyciera sobie z fraka ptasie ekskrementy.

— Przepraszam, zapomniałam wspomnieć o Panu Foksie. Widocznie jakoś wydostał się z klatki. Początkowo nazywał się Samanta Fox, ale kiedy Ricky zobaczył, że ptak zmienił upierzenie na bardziej kolorowe, zorientował się, że to samiec.

— Masz wszy łonowe, ty baryło? — słychać z klatki, w której Pan Fox został właśnie internowany. — Ty baryło, ty baryło. — Kakadu ma intonację

przypominającą mowę zaparzaczkę, domyślam się więc, że to sam Ricky go tak wytrenował.

— W jaki sposób dostałeś się do środka? Jesteś ślusarzem?

On coś przede mną ukrywa. Czuję to.

— Kto wie — odpowiada wymijająco, wskazując na pokój. — Czegoś takiego jeszcze nigdy nie widziałem! Co to za łęgowisko pleśni? — ciągnie dalej, rozglądając się dookoła z desperacją w oczach. Ricky miał rację, mówiąc, że mieszkanie zrobiło się obłeśne. Myślałam, że żartował, kiedy z niedowierzaniem zadał mi pytanie: *Czy jedzenie pleśnieje? Myślisz, że może się zepsuć w pokojowej temperaturze?*

Strasznie cuchnie. Teraz mam zdecydowanie więcej zrozumienia dla jego mamy, która ganiała go ze szczotką do mycia klozetu. Sny o romantycznym wieczorze właśnie legły w gruzach. Jestem zakochana, ale mam pecha, i zadaję sobie pytanie, czy po tym wszystkim, na co wystawiłam dzisiejszego wieczoru Arsène'a, jeszcze kiedykolwiek coś z tego będzie. Zaciskam powieki i pragnę, aby koszmar zniknął.

— Czy możemy się umówić, że to nigdy się nie zdarzyło? Po prostu weźmiemy klucz i wyjdziemy na świeże powietrze.

— Czy istota, która tu mieszka, ma coś z głową? — Arsène przypuszczalnie ma na myśli Ricky'ego, gapi się jednak na klatkę z miną zdradzającą chęć mordy.

— Nie, jest tylko leniwy.

— To musi być piekielnie leniwy.

Zgadzam się z tym. Mimo to czuję, że jestem gotowa bronić Ricky'ego, bo jest w porządku pod wieloma innymi względami, poza tym przyzwyczaiałam się do niego jak do młodszego brata.

— Ale wykazuje potencjał do poprawy.

— Gigantyczny potencjał.

Daję papudze jeść i pić, biorę klucz z kieszeni kurtki Ricky'ego i wychodzę w ciemną noc z mężczyzną, w którym beznadziejnie się zakochałam. Jednak czar jakby prysnął. Gdy zjeżdżamy w dół w stronę hotelu, on nic nie mówi i ja nic nie mówię. Pęd powietrza rozwiewa mi włosy, niszcząc fryzurę. Zsiadamy z roweru, po czym ja go zabezpieczam, a potem lękliwie spoglądam na twarz Arsène'a, próbując ocenić sytuację. Uśmiecha się, a po chwili parska śmiechem.

— To będzie pamiętny wieczór, Angeliko Lagermark!

Patrzę na poplamiony frak noszący nadal nieznaczące ślady puchu pochodzącego z imponującego upierzenia papugi i otwieram ramiona, aby go objąć. I wtedy się to staje. On odgarnia mi kosmyk włosów z twarzy i delikatnie całuje w usta. Składa lekki pocałunek, po którym następuje mocniejszy. Zapomniałam już, jakie to przyjemne. Minęło tyle czasu.

— Od chwili, kiedy weszłaś do Lindgården, przez cały czas o tobie myślałem — mówi, a mnie ogarnia oszałamiające poczucie szczęścia.

— Ja też o tobie myślałam — szepczę i patrzę w labirynty jego brązowych oczu, w których już się zatraciłam.

— Chcę się z tobą znowu spotkać.

— Ja też.

Uśmiecha się i pochyla do przodu, aby powtórnie mnie pocałować, jednak go powstrzymuję, ponieważ kątem oka dostrzegam Gunnara z Radia Gute. Naprany jak pekaes najwyraźniej nie jest zdolny odróżnić czasu pracy od czasu wolnego. Poszedł specjalnie do domu po kamerę i magnetofon, jakiś nieporęczny model, i wszystko wskazuje na to, że mimo swojego stanu wskazującego na spożycie chce zrobić wywiad.

— Czy mogę zadać jedno pytanie?

Gunnar ma ewidentne problemy z artykulacją. Jego głowa jest cięższa niż kiedykolwiek, a biały kołnierzyk pastora dynda na ramieniu.

— Lepiej nie — odburkuje Arsène i nagle mnie puszcza. — Zobaczymy się w środku — mówi.

I w ułamku sekundy odchodzi.

— O co chciałbyś spytać? — zwracam się lekko oszołomiona i zaczerwieniona do Gunnara.

— Mów tutaj, do mikrofonu. Moje pytanie... to znaczy pytanie numer jeden brzmi następująco: Jakie wiosenne ptaki zauważyłaś już w tym roku? Powiedz to do mikrofonu. — Pokazuje na obciążniętą kawałkiem rajstop piłkę.

— Rozumiem. A może zafundowałbyś sobie jeden wolny wieczór? — pytam, odprowadzając wzrokiem mężczyznę, który znika w wejściu do hotelu.

— Łączę przyjemne z pożytecznym. — Gunnar wygląda dosyć ponuro w swoim stroju pastora, ja zaś dla świętego spokoju wyliczam kilka wiosennych ptaków.

— Czajka, pliszka i kakadu.

— Kakadu to błąd — rzuca Gunnar z triumfem.

— Faktycznie, potworny błąd! — przyznaję. Następnie szybkim krokiem idę do hotelu, w którym nadal trwają bal i karaoke, żeby akurat trafić na występ Ricky'ego. W żalostnej próbie imitacji Micka Jaggera przeciąga mikrofonem po rozporku do akompaniamentu *I can't get no satisfaction*.

NIEKTÓRE DNI CHCIAŁOBY SIĘ ZGŁOSIĆ DO REKLAMACJI

Wciąż oszołomiona pocałunkiem dżentelmena-włamywacza rozglądam się za nim wśród tłumu poprzebieranych uczestników balu. Nagle uświadamiam sobie, że nawet się nie dowiedziałam, jak on się naprawdę nazywa. Jestem zbyt zadurzona i skołowana, żeby myśleć trzeźwo. Po raz pierwszy bowiem od bardzo dawna życie jest pełne barw i sensu. Nawet szmirowaty szlagier nabiera głębokiego znaczenia, gdy Petter z CUS-u śpiewa „te złotobrzowe oczy, zakochałem się w nich”. Bo to jest prawda, absolutna prawda. Kartkę, którą wyciągnęłam z kieszeni Arsène’a, wkładam sobie do torebki. Jest za ciemno, żebym mogła ją teraz przeczytać.

Jessika przemyka w tańcu z kopia Clintą. Śmieje się, a jej śmiech grzeje mi serce. Ta dziewczyna zasługuje na szczęście. Jonna upolowała sobie trzecią ofiarę — kogoś, kto przypomina ogra Shreka z korkami do wina zamiast uszu. Z rękami na tyłku partnera przemierzają rozkołysanym tanecznym krokiem parkiet. Różowa Pantera, alias Julius, zakotwiczył w barze; oby tylko jutro nie było żadnego pogrzebu, podczas którego musiałby dzielić z kimś cierpienie. Możecie mi wierzyć, że on ma dość własnego. Jeszcze chwila, a zostanie wyrzucony na ulicę — słyszę, jak barman mówi do swojego kolegi. Ricky złazi ze sceny i przechodzi obok mnie. Wręczam mu z triumfalną miną klucz do jego mieszkania.

— Jesteś fantastyczna, *Catwoman*. Jak ty to zrobiłaś?

— Tajemnica. — Następnie pochylałam się ku niemu i szepczę mu do ucha:

— Masz wszy łonowe, ty baryło?

— Dzięki. — Ricky parska śmiechem, całuje mnie w policzek i wtapia się w tłum.

W Ogrodzie Zimowym nie ma Arsène'a. Idę więc przez recepcję do Domku Kapitańskiego. Przy jednym ze stolików siedzą Tilly i Generał, pogrążeni w ożywionej rozmowie. Chociaż są sąsiadami od wielu lat, nigdy nie widziałam, aby zamienili ze sobą więcej niż pojedyncze słowa. To niespodzianka, która sprawia, że zaczynam szybko myśleć, jak poprzekładać terminy ich wizyt w salonie. Elastyczność to oczywista dewiza Salonu d'Amour — wszystko dla miłości. Może powinnam przeprosić Tilly. Jestem zakochana i życzę wszystkim jak najlepiej.

Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do Very i nie zrelacjonować jej sukcesów odniesionych dzisiejszego wieczoru. Jest najbardziej odpowiednią osobą na świecie do dzielenia się triumfami i radością z nich. Czuję, że buzuje we mnie i zaraz eksploduję, jeśli nie opowiem jej, co się wydarzyło. Do Very można spokojnie zadzwonić w środku nocy, ona nigdy się nie złości, tylko cieszy. Ale natężenie hałasu w sali tanecznej jest zbyt duże. Żeby porozmawiać przez telefon, musiałabym wyjść, a tego nie chcę. Chcę znaleźć Arsène'a. Nie ma go w Domku Kapitańskim.

Idę więc schodami na górę, do Sali Lustrzanej, w której jedliśmy kolację. Jest zamknięta. Ale przecież gdzieś tutaj musi być. Gdybym miała numer jego komórki, mogłabym wysłać SMS-a. Wracam na dół i całą wieczność sterczę i czekam przed toaletami. Potem robię kółko wokół parkietu. Nie tak łatwo jest rozróżnić kogoś ubranego na czarno, gdy niemal każdy ma czarny strój i tyle osób kręci się w tańcu. On przynajmniej jest wyższy od większości. Pytam Tove, czy nie widziała faceta we fraku, ale ona tylko kręci głową i drepcze za jednym z wielu sobowtórów Clinta na parkiet. Zupełnie czego innego się spodziewałam. Myślałam, że Arsène będzie czekał na mnie przy szatni.

Chyba musieliśmy się minąć, uznaję, i zerkam do Sali Hanzy. Raczej mało prawdopodobne, aby się w niej ukrył, jeśli chciałby być znaleziony, mimo to zaglądam tam i nagle odnoszę wrażenie, że znalazłam się w surrealistycznym świecie, widzę bowiem Kask Rowerowy i jej faceta migdalących się w kącie. Oboje są ubrani w śpiochy z pluszu w kolorze świńskiego różu. Mają rogi i ogony, a pogrzebaczki do ognia stoją obok nich. Czuję się tak, jakby śnił mi się jakiś koszmar, w którym bez przerwy na mojej drodze pojawiają się przeszkody, podczas gdy koniecznie muszę coś zrobić.

I wtedy go zauważam. Przy szatni. Właśnie mam go zawołać, kiedy widzę, jak podchodzi do niego smukła blondynka. Z pewnością siebie właściwą osobie uprawnionej całuje go w same usta. On uśmiecha się i otacza ją ramieniem.

Przecież powinien się cofnąć i odepchnąć ją od siebie?! Przecież on jest mój?!

Wychodzą, a ja za nimi, niczym lunatyczka. Mój wzrok nie jest zdolny zaakceptować tego, co widzi. Mój Arsène i obca kobieta wsiadają do taksówki. Udaje mi się zapamiętać numer rejestracyjny, zanim samochód z pasażerami w środku znika w ciemności, która zaczyna się rozjaśniać. Zbliży się świt, a ja stoję w miejscu kompletnie otumaniona. Tak samo dzieje się wtedy, kiedy człowiek mocno się uderzy i wie, że za chwilę zacznie go boleć, tylko najpierw musi nastąpić przekazanie odpowiednich impulsów nerwowych, które w końcu z opóźnieniem dotrą do świadomości i wtedy zacznie nieznośnie, nie do wytrzymania boleć.

Jakby tego było mało, w tym samym momencie Julius Różowa Pantera zostaje wyrzucony z baru i spada na łeb na szyję ze schodów. Nie zauważa, że lecąc w dół i walcząc o zachowanie równowagi, pociąga mnie za sobą i razem lądujemy na ziemi.

Gdy próbuję się podnieść, czuję, że boli mnie stopa, która jakoś dziwnie

się podwinęła. Siadam na stopniu i zdejmuję buty. Rozmasowując nogę, dochodzę do wniosku, że jazda na rowerze do domu byłaby potworną męką.

Po krótkiej chwili nabieram głęboko powietrza w płuca, wyjmuję komórkę i zamawiam taksówkę. Zaciskam zęby z bólu. Nie będę tu płakać, żeby nikt mnie nie zobaczył. Po prostu chcę do domu.

Mija cała wieczność, zanim przyjeżdża taksówka. Ma te same numery rejestracyjne co samochód, którym zniknął Arsène. W pierwszej chwili wydaje mi się, że szofer wygląda jak on. Na wypisanej ręcznie tabliczce widnieje nazwisko: Oskar Brodin. Jest wysoki, ciemnowłosy i ma tak samą sprężystą sylwetkę jak Arsène. Ale oczywiście to nie on. Jak człowiek jest zadurzony i wciąż ma przed oczyma swojego ukochanego, umysł płata takie figle.

Pomaga mi zawiesić rower na bagażniku. Ponieważ bolą mnie kolano i stopa, mam trudności z dostaniem się do środka, ale również w tym mogę liczyć na pomoc taksówkarza.

— Fiskargränd — rzucam i wzdycham ciężko. Nie mogę zacząć teraz płakać. Nie tak miał skończyć się ten wieczór.

— Mieszka pani na Fiskargränd! Jak zdobywa się dom w takim miejscu?

— Odziedziczyłam go. — Nie czuję się na siłach, żeby prowadzić konwersację, ale on jest taki miły, że postanawiam jednak trochę ocieplić swoją oschłą odpowiedź, dodając: — Odziedziczyłam go po rodzicach.

Kiedy przychodzi do płacenia, w pierwszej chwili nie mogę znaleźć karty. Czy Clemens rzeczywiście mi ją oddał? I czy jest jeszcze coś na niej po jego rundkach w barze? Ku wielkiej uldze znajduję ją w torebce w kieszonce na klucze i reguluję rachunek. Chwała Bogu transakcja nie zostaje odrzucona. Kiedy chcę wysiąść i oprzeć się na stopie, czuję taki ból, że nie mogę już dłużej powstrzymać łez.

— Aż tak źle? — pyta z przejściem taksówkarz.

— Obawiam się, że zwichnęłam sobie kostkę.

Oskar pomaga mi iść i pyta, czy nie pomóc mi przy obandażowaniu stopy. Mówię, że nie musi się fatygować, domyślam się bowiem, że zależy mu na wszystkich zleceniach, jakie mogą się trafić tej nocy. Ale jestem mu wdzięczna za troskę. Dlatego zanim odchodzi, wsuwam do kieszeni jego marynarki dodatkowy pięćdziesięciokoronowy banknot, którego nie chce przyjąć.

— Nie, nie, to dla mnie żadna fatyga — mówi i nieoczekiwanie poklepuje mnie po policzku.

Zamknąwszy za nim drzwi wejściowe, kuśtykam do okna w kuchni i patrzę w noc. U Tilly pali się światło. Nie jestem pewna, czy mi się nie przywidziało, ale odnoszę wrażenie, że sąsiadka ma gościa. Ja natomiast czuję się samotna. Zanim się zakochałam, żyłam jako singielka i było mi z tym całkiem dobrze. A teraz jestem po prostu sama.

Waham się, czy nie zadzwonić do Ulriki, bo to do niej zawsze dzwonię, jak jest mi źle. Vera tylko zbagatelizowałaby mój smutek i znalazła coś, z czego mogłaby się pośmiać, Ulrika zaś jest niezastąpiona, kiedy wszystko idzie w poprzek. Potrafi słuchać, nie pocieszając od niechcienia i nie marginalizując złości, bólu i smutku, który mamy prawo odczuwać. Jest jednak pewien szkopuł. Jej rada na koniec zawsze brzmi tak samo: „zaciśnij zęby i nie dawaj się”, a ja nie mam na to siły po raz kolejny. Chcę ryczeć.

Wyjmuję z włosów wszystkie szpilki, zrzucam z siebie ubranie, zostawiając bezładną stertę na podłodze, po czym wchodzę pod prysznic. Łzy mieszają się z ciepłą wodą z kranu, w końcu nie jestem w stanie już dłużej płakać. Co za idiotka ze mnie! Jak mogłam być taka głupia i uwierzyć, że to wszystko prawda?

Robię sobie herbatę i siadam do komputera, chociaż wiem, że powinnam iść do łóżka i spróbować zasnąć. Za kilka godzin mamy jechać do Naantali

— ja i moje siostry. To prezent od nich na moje urodziny. One na pewno mnie wesprą. Kiedy trzeba, jesteśmy naprawdę siostrami, nawet jeśli nie we wszystkim się zgadzamy. Lecz zanim się z nimi spotkam, muszę koniecznie uporządkować myśli.

Ptaki już się obudziły i zaczynają jazgotać za oknem. Kiedy drepczą i skaczą po dachu, brzmi to jak stukanie. Otwieram torebkę, żeby sprawdzić, co jest napisane na kartce, którą wykradłam z kieszeni Arsène'a. Okazuje się, że jest to tylko kretyńska lista zakupów.

Uruchamiam komputer. Na Facebooku pojawiają się już pierwsze komentarze na temat balu. Okazuje się, że Petter z CUS-u był najgorętszym singlem wieczoru. A Różowa Pantera największym looserem. Nie mam siły tego czytać, bo zaraz przypomina mi się moja klęska, więc wchodzę na angelika@boginilosu.se, żeby sprawdzić, czy nadęty bubek jeszcze się odezwał.

Jesteś tam, Sindbadzie? Nie wiem, co mam napisać, czuję się samotna. Chyba możemy dać sobie spokój z tymi wierszami. Domyślam się, że to może być dosyć niewygodne, zwłaszcza dla żeglarza. Cha, cha. Nie próbowałam być zabawna, to jakoś samo wyszło. Tak naprawdę jest mi smutno.

Ledwie skończyłam zdanie, przychodzi odpowiedź.

Dlaczego jest ci smutno, dziecinko? Przecież chyba wiesz, że możesz wszystko opowiedzieć dziadkowi Sindbadowi, prawda? Jestem bardzo starym człowiekiem i nadaję się już tylko do tego, żeby słuchać. Gdybyś była tu ze mną, w moim świecie, zrobiłbym ci gorącą czekoladę, a ty usiadłabyś mi na kolanach przed kominkiem i mówiła tak długo, dopóki wszystko, co trudne, nie zostałoby wypowiedziane.

Gdzie ty jesteś?

Czuję, że mimo woli robię się ciekawa.

W innym wymiarze. Nasze światy nigdy się nie spotkają. Możemy

komunikować się ze sobą jedynie przez tę dziurę w cyberprzestrzeni. Moim światem rządzi uskrzydłony potwór. Nazywa się Szefową. Jej jedno jedyne spojrzenie jest w stanie sprawić, że krew stężałaby w twoich żyłach.

To brzmi strasznie. W jaki sposób mój list trafił w twoje ręce, Sindbadzie?

Wypłynął z kloaki w podłodze. Czasami rzeczy z twojego świata spadają jak meteoryty w moim. Butelka po absynce musiała dostać się do morza przeznaczonych na śmierć, które przybija do naszego brzegu. Dlaczego jesteś smutna, moje serce?

Chyba jestem wciąż odurzona i znajduję się w swego rodzaju szoku, bo przecież nigdy w życiu nie opowiedziałabym nikomu obcemu w sieci o Arsènie i zawodzie ostatniego wieczoru. Opisuję bez zahamowań, co się wydarzyło. Gdy naciskam „wyślij”, żałuję, że to zrobiłam. Przecież tak naprawdę nie wiem, kim jest ten Sindbad. Odpowiedź przychodzi natychmiast.

Mężczyzna w przebraniu, i ty go całowałaś? Ciekawe. Pocałunki to sprawdzony sposób przełamywania czarów i uroków, wiesz o tym? Ropucha może zamienić się w księcia i pewnie słyszałaś też o Śpiącej Królownie? Pocałunki to pozostałość alchemii z czasów, kiedy nasze światy jeszcze się łączyły, a magia była elementem sterowania codziennością. Magię pocałunków stosowałem bardzo dawno temu, jednak z tego, co pamiętam, była skuteczna. Powiedz mi, dziecinko, w co on się przemienił?

W kloaczego szczura!

To uważaj! W przypadku tych gryzoni zadziwiające jest to, że w laboratoriach zachowują się dokładnie tak samo jak ludzie.

JEM, WIĘC JESTEM

Fiński prom odbił od brzegu. Razem z siostrami usiadłyśmy w sali restauracyjnej, w której zamawia się jedzenie z karty. Chciałyśmy uniknąć przepychanek przy szwedzkim bufecie. Patrzymy na szkiery przesuwane się za brudną panoramiczną szybą. Na nabrzeża z luksusowymi willami i okazałymi pomostami, na maleńkie wysepki z rozsypującymi się chatkami, łódkami i obudzonymi do nowego sezonu żaglówkami.

W dniu własnych urodzin chciałoby się być szczęśliwym i pełnym optymizmu. A ja czuję się przygnębiona i pozbawiona nadziei, dopóki nie podchodzimy do bufetu z deserami. Bogactwo delikatnych wypieków, drobnych słodkości, pralin, czekoladek, wyrafinowanych galaretek i małych apetycznych ciasteczek jest po prostu nieopisane. Nie sposób być ponurą z czekoladą najwyższej jakości w ustach.

Kiedy zabieram się do sernika, który smakuje po prostu bosko, nie mogę powstrzymać się od uśmiechu na myśl o tym, że to jest dopiero wstęp do całej serii deserów, które będą serwowane w Naantali. Nie planuję jeść tam zdrowo, żeby wrócić w dobrej formie — zamierzam korzystać z życia. Moja stopa jest co prawda tylko lekko spuchnięta po wywrotce w towarzystwie przedsiębiorcy pogrzebowego, z kolanem też jest lepiej, jednak o długich spacerach nie może być mowy.

Po zejściu na dół do kabiny nastaje przyjemna chwila prywatności. Wsuwam sobie za wargę paczuszkę snusu. Przy wsiadaniu na pokład Verze i Ulrice zrewidowano torebki w poszukiwaniu napojów alkoholowych. Ale moja piersiówka z rumem przeszła zupełnie niezauważona, wepchnięta do na

pozór nienapoczętej paczki pieluch, kupionych wyłącznie w tym celu. Vera pije sok pomarańczowy.

— Naprawdę jesteś w ciąży? — odzywa się Ulrika.

— Tak, jestem! — Ku naszemu zaskoczeniu Vera zaczyna płakać.
— I jestem taka szczęśliwa.

— To cudownie — mówię ze ściśniętym gardłem i łzami w oczach, ponieważ jej słowa poruszają moją tęsknotę za dzieckiem, którego nigdy nie udało mi się mieć.

Ulrika jest znacznie chłodniejsza i bardziej pragmatyczna w swoim sposobie myślenia. Całkowicie zdana na siebie w wychowywaniu bliźniaków, od czasu do czasu mówi Verze i mnie, że jesteśmy bezwstydnie wolne od wszelkiej odpowiedzialności.

— Bliźnięta dwujajowe to uwarunkowanie genetyczne. Ty, Vera, też na pewno urodzisz dwojaczki i wtedy możesz zapomnieć o długim wylegiwaniu się w łóżku rano. Nie znajdziesz czasu na to, żeby spotkać się ze znajomymi czy wyjść na zakupy, nawet twoja higiena osobista ucierpi.

Gdy skończyłyśmy już rozprawiać o brzuchu naszej siostry, Ulrika chce poznać szczegółową relację na temat mojego romansu. Mówi o nim dosyć lekceważąco, jakby to była tylko jakaś fantazja. Opowiadam więc o wielkosobotnim balu maskowym, nie pomijając żadnych szczegółów. Między nami, siostrami, obowiązuje wymóg pełnej informacji.

— Jakie to szczęście, że odkryłaś to tak wcześnie. Ulrice zajęło pięć lat zrozumienie, że jej facet to zupełna katastrofa. — Vera unosi szklanę z sokiem jak do toastu. — Moje gratulacje!

— Faktycznie mam diabelnego farta! — mówię, wciskając sobie pod wargę kolejną prymkę snusu. — Dziękuję wam, wszystkie dobre duchy wszechświata, opiekuńcze boginki i przewodniczki za to, że pchnęłyście mnie prosto w ramiona idioty. — Wiem, że Vera zaraz umniejszy mój

problem. Wiem na pewno, że zaraz porówna moje nic nieznaczące cierpienie z kimś, kto ma znacznie trudniej. Ale mnie to w niczym nie pomoże. Nie poczuję się przez to lepiej.

Na dodatek Ulrika posypuje jeszcze ranę solą.

— Możliwe, że miałaś więcej szczęścia, niż ci się wydaje. Skąd wiesz, czy to nie jest jakiś zwykły naciągacz? Przecież nawet nie znasz jego nazwiska. A wygląd zgadza się z opisem podanym przez Tove: wysoki, ciemnowłosy i tajemniczy facet. Ona też się nie dowiedziała, jak on naprawdę się nazywa.

— Wysoki, ciemnowłosy i piwnooki. Wielu by się takich znalazło — mówię, bo ta myśl wydaje mi się kompletnie absurdalna.

Czarnowidztwo Ulriki nie zna granic.

— Powinnaś uważać, żeby się czymś nie zarazić. Facet, który miał intymne kontakty z tyloma kobietami, to chodząca bomba weneryczna — kontynuuję.

— Przecież wcale nie wiem, czy miał ich aż tyle — protestuję. — Widziałam tylko, jak całował tamtą blondynę.

Ulrika odbywała kiedyś letnie praktyki na oddziale ginekologicznym. Groźne choroby, katastrofy i nieszczęścia to jest sól życia, która pozwala jej rozkwitać i wznosić się ponad szarzyznę codzienności. Wygląda na wręcz podekscytowaną, kiedy poucza nas o mrocznych zaułkach miłości.

— Od zwykłego pocałunku można się zarazić stafilocokami, streptokokami, żółtaczką, opryszczką, kokluszem, anginą, odrą, zapaleniem opon mózgowych, gorączką trzydniową, mykoplazmą, świnką, gruźlicą, wścieklizną i zwykłą pocziwą grypą, żeby wymienić tylko niektóre z zagrożeń, na jakie się narażamy.

— I owsikami — wtrąca Vera i dostaje ataku śmiechu.

— A może to było tego warte — stwierdzam, urażona brakiem współczucia z ich strony.

— Nie sądzę. — Ulrika spogląda na mnie karcącym wzrokiem. — Jeśli nawet nie jest naciągaczem, to trudno go uznać za osobę godną zaufania. Kobieta, z którą go widziałas, to pewnie jego żona albo kochanka, albo sekretarka o nietypowo kompleksowym zakresie obowiązków. W gruncie rzeczy oszukał nie tylko ciebie, ale także ją, tamtą kobietę.

— Przecież my nie byliśmy razem. On mi niczego nie obiecywał. Najsmutniejsze jest to, że teraz czuję straszną pustkę — labiedzę. — Nie mam o kim myśleć i za kim tęsknić. — W swojej wyobraźni prowadziłam z nim niekończące się rozmowy. Już teraz mi ich brakuje, a także marzeń o przyszłości.

— Zostaje ci tylko wstrzemięźliwość. Nie ma bardziej uzależniającego narkotyku niż afirmacja. On ci mówi, że jesteś piękna i dużo dla niego znaczysz, a ty od razu czujesz, że żyjesz i jesteś fantastyczna. Dlatego teraz czujesz się pusta. Ale w nas, swoich siostrach, masz zawsze stabilną kotwicę życiową. Pamiętaj o tym.

— Dzięki. — To tak, jakbym przełączyła telewizję kolorową na czarno-białą. Zamieniła płaski ekran na wielki, kłocowaty telewizor z obrazem o kiepskim kontraście. — Jestem wam bardzo wdzięczna.

Vera ma ciężowe mdłości, więc zostaje w kabinie, podczas gdy my z Ulriką idziemy na górę zajrzeć do sali, gdzie można tańczyć. Zostajemy przez chwilę przy barze, a potem siadamy przy stoliku, każda ze swoją mrożoną margaritą. Drink wygląda jak należy, brzeg kieliszka jest oszroniony solą. Od razu zwracam uwagę na kobietę w zaawansowanej ciąży na parkiecie. Jej szczęśliwy brzuch jest otulony białą suknią z koronki. Mąż trzyma ją w objęciach, przysuwając się do niej na tyle, na ile pozwala stercząca wypukłość, ona zaś opiera mu głowę na ramieniu. Czuję ukłucie zazdrości. Zakazane, mające swe źródło w najgłębszej tęsknocie. Nigdy nie będę miała dziecka, nigdy nie doświadczę takiego stanu. Za późno.

Niedaleko nas, przy stoliku pod oknem, siedzi kobieta z kilkumiesięcznym dzieckiem w nosidełku na piersi. Nie mogę oderwać oczu od malucha i uśmiecham się, słysząc jego szczebiotanie. Widzę zagłębienia w nadgarstkach, jakby pozostawione przez odciśnięte gumki, i okrągłe oczka. Malutki nosek wygląda od czasu do czasu zza materiału nosidełka w niebieską kratkę. To niemowlę skupia całą moją uwagę, podczas gdy Ulrika wypatruje facetów. Rzadko ma szansę wyrwać się z domu. W ciągu tych dni, które spędzimy we trzy w Naantali, bliźniakami zajmie się mama Ricky'ego. Przysługa za przysługę.

Ulrika zostaje poproszona do tańca, ja zaś przelotnie rzucam okiem na jej partnera. Ma policzki chomika i smętne oczy. Żarzy się ciepłem, ale moja siostra zachowuje chłód w swojej niebiesko-białej sukience. Myślę o Arsènie, jak miło było tańczyć blisko niego i czuć jego zapach, jego rękę obejmującą mnie w pól. Po chwili zdecydowanie odsuwam ten obraz. Im szybciej o nim zapomnę, tym lepiej. Widzę jego i ją na balu — szczupłą blondynę z włosami zebranymi w koński ogon, a z nią mojego ukochanego. Ona całuje go w usta, a potem wsiadają do taksówki, aby w domu dokończyć to, co zaczęli. Kto wie, może flirtowanie z innymi jest dla nich podniecią, pobudza ich apetyt i nie pozwala wygasnąć pożądaniu.

Żeby przestać myśleć o Arsènie, zmuszam się do policzenia wszystkich mężczyzn z krawatami, a potem tych, którym poprawiłabym fryzury, i dochodzę do wyniku siedemnastu do trzydziestu dwóch. Jeśli nadal będę zaprzętać sobie głowę Arsène'em, popsuję całą wycieczkę. Czuję się zraniona i wypalona, toteż spławiam burkliwie jakiegoś lekko wstawionego gościa, który prosi mnie do tańca. Pewnie teraz on czuje się stary, brzydki i wypalony, dlatego wstydzę się, że nie zgodziłam się na jeden bzdurny taniec, żeby podbudować jego poczucie wartości, ale po prostu nie jestem w stanie. Nie chcę, żeby ktokolwiek mnie dotykał. Ulrika usiadła przy stoliku

Chomika i dyskretnie macha do mnie. Rozumiem, że mam jej nie przeszkadzać. A Vera prawdopodobnie zasnęła.

Wychodzę i kręcę się przez chwilę po sklepie wolnocłowym. Zaczynam wąchać męskie perfumy, żeby znaleźć wodę kolońską Arsène'a. Kiedy uświadamiam sobie, co wyprawiam, od razu przestaję.

Zostaje ogłoszony konkurs, kto najdłużej utrzyma w wyprostowanych ramionach dwa bag-in-boksy. Natychmiast się zgłaszam. Wkładam w tę rywalizację całą swoją wściekłość i gniew i dochodzę do finału, lecz ulegam Fince o nieprawdopodobnej *sisu*. Kobieta zapada się w sobie, wprawiając się w rodzaj medytacyjnego transu, i chyba mogłaby wytrzymać Bóg wie jak długo. Jako nagrodę pocieszenia dostaję czekoladki Polly.

Nagle strasznie mi się chce porozmawiać z Sindbadem. Wykupuję sobie w recepcji kartę internetową, potem jadę windą na samą górę, siadam we foyer sekcji konferencyjnej, gdzie nie ma żywego ducha, i włączam komputer, żeby zobaczyć, czy Sindbad nie śpi. Okazuje się, że chyba jest nocnym markiem.

Co robisz, Sindbadzie?

Naprawdę zależy mi na tym, żeby był po drugiej stronie i miał ochotę pogadać. Bardzo bym się zawiodła, gdyby i on tego wieczoru mnie olał. Nie muszę jednak czekać długo na odpowiedź.

Wciąż tylko robisz i robisz! W moim wieku nie robi się już tak wiele.

Nie?

To brzmi, jakby był między setką a śmiercią. Potrafię go sobie wyobrazić jako drobnego, zaszuszonego starca, który siedzi pochylony na jedną stronę w za dużym fotelu.

Czasami dochodzę do wniosku, że wszystko to, czego według nas powinniśmy dokonać w życiu, przeszkadza nam w myśleniu o tym, co jest ważne.

A co twoim zdaniem jest ważne?

Jestem ciekawa, a jednocześnie stwierdzam, że czekoladki Polly się skończyły.

To, co uważałem za oczywiste... w czasie, kiedy życie toczyło się samo, tak jak dzieje się to w twoim świecie. Na przykład móc chodzić bosą brzegiem morza i czuć, że czas nie ma końca, zasypiać w ramionach ukochanej i rozkoszować się zapachem świeżo zerwanych poziomek, grać w kubb z przyjaciółmi. W moim zamierającym świecie żałujemy, że nie pielęgnowaliśmy miłości i przyjaźni, zanim klątwa nie zamieniła nas w zjawy. Nie jesteśmy już właścicielami naszych ciał. One należą do nauki. Co prawda wciąż potrafimy odczuwać bóle fantomowe i tęsknotę za dotykiem. Świat, w którym ty żyjesz, nazywany jest królestwem barw. Tutaj są setki niuansów jedностajności. Co robi bogini losu w taką rozgwieżdżoną noc?

Płynie fińskim promem, je czekoladki Polly i jest nieszczęśliwie zakochana. Kompletnie denna kombinacja jak na królestwo barw. Akurat w tej chwili nie mam siły być wśród ludzi. Wolę być tutaj z tobą, Sindbadzie.

Cieszę się. Smutek ma swój czas. Miłość ma swój. A skąd ta pewność, że jesteś nieszczęśliwie zakochana? Może wyciągnęłaś zbyt pochopne wnioski z tego, co zobaczyłaś?

W żadnym wypadku! Oni się całowali, przecież ci opowiadałam.

Nie, napisałaś, że ona pocałowała jego, a on pocałował ciebie. Moim skromnym zdaniem pocałunek jest aktem woli, jeśli nawet ma magiczne skutki. On cię pocałował, ponieważ tego chciał, i poczułaś się wtedy szczęśliwa. Potem został pocałowany przez kogoś, kto tego chciał, a ty poczułaś się nieszczęśliwa. Wyjaśnij mi te reguły, bo ja już od bardzo dawna nie mam do czynienia z taką alchemią.

On jest idiotą!

Możliwe, ale teraz analizujemy kwestię winy. Ona pocałowała jego. On się

nie bronił. Czy w zaistniałych okolicznościach czyni to z niego ofiarę, czy współprzestępcę?

Nie wiem.

Nie pomyślałam o tym w ten sposób.

A więc nie wiesz i rezygnujesz z miłości, nie ustalając prawdy. Tutaj, w królestwie cieni, nazwalibyśmy to grzechem śmiertelnym.

Nie możemy już dłużej rozmawiać, słyszę coraz bliżej kroki wielogłowego potwora.

A dlaczego ona jest taka przerażająca?

Usiłuję zrozumieć, jak wygląda jego świat. On pobudza moją wyobraźnię.

Więzi mnie w krainie pozbawionej nadziei swoimi narkotykami i wywarami. To nie pozwala mi przekroczyć granicy ku następnemu wymiarowi.

A dlaczego chcesz przejść do innego wymiaru?

Żeby móc spać i nie śnić. Dobranoc, dziecinko, niech grawitacja będzie z tobą, byś mogła pewnie kroczyć swoją ścieżką.

Dobranoc, Sindbadzie. Do następnego razu.

ZAMYKAM KOMPUTER, który jest jedynym oknem między naszymi światami, i postanawiam, że nie opowiem o Sindbadzie Żeglarzu swoim siostrom. To jest tajemna zabawa, którą chcę zachować dla siebie.

ŻYCIE SIĘ NIE KOŃCZY, ZANIM KOSTUCHA NIE POWIE „SZACH I MAT”

Po pięknych dniach w Naantali, wypełnionych zabiegami w spa, fantastycznymi posiłkami i spacerami brzegiem morza, pora wracać do domu. Po ostatniej kolacji leżymy w kabinie i gadamy do trzeciej nad ranem.

Vera zasypia w końcu, ale ja i Ulrika recenzujemy facetów, których ona poznała podczas wyjazdu. Moja siostra nabrała niemal stuprocentowej pewności, że wszyscy mężczyźni, którzy są cokolwiek warci, są już zajęci. Jeśli są wolni, to znaczy, że coś jest z nimi nie tak. Czyli nierozwiązywalny dylemat. To jest postawa, która zupełnie nie przystoi bogini losu. Słuchając jej, kręcę głową, bo nie zgadzam się na ten wrodzony pesymizm.

— Nie ma już normalnych facetów. Albo są nierobami i mieszkają z mamusią, chociaż mają już czterdziestkę na karku, albo są uzależnieni od seksu i wciąż oplakują swoje wszystkie eks i piją na umór, albo są sztywnymi nudziarzami.

Mówi się, że prawdziwy pesymista z dwóch złych możliwości zawsze wybiera obie. Taka właśnie jest moja młodsza siostra Ulrika. Jeśli tylko dopatrzy się u kogoś jakiegoś mankamentu, od razu jest przekonana, że cały człowiek jest do niczego. Próbuję zmusić ją do trochę bardziej elastycznego myślenia i patrzenia na mężczyzn w nieco bardziej zniuansowany sposób.

— Ważna zasada to nie brać sobie za partnera kogoś, kto ma większe problemy od nas samych. Nikt nie jest idealny — próbuję.

— Arsène Lupin jeszcze do niedawna wydawał się jedyną istotą we

wszechświecie pozbawioną wad — odparowuje Ulrika trochę zbyt kąśliwie jak na mój gust. Podejrzewam, że od chwili, kiedy jej o nim opowiedziałam, zrobiła się zazdrosna o samo uczucie, zakochanie. Jak pamiętam, ona nigdy nie mówiła o sobie, że jest po uszy zakochana. Nawet w związku z ojcem bliźniaków nie było na początku specjalnie dużo ognia. Ulrika wciąż tęskni za wielką miłością.

— Możliwe, że Arsène jest... idealny. Być może źle oceniam sytuację. — Bynajmniej nie jestem co do tego przekonana, ale psychodeliczne aforyzmy Sindbada otworzyły moje zmysły.

— No chyba nie mówisz tego poważnie?! W końcu trzeba mieć trochę szacunku dla samej siebie, Angeliko! Przecież nawet nie wiesz, jak on się nazywa. Nawet tego nie wiesz! Porządni ludzie przedstawiają się z imienia i nazwiska. On jest dla ciebie nikim, moja droga. Jestem pewna, że trzyma jakiegoś trupa w szafie. Sama mówiłaś, że to magik, i nagle, nie wiadomo jakim cudem, otworzył drzwi u Ricky'ego? Nie pojmujesz, że to kryminalista?

Kiedy dopływamy do Visby, dzwoni Ricky i prosi o wolne przedpołudnie. Musi wysprzątać swoje mieszkanie. To sprawa życia i śmierci, mówi, a ja się domyślam, że chodzi o wizytę kobiety. Albo zapowiedział się ktoś z ochrony środowiska, ze stowarzyszenia opieki nad zwierzętami lub Anticimexu, żeby zaprowadzić porządek, a jego postawić przed sądem, jeśli nie będzie wypełniał swoich obowiązków jako właściciel papugi. Rozumiem wagę problemu, bo przecież widziałam ten bajzel i pozwoliłam Arsène'owi brodzić po tym wszystkim. Dlatego daję mu wolne.

Przed salonem zastaję kolejkę, mimo że nie ma jeszcze dziesiątej. Pierwsza stoi mama Alexandry, a za nią, oparty jedną ręką o mur, w ulubionej pozie Różowej Pantery, czeka z kwaśną miną przedsiębiorca pogrzebowy. W ręce trzyma perukę, którą chce mi pewnie oddać. Ricky namówił go, żeby zamiast

farbować włosy, wypożyczył sobie jedną z naszych peruk. Powinien być więc zadowolony i wdzięczny. Bo raczej trudno się spodziewać, żeby ktoś chciał być rozśmieszany przez kłowna na pogrzebie własnej matki.

Za Julusem stoi Jonna. Zaraz po maskaradzie zamierzała obciąć włosy na długość jednego centymetra, choć niedawno zafundowała sobie pasemka. Wygląda na zirytowaną. Prawdopodobnie Julius próbował ją zabawić paroma swoimi historiami i doszło do słownego zwarcia.

Otwieram i zapraszam ich do środka. Mama Alexandry odrzuca do tyłu swoje rozjaśnione włosy i bierze mnie pod ramię.

— Musimy porozmawiać, Angeliko!

— Tylko szybko, bo mam zapisanych klientów.

— To ważne.

Zostaję przez nią niemal wepchnięta do pokoiku socjalnego. Ta kobieta od zawsze ma skłonność do przysuwania się zbyt blisko do innych, a jeśli ktoś się cofa, ona robi kolejny krok do przodu. Zdaję sobie sprawę, że to daje jej psychologiczną przewagę, stoję więc nieruchomo, choć mam wrażenie, że ona zaraz ugryzie mnie w nos.

— Alexandra chce być twoją modelką na Visby Fashion Weekend. Chciałabym, żebyś powiedziała mi trochę o choreografii, aby Alexandra mogła się przygotować, poza tym pewnie trzeba będzie trochę dopasować stroje, a to przecież też wymaga czasu.

— Odmówiłam jej.

— Wiem. Ale to przecież nie było na poważnie? Alexandra się zgadza, a ubrania z mojego sklepu są do dyspozycji. Nie widzę najmniejszego problemu, droga Angeliko.

Mówiąc, prychna mi w twarz śliną, a ja w tym momencie przypominam sobie wykład Ulriki o bakteriach i wirusach. To może być świadoma wojna biologiczna.

— Alexandra mnie spytała, a ja powiedziałam „nie”. Mam inną modelkę.

— Przecież to śmieszne. Kogo? Wszyscy wiedzą, że Alexandra podjęła się tego wyzwania, i poczują się strasznie zawiedzeni, jeśli jej tam nie będzie.

Kto to jest?

— To niespodzianka. A teraz przepraszam cię, ale muszę zająć się klientami.

— Dobrze wiesz, Angeliko, że ja nie należę do tych, co przyjmują odmowę. Jeszcze nie powiedziałam ostatniego słowa. Uważam to za zniewagę i czystą złośliwość. Rozumiesz, co mam na myśli?

— Przyjmij wreszcie, że ona się nie zgadza. — Nagle nos za kotarę wtyka Jonna. Nie ma czasu czekać dłużej. — Chcesz wiedzieć, kto będzie jej modelką w tym roku, to sobie popatrz. — Jonna pokazuje na okno, za którym właśnie przechodzi Tilly ze swoim balkonikiem.

Mama Alexandry spogląda z niedowierzaniem, lecz kiedy żadna z nas nie prostuje, że to żart, jej twarz posępnieje.

— Chyba nie mówisz tego na serio. Przecież ona ma ponad osiemdziesiąt lat.

Podchwytuję pomysł i potwierdzam:

— Jak najbardziej na serio. Tilly ma fantastyczne włosy i postawę królowej.

To naprawdę nie jest głupia myśl. Ani trochę. Tilly pcha przed sobą balkonik jak wózek na zakupy. Ta koncepcja całkiem mi się podoba. Jeszcze żadna osiemdziesięciolatka nigdy nie pokazała się na wybiegu. To byłoby coś unikatowego, gdyby tak zaprezentować dojrzałą kobietę i udowodnić, że starość może być piękna. Gdyby jeszcze Generał zechciał wystąpić w roli pana młodego, byłaby to bardzo stylowa para.

— Jonna z przyjemnością zrobiłaby na ten temat reportaż. Obiecay mi, że będę mogła napisać o tym wcześniej.

Mama Alexandry wycofuje się z salonu. Otwieram swój kalendarz. Kto pierwszy?

— Jonna była pierwsza — mówi i przepycha się do przodu. — Hubba Bubba musi poczekać na swoją kolej — dodaje, zerkając kątem oka na Różową Panterę, który dla kawału włożył sobie perukę na głowę. Jeśli żywiłam niewielką nadzieję na to, że może uda mi się skojarzyć tych dwoje, teraz straciłam ją definitywnie. Rysuję trupa czaszkę w kalendarzu.

Po wyjściu Jonny zostaję z Julusem sama. Najpierw miał jasną fryzurę, potem ciemną i w końcu różową perukę, a teraz postanawia, że mam ogolić go na łyso. To najtańsze rozwiązanie.

— A może zostawić chociaż z milimetr? — próbuję go przekonać.

— Nie ma po co. Posłuchaj, ty spotykasz tu tylu ludzi, może znasz jakiegoś murarza? Bo ci, o których słyszałem, albo już nie żyją, albo piją na umór. Chciałbym postawić gigantyczny grill w ogrodzie, taki, co by pomieścił z dziesięć albo więcej monstualnych steków. Wegańskim kumplom Ricky’ego zawsze mówię: nie jem niczego, co nie miało rodziców.

— Będę pamiętać. Na razie żaden murarz nie przychodzi mi do głowy. Ale zbudowanie grilla to chyba nie taka trudna rzecz. Może powinieneś spróbować zrobić go sam?

W ŚRODOWE POPOŁUDNIE, kiedy Ricky jest już w salonie, mam zaplanowaną wizytę domową. Coś takiego robię jedynie w wyjątkowych przypadkach. Naima zamówiła perukę. Ma przerzuty nowotworu i niedługo przejdzie kolejną chemioterapię, a potem pewnie znowu straci włosy. Państwo pokrywa koszty dwóch sztucznych peruk albo jednej z prawdziwych włosów na rok. Ważne, aby były gotowe, gdy tylko zaistnieje potrzeba ich użycia. Wkładam do walizeczki peruki, które według mnie mogłyby być odpowiednie, gdyby okazało się, że nowa nie jest dobra. Naima ma około sześćdziesiątki i przez długie lata była kelnerką. Kiedyś miała miedzianorude

kręcone włosy.

Mówię Ricky'emu, że niedługo wrócę, i ruszam w stronę Almedalen. W budynku, w którym kiedyś znajdował się hotel, dziś mieści się oddział opieki dla pacjentów onkologicznych poddawanych terapii, a na piętrze urządzono hospicjum dla chorych w końcowym stadium. Wszelkie zabiegi odbywają się na szpitalnym oddziale onkologicznym.

Celem hospicjum jest łagodzenie dolegliwości i nadanie sensu dniom, jakie jeszcze pozostały chorym. Miejsce wybrano z ogromną pieczołowitością. Od jednej strony rozpościera się widok na park Almedalen ze wchodem słońca, a od drugiej, zachodniej, można obserwować morze, horyzont i fantastyczne zachody słońca, a także plażę Kallbadhuset z ciemnymi sylwetkami palm. Bliskość parku, biblioteki i nabrzeżnej promenady, na którą bez trudu można dostać się wózkiem, czyni z tego miejsca wprost wymarzoną siedzibę dla hospicjum.

Raka płuc wykryto u Naimy już w zaawansowanym stadium. Operacja nie jest możliwa, jednak postęp choroby można spowolnić za pomocą chemioterapii. Po ostatniej kuracji włosy zdążyły już jej odrosnąć i nawet zaczęły się kręcić, ale teraz znowu wypadną.

Naima siedzi w cieniu na tyłach domu z jakimś mężczyzną i karmi kaczki, które wyszły ze stawu i kręcą się całymi stadami dookoła nich. On wydaje się być w gorszej formie niż ona. Jest bardzo blady i oczy ma głęboko zapadnięte w wychudzonej twarzy. Naima głaszcze go przelotnie po ręce, gdy pcham ją na wózku do jej pokoju.

— Chciałabym, żebyś zgoliła mi już włosy, Angeliko. Pomożesz mi? To takie okropne, kiedy potem widzę, jak na poduszce albo pod prysznicem zostają ich całe garście.

Wyjmuje golarkę i piankę do golenia z łazienkowej szafki.

— A potem prosiłabym cię, żebyś mnie ładnie umalowała, oczywiście jeśli

zdązysz. Dziś wieczorem spotykam się z wyjątkowym mężczyzną. — Jej uśmiech przeradza się w śmiech. — Naprawdę, nie żartuję. Dopóki człowiek oddycha, życie się nie kończy.

— To brzmi interesująco.

— On jest interesujący.

Peruka jest bardzo twarzowa. Długie rude loki mają taki sam odcień jak jej naturalne włosy przed laty. Naima zamawia też krótką perukę, którą obiecuje jej przynieść od razu, jak tylko dostanę. Gdy wychodzę, widzę na jej twarzy nieznaczny tajemniczy uśmiech.

— Powodzenia, Naimo, życzę ci pięknego wieczoru. Dokąd pójdziecie?

— Do świetlicy. Pewnie będzie trochę hałaśliwie, bo w środy wieczorem jest zawsze gra w bingo, ale zarezerwowaliśmy sobie stolik pod oknem, a ja poprosiłam kierowniczkę, żebyśmy mogli zapalić świece.

OBCE MĘSKIE BUTY W PRZEDPOKOJU

Kiedy wracam do Salonu d'Amour, na fotelu Ricky'ego siedzi jakiś zrezygnowany mężczyzna. Mówię mu dzień dobry. To mąż Rut. Prawie go nie poznałam. Normalnie nosi zawsze okulary w ciemnej oprawce, bez nich zaś wygląda bardzo dziwnie. Kiedyś wspominał, że powinien sobie sprawić szkła kontaktowe. Domyślałam się, że właśnie to zrobił. Niedługo minie siedem lat od chwili, kiedy skojarzyłam go z Rut. Ma na imię Hans i od wielu lat pracuje w policji obyczajowej. Ricky'ego nie widać, więc wchodzę za kulisy. Kiedy odchyłam kotarę do pokoju socjalnego, niemal wtykam mu palec w oko, ponieważ stoi owinięty w zasłonę niczym poczwarka.

— Co ty wyprawiasz? — Widzę, że dzieje się coś dziwnego. Szepczę więc: — Dlaczego tutaj stoisz?

Ricky ma zagadkową minę.

— Przyjrzyj się temu gościowi na moim fotelu! — syczy gorączkowo, przykładając jednocześnie palec do ust, bo chce mi dać znać, żebym była cicho.

— Nie widzę nic nadzwyczajnego — odpowiadam najciszej, jak potrafię. — Znam go. To policjant.

— Tym gorzej. No przyjrzyj się mu. Widzisz, co on robi? — Ricky i ja stoimy ukryci za zasłoną, każdy za swoją połówką, niczym dwie poczwarki w kokonach, i zaglądamy do salonu. Po chwili zauważam jakiś ruch pod pelerynką zakrywającą niemal całą postać. Powolny, rytmiczny ruch pod środkową częścią materiału, jakby przybierający na intensywności.

— Teraz widzisz? — Ricky z oburzenia ma oczy okrągłe jak spodki. — Wyszedłem po żel do włosów, a kiedy chciałem wrócić, zobaczyłem, co on wyprawia. Nie miałem odwagi iść do niego z powrotem, bo nie wiedziałem, jak się zachować.

— Czy on sobie obciąga? — Nie wierzę, żeby coś takiego było możliwe, nie w moim salonie. I nie Hans. Jestem właścicielką tego lokalu i powinnam mieć jakiś plan działania w każdej sytuacji. Ale to Ricky jest facetem i wydawało mi się, że może jemu jako facetowi byłoby łatwiej powiedzieć, że to nie jest odpowiednie miejsce i pora.

— Na to wygląda. Jaką my mamy policję?! Wyrzucimy go, czy będziemy udawać, że nic nie widzimy? — Ricky oczywiście dostosuje się do mojej decyzji.

— Nie możemy stać za kotarą nie wiadomo jak długo. On już pewnie się zastanawia, co się z nami dzieje. — Czuję się wyjątkowo niezręcznie. Najchętniej wysłałabym do niego najpierw Ricky'ego, ale jako właścicielka salonu nie mogę uchylać się od odpowiedzialności. Tak więc odchrząkuję wyjątkowo głośno i opuszczam swoją kryjówkę za draperią. Ruch pod pelerynką nie zamiera. Czy ten Hans zupełnie postradał rozum? Nie ma za grosz wstydu?

— Coś takiego powinieneś robić w domu razem z Rut — mówię ostro.

Patrzy na mnie pytającym wzrokiem i nagle ruch pod pelerynką ustaje. Po chwili wyłaniają się spod niej dwie dłonie — w jednej Hans trzyma okulary, a w drugiej niewielką szmatkę do czyszczenia i czyści je dalej, ale już nad pelerynką, a ja niemal mdleję, kiedy zdaję sobie sprawę z nieporozumienia.

— Co masz na myśli? Co mam robić w domu razem z Rut?

— Rozwiązywać krzyżówki, cha, cha — rzucam. Biorę do ręki pierwszą lepszą gazetę i gorączkowo przewracam kartki, ale nie znajduje ani jednej szarady. — Ricky!

— ROZWIĄZYWAĆ KRZYŻÓWKI — rechocze Ricky, kiedy pożegnałam się już z Hansem, prosząc, żeby pozdrowił Rut. — Nie znałam dotąd tego synonimu.

— To nie ja miałam włochate myśli, tylko ty!

— To ty powiedziałaś, że on się onanizuje. Ja w ogóle nic nie mówiłam. Nic!

— Ale robiłaś dziwne miny i to skierowało moje myśli na niewłaściwe tory.

Przed wyjściem poświęcam jeszcze kilka godzin książkom rachunkowym, żeby Jessica mogła przejąć za mnie ich prowadzenie, a wtedy ja będę mogła się poświęcić swojemu głównemu zadaniu: splataniu nici ludzkich losów.

Pogrążona w myślach o randce Naimy oraz o tym, że życie trwa, póki nie wydamy ostatniego tchnienia, idę powoli na Fiskargränd. Zamierzam rozpakować się po podróży, a później wziąć długą, przyjemną kąpiel i na koniec usiąść przed domem w wieczornym słońcu przy filiżance herbaty. Tak wyglądają moje plany.

Przy skrzynce pocztowej stoi Tilly. Chwyta mnie za ramię, kiedy skręcam, żeby wejść na swoją posesję.

— Sprzedałaś swój dom, Angeliko?

— Słucham?

— Widziałam w gazecie w ogłoszeniach z wokandy. Człowiek jest ciekawy nowych sąsiadów.

— To musiała być jakaś pomyłka. Nie mam zamiaru go sprzedać.

Pozdrawiam Generała przez płot. Pucuje swojego ukochanego mercedesa, życząc mi miłego wieczoru.

Tymczasem wieczór przebiegnie zupełnie inaczej, niż zamierałam.

W przedpokoju stoi para obcych męskich butów. Beżowych mokasynów z plecionką na wierzchu. Joakim nigdy nie kupiłby sobie czegoś takiego,

przemyka mi od razu przez głowę. Na co dzień chodził w butach sportowych, a na sali sądowej miał zawsze na nogach czarne eleganckie półbuty marki Aristokrat. Był trochę snobistyczny pod tym względem.

Jestem pewna, że kiedy wyjeżdżałam do Naantali, żadne buty tu nie stały. Sprawdzam rozmiar. Joakim nosił 42, te mają numer 44.

Nic nie rozumiem. Przecież drzwi wejściowe były zamknięte. Otworzyłam je własnym kluczem. Nie wygląda też na to, żeby ktoś próbował je wyłamać. Oprócz tego w domu wyczuwam obcy, trochę mdły zapach.

Wchodzę bezszelestnie do kuchni i otwieram szafkę z kluczami. Klucz zapasowy wisi na swoim miejscu. Na stole stoi brudny talerz, a w zlewie widzę rondel z zaschniętymi resztkami spaghetti carbonara. Woda, która wykypiała z garnka z makaronem, przypiekła się na płycie.

Idę dalej śladem nieznanego. W łazience wisi nie mój ręcznik w białoszarej kratkę, a przy łazienkowej wadze stoi para ohydnych przydeptanych kapci. Drzwiczki pralki są zamknięte. Pamiętam, że tuż przed wyjazdem rozwiesiłam ostatnie pranie. Otwieram pralkę i wyciągam z niej męską koszulę, parę spodni, skarpety i slipy w jaskrawym kolorze.

Nagle słyszę charkotliwe chrapanie. W tym momencie zaczynam się bać. Nie jestem sama w swoim domu. Jakiś obcy mężczyzna wprowadził się do niego, chociaż zupełnie nie pojmuję, jak to możliwe. To może być jakiś ćpun, bandyta, gwałciciel albo psychopata. Moje siostry mieszkają wiele mil stąd. Generał jest starszym panem, którego nie można niepotrzebnie denerwować. Tymczasem pod moim dachem jest obcy człowiek! To kompletny absurd, ale musi się znaleźć jakieś wyjaśnienie. Nie wierzę w duchy potrafiące przenikać przez ściany i mury.

Ostrożnie naciskam klamkę w drzwiach do sypialni. Rolety są opuszczone i mój wzrok dopiero po chwili oswaja się z ciemnością. Stopniowo w mroku zarysowuje się czyjaś sylwetka i w końcu stwierdzam, że w moim łóżku leży

nagi mężczyzna. Bywają momenty, że miewam takie fantazje, a nawet czegoś takiego sobie życzę, jednak w tej sytuacji czuję się tak, jakbym dostała obuchem w głowę. Facet, wysoki na co najmniej dwa metry, jest owłosiony jak jakiś robal i ma na głowie rastamańskie warkoczyki. Jedna pięść spoczywa niczym łabędzie skrzydło na kroczu, a jego twarz przepełniona jest spokojem, niemal zadowolona.

W moich płucach kłębi się krzyk, nie pozwalam mu jednak się wydostać. Zadzwoić na policję? Jakie by to miało konsekwencje? Policji często towarzyszy Jonna z gazety, która, jak mi wiadomo, podsłuchuje policyjne radio. A nie chciałabym, żeby to tutaj znalazło się w prasie. Starczyłoby materiału na całą stronę w obu lokalnych wydaniach, może nawet na stronę tytułową. Bo na Gotlandii gazety zamieszczają prawdziwe wiadomości o ludziach, których wszyscy znają, w odróżnieniu od informacji wielkemiejskich, mówiących o celebrytach, których nikt nie zna osobiście. Celebrytach gotowych zrobić wszystko, by znaleźć się w mediach. Dlatego wiadomości stołeczne są tylko pseudowiadomościami.

Na wyspie na stronę tytułową może trafić informacja o tym, że komuś uciekły świnie, albo godny uwagi artykuł poświęcony nowinie, że ktoś wjechał prosto w mur obronny, ale nikt nie odniósł większych obrażeń, bądź że w Åhléns skradziono zestaw tipsów. I wszyscy wiedzą, kto to zrobił. Czyj brat, zięć albo ciotka sprowadziła hańbę na rodzinę.

Nie chcę być sfotografowana z nagim nieznajomym we własnej sypialni, myślę sobie, wymykając się do ogrodu, żeby zadzwonić do Ricky'ego. Ja chcę tylko mieć spokój.

— Czego, do cholery, bez przerwy ode mnie chcesz? Lepiej zadzwoń jutro, jak się uspokoisz, to może uda nam się normalnie porozmawiać.

— Dlaczego jesteś taki niegrzeczny, Ricky?

— Myślałem, że to chora na wściekliznę dziewczyna mojego brata.

Przepraszam. Dzwoni do mnie przez cały wieczór i się awanturuje.

Chętnie bym się dowiedziała, co on takiego zrobił, że sobie na to zasłużył, ale teraz nie ma czasu na dłuższe wywody.

— Ricky, musisz mi pomóc! U mnie w domu jest jakiś obcy facet. Jest całkiem nagi i leży w moim łóżku. Tylko się nie śmieje. Po prostu przyjeźdź. Zaraz!

Obiecuje, że ruszy natychmiast, mimo że najwyraźniej nie jest sam, bo w tle słycać rozdrażnioną papugę.

Siadam na ławce przy domku dla gości i czekając na niego, zastanawiam się. Kim jest tamten facet? W jaki sposób się tu dostał? Nigdy dotąd nie widziałam tego osobnika z warkoczykami.

— A MOŻE on się pomylił? — mówi Ricky, odstawiając rower, gdy już wpuściłam go przez furtkę do ogródka. Jego ubranie jest nieprzyzwoicie zakurzone i poplamione, a z czoła ociera sobie pot. Domyślam się, że sprzątał.

— Przecież dom był zamknięty!

— Może przez przypadek miał klucz, który akurat pasował. Zdarza się. Brat mówi, że w volvo są tak zestandaryzowane zamki, że co trzeci samochód da się otworzyć tym samym kluczykiem. Poza tym on potrafi otworzyć drzwi każdego volvo paznokciem kciuka — i to śpiewająco.

— Mój tata też to umiał. Jednak moim zdaniem to mało prawdopodobne, żeby ten nieproszony gość mógł mieć pasujący klucz — zauważam.

— Cała ta historia jest mało prawdopodobna. Minęło ponad siedem lat od czasu, kiedy w twoim łóżku leżał nagi mężczyzna — zastanawia się Ricky.

— A czy przypadkiem nie przyprowadziłaś go ze sobą z maskarady, a potem zapomniałaś o nim, kiedy wyjeżdżałaś do Naantali?

Jedynie kręcę głową, nie jestem w stanie nic powiedzieć na taki idiotyzm.

— A może to jakiś daleki krewny, który chce mieć darmowy wikt

i opierunek w wakacyjnym raj? Takie darmozjady zwykle pojawiają się, kiedy robi się ciepło i słonecznie.

— A nawet gdyby, to i tak nie wyjaśnia, jak on znalazł się w środku. Drzwi wejściowe były zamknięte. Nie ma na nich żadnych śladów włamania, na oknach od ulicy też nie.

Ricky podaje mi rękę i pomaga wstać z drewnianej ławki przy narożniku domu.

— Wobec tego uważam, że trzeba go spytać, prosto z mostu i nie owijając w bawełnę, czy wpadł do domu przez komin. Może on jest z innej planety, z którą zderzyła się jakaś kometa, i został rzucony w kosmos na meteorycie, no i wylądował akurat w twoim kominie.

— Bardzo śmieszne! A jeśli on nas zaatakuje — to co zrobimy?

— Rzecz jasna musimy się uzbroić. — Ricky zagląda do komórki z narzędziami, po czym wychodzi z niej z siekierą i kijem bejsbolowym. — No to idziemy — mówi, robiąc na próbę zamach w powietrzu.

— No to idziemy — powtarzam za nim z siekierą w rękę. Kiedy byłam mała, zabawialiśmy się w rzucanie siekierą w drewnianą ścianę stodoły dziadka. Toteż dzierżąc znajomą mi broń, czuję się teraz pewniejsza. Ruszamy w stronę domu. — Ty pierwszy — mówię do Ricky'ego.

Gdy skradamy się na palcach pod drzwi sypialni, czujemy się trochę jak na urodzinowym przyjęciu-niespodziance, choć w tym wypadku z całą pewnością nie będzie żadnego tortu ani wspólnego śpiewania *Sto lat*. Gdyby nie ten nieproszony gość, miałabym spokojny i piękny wieczór. Być może siedziałabym przy komputerze i rozmawiała z Sindbadem, myślę zawiedziona, uchylając ostrożnie drzwi sypialni. Intruz przewrócił się na bok i pierwsze, co rzuca nam się w oczy, to jego wielki owłosiony zadek.

— Jezu! — wybucha Ricky. Włochaty obraca się na drugi bok, ja zaś przymykam oczy, żeby nie widzieć jego dyndających klejnotów. W geście

przyzwoitości naciąga na siebie prześcieradło, zakrywając intymne części ciała, a potem siada wyprostowany z głową opartą o szczyt łóżka i gapi się na nas jak typowy krótkowidz. Wiedziemy wzrokiem za jego ręką, która po omacku szuka czegoś na nocnej szafce i w końcu natrafia na okulary. Gdy już ma je na nosie, rozdziera się jak zarzynane prosię, bo dopiero teraz widzi, że jesteśmy uzbrojeni.

— Czy byliby państwo uprzejmi mi wyjaśnić, co robią w moim domu?
— pyta, kuląc się w obliczu naszej wyraźnej przewagi.

Czuję, że narasta we mnie furia.

— Co ty sobie wyobrażasz? To jest mój dom! Leżysz w moim łóżku i to ja żądam wyjaśnienia! — Wpatruję się w niego, zastanawiając się, czy ten facet kompletnie postradał zmysły.

On gapi się na mnie, a ja dostrzegam w jego oczach to samo pytanie. Kiedy znowu się odzywa, mówi łagodnym głosem, jak do szaleńca, którego lepiej nie drażnić:

— Kupiłem ten dom. Mam na to papiery. Kim wy jesteście? — Zerka to na kij bejsbolowy w pięści Ricky’ego, to na siekierę w mojej dłoni, potrząsając swoimi warkoczykami.

— Czy mogłaby pani odłożyć tę siekierę? Czuję się bardzo niekomfortowo. Nie jestem przyzwyczajony, aby budzono mnie w ten sposób.

— Nie jesteś przyzwyczajony do budzenia w ten sposób? — Ricky nie może powstrzymać się od śmiechu.

Jestem nadal zbyt wściekła i nabuzowana adrenaliną, żeby dostrzec jakikolwiek komizm w tej sytuacji.

— Mógłbyś wyświadczyć nam przysługę i ubrać się, a potem przyjść do kuchni, żeby porozmawiać?

— To nie jest takie proste — odpowiada z zakłopotaniem.

— Wystarczy to po prostu zrobić. — Ricky podejrzewa, że facet jest obłąkany, widzę to po nim.

— Niezupełnie. Bardzo przepraszam, ale nie sprowadziłem jeszcze wszystkich swoich rzeczy, a ubranie, które miałem na sobie wczoraj, jest w pralce.

— Pod żadnym pozorem nie wolno ci sprowadzać tu swoich rzeczy!
— Ricky wygląda tak, jakby dostał ataku szału.

Idę pierwsza do kuchni, żeby się jakoś pozbierać. W moim łóżku leży goły facet, a ja nie mam pojęcia, jak on się nazywa. Z tej perspektywy wydaje mi się mniej dziwne, że całowałam się z Arsène'em, też nie znając jego nazwiska. Najwyraźniej takie rzeczy się zdarzają, jeśli jest się marionetką losu.

Z sypialni dochodzi powolny głos intruza.

— Mam umowę. Mogę udowodnić, że kupiłem ten dom dobre trzy tygodnie temu. Za milion koron. Moi rodzice wzięli kredyt.

— On jest wart cztery razy tyle — oburza się Ricky w moim imieniu. — Zaraz sobie obejrzymy tę twoją umowę. — Wpycha przed sobą gościa z warkoczykami do kuchni, w której ogarnęłam na tyle, że możemy usiąść przy stole. — Dom jest wart co najmniej cztery miliony — precyzuje Ricky.

— Takiej sumy nie byłbym w stanie zapłacić. Nie odziedziczyłem żadnej fortuny, utrzymuję się z pensji bibliotekarza. Znalazłem go na Dom za bezcen. To taka strona internetowa. Zakochałem się w nim od pierwszego wejrzenia, to dom moich marzeń. Dzięki szybkiej decyzji zapłaciłem za niego taniej. W cenie mieściło się umeblowanie i wyposażenie. Ten, kto go sprzedawał, niedawno go kupił, ale się rozmyślił. Kim wy jesteście? Próbujecie wymusić ode mnie więcej pieniędzy?

Kuli się w sobie w załosny sposób. Niewielkie usta układają się w o. Facet ma rzeczywiście stosunkowo małe usta.

— Ja tutaj mieszkam. To jest mój dom rodzinny. Zostałeś oszukany. Ta nieruchomość nigdy nie była na sprzedaż. Od kogo go kupiłeś?

— Dom należy do mnie. Transakcja została zarejestrowana w urzędzie i mam na to potwierdzenie. Chwileczkę.

Mężczyzna wstaje i wolną ręką wyciąga z kieszeni kurtki kopertę. Jest w nim coś kruchego i żalosego, co sprawia, że moja furia mija. Powolnymi ruchami rozkłada umowę, w której rzeczywiście jest napisane, że nabył nieruchomość za milion koron. Papier jest podpisany przez Ludviga Svenssona jako kupującego i Stevena Nilssona jako sprzedającego. Prawie spadam z krzesła, kiedy uzmysławiam sobie, kto sprzedał mój dom. Obdarty Steven!

— Jak wyglądał człowiek, od którego kupiłeś dom? — pyta Ricky.

Ludvig podpira brodę palcem wskazującym jak dziewczyna i zastanawia się, ściągając znowu usta w o.

— Był wysoki... miał piwne oczy i czarujący uśmiech.

POLOWANIE NA OBDARTEGO STEVENA

— Nie wydało ci się podejrzane, że taki dom kupiłeś za takie małe pieniądze?

— Ricky wydaje się zszokowany.

— Ten wysoki ciemnowłosy facet, Steven, powiedział, że to spadek. Kupił dom od niejakiej Angeliki Lagermark, a ona odziedziczyła go po swoich rodzicach.

— Wysoki ciemnowłosy facet to nie Steven — protestuję.

— Powiedział jeszcze, że cena jest niska dlatego, że zależy mu na szybkiej sprzedaży, bo wyjeżdża za granicę. Mam papiery na to, że dom należy teraz do mnie, mam zarejestrowaną umowę i wziąłem milion koron kredytu. Gdzie ja mam się w takiej sytuacji podziąć? — Ludvig jest bliski płaczu, w jego i tak wodnistych oczach pojawiają się łzy, a na czole nabrzmiewa żyła.

— Ciekawe, czy centralny urząd reklamacji mógłby podważyć tę transakcję

— ciągnie, bezradnie okręcając sobie wokół palca jeden z warkoczyków.

— Właśnie staram się o pracę w bibliotece Almedal i mam szansę ją dostać. Ale jeśli nie będę miał mieszkania, nic z tego nie wyjdzie.

— Rozbij sobie namiot na Norderstrand — proponuje Ricky nieśmiało. Znalezienie jakiegoś lokum w Visby u progu lata, tuż przed inwazją turystów, to utopia. — Jeślibyś się zdecydował, mogę ci pożyczyć materac dmuchany. Co prawda nie jest całkiem szczelny, ale wystarczy go podpompować tylko raz w nocy, a wytrzyma do rana. Prawie na sto procent.

— Nie możecie tego zrobić. Nie możecie wyrzucić mnie na ulicę!

— Ludvig jest przerażony. Zaczyna się jąkać, a jego małe usteczka otwierają

się i zamykają jak u ryby wyrzuconej na ląd. — Sprzedałem swoje mieszkanie w Nynäshamn jakiejś rodzinie z dziećmi. Właśnie wprowadzili się w ostatni weekend. — Resztę mówi szeptem ze wzrokiem utkwionym w podłodze.

— Jasne, że dopóki wszystko się nie wyjaśni, możesz tu mieszkać — słyszę własny głos. — Nie rozumiałam, co powiedziałaś na końcu. Mógłbyś powtórzyć?

— Moje rzeczy firma przeprowadzkowa przywiezie jutro rano.

— Tutaj?

Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, czuję, że kręci mi się w głowie. Nie sposób tego pojąć. Może to tylko jakiś majak senny, z którego zaraz się obudzę zlaną zimnym potem, ale z uczuciem ulgi.

— Pomyślałem sobie, że w kuchni mógłby stać stół jadalny babci i jej kuchenna ława. Do salonu mam witrynę z bejcowanego na ciemno dębu. Byłbym wdzięczny, gdybyś usunęła stamtąd pianino.

— Usunęła pianino? — Teraz to już mnie wkurzył. — Nigdy!

Ludvig wygląda tak, jakby chciał zapaść się pod ziemię.

— Nie wiem, jak to powiedzieć najdelikatniej. To strasznie trudne i emocjonalne. Nigdy nie miałem zamiaru być dla kogoś ciężarem. Nie bądźcie na mnie źli, ja tego nie wytrzymam. Naprawdę nie chcę sprawiać kłopotu. Staram się, jak mogę... — Ludvig jest bliski hysterii, więc muszę go uspokoić, chociaż sama chyba zaraz zwariuję.

— Musimy to wszystko rozwiązać na spokojnie i bez nerwów. — Jestem pełna złych przeczuć.

— Odwagi, chłopie, i wal prosto z mostu. — Ricky'ego wyraźnie irytuje, że Ludvig mamrocze pod nosem i nie potrafi przejść do rzeczy. Dlatego uderza pięścią w stół, a tamten aż podskakuje na krześle. Ale przynajmniej zaczyna mówić bardziej składnie. Aby nie musieć patrzeć mi w oczy,

przymyka powieki.

— Wystawiłem twoje meble na sprzedaż w Internecie. Nie było ani jednego chętnego na stare pianino, więc podałem cenę dwieście koron.

— Możesz powtórzyć, co zrobiłeś?

— Meble wstawiłem na Blocket¹, a ludziom z Czerwonego Krzyża powiedziałem, że mogą przyjść i zabrać sprzęt domowy, ozdoby i ubrania. Kiedy usłyszałem, jak wchodzicie, pomyślałem w pierwszej chwili, że zapomniałem zamknąć drzwi na klucz i właśnie zjawił się ktoś od nich. Dopóki nie zobaczyłem, że jesteście uzbrojeni.

— Jak się dostałeś do środka? — pytam.

— Miałem klucz. — Ludvig wyjmuje go ze swojego portfela.

— Wygląda na świeżo dorobiony. — Ricky bierze go z ręki Ludviga.

— A więc teraz są trzy klucze. To trzeba zgłosić na policję i dopaść Obdartego Stevena. — Gdy odrętwienie mózgu zaczyna ustępować, odzyskuję wolę działania i energię. — I to jak najszybciej! A ty, Ludvig, wycofaj ofertę z Blocket!

— A ja? Co będzie ze mną? — Ludvig podejmuje wątplwą próbę podniesienia się z krzesła. — Gdzie ja dzisiaj będę spał?

— Możesz się na razie zatrzymać w domku dla gości, dopóki tego nie rozwiążemy. — Pędzę za Rickym i w ostatniej chwili wskakuję na bagażnik jego roweru, a potem on zaczyna pedałowac w kierunku schroniska Armii Zbawienia, gdzie mamy nadzieję znaleźć Stevena.

ALE NIE ZASTAJEMY GO TAM, udajemy się więc do Öster Centrum, gdzie na ławeczce na galerii mają zwyczaj przesiadywać jego kumple. Micke z nożem i Bebba, jego panna. Oboje zeznają zgodnie, że ostatnio widzieli Stevena na błoniach Östergravar, gdzie porządnie zabalował.

— Jakiś gościu dał mu siatkę z pięcioma, sześcioma flaszkami. Ale my staramy się wziąć na wstrzymanie — wyjaśnia Bebba. — Mickemu trochę

szwankuje wątroba.

— A jak wyglądał ten gościu, który postawił Stevenowi flaszkę?

— Widziałam go tylko z daleka. Wysoki, ciemnooki typ w płaszczu. Szykowny. Na pewno nie zarabia zbieraniem jagód.

Gdy Ricky pedałuje dalej ze mną na bagażniku, nieuchronnie przypomina mi się moja jazda na rowerze z Arsène'em.

Arsène.

Arsène wszedł ze mną do domu. Jest wysoki, ma ciemne oczy, przyjemny wygląd i zachowywał się w najwyższym stopniu tajemniczo. W jednej chwili dostał się nie wiadomo jak do mieszkania Ricky'ego.

Czuję ból, rozdzierający ból, kiedy myślę, że żywił wobec mnie tak podłe zamiary.

Ulrika jak zawsze miała rację. Gdzieś w głębi duszy czułam, że to drań, tylko nie chciałam tego dostrzec. Sindbad skłonił mnie do tego, żeby myśleć pozytywnie, i chwyciłam się tej deski ratunku.

LEJE JAK Z CEBRA, kiedy razem z Rickym przeczesujemy Östergravar. On bez przerwy zrzędzi, ale prawdopodobnie najbardziej wściekły jest dlatego, że zgodził się posprzątać swoje mieszkanie.

— Nie uważam, żeby przyjemnie było na dworze. Wiesz przecież, że jestem domatorem. W domu nie ma much i os. Jest ciepło, nie pada, nie ma śniegu, piekącego słońca, wszystko jest tak urządzone, żeby od kanapy było blisko do lodówki. Nie trzeba się mozolnie wspinać po żadnych pagórkach, żadne ciotki nie zawieszają się na bagażniku. Od początku świata człowiek wkładał niesamowity wysiłek w stworzenie sobie domu. Przebywanie w domu to dla naszego gatunku stan naturalny, tak samo jak dla ślimaków. Nie chcę być na dworze, chcę być pod dachem.

— Zrozumiałam, Ricky — mówię ze złością, ocierając oczy z zalewającego je deszczu.

— Albo weźmy takie chodzenie na bosaka. Dlaczego robić to na dworze, jeśli o wiele przyjemniej jest chodzić boso po domu — nie brudzą się wtedy stopy, między palce nie dostaną się igły, a w pięty nie wbijają się kamienie.

— Chyba że chodzi się boso po twoim mieszkaniu, wtedy można wdepnąć w ptasie gówno. Czy moglibyśmy pomówić o czymś innym?

— No więc masz teraz lokatora, z dredami i w ogóle — mówi, szczypiąc mnie w policzek. — Gratulacje! To musiało być przeznaczenie.

— Nie, to szwindel.

— Jeśli wszystko jest wynikiem przeznaczenia, oszustwo nie powinno być działaniem podlegającym karze — filozofuje dalej Ricky.

— Jak może nie podlegać karze! Chętnie osobiście bym mu przyłożyła. — Czasami już nie wytrzymuję tych wywodów Ricky'ego.

— Posłuchaj mnie. Chodzi mi o to, że jeśli wszystko wynika z przeznaczenia, to przesądzone jest też i to, że oszust musi popełnić przestępstwo. Rozumiesz? To też jest fatum. Czy w takiej sytuacji karanie go jest sprawiedliwe? Przecież to nie jego wina i on nic nie może na to poradzić, że los wyznaczył mu taką tragiczną rolę. Na dobrą sprawę należałoby mu wynagrodzić, że nie dostał roli bohatera.

— Przestań, Ricky, nie można rozumować w ten sposób.

— Można. Właśnie to zrobiłem.

— A nie mógłbyś po prostu się zamknąć?

— A ty nie mogłabyś po prostu mi podziękować, że zrezygnowałem z wieczoru w spokojnym zaciszu domowego ogniska, żeby ci pomóc i przepędzić gołych facetów z twojej sypialni?

— Kiedy do ciebie dzwoniłam, nie wyglądało to na spokojne zacisze. Bardzo łatwo dałeś się namówić. Zdaje się, że zrobiłeś unik. Uciekłeś w trakcie sprzątnia.

— *A man's got to do, what a man's got to do* — odpowiada zagadkowo.

— Co cię skłoniło do tego, żeby uczynić ten decydujący krok i wkroczyć do ziemi obiecanej szmat do podłogi i płynów do mycia okien? Niech zgadnę: dziewczyna. Tylko mi nie mów, że zaprosiłeś do siebie Alexandrę? — Myśl o niej w mieszkaniu Ricky’ego jest i zabawna, i niepokojąca.

— *I wish*. Czy marzenia mogą mieszkać w porwanych kieszeniach biednego mężczyzny?

Czasami się zastanawiam, dlaczego Ricky zawsze sięga po angielski, kiedy opisuje swoje uczucia. Szwedzki mu nie wystarcza?

— No to była Alexandra czy nie?

— Jesteś bardziej upierdliwa niż moja matka. Nie, to był brat. Potrzebuje trochę przestrzeni życiowej — jest w stanie wojny ze swoją partnerką. Ale zwykle im mija, kiedy pójda do psychoterapeuty i wygadają się za wszystkie pieniądze, jakie mają. Przypuszczam, że pomieszka u mnie przez ten tydzień, a potem, pod koniec miesiąca, będzie chciał pożyczyć parę koron.

— I dlatego sprzątasz?

— Tak, on ma takie wymagania.

SZUKAMY DALEJ Obdartego Stevena. Tu i ówdzie natrafiamy na nieduże kopce puszek po piwie i petów, na jakiś porwany koc i przemoczony karton po pizzy. Zaczyna się ściemniać. Pytamy pojedyncze osoby, które spotykamy, ale nikt go nie widział. Pod drewnianym mostem prowadzącym do Bramy Dalmana coś leży w trawie. Idę w tamtą stronę, zatrzymuję się w pół kroku i chwytam Ricky’ego za rękę. To jakiś człowiek. Nie rusza się. Podchodzę bliżej i przykucam. Dotykam jego ramienia i odwracam w swoją stronę. Ciało jest bezwładne. Kiedy widzę sinoblada twarz, nie mogę złapać tchu.

1. Blocket — największy internetowy portal handlowy w Szwecji. [\[wróć\]](#)

TO JEST WPIENIAJĄCE, UWAŻA RICKY

Ricky na widok leżącego całkiem nieruchomo Stevena wycofuje się. Mimo mroku tuż obok pobłyskuje w trawie trąbka. Usta są na wpół otwarte. Sprawdzam puls, ale nic nie wyczuwam. Zajeżdża wódką.

— Nie żyje? — Ricky zasłania sobie usta zwiniętą pięścią.

— Na sto procent — stwierdzam i powoli przesuwam dłonią po zimnym, zarośniętym policzku Stevena.

Ze ściśniętym gardłem wyjmuję komórkę i dzwonię do Rut. To najlepszy sposób, żeby uzyskać pomoc. Zwłaszcza od czasu, kiedy centrala alarmowa policji została zlokalizowana gdzieś na stałym lądzie. Przecież oni tam nie rozumieją naszego dialektu, nie mają pojęcia, kto to jest Obdarty Steven ani jak trafić na Östergravar. Nie mówiąc już o tym, ile czasu by zajęło przeliterowanie, czy to się stało w Krämplause, Uggarderoir czy Puttersjaus... Słucham? *Put your shoes...*?

Ambulans z Rut oraz z dwoma kolegami przyjeżdża niemal natychmiast. Stwierdzają to samo co ja. Stevena nie da się już uratować.

Jestem wstrząśnięta i robi mi się niedobrze. Rut bierze mnie pod ramię. Odchodzimy na bok i siadamy na lekkim wzniesieniu, żeby porozmawiać. Ricky wlecze się za nami, a potem chodzi nerwowo tam i z powrotem po ścieżce w pobliżu.

— Kręciliście się po mieście i szukaliście Stevena Nilssona. Dobrze zrozumiałam? — pyta Rut swoim zachrypniętym głosem, wyjmując notes, który do złudzenia przypomina mój kalendarz. Zapisuje w nim jakieś skrót

i znaczki, mimo że policja wprowadziła nowy system i teraz zjawia się na miejscu przestępstwa z przenośnymi komputerami. Rut zgłosiła nowy system do urzędu bezpieczeństwa i higieny pracy i zamierza rozbijać głową mur, jeśli zostanie zmuszona do używania tak nieefektywnych narzędzi, gdy do dyspozycji są papier i długopis.

Wyjaśniam jej wszystko od samego początku: że mój dom został przejęty przez nagiego bibliotekarza i że na umowie widnieje Obdarty Steven jako sprzedający, ale że to niemożliwe, aby on zawarł tę transakcję z Ludvigiem Svenssonem, bo sprzedający, z którym kontaktował się Ludvig, był wysoki, miał ciemne oczy i czarujący uśmiech, podczas gdy Steven był niski, korpulentny i niemal bezzębny.

— Angelika padła ofiarą oszusta — odzywa się Ricky, a ja posyłam mu ostrożny uśmiech w podziękowaniu, że nie podejmuje monologu o przeznaczeniu i nie kwestionuje całego systemu wymiaru sprawiedliwości.

— To już piąty w tym roku przypadek bezprawnego przejęcia nieruchomości — stwierdza ponuro Rut. — Do tej pory nic podobnego się tutaj nie zdarzało.

— Ale jak Ludvig mógł legalnie nabyć mój dom? Nie pojmuję.

— Niestety to całkiem proste. Idziesz do księgarni i kupujesz gotowy formularz umowy, wypełniasz wszystkie dane i posyłasz do urzędu rejestracyjnego. Tam nikt nie sprawdza, czy umowa nie jest podrabiana. Oni nawet nie wysyłają sprzedającemu żadnego potwierdzenia. Podejrzewam, że twój dom został sprzedany w dwóch podejściach. Najpierw powstała umowa, na podstawie której Steven kupił dom od ciebie — twój podpis został sfalszowany. Zaliczka wpływa na nowo otwarte konto. Po dostaniu potwierdzenia rejestracji można dom zastawić albo odsprzedać. Pieniądze od bibliotekarza z całą pewnością wpłynęły na konto Stevena, mimo że to nie on był mózgiem tego przekrętu. My takie osoby nazywamy słupami. Potem

pieniądze najprawdopodobniej przeszły w ręce rzeczywistego oszusta w formie czeku albo w gotówce.

— To jest wpieniające — rzuca Ricky i dalej odbywa swoją nerwową przechadzkę. — Pewnie Steven dostał zapłatę w alkoholu i upił się tak, że przeniósł się w zaświaty.

— Przyczynę śmierci wyjaśni obdukcja. A jeśli chodzi o tę transakcję, radziłabym ci skorzystać z pomocy Krajowego Stowarzyszenia Właścicieli Domów. Sprzedaż nieruchomości wyzwala niepojętą biurokratyczną karuzelę. Zaraz odezwie się do ciebie urząd skarbowy, jeśli nie wykażesz sprzedaży w swojej deklaracji i nie zapłacisz podatku od zysku.

— To jest wpieniające — powtarza Ricky.

— Chyba nie chcę już tego więcej słuchać.

— Może Steven albo Ludvig Svensson mają długi, w takiej sytuacji dom zostanie zastawiony, jeśli długi są w trakcie rewindykacji. To jest jak wsadzenie ręki do gniazda os — podsumowuje Rut.

— Czy policja złapała tych, którzy przejęli poprzednie domy? — pytam, chociaż jestem prawie pewna odpowiedzi.

— Nie, sposób działania był ten sam. Podpis na umowie i konto, na które wpływały pieniądze, należały do Stevena, bezdomnego włóczęgi, który nie miał nic do stracenia. Jemu groziła tylko kara więzienia.

— Steven zwykle starał się o to, żeby trafić za kratki w październiku, kiedy nie dawało się już nocować pod gołym niebem. Sam mi to powiedział. W zeszłym roku zbił szybę u jubilera obok mojego salonu i ukradł samochód, który potem prowadził po pijaku i zaklinował się między murami na ciasnej Vårdklockegränd. Tylko po to, żeby zapewnić sobie dach nad głową i ciepłe jedzenie w święta. Choć sam mówił, że to smutne, że musi robić takie głupoty, aby móc siedzieć w ciepło.

— Wiem, wiem — powiedziała Rut. — Bywało, że dzwonił do mnie

i zamawiał sobie celę w areszcie. — Patrzy na mnie i chyba chce coś jeszcze dodać, ale w końcu się rozmyśla.

— Jeszcze coś? Tylko mi nie mów, że coś jeszcze mi grozi.

Ricky siada obok mnie na trawie i z troską obejmuje mnie ramieniem.

— Jedna z osób, które straciły dom, nawiązała bliższą relację z mężczyzną o nienagannym wyglądzie, którego teraz podejrzewa. Był wysoki i miał piwne oczy. Chciałabym cię spytać, Angeliko, czy ty...?

Domyślam się, że Rut mówi o Tove. To jest tak strasznie trudne, że najchętniej rozłożyłabym się na atomy i wtopiła w deszczowe chmury. Ricky siedzi przy mnie i chociaż zupełnie mi nie w smak opowiadać przy nim, nie mam wyboru.

— Może — mówię. — Poznałam mężczyznę o takim wyglądzie. Ale to nie była intymna znajomość. Właściwie do niczego nie doszło. Ricky, widziałeś go, tego faceta, z którym tańczyłam na balu maskowym? Arsène'a.

— Pokazałaś mu, gdzie mieszkasz? — Rut notuje coś w swoim czarnym zeszycie.

— Tak, pojechał ze mną do domu, ale to nie tak, jak myślisz — wyjaśniam, spoglądając na Ricky'ego. — Wzięliśmy tylko mój rower. Poza tym byliśmy też w mieszkaniu Ricky'ego. On musiał mieć jakieś narzędzia w swojej teczce, bo otworzył zamek w mgnieniu oka.

— To jest wpieniające! — mówi kolejny raz Ricky, jakby się zaciął, ja zaś wiem, że lada moment wybuchnie.

— Owszem — przyznaję, żeby dać wyraz swojemu wzburzeniu i rzucić winę na naszego wspólnego wroga. Nie zniósłabym, gdyby Ricky wściekł się na mnie, nie w tej chwili.

— Nazywał się Arsène?

— Ja go tak nazwałam, bo był ubrany jak dżentelmen-włamywacz Arsène Lupin. Nie mam pojęcia, jak się naprawdę nazywa, a kiedy próbowałam

sprawdzić jego nazwisko na wizytówce na stole, schował ją sobie szybko do kieszeni. I nie chciał być na zdjęciu, kiedy Gunnar z Radia Gute chciał pstryknąć fotkę do swojego bloga o wiosennych ptakach.

— Otworzył wytrychem moje drzwi? — Ricky wstaje i idzie w krzaki poza zasięgiem naszego wzroku, żeby się wysikać. Teraz już wiem, skąd to nerwowe dreptanie tam i z powrotem.

— Chyba tak. Zajęło mu to zaledwie parę sekund. — Opowiadam o dalszej części wieczoru i o kolacji, ale nie wspominam, że mnie pocałował. W końcu są jakieś granice prywatności.

— Ciekawe. — Rut notuje tak pilnie, że wypisuje do cna ołówkę i zaczyna drapać po papierze.

— Należał do gości, którzy jedli kolację w Sali Lustrzanej. Tam przebywało sto dwadzieścia osób. Połowa to kobiety. To zmniejsza nam liczbę nazwisk do sześćdziesięciu. Kiedy włamał się z taką łatwością, pomyślałam nawet, że może jest ślusarzem. W czasie balu pokazywał różne sztuczki. Organizatorzy imprezy przypuszczalnie wiedzą, kim jest, bo może zapłacili mu honorarium. To jest niesłychanie cenna informacja.

Rut wydaje się stopniowo nabierać nadziei.

— Mówił jak Gotlandczyk?

— Mówił, jakby był z południowej części wyspy.

— Jeśli on jest oszustem, którego szukamy, to tym razem okazał się wyjątkowo nieostrożny. Może poczuł się zbyt pewny po swoich wcześniejszych szachrajstwach, które uszły mu na sucho. Jeszcze jedno: mam nadzieję, że swoją kartę bankową miałaś cały czas na oku?

PRZYPLŹYWY I ODPLŹYWY

Kiedy raz zobaczy się mężczyznę, jak go Pan Bóg stworzył, potem trudno jest o nim myśleć jako o nie gołym. Oczywiście to nie dotyczy Ludwiga, mimo to atmosfera jest trochę niezręczna, kiedy ja i mój mimowolny współlokator spotykamy się w kuchni, żeby coś przekąsić przed pójściem spać.

Oboje jesteśmy ubrani i pozapinani po samą brodę, jakby trwała sroga zima. Całe nasze umundurowanie składające się z piżam i szlafroków jest oczywiście zbyt ciepłe, ale niezbędne dla zaznaczenia dystansu, skoro początek naszej znajomości miał tak intymny charakter. Zaprosiłam go dzisiejszego wieczoru na kolację, w końcu jednak postanowiłam, że nie będę specjalnie dla niego gotować. Dlatego uprzątnęłam pół lodówki, żeby miał miejsce na swoje zakupy, dostał też jedną półkę w spiżarni.

Jutro dotrze na wyspę jego dobytek, a ciężarówka Czerwonego Krzyża przyjedzie po podarowane rzeczy. Nie udało mu się wieczorem odwołać ani jednego, ani drugiego. Zapakowałam więc ubrania Joakima, żeby ludzie z Czerwonego Krzyża nie odjechali z pustymi rękami, skoro już się tu zjawia. A jeśli chodzi o dobytek, powiedziałam mu, że będzie musiał go gdzieś na razie przechować. Miał ogromne wątpliwości, kiedy dałam mu numer telefonu do firmy prowadzącej takie magazyny, liczę jednak na to, że zrobi tak, jak mu kazałam.

Staram się głęboko oddychać i odprężyć. Moim zadaniem życiowym jest łączenie nici życia, nawet w chwilach kryzysowych. Toteż podświadomość zaczęła już oczywiście pracować i waham się, czy sklasyfikować Ludwiga

jako Z czy Z5. Trudno to ocenić, kiedy nie wiadomo, jak wyglądają jego interakcje z innymi ludźmi w normalnych okolicznościach.

Ma długi. Węszę dalej i dowiaduję się, że ma też trójkę dzieci z trzech różnych związków.

— Moje kobiety miały mnie dość, wszystkie bez wyjątku. Rozumiem je. Mówiły, że jestem beznadziejny, nieodpowiedzialny, a potem znajdowałem swoje rzeczy wystawione do przedpokoju, spakowane raz na zawsze. Żadna mnie nie chce. Zwłaszcza jak pozna bliżej.

— Chyba nie jest aż tak źle? — mówię dyplomatycznie i decyduję się na Z5.

— Mieszkanie z tobą w tym domu to po prostu marzenie. Ty możesz gotować i go doglądać. Nie zrozum mnie źle. Być może dla ciebie to koszmar, ale ja potrzebuję kogoś, kto przejmuje inicjatywę i wie, jak wszystko powinno być. Inaczej nic mi się nie udaje. Ty jesteś singlem i ja jestem singlem, i kto wie, może całkiem dobrze byśmy się ze sobą czuli i pomagali sobie nawzajem — skamle. — Moglibyśmy dzielić się kosztami prenumeraty gazety i abonamentu za telewizję, gotować na zmianę co drugi tydzień i pamiętać nawzajem o swoich urodzinach.

— Nie, Ludvigu, nie możemy tak dalej mieszkać. Myślę, że przeznaczenie przygotowało dla ciebie zupełnie inną opcję. — Jeśli to było coś w rodzaju zalotów, to chyba tak żalosnych jeszcze nie doświadczyłam.

— Chodzi mi o to, że moglibyśmy mieszkać tu razem jak kumple, stworzylibyśmy taką ekonomiczną wspólnotę. To miałyby swoje dobre strony. Przestalibyśmy się kłócić, kto jest właścicielem domu. — Wzdycha ciężko i grzbietem dłoni odrzuca swoje warkoczyki do tyłu. — W życiu dzieją się różne rzeczy, można się albo do nich dostosować, albo z nimi walczyć. Ja zawsze się dostosowuję.

— A ja nie. To jest mój dom i zamierzam tego bronić. Musimy pomóc

sobie nawzajem wyplątać się z tej sytuacji. Oboje zostaliśmy oszukani, a ktoś inny ma teraz mnóstwo pieniędzy.

Ludvig je kanapkę i przeżuwa z na wpeł otwartymi ustami. Gdy pije mleko, jego porośnięte włosami jabłko Adama wędruje w górę i w dół z odgłosem gulgotania. Ale najgorsza ze wszystkiego jest ta konwersacja. Próbuję prowadzić rozmowę w taki sposób, aby była interesująca dla nas obojga, lecz litość Ludviga dla samego siebie nie zna granic. Dopóki mówimy o nim, wciąż się ścinamy, w końcu jednak następuje koniec.

— Zrobiło się już ciemno. — Jego głos brzmi jak skrzypiące rozeschnięte łóżko na strychu.

— Daj spokój, Ludvig, nie ma co się załamywać, od tego nic się nie zmieni. — Wpycham sobie do ust pół kanapki na raz, żeby jak najszybciej odejść od stołu, i nagle zachłystuję się okruchami.

— Przepraszam, to moja wina. Chyba nie powinienem mówić, jak jesz?

— Nic się nie stało.

— Widziałaś moje skarpetki?

Kręcę głową.

— Z kranu w łazience kapie.

— Aha.

W ciszy, jaka zapada, rytmiczne kapanie słyhać rzeczywiście aż w kuchni. Kap-kap-kap. Czysta tortura. Krople spadają na przemian z tykaniem kuchennego zegara i wywołują efekt echa charakterystycznego dla pustki. Mam wrażenie, że za chwilę dostanę ataku szału. Dlaczego zostałam wybrana przez los do udziału w tym obłędzie?

— Pewnie można go mocniej dokręcić albo to kwestia uszczelki. Myślisz, że to może być uszczelka?

— Nie wiem. — Jasne, że żal mi faceta, ale jednocześnie czuję, że nie powinnam się nad nim rozczulać, jeśli zależy mi, aby wziął się w garść.

— Nie martw się, Ludvig. Wszystko się wyjaśni.

Muszę znaleźć kogoś innego, kto się nim zajmie. Kogoś, kto dostrzeże jego atuty i go pokocha. Kogoś o silnej woli, bo on jest jeszcze bardziej rozlazły niż Ricky, albo jest taki, jaki byłby Ricky, gdyby nadal mieszkał ze swoją mamą i był przez nią niańczony aż po wiek średni.

— Naprawdę wierzysz, że to da się rozwiązać?

— Oczywiście! Musimy tylko współpracować z policją. Przecież ty widziałeś tego naciągacza. Czyli powinieneś być w stanie go rozpoznać. Poza tym nie tylko my zostaliśmy okantowani. Takich osób jest więcej. Na pewno da się złapać tego drania.

Mówię mu dobranoc i przenoszę się na prywatny teren sypialni. Zamykam drzwi, żeby móc pomyśleć. Niepokoi mnie to, co usłyszałam od Rut o kopiowaniu karty bankowej przez oszusta. Włączam komputer, loguję się na stronie banku i wgapiam się w komunikat. Strona jest chwilowo niedostępna. Za to ja chwilowo odchodzę od zmysłów. Nie mogę sprawdzić stanu konta oszczędnościowego. Następnego dnia mam się spotkać z siostrami w banku, żeby ostatecznie spłacić ostatnią ratę kredytu, który one wzięły dla mnie, i niestety mam złe przeczucia.

Odtwarzam w pamięci przebieg balu maskowego, próbując ustalić, na jak długo zostawiłam kartę Clemensowi. Miał ją co najmniej dwadzieścia minut, a ja przez ten czas zupełnie straciłam ją z oczu. Mogła sobie leżeć na barze i każdy mógł ją widzieć.

W tej samej chwili uzmysławiam sobie coś jeszcze, co dodatkowo wzmacnia moje podejrzenia wobec Arsène'a. Kiedy na horyzoncie pojawiła się Tove i pomachałam do niej, on zniknął. A Tove też straciła swój dom. Jeśliby zobaczyła oszusta, mogłaby go rozpoznać.

Zastanawiam się dalej nad kartą bankową. Po odebraniu jej Clemensowi włożyłam ją torebki, z której nie spuszczałam z oka aż do chwili, gdy

przyjechałam z Arsène'em na Fiskargränd po rower. Torebkę postawiłam na stole w kuchni. Kiedy sprzątałam w przedpokoju, on mógł spokojnie w tym czasie zrobić z nią, co zechciał. Potem pojechaliśmy rowerem do Ricky'ego, no i z powrotem na bal. Cały czas miałam torebkę przy sobie. Później zobaczyłam, jak on się całuje i wsiada do taksówki. Ale kiedy płaciłam taksówkarzowi za kurs, miałam kartę w torebce. Jeśli więc jutro się okaże, że na moim koncie brakuje pieniędzy, to znaczy, że musiał w jakiś zaawansowany sposób skopiować dane z karty.

Nagle świta mi w głowie nowa myśl. Albo jak mawiał mój nauczyciel filozofii: zaświtała mi myśl, która zaprowadziła mnie na manowce. Kierowca taksówki powinien chyba znać adres, pod który zawiózł Arsène'a i tamtą obcą kobietę? Ten sam taksówkarz nieco później podrzucił mnie do domu. Powinnam go rozpoznać. Jeśli pójde na postój taksówek przy Öster Centrum i sprawdzę wszystkich kierowców, to na pewno go znajdę. Przeczytałam na jego plakietce, że nazywa się Oskar Brodin. Jeżeli będę miała szczęście, powie mi, gdzie mieszka Arsène, i w końcu, do jasnej cholery, sprawa się wyjaśni! Cudownie by było, gdyby Oskar pracował dzisiejszej nocy, myślę, zbierając się na odwagę, żeby zadzwonić do Taxi Tjelvar.

„Dodzwoniłeś się do Taxi Tjelvar. Wszystkie nasze auta są zajęte. Prosimy zadzwonić później”.

Rozłączam się i robię rundkę po sypialni. Ludvig powlókł poduszkę i kołdrę w bieliznę pościelową z różnych kompletów, poprawiam więc to i znowu dzwonię. Tym razem odzywa się żywy człowiek.

— Oskar? Chodzi o Oskara Svempa Svenssona — wciśnij jeden; chodzi o Oskara Brodina — wciśnij dwa albo poczekaj, wtedy obaj odezwą się przez stereo. Oczywiście żartowałem. Mówi Svempa.

— Chciałabym rozmawiać z Oskarem Brodinem.

— On teraz raczej śpi. Jest prawie druga w nocy. Oskar pracuje po

południu i wieczorami. Najłatwiej złapie go pani jutro po południu.

Sięgam po torebkę i zaczynam ją opróżniać. Wyjmuję i wyjmuję wszystko po kolei, żeby wiedzieć dokładnie, w której kieszonce co leży. To u nas rodzinne, i Ulrika, i ja mamy takie brzydkie przyzwyczajenie. Dziedzictwo ze strony mamy. Tyle że Ulrika robi to, kiedy jest znudzona, a ja, gdy życie mnie przyciska. Po śmierci Joakima siedziałam bez przerwy nad swoją torebką i porządkowałam pieniądze, kupony rabatowe, dowody nadania, kłamry do włosów, szminki, odmrażacze do zamków, aby poczuć, że istnieje jedno miejsce, w którym panuje porządek, podczas gdy wszystko inne jest chaosem.

W wewnętrznej kieszonce niezapinanej na zamek błyskawiczny leży karteczka, którą wyciągnęłam z kieszeni Arsène'a, gdy wiozł mnie na moim rowerze. To zwykła lista zakupów. Przesuwam palcem po literach napisanych przez niego.

Srebrna taśma

Klej

Podgrzewane wałki do włosów

Baterie do wagi łazienkowej

Zawór

Papier ścierny

Na samym dole widnieje: „Odebrać alkomat u Clasa Ohlsona w piątek”. Chyba nie chodziło o Wielki Piątek, a raczej o ten najbliższy.

Próbuję ponownie zalogować się na stronie banku, ale wciąż nie jest to możliwe. Żeby trochę się uspokoić, zaglądam na chwilę na Facebooka. Vera sfotografowała fantastyczny deser lodowy, który sama zrobiła, a Majvor z Doradcy Wagi SA prezentuje tryskający kolorami wegetariański zestaw.

Dlaczego ludzie nigdy nie pokazują tego, co im nie wyszło w kuchni? O wiele zabawniej byłoby zobaczyć na przykład przypalony suflet. Przecież

każdemu od czasu do czasu coś się nie udaje. Któregoś razu, kiedy robiłam tort kanapkowy i otworzyłam szafkę nad zlewem, wypadło z niej spaghetti, które wbiło się jak deszcz oszczepów w majonez z ogórkami. Właśnie takie rzeczy powinno się fotografować.

Zamykam oczy i usiłuję nie myśleć o Arsènie ani o tym, jak łatwo dałam się nabrać. Ogarnia mnie wściekłość, kiedy przypominam sobie, że ktoś przekupił Stevena alkoholem tak bezmyślnie, że biedak zapił się na śmierć. To cholernie cyniczne i bezduszne.

Powinnam spróbować zasnąć, ale gdy jestem taka zła, nie potrafię. Wchodzę więc na stronę bogini losu, żeby sprawdzić, czy nie ma przypadkiem Sindbada w sieci, i zostaję zaskoczona niespodziewanie długim tekstem.

Droga Bogini Losu!

Dzisiejszej nocy jest pełnia. Jak wiesz, płyny cielesne podlegają rytmowi przyptywów i odpływów. W moich żyłach nie płynie czerwona krew, tylko głównie zwykła sól i chemikalia, ale mimo to również one podlegają sile przyciągania Księżyca i nabrzmiewają żądzą życia. Kiedy ostatnio powiedziałem, że chciałbym przekroczyć granicę ku kolejnemu wymiarowi, mając na myśli sen bez majaków, nie dotknęło mnie wtedy jeszcze wzajemne zakochanie. Trudno jest znieść takie wymagające uczucia, nie mając w sobie ludzkiej krwi. Szefowa robi wszystko, co może, aby wyciszyć mój niepokój za pomocą narkotyków, ale one zabijają też chemię zakochania. Dlatego ukradkiem wypluwam te lekarstwa. Jednak co gorsza, ona nie pozwala mi być blisko jedynej istoty w naszym świecie, której pragnę. Zmusza nas oboje do pozostawania w oddzielnych kokonach, kiedy noc gasi światło dnia, a ciemne cienie podpełzają bliżej.

Moja Bogini Losu i przyjaciółko, dzisiejsza noc jest magiczna, a ja mam tylko jedno pragnienie: móc spać w ramionach mojej ukochanej aż po brzask.

Niedługo bowiem na nią przyjdzie kolej, by stanąć do pojedynku z bestią, co uczyni ją słabą i chorą na wiele dni długich jak lata. Nikt nie może jej zastąpić. Ona została wybrana. To wymaga ogromnej odwagi. Będzie musiała w pojedynkę stanąć naprzeciw tego monstrum i przyjąć jego żrącą krew jako swoją własną, ponieważ we krwi tej bestii kryje się życie, a ona tak rozpaczliwie chce trwać jeszcze jedną krótką chwilę w świecie cieni.

Moje problemy nagle wydają mi się małe.

To dzieje się naprawdę, Sindbadzie, tak? To wszystko dzieje się w rzeczywistości?

Odpowiada z wahaniem, które mnie niepokoi:

Tak, dziecinko, tak jest.

Co mogę dla ciebie zrobić, Sindbadzie?

Upływa trochę czasu, zanim pojawia się jego odpowiedź. Przez chwilę myślę nawet, że odszedł od komputera. Ale potem upragnione litery ukazują się szybko jedna po drugiej.

Pomóż mi i mojej ukochanej uciec. Jutro w nocy.

BANK UCZTUJĄCYCH PRZYJACIÓŁ

Przez całą noc byłam zmuszona słuchać muzyki reggae dobiegającej z domku dla gości, w którym koczuje Ludvig. Nie ogłuszającej, ale wystarczająco głośnej, abym nie mogła zasnąć. Teraz mam jednak większe problemy niż koegzystencja z Ludvigiem.

Strona banku nie działała nadal przez cały ranek. Próbuję wejść na nią po raz kolejny, ale komunikat jest ciągle taki sam. Idę więc do łazienki, żeby wziąć prysznic, i w umywalce znajduję zarost Ludviga. Leży na jej dnie niczym jakieś futerkowe zwierzę, które poniosło śmierć pod kołami samochodu. I jakby tego było mało, on sam pojawia się w drzwiach łazienki we własnej, świeżo ogolonej osobie.

— Mamy jakąś pastę do zębów?

Nie ma żadnego „my”, Ludvig! Nie mamy żadnej wspólnej pasty — mam ochotę mu powiedzieć, ale zamiast tego pada obojętne:

— W szafce.

— Ojej, może ja ci przeszkadzam. Przepraszam, nie chciałem. Pewnie chcesz skorzystać z łazienki? Właśnie się goliłem, kiedy zadzwonił telefon. Naprawdę bardzo cię przepraszam. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, bo ja absolutnie nie chcę ci sprawiać kłopotu. Wybacz.

— Jasne.

Rezygnuję z prysznic i ambicji zadbania o własną higienę tego ranka, który zaczął się od irytacji, biorę kurtkę z przedpokoju i wychodzę.

Na dworze jest całkiem chłodno. Ku mojemu zaskoczeniu i radości widzę Generała wychodzącego od Tilly. Pozdrawia mnie wesoło. Twarz sąsiadki

znika szybko za firanką. Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni. No widzisz, Tilly, twój dom stał się domem uciech!

Idę do Café Siesta spotkać się z siostrami, żeby potem razem z nimi pójść do banku i zamknąć kredyt. Vera właśnie znalazła dla siebie dom marzeń i pośrednik czeka na zaliczkę, a Ulrika zamówiła już majstra do zrobienia drenażu działki wokół domu, poza tym chce wybrać się z bliźniakami na wakacje za granicę. Czuję narastający niepokój. Coś w rodzaju rozstroju żołądka, co wytrąca mnie z równowagi i dekoncentruje.

Po wejściu do kawiarni widzę Gunnara przy jego stoliku pod oknem. Czyta jak zwykle gazetę, ale nie ma już czapki na głowie, a na oparciu krzesła wisi jasna wiosenna kurtka. Rzuca na mnie szybkie spojrzenie. Siadam obok niego, nie pytając, czy mogę.

— Pamiętasz, jak spotkaliśmy się tu ostatnio i spytałam cię o twoje marzenia na przyszłość?

— Tak, powiedziałem ci, że chcę dokumentować rzeczywistość. Robić demaskatorskie, do bólu realistyczne reportaże, które nie przejdą obojętnie.

— No właśnie! Wydaje mi się, że mam dla ciebie taki gorący temat — mówię, ale w tej samej chwili widzę przez okno swoje siostry, dlatego muszę przerwać. — Wrócimy do tego. Odezwę się. — Wstaję od jego stolika.

Rzuca w moją stronę zdezorientowane spojrzenie i wraca do lektury gazety. Tematem dnia jest znowu budowa tunelu pod morzem przez finansistę Simona Bogrena. Zamieszczono plan podwodnego zajazdu, restauracji drive-in i hotelu. Po chwili Gunnar unosi głowę — żeton uruchomił mechanizm.

— Mówisz poważnie? Masz dla mnie coś ciekawego?

Przykładam palec wskazujący do ust, żeby go uciszyć.

— Pogadamy później.

Myślę, że to może być ciekawe śledztwo przy współpracy Lovisy Mörk

z urzędu skarbowego, jak już dopadniemy tego kanciarza. W dzisiejszych czasach jedyną realnie odczuwaną karą jest skazanie przez media. Najlepiej jeszcze, żeby pokazano też zdjęcie. Bierz go, Gunnar! Bierz go!

Oczywiście to nie tylko ode mnie zależy. Mam nadzieję rzecz jasna, że między Radiem Gute a skarbowką będzie gorąca linia, bo moim zadaniem jest jedynie zaaranżowanie spotkań i ułatwienie kontaktów, a decydujący krok muszą wykonać oni sami.

Zamawiam bułeczkę z kremem waniliowym. Vera bierze dla siebie dwie, a Ulrika zadowala się samą kawą.

— Czy to nie cudowne, że w końcu uwolnisz się od kredytu?

— Cudowne — mówię, mając nadzieję, że brzmię przekonująco. Przez chwilę rozmawiamy o naszych interesach związanych z kojarzeniem par, po czym Ulrika pyta prosto z mostu:

— Co jest z tobą, Angeliko? Widzę, że coś się stało.

— Owszem — przyznaję. I cała historia o przejęciu domu się wydaje.

— Gość z dreadami, amator reggae! — chichocze Vera. — Pewnie słyszałaś, że tacy dreadowcy palą całą drogę na Blåkulle ¹?

— On jest bibliotekarzem — wyjaśniam, odnosząc wrażenie, że starsza siostra nie bierze mojej opowieści na poważnie. W przeciwieństwie do Ulriki.

— A co ty tak naprawdę wiesz o tym Ludvigu? Dlaczego uważasz, że on jest ofiarą? Skąd wiesz, czy to nie on jest tym naciągaczem? Czasami jesteś zdecydowanie zbyt naiwna. A jeżeli on jest w spisku z oszustem i po prostu mieszka sobie za darmo pod twoim dachem?

Cała Ulrika. Dlaczego poprzestawać na jednym sprawcy, jeśli może być dwóch spiskujących ze sobą?

— On jest bibliotekarzem — powtarzam jeszcze raz jak uspokajającą mantrę.

— Bibliotekarz to najgorszy gatunek. Ktoś, kto chodzi w birkenstockach,

nikomu nie wydaje się podejrzany. Słyszałam kiedyś o takim, który ukradł stare, bezcenne książki z Biblioteki Królewskiej i sprzedał je na czarnym rynku za pół miliona. Nie powinnaś być taka łatwowierna. Ja nie zostawiłabym go samego w domu ani na minutę.

— Czeka na mnie praca, no i jesteśmy umówione w banku — przypominam, a potem bąkam jeszcze o taksówkarzu, do którego zamierzam się wybrać po południu.

— To po prostu niedopuszczalne, nie możesz się na to zgodzić! — rzuca Vera, która dopiero teraz zdała sobie sprawę z powagi mojej sytuacji.

— Nie zamierzam — mówię ponuro.

KASA OSZCZĘDNOŚCIOWA DBW mieści się w przypominającym zamek ceglany budynek z wieżyczkami i leży przy Södra Kyrkogatan. Bank został założony w 1814 roku przez Towarzystwo Kąpiących się Przyjaciół i był pierwszą tego typu instytucją na wyspie. Piękny ogród botaniczny, w którego rosarium lubię czasami sobie posiedzieć i poczytać, powstał właśnie z inicjatywy członków tego towarzystwa. Co roku w pierwszy wtorek lipca można zobaczyć stu facetów w jaskrowoczerwonych kostiumach prychających i kąpiących się w morzu. Bank został przejęty przez DDW, czyli przez Bank Ucztujących Przyjaciół. Oni też się kąpią, tyle że nago na Snäck² przy pierwszej pełni księżyca po najdłuższej nocy w roku.

Po przywitaniu przez naszego osobistego opiekuna zostajemy poprowadzone do imponującego biura. Mam wilgotne dłonie i lekko kręci mi się w głowie. Przez siedem lat harowałam i odmawiałam sobie wszystkiego, żeby doczekać tej chwili.

Siadamy przy mahoniowym biurku kierownika działu Hägga. Jest to elegancki pan w wieku emerytalnym o pogodnych niebieskich oczach. Ciemnoblond włosy przyprószone siwizną ma zaczesane na bok, a wąsy starannie wypielęgnowane. Jest ubrany w ciemny garnitur.

— Tak więc spotkaliśmy się, aby zamknąć kredyt — mówi uprzejmie, następnie loguje się w komputerze i prosi mnie o mój numer ewidencyjny.

Studiuję pilnie każde drgnięcie jego twarzy, kiedy przebija się przez system. Nagle dostrzegam zmarszczkę między brwiami. Hägg przygryza dolną wargę i wpatruje się w ekran, jakby nie wierzył własnym oczom, a ja boję się, że serce zaraz przestanie mi bić. A może po prostu nadinterpretowuję sytuację?

— Coś się stało? — Ulrika obserwuje go tak samo czujnie jak ja, podczas gdy Vera beztrąsko macha do jakiegoś znajomego za oknem.

— Wszystko jest w porządku... — odzywa się starszy pan z ociąganiem.

— Ale... — zaczynam, czując w końcu każdego palca zastrzyk adrenaliny.

— Proszę o wybaczenie, że jestem trochę rozkojarzony, lecz przed przyjściem pań miałem klientkę, której przydarzył się ogromny pech.

— Straciła swój dom? — pyta Vera.

Kierownik Hägg robi taką minę, jakby został na czymś przyłapany.

— Tajemnica bankowa nie pozwala mi mówić o innych klientach. Nie mogę powiedzieć nic więcej.

— Rozumiem. — Jest mi przykro, że ktoś miał pecha, choć jednocześnie ogarnia mnie ulga wobec faktu, że mogę spłacić do końca swój kredyt. — Ale z pieniędzmi na moim koncie jest wszystko w porządku?

— Bardzo panie przepraszam. Niestety, nie możemy wykonać dzisiaj tej operacji. Jestem zmuszony sprawdzić jedną rzecz, aby wszystko mogło się odbyć zgodnie z przepisami. To musi być jakaś pomyłka... Poinformuję panie.

— Nie rozumiem — mówię.

Nie dowiadujemy się niczego więcej, ponieważ kierownik zostaje odwołany przez jednego z pracowników — pilna sprawa wymagająca natychmiastowej reakcji. Czuję się głęboko zaniepokojona i cisną mi się

tysiące pytań. Czy to możliwe, żeby on zobaczył, że nie jestem już właścicielką domu? Co wtedy z kredytem? Czy na moim koncie są pieniądze?

Jego sekretarka umawia nas na spotkanie po weekendzie. Nie protestuję, bo nie chcę niepokoić sióstr. Jesteśmy ogromnie rozczarowane, że sprawa nie została załatwiona. Skoro jednak postanowiłyśmy świętować, to idziemy świętować.

DOCHODZIMY DO STORA TORGET, gdzie zarezerwowałam stolik w Bolaget. To sympatyczna restauracja mieszcząca się w tym samym miejscu, gdzie za mojej młodości znajdował się Systembolaget³.

Zaczynamy od martini z syropem z bzu, a potem zamawiamy różowego szampana do ryby z warzywami. Atmosfera powinna być wesoła, tymczasem ja czuję się tak, jakbym miała kamień w żołądku. Stało się coś, co uniemożliwia zamknięcie kredytu. Czy to ma jakiś związek z przejęciem domu? On stanowi główne zabezpieczenie pożyczki wziętej na salon. Dlaczego Hägg nie mógł powiedzieć, o co chodzi? Staram się, jak mogę, żeby dzielić odświętny nastrój, bo nie chcę psuć tej chwili moim siostrom.

— Dokąd chcesz się wybrać z dziećmi? — pytam Ulrikę, podczas gdy Vera studiuje menu, żeby znaleźć jakiś przyjemny deser. Ja zdecydowałam się już na crème brûlée. Zwykle jest tutaj fenomenalny.

— Na Teneryfę. Są tacy, którzy kręcą na nią nosem i uważają, że to słabe, skoro można pojechać do Tajlandii czy na Wyspy Zielonego Przylądka. Ale dla mnie i dla dzieci to i tak coś wyjątkowego, bo nigdy dotąd nie było nas stać na wakacje za granicą. Będę się upajać każdą chwilą, a Vera obiecała wybrać się ze mną, żeby pomóc mi przy bliźniakach. Jeżeli masz ochotę, też możesz pojechać.

— Bardzo bym chciała, ale nie dam rady w pracy. — Cudownie by było móc się opiekować dwoma maluchami.

Kończymy deser, po czym wyjmuję kartę, aby zapłacić, ale karta nie działa. Raz za razem wbijam PIN i wciąż otrzymuję komunikat, że transakcja nie może być zrealizowana. W stresie, w którym wciąż tkwię, zupełnie zapomniałam, że ją zablokowałam.

— Dzisiaj jest wyjątkowo złe połączenie — mówi kelnerka z przepaszającym uśmiechem, jakby to była jej wina.

— Możemy odpracować na zmywaku — rechocze Vera. Po chwili jednak wyszukuje całą gotówkę, jaką ma przy sobie, a my dwie dokładamy resztę.

1. Blåkulla — mityczne miejsce sabatów czarownic mające znajdować się w Szwecji. [\[wróć\]](#)
2. Snäck — popularna plaża na północ od Visby. [\[wróć\]](#)
3. Systembolaget — państwowa sieć sklepów mająca w Szwecji monopol na sprzedaż napojów alkoholowych o zawartości alkoholu powyżej 3,5%. [\[wróć\]](#)

WSZYSTKO JEST WZGLĘDNE

Gdyby to był zwyczajny dzień z powszednimi problemami, takimi jak zapchany zlew, dziurawa dętka w rowerze czy zawieszony komputer, byłabym szczęśliwa. Taki nudny kolejny dzień, którego nawet się nie zauważa, gdy się skończy. Ale ja właśnie straciłam swój dom i obawiam się, że mam też wyczyszczone konta. Czy może być gorzej? Jasne, może, jednak ta myśl nie jest dla mnie w tym momencie pocieszeniem.

W drodze do domu dzwonię do Ricky'ego, żeby sprawdzić, czy w salonie wszystko w porządku.

— Tyyyylko ja haruję, a ty sobie chodzisz i popijasz szampana — mówi w swoim zaparzaczkowym stylu. — Tyyyylko ja należę do pokrzywdzonych. Oczekuję zadośćuczynnienia. Była tu znowu matka Alexandry. Jest pierwsza na liście osób, które pogryzę, jak dostanę wścieklizny.

— Kto jest drugi?

— Ty!

— A czego chciała?

— Tego, co zawsze. Żeby Alexandra była twoją modelką. Mamusia nie kapituluje. Ona jest nieznośnie nachalna. Patrzyła na mnie przez cały czas z pożądliwością w oczach. Mobbing seksualny, który w najgorszym razie mógłby eskalować do uszczyplenia w tyłek. `A założmy, że miałbym ochotę na coś z Alexandrą, to coś takiego mogłoby być skomplikowane. Kiedy będziesz?

— A planujesz mieć ochotę na coś z Alexandrą? — Mam nadzieję, że mój głos nie zdradza tego, co czuję.

— Chyba nie umiałbym odprawić jej z kwitkiem dwa razy, gdyby się napraszała, w końcu jestem tylko zwykłym śmiertelnikiem.

Gdy słyszę drwinę w jego tonie, rozumiem, że nie zdołałam ukryć swojego wzburzenia.

— Poradzisz sobie dzisiaj sam?

— Poradzę. Z ciebie i tak nie byłoby żadnego pożytku po tym balowaniu i nadużywaniu alkoholu. To jest salon, a nie *saloon*.

— Sączyłam szampana, a nie tankowałam absyntu — jak niektórzy.

— O, to jest cios poniżej pasa! Zrobiłem to przecież dla ciebie. Byłem gotów cierpieć w imię twojej jaśniejszej przyszłości.

— Nie chcę już tego słuchać!

PO DOJŚCIU do Strandgatan dzwonię do Rut, żeby się zorientować, czy zdołała ustalić, kim jest facet, którego spotkałam w Lindgården. Organizatorzy maskarady powinni wiedzieć, komu sprzedali bilety na kolację. Dzisiaj jej głos jest jeszcze bardziej ochrypły niż zwykle. Palacze po prostu trzeszczą, kiedy mówią.

— Na liście, którą dostałam, jest pięćdziesięciu siedmiu mężczyzn, reszta to kobiety. Czterech z nich zrezygnowało z udziału w balu i otrzymało zwrot pieniędzy, a ich wejściówki sprzedano w kasie przy wejściu. Nikt nie jest w stanie powiedzieć, kto je kupił. Cztery wizytówki były czyste, żeby nowi goście mogli wpisać swoje nazwiska. Z miejsca, na którym siedział ten twój absztyfikant, wizytówka została usunięta.

— On włożył ją sobie do kieszeni. — Mam znowu ten obraz przed oczami. Przez krótką chwilę miałam nadzieję, że kartka, którą potem wyciągnęłam z kieszeni jego spodni i która okazała się spisem zakupów, to właśnie tamta wizytówka. — Wystąpił z jakimś pokazem — nikt go nie zna jako iluzjonisty?

— Nikt. Pojawił się nie wiadomo skąd, wszedł na scenę i ni z tego, ni

z owego zaczął robić magiczne sztuczki. Nikt go nie zaangażował ani nie zaprosił. Przykro mi, Angeliko, ale nie mamy nic nowego. Przypuszczam, że on nie jest z wyspy, bo przecież ktoś na pewno by go rozpoznał.

— A mój dom? Co z nim? — Przez kilka ostatnich godzin udało mi się trochę zapomnieć o tym nieszczęściu, jednak teraz znowu przypomniały się mi słowa Rut, że być może Obdarty Steven miał długi i w najgorszym razie dom został wzięty w zastaw jako ich zabezpieczenie, a człowiek z banku to zobaczył i chciał sprawdzić, o co chodzi, zanim przejdziemy do naszych interesów.

Rut dostaje przeraźliwego ataku kaszlu i dopiero po chwili jest w stanie mi odpowiedzieć.

— To nie jest sprawa, którą dałoby się wyprostować w ciągu jednego przedpołudnia. Ale mam już dostęp do finansów Stevena. Przez jego konto przepłynęła ostatnio spora kwota. Radziłabym ci jak najszybciej sprawdzić swoją pocztę. Mogło się zdarzyć, że twoje dane osobowe, twoja tożsamość zostały bezprawnie wykorzystane. Nic więcej nie mogę powiedzieć ze względu na dobro śledztwa.

Czuję absolutną pustkę w głowie, a moje ruchy stają się ociężałe. Na wszelki wypadek opieram się o ścianę.

— A skąd będę wiedziała, czy moja tożsamość została bezprawnie wykorzystana?

— Przejrzyj swoją pocztę, sprawdź, czy nie przyszło coś nietypowego, na przykład pismo z biura informacji kredytowej. Przepraszam cię, muszę kończyć. Mam sporo roboty.

Słyszę kliknięcie w słuchawce, a potem zalega cisza. Próbuję zadzwonić do niej jeszcze raz, ale numer jest zajęty. Mogłabym oczywiście porozmawiać z kimś innym z policji, nie mam jednak siły zaczynać wszystkiego znowu od początku. Sytuacja wydaje się beznadziejna.

A to jest dzień, w którym powinnam świętować. To naprawdę żalosne.

Pędzę do domu, żeby sprawdzić pocztę i konto. Niebezpieczeństwo wydaje się przerażająco nieokreślone. Tilly stoi przy swojej skrzynce pocztowej; domyślam się, że czeka na mnie. Gdy wyjmuje listy, jej ruchy są dziwnie kanciaste, jakby nie czuła się całkiem komfortowo, wiedząc, że zauważyłam jej nocnego gościa.

— To nie jest tak, jak myślisz. Ja nie zajmuję się takimi rzeczami! — mówi zdecydowanie, patrząc na mnie spode łba.

— Wielka szkoda. — Życzę Tilly i Generałowi dużo miłości i bliskości. Przez ułamek sekundy robi mi się nawet ciepło na sercu, kiedy o nich myślę.

— Zapchała mi się kanalizacja i on mi pomógł. Kogo miałam poprosić? — Tilly kłamie nieudolnie jak przedszkolak przyłapany z palcami w galaretkę truskawkowej.

— Zwłaszcza w środku nocy. To miłe z jego strony. Pewnie przyda ci się jakiś fachowiec, prawda? — Puszczam do niej oko, ale ona udaje, że nie wie, o co chodzi, no bo co ludzie by sobie pomyśleli. Odwraca się na pięcie i zmierza do siebie, ja zaś widzę po jej ruchach, że jest jej przykro. Zatrzymuję ją więc i otaczam ramieniem.

— Życie jest za krótkie, żeby odtrącać miłość i przyjaźń, kiedy do nas przychodzą — zwracam się do niej słowami Sindbada. — Cieszę się za ciebie. Cieszę się, że znalazłaś kogoś, kto czyni twoje życie bogatszym.

— Naprawdę tak myślisz? — pyta Tilly, poprawiając sobie sukienkę i pocierając swoje czerwone policzki. — Ale nie powiesz nikomu... że tu był? Moja córka w żadnym razie nie może się dowiedzieć, że ja, stara wariatka, wygłupiam się i... W moim wieku. To żenujące.

— To jest cudowne i piękne. Po prostu ci gratuluję.

Idę do swojej skrzynki. Drzwiczki są otwarte, a poczta wyjęta. Pcham furtkę i przechodzę przez ogródek, żeby zobaczyć, czy Ludvig jest w domku.

Nie ma go.

— Halo, jest tu kto? — wołam. Nikt nie odpowiada. Drzwi do kuchni są zamknięte. Czuję zapach spalenizny. Wchodzę do środka, stoję jak wryta i tylko patrzę.

Jak to możliwe, żeby jeden jedyny człowiek zachlewił tak kuchnię w ciągu jednego przedpołudnia? Myślałam, że Ricky jest nie do pobicia, ale okazuje się, że Ludvig jest jeszcze gorszy. Mój dom nie jest już siedzibą człowieka, tylko wygląda jak kupa gnoju. Błat, który wytarłam do czysta po śniadaniu, jest zavalony posiekanymi warzywami pływającymi w soi i oleju, kłębowiskiem plastikowych torebek, stoi też na nim patelnia z jakąś czarną breją. Z tego wszystkiego spływa biała piana, prawdopodobnie pochodząca z gaśnicy, która wala się po podłodze. Niezakręcona butelka oleju przewróciła się na stole i na jego blacie widzę tłustą kałużę. A w samym środku kałuży leży moja poczta.

Wreszcie przyszedł formularz deklaracji podatkowej. Hurrra! Oddzieram kawałek papierowego ręcznika, wycieram następną kopertę i ją otwieram. To pismo z biura informacji kredytowej, które zawiadamia, że do biura wpłynął wniosek o sprawdzenie mojej wiarygodności kredytowej. Jeśli wstukam swój numer ewidencyjny na ich stronie, mogą udzielić mi informacji, kto jest wnioskodawcą.

Nie zamierzam wklepywać swojego numeru na żadnych nieznanym mi stronach! Przez moje żyły płynie lodowato zimna woda. Rut ostrzegła mnie przed czymś takim. Nie mam pojęcia, co robić. Nie wytrzymam tego wszystkiego i gorączkowo się zastanawiam nad znalezieniem jakiegoś rozwiązania.

Kto mógłby mi pomóc?

Jessika! No jasne! Przecież bezpieczeństwo transakcji to coś, czym ona się szczególnie interesuje, więc na pewno mi pomoże. Stojąc w samym środku

spustoszenia, dzwonię do niej. Obiecuje przyjść natychmiast.

Żeby nie musieć dłużej patrzeć na tę degrengoladę, wychodzę ze swoją ufajdaną pocztą do ogródka. Nie mam siły myśleć o kataklizmie, jaki nawiedził moją kuchnię, ani zastanawiać się, gdzie jest Ludvig.

Jessika od razu siada obok mnie na ogrodowej sofie, ustawiając ekran laptopa w taki sposób, żebym przez cały czas mogła widzieć, co robi.

— Wszystko się ułoży, zobaczysz — mówi.

Tym razem strona banku działa. Konto firmowe jest w porządku. Nikt też nie tykał konta osobistego. Oddycham z ulgą.

— Moje jedyne zmartwienie teraz to przejęcie domu, no i kredyt.

— Czyli nie takie małe zmartwienie — mówi łagodnie Jessika.
— Zgłosiłaś to na policję?

— Tak, jestem w kontakcie z policją. Wydaje mi się, że mój opiekun w banku zobaczył dzisiaj coś dziwnego, kiedy byliśmy w oddziale. Powiedział, że to formalność.

Jessika jest profesjonalistką. Teraz to ona siedzi za sterami helikoptera ratunkowego, a ja jestem pasażerką. Uśmiecha się do mnie uspokajająco, a jej twarz emanuje pewnością siebie. Zawstydzona dziewczynka zniknęła, teraz mam przed sobą niewzruszoną opokę.

— Czeka nas trochę dzwonięcia. Na wszelki wypadek powinnaś zablokować swój numer ewidencyjny w biurach informacji kredytowej.

— Wstukuje całą listę: UC, Soliditet, Syna, Creditsafe, Business Check...

— Jest bardzo źle?

— Na razie nie wiadomo. Nie wiemy, czy ten oszust zamierza jeszcze coś więcej poza przejęciem domu. Istnieje spora liczba banków działających tylko w sieci. One nie mają fizycznych biur, gdzie możesz się wylegitymować, żeby dostać kredyt. Ktoś, kto dysponuje twoim numerem ewidencyjnym, adresem i numerem telefonu, może zamówić kod PIN,

a potem wykraść kopertę z twojej skrzynki i wziąć pożyczkę w twoim imieniu. Albo poprosić o przesyłanie korespondencji do ciebie na inny adres. Zaraz to sprawdzimy. — Jessika dzwoni na pocztę.

— Czy to wszystko jest naprawdę konieczne? — pytam bezsilnie. Dla fryzjerki w średnim wieku, bez doświadczenia w świecie finansów, cała ta operacja wydaje się nie do przebrnięcia.

— Zawsze lepiej być o krok do przodu.

— Dzięki, że przyszłaś. Szczerze mówiąc, nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Z CHAOSU RODZI SIĘ JESZCZE WIĘKSZY CHAOS

Po kilku godzinach pracy Jessika zablokowała gdzie się da moje dane osobowe. W bankach internetowych nie ma nikogo, z kim można by porozmawiać, wszystko odbywa się przez serwis on-line albo przez telefon, a żeby się połączyć, trzeba czekać w długiej kolejce. Jessika wykazała się nieopisaną cierpliwością.

— Powiedziałaś w banku, że twój dom został bezprawnie przejęty?

— Nie, jakoś nie było okazji.

— Powinnaś to zrobić.

Potem Jessika spisuje mi punkt po punkcie listę kroków, które na wszelki wypadek trzeba wykonać. Przypuszczam, że jest równie obszerna jak checklista w elektrowni atomowej.

— Musisz też kupić sobie skrzynkę pocztową zamykaną na klucz. Najlepiej by było, gdyby Tilly zabierała twoją korespondencję, jak tylko przyjdzie, dopóki wszystko się nie wyjaśni. Człowiek, który się za tym kryje, zna numer twojego domu w rejestrze nieruchomości, adres, numer telefonu i numer ewidencyjny, ma też możliwość podrobienia klucza.

Jessika odrywa wzrok od ekranu komputera.

— Czy klucz mógł się dostać w czyjeś ręce? A klucz zapasowy mógł gdzieś zniknąć bez twojej wiedzy?

— Mógł to zrobić facet, którego nazywam Arsène'em, ale nie wiem, kim jest ani gdzie pracuje. Był u mnie w domu w Wielką Sobotę. Na chwilę zostawiłam swoją torebkę.

GDY ZAMIERZAM wybrać się na postój taksówek, żeby porozmawiać z kierowcą, który wiozł Arsène'a, słyszę, że ktoś otwiera drzwi wejściowe. Najpierw myślę, że to Jessika pewnie czegoś zapomniała i wróciła. Ale to nie ona. To Ludvig. Wygląda żałośnie. Na jego głowie pokrytej warkoczykami pojawiło się coś na kształt łysej przecinki pośrodku czaszki.

— Myślisz, że mogłabyś mnie ostrzyć?

Patrzy na mnie zgnębiony, biorąc między palce niemal doszczętnie spalony warkoczek.

— Masz pojęcie, ile czasu trzeba, żeby wyhodować takie długie włosy?

— Co ty zrobiłeś? Jak to się stało?

— Podgrzewałem olej w woku, żeby zrobić sobie lunch. Ale przypomniało mi się, że mieli dzwonić z firmy przeprowadzkowej, więc poszedłem do domku po komórkę. Akurat przyszło kilka ważnych SMS-ów i zacząłem je czytać, a kiedy wróciłem do kuchni, w woku paliło się na całego, więc próbowałem zgasić ogień wodą. Rany boskie, co za smród!

— Chodź do salonu, zobaczę, co się da zrobić. Ale... Mam nadzieję, że posprzątasz to wszystko. Kiedy przyjadą z twoimi rzeczami?

— W każdej chwili. Zastanowiłaś się może nad moją propozycją przemeblowania? Nie zdążyliśmy nic ustalić. Jakby przestawić tę szafkę i ławę kuchenną, no i pianino...

— Wszystko zostaje na swoim miejscu! Czy to znaczy, że nawet nie kiwnąłeś palcem, żeby jakoś rozwiązać tę sytuację? Dałam ci telefon do magazynu. Nie dzwoniłeś do nich? — Po prostu nie wierzę, że to dzieje się naprawdę. On miał całe mnóstwo czasu, żeby się tym zająć.

— Myślałem, że ty to załatwisz. Jeśli zostawisz wszystkie swoje rzeczy, zrobi się straszna graciarnia.

— Nie wniesiesz ani jednego swojego mebla do mojego domu! Masz skierować firmę przeprowadzkową do tego magazynu i posprzątać po sobie

w kuchni. A teraz muszę wyjść. Spieszę się.

Chcę w końcu iść na postój taksówek, żeby złapać trop Arsène'a. Najwyższa pora. W tej samej chwili dzwoni Ricky. Podchodzi poważnie do swojej pracy i czuwa nad wszystkim podczas mojej nieobecności.

— Znalazłem potencjalną partnerkę dla Juliusa. Jesteś ciekawa?

— Jasne! — Z przyjemnością posłucham, żeby oderwać się od całego tego nieszczęścia.

— Ma takie same beznadziejne poczucie humoru jak on i jak się okazuje, kiedyś pracowali razem. Nazywa się Irma i zajmuje się terapią w żałobie.

— Znam ją. Po śmierci Joakima zaproponowano mi udział w warsztatach pod jej kierownictwem. Po dwóch spotkaniach zrezygnowałam.

— Chce ufarbować sobie włosy henną. Czy my w ogóle mamy hennę? Czy dzisiaj ktoś jeszcze używa czegoś takiego?

— W magazynku z perukami, w szufladzie po prawej. Ale Juliusa nie ściągniemy tak szybko, bo przecież dopiero niedawno ostrzygł się prawie do skóry — stwierdzam z rezygnacją.

— No tak, jasne. Właściwie to nie dlatego dzwonię. Mam problem, do jakiej przypisać ją kategorii — chyba nie ma odpowiedniej.

— System jest wciąż w fazie rozwoju. Wobec tego stwórzmy nową kategorię E — dla emocjonalnie rozchwianych. Ona będzie miała E4. Nie skrajnie zdesperowana, ale jednak zdesperowana.

PO DRODZE NA POSTÓJ natykam się na Mickego z nożem i jego kompanów. Siedzą na ławce przed budką z hamburgerami.

— Mówią, że Steven nie żyje. — Micke z nożem patrzy na mnie zaczerwienionymi oczami. — To prawda, że to ty go znalazłaś?

— Niestety tak.

— A wiesz, że on był matematycznym geniuszem? Fotograficzna pamięć, rozumiesz? Stać go było dokładnie na wszystko, ale nie wytrzymał. Nie

umiał zapomnieć tego, co boli. I dlatego zaczął pić.

— Nie wiedziałam o tym.

— Co będzie z jego pogrzebem? Nie miał żadnej rodziny. Steven musi mieć godny pogrzeb. Znam jednego gościa, który mógłby zagrać na jego trąbce. Jakiś ładny kawałek.

— Nie wiem, jak to będzie wyglądało — odpowiadam. — Ale wiadomo, że musi mieć normalny pogrzeb. Mogę spytać znajomego przedsiębiorcę pogrzebowego, co trzeba zrobić w takim wypadku.

Micke z nożem ma wiele pomysłów, jak powinna wyglądać porządna ceremonia pogrzebowa, ale ja muszę iść dalej.

Postój taksówek znajduje się tuż za Bramą Wschodnią. Idę wzdłuż rzędu samochodów, żeby sprawdzić, czy Oskar jest na miejscu. Siedzi w przedostatnim aucie i czyta numer „Loaded”, magazynu dla mężczyzn, którzy mają wysokie mniemanie o sobie. Pukam w szybę, na co on z wyraźną niechęcią przenosi uwagę na naszą wspólną rzeczywistość.

— Oskar Brodin? — pytam. Przeszkadza mi to, że jest taki podobny do Arsène’a.

— Zgadza się. — Idzie za moim spojrzeniem i zamyka pismo.

Siadam obok niego na fotelu pasażera i przedstawiam się.

— Wieczorem w Wielką Sobotę zabrał pan spod Hotelu Miejskiego wysokiego mężczyznę we fraku i jasnowłosą kobietę. Wie pan może, kim oni byli, albo pamięta pan, dokąd ich pan podwiózł?

— Pamiętam panią — uśmiecha się szeroko. — Jak tam pani stopa?

— Dziękuję, już dużo lepiej. Proszę sobie przypomnieć. To dla mnie bardzo ważne.

— Dla takiej kobiety jak pani zrobiłbym wszystko, ale to nie takie proste. Miałem wtedy kursy jeden za drugim. Jeśli tamci zamówili taksówkę przez centralę, adres jest w rejestrze, a jeżeli po prostu machnęli na mnie, jak

przejeżdżałem, to po takim kursie nie ma śladu. Sorry. Czy mogę jeszcze w czymś pani pomóc? Może gdzieś panią podrzucić, w jakieś miłe miejsce? Do pani do domu albo do mnie?

Udaję, że nie słyszę jego oferty.

— On był wysoki i miał ciemne włosy jak pan — próbuję jeszcze raz, usiłując zmusić go do wysilenia pamięci. — A ona była bardzo zgrabna, blondynka, z włosami związanymi w koński ogon.

— Gdyby była taka zgrabna jak pani, na pewno bym ją zapamiętał. — W oczach Oskara Brodina pojawia się lubieżna iskra, która mi się nie podoba. — Gdybyśmy spotkali się u mnie, spróbowałbym odtworzyć listę miejsc, do których miałem kurs. Teraz zaczyna mi się jakby przypominać. Mówi pani, że tamten był wysoki i ciemnowłosy? Czyli to pani typ? — Robi wymowny gest ręką, wskazując na siebie, jakby chciał pokazać, że odpowiada temu opisowi.

— Kiedy będzie miał pan gotową taką listę?

— Po północy? Jesteśmy umówieni?

— Naturalnie. Może się pan spodziewać wizyty.

NASZE ŚWIATY SPOTYKAJĄ SIĘ NOCĄ

Kiedy otwieram drzwi wejściowe, w moje nozdrza wdziera się obrzydliwy zapach dymu. Kuchnia wygląda jak wcześniej. Ludviga nie ma, ale na stole leży kartka. Jego ruchomości przyjechały i — chcąc nie chcąc — skierował firmę transportową do magazynu, żeby sprawdzić, czy znajdzie się tam miejsce na jego dobytek. Ewentualnie wstawi kilka kartonów do domku dla gości.

Idę do sypialni. Łóżko stoi, gdzie stało. Dzwonię do sióstr. Muszą poznać całą prawdę i wiedzieć, co może je czekać.

Ulrika przyjmuje to najlepiej. Ona już przewidziała, co mogło się schrzanić. Odnoszę wrażenie, że niemal ma satysfakcję, bo uzyskała potwierdzenie swoich przeczuć.

Dla Very to katastrofa.

— A mój dom? Przecież muszę wpłacić zaliczkę!

Jest kompletnie zdruzgotana, więc pocieszam ją, jak mogę, chociaż sama czuję się nieszczęśliwa.

Odgradzam się od świata zewnętrznego, opuszczam rolety i otwieram komputer. Moja własna rzeczywistość przestała mi odpowiadać. Uciekam. Na Facebooku można przynajmniej częściowo uczestniczyć w życiu innych i przeczytać drobne sympatyczne anegdotki z dnia powszedniego. Wszystko jest umiarkowane i przyjemne. Tu kod postępowania jest jednoznaczny: istnieje określona granica labiedzenia i lamentowania na updatowanych statusach, której przekroczyć nie wolno. Gdy pisze się o jakimś powszednim

nieszczęściu, do dobrego tonu należy zakończenie wpisu zaskakująco optymistyczną konkluzją. „Wczoraj miałam powódź w domu. Cała pralnia zalana jest wodą. Pogratulujcie mi! Wreszcie mam własny basen, o którym zawsze marzyłam”. Albo: „Jestem splukana, ale mimo to szczęśliwa. Wystarczy pomyśleć, ile fajnych dań można przyrządzić z jogurtu”. Choć zdarzają się też przykłady realizmu dnia powszedniego, które najchętniej by się przeoczyło, na przykład: „Jonte dostał znowu potówek na pośladkach”. I odpowiednie zdjęcie. W gruncie rzeczy wszystko jedno, czy Jonte ma cztery lata, trzydzieści czy dziewięćdziesiąt dwa. Nie chcę oglądać jego wysypki na tyłku.

Wychodzę z Facebooka i loguję się na angelika@boginilosu.se. Jest wiadomość od Sindbada Żeglarza i na jej widok ogarnia mnie ogromny spokój. W samym środku cyklonu dostrzegam ratunkową boję.

Droga Bogini Losu,

Celem moich podróży po morzach było znalezienie Lemurii, prehistorycznej krainy, gdzie można uzyskać odpowiedź na nasze wszystkie pytania. Ląd daleko poza wszelkim napuszeniem i wielkością, gdzie wszystko jest esencją i sednem. Ludzie, zwierzęta i przyroda są tam zamknięci w klepsydrze. Zagęszczenie to sprawia, że życie staje się mniejsze niżli ziarnko piasku — i przez to bardziej sterowalne. Zmierzając ku Lemurii, nazbierałem skarbów, dokonałem wielkich czynów i zwyciężyłem potwory. I jaki z tego pożytek? Gdy piasek przesypie się w klepsydrze, już nic nie będzie miało znaczenia. Co mam zrobić z moimi błyskotkami, gdy stoję na brzegu nagi wobec wieczności i uświadamiam sobie, że Lemuria jest w nas?

Jest tylko jedno pytanie, które pragnę mu zadać.

Czy ty chcesz mi powiedzieć, że niedługo umrzesz?

Kiedy rozmawialiśmy ostatnio, odniosłam takie wrażenie. Wtedy mówił, że potrzebuje mojej pomocy w ucieczce. Ale przed śmiercią nie da się uciec

w ten sposób.

Tak, dziecinko, koniec jest bliski, ale jest coś, co chciałbym jeszcze zrobić. Przybyłaś do mnie jako duch zamknięty w butelce i teraz mam jedno jedyne życzenie. To jest wielkie dzieło i musi dokonać się tej nocy, lecz nie zdołam zrobić tego sam. Potrzebuję twojej pomocy.

Chcesz uciec?

Tak, chcę uciec z moją ukochaną. Pocieszyć ją i ochronić przez tę jedyną noc, zanim wielka ciemność obejmie nad nią władzę.

Jak to ma się odbyć?

Czuję lęk i niepokój. Czy rzeczywiście uda mi się go spotkać i zobaczyć, kim jest w prawdziwym życiu?

To wymaga pewnej ofiary i pociągnie za sobą koszty. Aby to się dokonało, nasze światy muszą się spotkać, a wtedy magia przepadnie. Rozumiesz to, dziecinko, prawda?

Rozumiem. Co mam zrobić?

NIE WIEM, czy on jest obłąkany, czy mądry. Teraz, kiedy wszystko się pochrzańiło, jakie to ma znaczenie, że rzucę się w nieznane.

Przy Bramie Rybackiej w twoim świecie leży pod kamieniem klucz. Weźmiesz go i otworzysz drzwi do domu, w którym ostatnio spotkałaś się z Naimą i podarowałaś jej włosy o odcieniu najczerwieńszego złota. Będziemy czekać na ciebie przy drzwiach. Wszystko jest starannie zaplanowane. Czy boisz się latać?

Trochę, ale nie tak bardzo. O której mam być?

O północy. A zatem widzimy się o północy. To święte przyrzeczenie.

Porzuca mnie w mojej rzeczywistości. Czy Sindbad to tajemny mężczyzna Naimy? Co ja przed chwilą obiecałam? Że uprowadzę w środku nocy dwoje chorych na raka pacjentów? Urząd opieki społecznej mógłby mieć poważne zastrzeżenia do tego rodzaju wolontariatu. Przecież nie mam pojęcia o opiece

nad chorymi. A jeżeli ktoś z nich przestanie oddychać, dostanie jakiegoś ataku albo po prostu umrze — co wtedy zrobię? Wsłuchuję się w przesłanie z mojej wewnętrznej Lemurii: Sindbad miał rację — tam czeka już odpowiedź, odpowiednio ważka, by mnie przekonała.

Najgorsze, co może się przytrafić Sindbadowi, to nie śmierć, gdy nadejdzie już ta chwila, tylko odmówienie mu przeżycia intensywnie czasu, który mu pozostał. Opieka jako taka nie jest celem samym w sobie, chodzi o to, aby móc żyć trochę dłużej, móc żyć trochę lepiej. Teraz przypominam go sobie. Domyślam się, kim jest. To pewnie ten wymizerowany mężczyzna, który siedział na fotelu na kółkach obok Naimy przed dawnym hotelem Almedal.

Spoglądam na zegarek. Jest dopiero kwadrans po ósmej. Powinnam zdążyć przespać się jeszcze parę godzin, zanim zacznie się nocna przygoda. Ale najpierw muszę zadzwonić do Rut.

— Mam pewien trop — mówię od razu, kiedy odbiera. — Jest taki taksówkarz, który nazywa się Oskar Brodin. W Wielką Sobotę zawoził gdzieś Arsène'a i tamtą blondynkę i obiecał mi, że zrobi listę swoich wszystkich kursów, które miał w noc balu. Kończy dziś zmianę o północy i chce, żebym przyszła do jego mieszkania. Będzie czekał na moją, jak powiedział, „wizytę”. — Szukam adresu w swoim kalendarzu. — Nie czułabym się komfortowo, gdybym miała pójść tam sama.

— Super, po prostu super! — Rut śmieje się ochryple. — No to będzie miał „wizytę”. Wybiorę się do niego z jednym z najbardziej krzepkich chłopaków z drogówki.

O 23.30 DZWONI BUDZIK. W pierwszej chwili nie mam pojęcia, o co chodzi, a potem szybko się ubieram i idę, aby spotkać Sindbada w realu. Mimo późnej pory po słonecznym dniu wciąż jeszcze jest ciepło między nagrzanymi murami w ciasnych zaułkach Visby. Chyba od stu lat nie było tak ciepłego kwietnia.

Kiedy przechodzę przez Bramę Rybacką, czuję powiew zimnego wiatru wzdłuż muru. Morze jest czarne i spokojne. Ptaki zamilkły. W świetle ulicznej latarni znajduję kamień opisany przez Sindbada, a pod nim klucz. Za ciemnymi lustrzanymi oczami okien czekają Sindbad i Naima. Wkładam klucz do zamka i odwracam się, bo wydaje mi się, że słyszę jakiś szelest. Ale to tylko wiatr pędzi po ulicy zeszlóroczne suche liście. Otwieram drzwi, a za nimi widzę ich dwoje — każde siedzi na swoim chodziku z ławeczką i czeka. Ich oczy błyszczą niecierpliwie w ciemności.

— Jesteśmy gotowi — mówi szeptem Sindbad. — Mój szofer zaraz tu będzie.

Przytulam Naimę. Jej oczy pałają.

— To takie ekscytujące — mówi i też mnie obejmuje swoimi chudymi ramionami.

— Jak nazywasz się w tym świecie? — pytam Sindbada, usiłując panować nad uśmiechem, aby nie był zbyt szeroki. Nie wiem, czy powinnam także i jego uścisnąć, ale on sam już wyciąga do mnie rękę. Ostrożnie biorę go w ramiona — jest taki kruchy.

— Nazywaj mnie dziadkiem Sindbadem. Tak będzie najlepiej. Słyszę, że przyjechał samochód. Już pora. Jeśli razem z kierowcą pomożesz nam obojgu, damy radę. Tylko stosuj się do jego wskazówek. W tej podróży jesteś dla Naimy damą do towarzystwa. Niewykłuczone, że będzie potrzebowała twojego wsparcia w toalecie, rozumiesz?

— Tak, oczywiście — odzywam się niezbyt przekonana. Chwytam Sindbada w tali, on pochyla się do przodu i staje na chwiejnych nogach. Kiedy się prostuję i unoszę wzrok, omal nie wypuszczam staruszka z rąk. Bo przede mną stoi w drzwiach Arsène. Jego nagłe pojawienie się zupełnie wytrąca mnie z równowagi.

— To ty?

— Cześć — mówi głosem tak czułym, jakbyśmy zaledwie wczoraj się całowali i nie doszło do żadnego przejścia domu ani innych kantów.

Milczę. Najchętniej rzuciłabym się na niego, potrząsnęła nim porządnie i zmusiła, żeby się przyznał. Ale to niemożliwe. Nie wolno mi psuć w ten sposób umierającemu człowiekowi jego ostatniego życzenia. To ma być cicha i święta noc pod znakiem miłości. Miłosne spotkanie o najwyższym prioritycie. Co najwyżej mogę spróbować zrobić Arsène'owi zdjęcie i dać Rut do albumu recydywistów. Ja mam album z młodymi parami, ona ma taki.

Nie bez wysiłku udaje się nam wszystkim ulokować w aucie.

— Dokąd jedziemy? — pytam z tylnej kanapy, na której siedzę razem z Naimą. Panowie zajmują miejsca z przodu i przy każdej kolejnej mijanej latarni widzę twarz Arsène'a we wstecznym lusterku. Pokazuje się i znika w ułamku sekundy, dokładnie tak samo, jak on robi to w życiu.

— Na lotnisko. — Sindbad uśmiecha się tajemniczo. — Wrócimy jutro rano przed ósmą. Kiedy siostry przyjdą nas obudzić, zastaną nas z powrotem w naszych łóżkach i wszystko będzie snem.

Przejeżdżamy przez rondo przy cukierni Norrgatt, mijamy rezerwat Galgberget, a potem odbijamy w prawo. Widzę helikopter, który czeka na nas. Arsène podnosi Naimę i niesie ją na rękach do maszyny. Potem oboje pomagamy Sindbadowi.

Na pokładzie Arsène stawia na srebrnej tacy cztery kieliszki i otwiera szampana. Pilot zagląda do kabiny i nas wita, po czym siada za sterem i odrywamy się od ziemi.

Hałas jest ogłuszający, ale Sindbad tylko się uśmiecha, a noc pełna jest gwiazd. Nie widzimy ani lądu, ani morza, jedynie ciała niebieskie, a od czasu do czasu w szybie pokazuje się blade oblicze księżyca w pełni. Naima zauważa, że jest opuchnięte jak po kortyzonie, i chichocze, sącząc szampana. Patrząc badawczo na Arsène'a, który pomaga Sindbadowi pić przez słomkę.

Chyba już wcześniej robił coś takiego.

Po mniej więcej piętnastu minutach lądujemy, a ja pytam, gdzie jesteście.

Oczy Sindbada błyszczą jak u jakiegoś łobuziaka.

— Na Gotska Sandön¹. Chcę zasnąć na plaży przy akompaniamencie szumu fal i obudzić się ze wschodem słońca.

Sindbad bierze Naimę za rękę i oboje patrzą sobie w oczy z taką czułością, że nie potrafię powstrzymać łez, wiem bowiem, że ich wspólny czas jest krótki i bezcenny. Nic nie może zakłócić im tej nocy.

Na otwartej przestrzeni przy drewnianym budynku, przy którym wylądował helikopter, stoją zgrabne nieduże sanie, z przymocowanymi domowym sposobem szerokimi płozami; po piasku mają je ciągnąć dwa syberyjskie husky. Sadowimy w nich Naimę i Sindbada pod ciepłym kocem, bo zrobiło się trochę chłodno. Arsène rusza przodem i prowadzi ekipaż. Wciąż oszołomiona idę za nimi, mijając latarnię morską, która na przemian rzuca światło i cień na ścieżkę prowadzącą w dół, ku piaszczystej plaży. Słyszę morze, które rozbrzmiewa jak miarowy puls, gdy fale przelewają się przez brzeg i cofają z szemrzącym pomrukiem. Księżyc w pełni oblewa twarz Arsène'a. Spogląda na mnie. Chcę odwrócić wzrok, ale nie mogę. Jego wargi poruszają się i mówią bezgłośnie „przepraszam”.

1. Gotska Sandön — szwedzka wyspa na Morzu Bałtyckim, położona ok. 38 km na północ od Fårö. Administracyjnie stanowi część prowincji Gotland. Jest długa na 9 km, a w najszerszym miejscu osiąga 6 km. [\[wróć\]](#)

MAGICZNA NOC

Arsène rozpala ogień na plaży. Patrzę na strzelające ku czarnemu niebu iskry i zastanawiam się, co właściwie oznaczają te jego przeprosiny. Przepraszam, że cię pocałowałem, czy że zniknąłem z nią, czy że ukradłem ci dom? Dostaję szału, że tego nie wiem.

Spoglądam na Sindbada i Naime, którzy siedzą przytuleni w saniach, i ze względu na nich odsuwam wszelkie myśli o Arsènie. Teraz jest tylko szoferem Sindbada. To nie jest moja chwila — to jest ich magiczna noc. W oczekiwaniu na idealny żar w ognisku Arsène zaczyna opowiadać o wyspie i już po chwili słucham go jak zaczarowana, bo on ma naprawdę hipnotyczny głos gawędziarza.

— Na tej wyspie grasował przez lata Gottberg, człowiek, który trudnił się ograbianiem statków. Wsiadał na kulawą kobyłę i jeździł brzegiem z lampą w dłoni. Z daleka, z morza, mogło się wydawać, że to statek kołysze się na falach. W ten sposób oszukiwał żeglarzy, którzy zwabieni światłem płynęli w jego kierunku. Ich statki rozbijały się na skałach Kopparstenarna i szły na dno, a gdy oni sami, ocalawszy z wraku, docierali, brodząc przez wodę, ku brzegowi, Gottberg mordował ich siekierą.

— To potworne i ekscytujące. — Naima przytula się jeszcze mocniej do Sindbada, a on uśmiecha się, widząc jej ożywioną twarz.

— Podobno kiedyś zwabił całą dużą załogę do szopy pod pretekstem, że dostaną jedzenie i gorzałkę. Ale zamiast tego zamknął ich w niej i powystrzelał wszystkich po kolei przez szpary w ścianach. Kiedy w miejscu, w którym mieszkał, rozkopano po latach ziemię, znaleziono

w niej ludzkie szkielety.

Arsène opowiada dalej, jednocześnie kładąc kawałki wołowiny na kratce do grillowania, którą umieścił na jakimś statywie nad żarem ogniska. Stawia też na niej wok i wypełnia go kolorowymi warzywami, po czym dodaje oleju, octu balsamicznego i świeżych ziół.

— Można wiedzieć, jakie dziś wieczór mamy menu? — pyta Sindbad.

— Ależ oczywiście, szanowny panie. Na początek zupa z owoców morza z nutą szafranu i kroplą szampana, potem polędwica wołowa w sosie śmietanowo-cebulowym i warzywa z woka, a na deser jabłecznik według przepisu twojej babci.

— Z bitą śmietaną z kropelką ponczu?

— Ma się rozumieć z bitą śmietaną, szanowny panie.

Arsène nakrywa białą serwetą tacę przed parą w saniach, potem stawia na niej świecę i jedną czerwoną różę w smukłym kryształowym wazoniku. Niebo jest nieopisanie rozgwieżdżone i w ogóle nie wieje wiatr. Wydaje mi się, że śnię.

Naima kiwa na mnie i szepcze:

— W torebce mam mały pojemniczek z tabletkami na mdłości. Mogłabyś mi przynieść? Bardzo bym chciała móc delektować się tą kolacją.

Popija tabletkę odrobiną szampana i uśmiecha się, nie zdradzając, o czym myśli.

— Służba może zjeść w kuchni, prawda? — Arsène mruga do mnie i rozkłada na piasku koc, na środku rozpościera biały obrus, po czym wyjmuje serwetki, talerze, sztucce i piękne kryształowe kieliszki.

— Dziękuję, że mogę w tym uczestniczyć — mówię, spotykając pełne zachwyty spojrzenie Sindbada. — Bardzo cię lubię.

— My ciebie też, to znaczy Naima i ja. Ale zdaje się, że mojemu szoferowi także wpadłaś w oko. O ile dobrze zrozumiałem, już się kiedyś spotkaliście?

— Tak! — Patrzę badawczo na Sindbada, ale on nie mówi już nic więcej, daję więc spokój.

PO KOLACJI, gdy Sindbad i Naima zostają wygodnie ułożeni w saniach i szepczą sobie do ucha jakieś czułości, Arsène i ja zostajemy na piasku i pilnujemy ognia. Pod wpływem ciepła i szampana płoną mi policzki. Psy wyciągnęły się obok sań i śpią, jeden z pyskiem na grzbiecie drugiego. Nie mija wiele czasu, a starsi państwo też zapadają w sen.

— Kim ty tak naprawdę jesteś? — pytam cicho, żeby ich nie obudzić.

Arsène pochyla się ku mnie.

— Mężczyzną, który pewnego wieczoru ujrzał swoje przeznaczenie w restauracji, w której serwowano parfait jeżynowe. Srebrna łyżeczka unosiła się do karminowych ust. Wieczne słońce rzucało refleksy na złotorude włosy pewnej kobiety. Miała na sobie ładną, dopasowaną sukienkę w czerwono-biały wzór i przypominała gwiazdę filmu z lat pięćdziesiątych, której nazwiska nie pamiętam. Jej spojrzenie spotkało się z moim najpierw przez przypadek, a potem zaczęła się gra: patrzeć, ale tak, by nie być widzianym. Wiedziałem, że ona jest tą, za którą od zawsze tęskniłem. I wtedy całkiem na poważnie przewartościowałem swoje życie i pomyślałem, że może moim prawdziwym przeznaczeniem jest to, co czeka na mnie za rogiem.

Robię, co mogę, aby nie przyjmować do siebie jego słów i starać się spojrzeć trzeźwo na sprawę. Z każdą minutą narasta we mnie pewne podejrzenie. Sposób, w jaki on dobiera słowa, ich rytm wydają mi się znajome.

— Czy to z tobą rozmawiałam przez Internet? Ty jesteś Sindbadem?

— Nie, to mój chlebodawca pisał do ciebie. Ja jestem jedynie jego dłońmi. Ale dzięki temu miałem szansę poznać cię lepiej.

— A więc ty to czytałeś? Wszystko, co pisałam do Sindbada? Ty łajdaku!

— mówię maksymalnie przytłumionym głosem, żeby nie przeszkadzać śpiącej parze.

— Można by tak pomyśleć, chociaż ja idę tylko za głosem swego serca. No cóż. A kto użył określenia „szczur kloaczny”? Czy to nie było poniżej pasa? Teraz ja chcę wszystko wiedzieć o tobie!

Głaszczę mnie po policzku, a ja się nie odsuwam. Wiedzie palcem po konturach moich ust, a potem mnie całuje. Powinnam zaprotestować, powinnam... Przecież on może być oszustem. Lecz jego ciepło, jego zapach, upojne doznanie paraliżuje moją wolę i w rezultacie odpowiadam na pocałunek z takim samym utęsknieniem. Wiem, że znienawidzę samą siebie, kiedy magia minie, jednak ta świadomość nie wyrywa mnie z zauroczenia.

— Kim ty jesteś? — pytam znowu. Lecz on kładzie palec na moich ustach i ucisza mnie pocałunkiem.

— Chodź!

Wyciąga rękę, aby pomóc mi wstać. Ze splecionymi dłońmi idziemy brzegiem w blasku księżyca, oddaliśmy się od ognia, aby nikt nie mógł nas widzieć oprócz gwiazd, ale jesteśmy wciąż na tyle blisko Sindbada i Naimy, aby w razie czego móc ich usłyszeć.

— Rzuciłaś na mnie urok, Angeliko. Jestem tak zadurzony i odurzony, jak tylko może być dorosły mężczyzna. Ale życie jest... skomplikowane.

— Jest mniej skomplikowane, jeśli żyje się uczciwie.

— Staram się. Jednak czasami trudno jest przewidzieć konsekwencje, gdy idzie się za głosem serca, a wola serca pozostaje w niezgodzie z sumieniem. Niczego tak nie pragnę, jak być wobec ciebie szczerym. Niczego tak nie pragnę, jak być z tobą.

— Wciąż myślę o tobie. Cały czas — wyznaję. Już miałam zamiar użyć słowa „kocham”, lecz ono długo było zarezerwowane wyłącznie dla Joakima. Od jego śmierci nie powiedziałam go nikomu. Moje myśli krążą wokół niej,

wokół tamtej kobiety, którą Arsène pocałował na balu. Ale jej obraz szybko się rozwiewa. Jego oczy lśnią w blasku księżyca. Dostrzegam w nich pożądanie. Za jego plecami powoli dogasają płomienie. Kocham cię. To szaleństwo. Pragnę cię. On całuje moje ręce, moje usta. Nie przestawaj, to nie może się skończyć.

— Jesteś taka piękna, tak niewymownie piękna, moja ukochana.

Blask ognia sprawia, że wcale nie czuć nocnego chłodu.

— Dlaczego jest skomplikowane? — Czuję się zupełnie otepliała i mam pustkę w głowie, kiedy trzyma mnie w ramionach, mimo to domyślam się, że on nie należy tylko do mnie. I że może nigdy nie będzie mój.

— Zaraz ci to wyjaśnię.

Nie oddaliliśmy się od ogniska na długo, ale to, co w tym czasie się stało, wydaje się wydarzeniem większego formatu niż powstanie całego wszechświata. Arsène dokłada drewna do ognia. Siadamy przy nim, po czym okrywa nas kocem, budując dla nas gniazdo.

— Jak masz naprawdę na imię?

— Magnus.

— Magnus — po raz pierwszy wypowiadam jego imię. — Kim była ta kobieta, którą pocałowałeś na balu?

— To moja... partnerka — zaczyna z ociąganiem. — Widziałaś ją? Jesteśmy ze sobą od piętnastu lat. Trudno skończyć coś takiego z dnia na dzień. Musiałem dać jej szansę, żeby zrozumiała.

— Zrozumiała co? — pytam i czuję, że cała drzę w obawie przed odpowiedzią.

— Że spotkałem kogoś, kogo kocham, i że chcę z tym kimś dzielić życie. Opowiedziałem jej, co czuję, i ona bardzo to przeżyła. Chce, żebyśmy jeszcze spróbowali wszystko naprawić.

— To znaczy, że się wahasz?

— Nie, między nami nie ma już co ratować. Tragizm w pewnym sensie polega na tym, że to rozstanie nie nastąpiło już wcześniej. Oboje zbyt długo łątaliśmy i sklejaliśmy ten nasz związek. — Wybucho przytłumionym śmiechem i przyciąga mnie do siebie.

— Zobaczymy się jeszcze? — pytam, widząc jednocześnie, że Sindbad się obudził i poruszył w saniach. Psy też się ocknęły. Ziewają i rozciągają się, a potem oba podchodzą do sań i kładą się tuż przy nich.

— Kiedy już wyprostuję swoje życie, niczego nie będę pragnął tak mocno jak być przy tobie. Nie rezygnuj, proszę. Rozmawiaj dalej z Sindbadem. On świetnie wie, co do ciebie czuję.

— On chyba czegoś chce. — Zwracam Magnusowi uwagę na staruszka w saniach.

— Magnus, potrzebuję zastrzyk.

Sindbad wyraźnie pobladł, a jego ciemne oczy zwężyły się z bólu. Magnus wyjmuje morfinę i wykonuje swoje zadanie swobodnie i z wprawą, z czego wnioskuję, że nie robi tego po raz pierwszy. Zastanawiam się tylko, czy ma odpowiednie kwalifikacje, czy nauczył się tego od Sindbada.

Na wschodzie nieśmiało zaczyna rozlewać się światło brzasku. Naima budzi się i wtula w swojego ukochanego. Ogień dogasa. Magnus zabiera się do pakowania, a potem zaprzęga psy. Po chwili pomagam Naimie udać się „do damskiej toalety” w zaroślach. W drodze powrotnej osuwa się na chwilę na kamień, żeby trochę odpocząć.

— Chcę ci coś powiedzieć — szepcze. — Dopuszcłam się zdrady. Mój mąż nic nie wie o mnie i o Sindbadzie. Czeka tylko na moją śmierć. Jakbym była jakimś wybrakowanym towarem, który można zwrócić do reklamacji, jeśli nie spełnia naszych oczekiwań. Ciągłe urąga lekarzom: „Tak nie może być. To nie jest ta sama kobieta, którą miałem. Mówiliście, że zostały jej jeszcze trzy miesiące, a minęło już pół roku. Ja pracuję. Musicie dać jej coś

takiego, żeby to się skończyło”. Potworny z niego egoista. Czułam się przeraźliwie samotna w całej tej mojej chorobie. Zawiódł mnie i dlatego postanowiłam się od niego odciąć, żeby móc żyć, dopóki moje dni nie dobiegną kresu. Gdyby zostało mi więcej czasu, doprowadziłabym do rozwodu, ale w obecnej sytuacji skupiam się na tym, co najważniejsze. Na miłości. Uważasz, że jestem okropna?

— Wręcz przeciwnie. Jesteś wierna samej sobie.

— Jutro przyjdzie mnie odwiedzić. Robi to z czystego obowiązku. Będzie siedział obok mnie na krześle z pogrzebową miną. Od czasu do czasu spojrzy na zegarek i powie, że wszystko będzie dobrze i że jestem dzielna. On już mnie nie dotyka tak jak mężczyzna dotyka kobiety. Moje ciało się zmieniło. — Naima uśmiecha się zasmucona. — Mimo to jest mi go żal, bo on inaczej nie potrafi. Życzę mu, żeby miał kogoś, z kim mógłby porozmawiać. Chciałabym, żeby znalazł sobie jakąś kobietę i dzielił z nią resztę życia. Bo on ma tylko swoją pracę. Powierzchowne kontakty z kolegami z firmy, żadnego życia towarzyskiego. Nie życzę mu źle, jedynie nie chcę go już widzieć blisko siebie. Moje życie, dni, które mi zostały, są dla mnie na to zbyt cenne.

— To bardzo wielkoduszne, że myślisz o nim w ten sposób — mówię i naprawdę tak uważam, bo przecież Naima ma wszelkie prawo, by być zgorzkniała.

— Wcale nie. Ja po prostu zgłaszam go do reklamacji tak samo, jak on zgłasza mnie. Jako mąż i towarzysz na trudne chwile jest kompletnie wybrakowany. Poproszę o wymianę na nowego! I wiesz, co ci powiem? Dostałam te dodatkowe miesiące życia i zakwalifikowałam się na następną chemię tylko dlatego, że siłę daje mi moja nowa miłość. Lekarze nie dawali mi szans, ale ja się uparłam. Jutro zaczynam. Jestem taka wdzięczna, że mogłam być tutaj dzisiejszej nocy, i cieszę się, że z nami przyjechałaś, żeby

nam pomóc.

— Ja też się cieszę, że przyjechałam — mówię i dyskretnie poprawiam jej perukę z miedzianymi lokami, która nieco się przekrzywiła.

— Będiesz do mnie pisać? — pyta Sindbad, kiedy wracamy do sań.
— Bardzo bym tego chciał, mimo że bramy między naszymi światami są teraz otwarte, a ty ujrzałaś mnie w całej mojej ułomności.

— Będę pisać, a jutro wieczorem wpadnę z drugą peruką dla Naimy. Więc się zobaczymy.

Helikopter wzbija się w powietrze i nasze rozmowy toną w szumie silnika i huku obracających się śmigieł. Lecimy w kierunku Visby. Magnus wygląda przez okno. Próbuję odczytać wyraz jego twarzy. Nie wydaje się do końca obecny, myślami jest gdzieś indziej. Nic nie mówiąc, wyjmuję po cichu komórkę i pstrykam mu zdjęcie.

ZAGŁĄDA KOMORNIK

O ósmej rano w piątek jestem z powrotem w domu po nocy spędzonej na Gotska Sandön. Nie spałam ani sekundy, mimo to nie jestem zmęczona. Ściskając Sindbada na pożegnanie, szepnęłam mu do ucha, że jego szofer być może jest oszustem i że powinien na niego uważać. Powiedziałam to niby żartem, żeby zobaczyć, jak zareaguje. Sindbad wychwytuje w lot ukryte myśli.

I teraz nie wiem, co mam sądzić. Kiedy Magnus jest blisko mnie, jestem całkowicie przekonana, że jest niewinny, ale kiedy zostaję sama, pojawiają się wątpliwości. Sindbad tylko się roześmiał i rzekł, że w tych czasach on bardziej ufa Magnusowi niż samemu sobie. Ale czy to właśnie nie jest w Arsène takie niebezpieczne — ten jego urok i łagodna życzliwość.

Kuchnia nadal wygląda jak jedno wielkie pobojuwisko. Ludvig nie ruszył nawet palcem. Nie jestem w stanie na to patrzeć, a tym bardziej cokolwiek z tym zrobić. W moim domu każdy sam sprząta po sobie.

Siadam więc do komputera i zaczynam szperać w sieci. Według Eniro dwustu dwudziestu ośmiu mieszkańców Gotlandii ma na imię Magnus, z czego stu sześćdziesięciu dwóch mieszka w Visby, wliczając w tę liczbę także wszystkich Karlów-Magnusów i innych o podwójnym imieniu. Kiedy chciałam go spytać o nazwisko, tylko przesłał mi całusa z daleka. Dlaczego nie chce, żebym wiedziała, jak się nazywa? Nie mam odwagi mu zaufać. Nie chcę się zakochać, a potem być zdruzgotana.

Ostatecznie Visby ma dosyć bogatą ofertę nieskomplikowanych mężczyzn legitymujących się zarówno imieniem, jak i nazwiskiem, myślę sobie,

wchodząc do wanny i odkręcając prysznic. Dlaczego nie mogę zakochać się w jednym z nich, kiedy po siedmiu latach smutku wreszcie jestem w stanie coś poczuć?

GDY PO KĄPIELI zaglądam do kuchni, zastaję w niej Ludviga z moim dawnym kolegą klasowym, Clemensem. W tym miejscu powinnam chyba doprecyzować: mówiąc o bogatym wyborze nieskomplikowanych mężczyzn, nie miałam na myśli Clemensa. On nie jest nieskomplikowany ani przez jeden jedyny dzień w tygodniu. To typowe uosobienie kompleksu szeryfa, tyle że brak mu dumy kowboja, która byłaby równoważącą właściwością. Jego widok w mojej kuchni rzecz jasna mnie dziwi. Kapelusz Clemensa zajmuje większą część blatu kuchennego stołu, a flinta pobłyskuje w szaroniebieskim świetle poranka.

— Jestem tutaj w roli komornika — wyjaśnia, widząc moje pytające spojrzenie. — W związku z długami podlegającymi obowiązkowi spłacenia przyszedłem wycenić istniejące sprzęty. Telewizor nie jest wart nawet tysiąca koron, ale może w domu znajduje się komputer?

— Przestań, Clemens, nie żartuj sobie! — mówię, jednak śmiech więźniemi w gardle, gdy widzę, że jego wyraz twarzy się nie zmienia. Przyszedł tu służbowo, żeby wywęszyć nieliczne dobra, jakie posiadam.

— Jeśli w domu znajduje się biżuteria albo inne cenne przedmioty, muszę uwzględnić je w moim wykazie. Dom został zastawiony jako zabezpieczenie kredytu, który nie jest terminowo spłacany. Zgodnie z wpisem w urzędzie rejestracyjnym jego obecnym właścicielem jest Ludvig Svensson. A dla mnie jest jasne, że ty, Ludvig, nie masz żadnej zdolności finansowej, ponieważ jesteś bezrobotny. Dom jest maksymalnie zadłużony. I dlatego moim obowiązkiem jest sprawdzić, czy znajdują się w nim inne zasoby.

— Ludvig, czy przyszło jakieś wezwanie do zapłaty? — pytam zbaraniała.

— Niejedno, i ostatnio, i wcześniej, ale ja je wszystkie wyrzucam do

kosza, bo strasznie się denerwuję. Wpadam w panikę! — Jego głos przechodzi w falset, widzę więc, że powinnam go uspokoić, żeby mógł dalej mówić. — Musisz wiedzieć, że one są pisane strasznie napastliwym tonem i są pełne pogroźek. Kiedyś odpisałem do izby komorniczej i zaproponowałem im swoje usługi jako konsultant językowy. Miałem wiele pomysłów, jak zmienić sformułowania, żeby ich pisma brzmiały łagodniej i przyjaźniej dla klienta, jednak nie odpowiedzieli na moją ofertę.

— Ale masz tę pracę w bibliotece, tak? — pytam grobowym głosem.

— Myślałem, że ją dostanę. Poszedłem dzisiaj na rozmowę kwalifikacyjną, tyle że oni spodziewali się mnie wczoraj. Powiedzieli, żebym nie robił sobie specjalnych nadziei, bo już mają kandydata. Nie spodobałem się im. Czuję to. Może to przez te włosy, jak myślisz?

Ludvig szarpie spalone kosmyki i patrzy na mnie.

— Ostrzyż się i załatw sobie pracę — bąka mechanicznie Clemens.

— Czegoś tu nie rozumiem — zwracam się do egzekutora. — Chciałabym, Clemens, żebyś mi wyjaśnił, jakim prawem przychodzisz tutaj i wyceniasz moje rzeczy. Nawiasem mówiąc, mój komputer ma siedem lat, to stary trup, potwornie wolny, ledwo łączy się z Internetem. Twoja mama nie chciałaby go pewnie nawet jako podnózek. I co najważniejsze, komputer, podobnie jak telewizor, jest mój. A nie Ludviga.

Clemens ze współczuciem poklepuje mnie po ramieniu.

— No cóż, tak to już jest, moja droga. Ludwig nie ma zdolności finansowej, ale ma między innymi dług wobec zakładu ubezpieczeń z tytułu składek, których nie płacił. Dług wynosi dwieście pięćdziesiąt osiem tysięcy koron i ponieważ teraz mieszkacie razem, zgodnie z decyzją zakładu należność ma zostać spłacona przez gospodarstwo domowe.

— Co takiego?

Nie wierzę własnym uszom. Ja mam spłacać długi Ludviga dlatego, że

razem mieszkamy? I to wbrew mojej woli!

— Nie mieszkamy razem w tym sensie, w jakim myślisz. On się tu jedynie wprowadził.

— Oboje jesteście zameldowani tutaj na stałe. Czy chcesz zaprzeczyć, że macie ze sobą relację seksualną? — Clemens wygląda na zawiedzionego. To naprawdę przestaje być zabawne.

— My nie mamy w ogóle żadnej relacji ze sobą! On po prostu tu waletuje.

— To niesprawiedliwe — odzywa się Ludvig, a ja widzę, że zupełnie traci panowanie nad sobą. — Jestem chyba już na zawsze skazany na życie w pojedynkę. Bo jak tylko do kogoś się sprowadzę, ten ktoś zaraz jest zmuszany do spłacania moich długów z racji prowadzenia wspólnego gospodarstwa domowego. Nie jest to najlepszy sposób na znalezienie sobie kogoś. Nikt nie pokocha mnie na tyle mocno, żeby chciał wyłożyć za mnie dwieście pięćdziesiąt osiem tysięcy koron zakładowi ubezpieczeń. Egzekutorzy tej instytucji skazują mnie na życie w celibacie! Jak kupiłem ten dom, na który rodzice zaciągnęli kredyt, myślałem, że niedługo znajdę pracę i wszystko powoli się rozwiąże. Ale widzę, że jestem więźniem biurokracji. Postacią jak z Kafki, bez nadziei na przyszłość. To koszmarne!

Otaczam go ramieniem, bo zaczyna płakać.

— Nie tkniesz nawet palcem moich rzeczy, dopóki policja nie zakończy dochodzenia — mówię do Clemensa, nie kryjąc wściekłości. — Jeśli zostanie udowodnione, że podpis na umowie sprzedaży jest podrobiony, to popełnisz służbowe wykroczenie, teraz rekwirując rzeczy, które są moją własnością. Zdaje się, że coś takiego nazywa się samowolnym postępowaniem niemającym podstaw prawnych. — Nie mam pojęcia, skąd to wytrzasnąłam, ale brzmi całkiem wiarygodnie.

— A dlaczego miałby być sfalszowany? Skąd takie przypuszczenie?

— Radziłabym ci poszukać odpowiedzi we własnej głowie. Pożyczyłeś

ode mnie moją kartę kredytową w Wielką Sobotę? Tak czy nie? Podrobiłeś mój podpis, czyli innymi słowy sfałszowałeś? Tak czy nie? Jeśli tkniesz moje rzeczy, jeżeli któregoś dnia nie zastanę w domu komputera albo telewizora, oskarżę cię o sfałszowanie dokumentów!

Nie czekając na odpowiedź, wstaję i idę do pracy. Wiem, że teraz Clemens nie zabierze mi niczego. Mimo to cała ta sytuacja jest po prostu nie do zniesienia.

Nie zjadłam śniadania. Nie mam pieniędzy, żeby sobie coś kupić. Z rozmarzeniem zaglądam przez szybę do piekarni. Pocieszę się w salonie kawą i szafranowymi sucharkami.

DO OTWARCIA jest jeszcze pół godziny. Ricky starannie pouzupełniał oba pomocniki i wyczyścił podłogę. Jak chce, to potrafi. Siadam na dworze przy fontannie z kalendarzem i kawą i próbuję zebrać myśli. Moim pierwszym klientem dzisiaj ma być dyrektor Hägg z banku DDW. Nie mogę omawiać z nim swoich interesów w obecności innych klientów, tylko muszę poczekać do naszego spotkania po weekendzie. Ostatnia rzecz, jakiej bym chciała, to żeby ludzie pomyśleli, że salon zostanie zamknięty, bo splajtowałam.

Hägg jest wdowcem od roku. Ricky dopisał przy nim kod S, czyli klient standardowy, i stopień pilności 4. Nie jestem przekonana co do tej oceny. Nie sądzę, aby Hägg był gotowy na nowy związek. Przez ostatnie cztery lata całkiem sam opiekował się chorą żoną i niemal nie ruszał się z domu dzień i noc. Moje doświadczenie podpowiada mi, że on nie chce wchodzić w żadną nową relację, tylko chce mieć spokój. Ale Ricky musi popełnić parę błędów, zanim będzie w pełni kompetentny i osiągnie niezbędne kwalifikacje.

Razem z Martinem Häggiem przychodzi jedna z młodszych przyjaciółek Tilly, Mildred Bofjär, która skończyła siedemdziesiątkę. Ricky ma jej umyć i ułożyć włosy.

Mildred chyba najbardziej ze wszystkich na naszej wyspie przypomina

prawdziwą arystokratkę. Kiedyś miała pałac w Sörmlandzie z kucharkami, pokojówkami, sprzątaczkami i ogrodnikami. Ale pałac się spalił i wtedy przeprowadziła się na Gotlandię, i kupiła mieszkanie w Visby. W dziwny sposób ubzdurała sobie, że my, tubylcy, jesteśmy jej poddanymi. Widziałam ją kilka razy w piekarni. Ona nie potrafi czekać w kolejce, bo nigdy się czegoś takiego nie nauczyła. Uważa za osobliwe, że ludzie ustawiają się w szeregu wzdłuż jakiejś linii, podczas gdy przecież można podejść od razu do lady i poprosić ekspedienta, żeby ruszał się żwawiej. W swej wielkiej łaskawości daje piekarzowi całą koronę napiwku i w zamian oczekuje dozgonnej wdzięczności. Poza tym nie ma w ogóle poczucia humoru. Kiedy powie się coś żartem, ona uważa to za niezrozumiałe i przerażające. Uprzedziłam Ricky'ego, żeby mówił do niej jasnym tekstem. Sklasyfikował Mildred jako N5. Narcystyczna natura z ogromną potrzebą miłości. Uczy się chłopak.

Upijam łyk kawy, która zdążyła już ostygnąć. Dzisiejszy dzień jest chłodniejszy. Moje życie zamieniło się w kłębowisko przytłaczających okoliczności, a ja pragnę mężczyzny, który nie należy do mnie. Jestem szczęśliwa i nieszczęśliwa, i kompletnie spłukana.

Wyjmuję komórkę i patrzę na zdjęcie, które zrobiłam Arsène'owi. Wciąż jeszcze nie mogę się przyzwycząić, że w rzeczywistości ma na imię Magnus. Zdjęcie jest z profilu. Moja pierwsza myśl była taka, żeby wysłać je Rut, ale teraz nie jestem już pewna. A jeżeli ona je wykorzysta do listu gończego? A Jonna je przechwyci i pokaże w gazecie z jakimś diabolicznym tekstem, a potem się okaże, że on jest niewinny? Czy po czymś takim można kiedykolwiek uwolnić się od złej sławy?

Jeśli sprawy mają się tak, jak on mówi, i właśnie jest w trakcie rozstawania się z kobietą, z którą żyje, może musi skupić całą swoją uwagę właśnie na tym. Czy istnieje jakaś inna możliwość, żeby ustalić, czy to on ukradł mi

dom? Przecież Tove mogłaby go rozpoznać, przebiega mi przez myśl w chwili olśnienia, mimo że mózg nie styka po nieprzespanej nocy.

Wracam do salonu i robię sobie nową fryzurę. Upinam włosy w tapirowany kok w stylu lat pięćdziesiątych. Jeśli fryzjerka nie ma zadbanej głowy, nikt nie uwierzy, że jest dobra. Wkładam fartuch, patrzę w lustro i wyciągam ku swojemu odbiciu nożyczki, jak w *Taksówkarzu*. Zmęczenie widoczne jest w ciemnych cieniach pod oczami. „*Are you talking to me? Tell me, are you talking to me?*”.

— Co za miła niespodzianka — odzywa się Ricky za moimi plecami i włącza ekspres do kawy. — Widzę, że zamierzasz dziś pracować.

Podchodzę do drzwi, aby wpuścić dyrektora banku Hägga i Mildred Bofjär. Nie sposób nie zauważyć, że dyrektor nie jest jej obojętny. Unosi jedną rękę ku szyi, aby ukryć swój podwójny podbródek, i uśmiecha się jak księżyc w pełni.

— Co za przypadek, że znowu spotykamy się u fryzjera!

Dyrektor Hägg wita ją zdawkowym, sztywnym ukłonem, po czym siada na fotelu, darując sobie jakikolwiek komentarz. Następnie zagłębia się w „*Dagens Industri*”. W najświeższym numerze jest kolejny reportaż o budowie tunelu Simona Bogrena, który spotkał się z ministrem infrastruktury. Zamieszczony jest duże zdjęcie projektu.

— To się nigdy nie uda — zauważa Hägg. — Jeśli nawet Bogrena stać na takie przedsięwzięcie, pozostaje pytanie, czy ludzie będą chcieli płacić za podróżowanie pod morzem. To może się okazać dla niego ekonomiczną katastrofą.

Mildred zdejmuje swój biały wiosenny kapelusz, który przypomina złożony z trzydziestu kawałków tort bezowy z kremem, i podaje go z wyniosłą miną Ricky’emu. Jej brzuch sterczy pod żółtą sukienką jak okrągła piłka, a chude nogi sprawiają, że ona cała wygląda niczym kurczak

gigant, co to wyskoczył ze skorupy kapelusza. Nie pojmuję, co kombinował Ricky, kiedy połączył ją w parę z Häggiem. To było partackie.

— Czy wojewoda przysłał zaproszenie? — Mildred rzuca pytanie w powietrze, a my nie bardzo wiemy, kto ma na nie odpowiedzieć. — Czy dyrektor banku otrzymał zaproszenie? — dodaje, gdy nikt się nie odzywa.

Hägg odkłada gazetę, aby schować ręce pod pelerynkę, która wygląda na nim w tym momencie jak kaftan bezpieczeństwa.

— Oczywiście, jestem zapraszany każdego roku. To już tradycja, że się spotykamy, nawiązujemy nowe kontakty i dyskutujemy o tym, co dobrego można zrobić dla wyspy. Niekiedy przyznajemy kredyty na obiecujące projekty, a ta ostatnia koncepcja Simona Bogrena z pewnością też będzie przedmiotem debaty.

— Musiało nastąpić jakieś nieporozumienie, ponieważ do mnie nie przyszło pisemne zaproszenie. Choć ja oczywiście nie potrzebuję żadnych formalnych pism. Bo przecież to fakt niepodważalny, że należę do socjety. Czy pan dyrektor czytał listę zaproszonych? Była w dzisiejszej porannej gazecie.

— Nie — bąka Hägg, a moje doświadczenie zawodowe mówi mi, że on należy do klientów, którzy lubią, aby podczas strzyżenia panowała cisza. Mildred nie ma za grosz wyczucia.

— Moim zdaniem większość z nich nie powinna była w ogóle się znaleźć na tak prominentnym przyjęciu. To jacyś przypadkowi ludzie, o nazwiskach Svensson, Thomson czy Nypelius. No i zapraszają też autorów kryminałów wątpliwej jakości, bez jakiegokolwiek rozróżnienia. Zero stylu. Ja bywałam w Operze Królewskiej.

Tłumię atak śmiechu, który mnie ogarnia, kiedy patrzę na minę Ricky'ego. Przecież jego mama pisze kryminały.

— To, że ludzie są na liście, nie oznacza, że przyjdą, a jedynie, że zostali

zaproszeni. Są znani ludzie, którzy nigdy tam nie poszli — wtrąca Ricky dyplomatycznie, próbując skierować Mildred do umywalki, do mycia głowy. Za jej plecami robi gest zaparzaczkii. „Tytylko ja nie zostałam zaproszona”. — Bardzo proszę, tędy.

— Pójście tam uważam za swój obowiązek — stwierdza Mildred, kiedy Ricky odkręca wodę i odchyła jej głowę do tyłu. — Czy wspominałam, że bywałam w Operze Królewskiej?

PRÓBA WERBOWANIA U CLASA OHLSONA

— Czy wspominałam, że bywałam w Operze Królewskiej? — parodiuje Ricky, sięgając po zaparzaczkę, ledwie zamknęły się drzwi za Mildred Bofjär i Martinem Häggiem.

— Obiecuj mi, że już nigdy nie zapiszesz ich na ten sam termin — zwracam się do niego. — Bo stracimy go jako klienta, a byłoby szkoda. Przychodzi do mnie od samego początku istnienia salonu.

— Próbowałem tylko być kreatywny. Jest wdowcem i jak na swój wiek wygląda diabelnie dobrze. Pewnie niedługo pójdzie na emeryturę i będzie łakomym kąskiem dla podstarzałych lwic, kiedy zacznie bywać na wieczorkach tanecznych związku emerytów.

— Wątpię, żeby na nie chodził — mówię cicho. — Stracił żonę dopiero rok temu. Kochał ją i jeszcze nie jest gotowy na nową znajomość. Ma dzieci, wnuki i przyjaciół. A jeśli nadejdzie taka chwila, że będzie chciał poznać kogoś nowego, zrobi to bez naszej pomocy. Stać go na to.

— Czyli oceniasz go jako S zero?

— Tak. Nasze zadanie nie polega na tym, żeby kojarzyć ludzi tylko dlatego, że akurat zostali singlami. Ważne są ich potrzeby. On jest jednoznacznie S zero. Trzeba umieć słuchać.

Hägg nie korzystał z usług Army, kiedy umarła jego żona, i nie pracował nad odbudowaniem poczucia bezpieczeństwa, wykonując ćwiczenia w rodzaju zabawy w ciuciubabkę. Przychodził natomiast do mnie i rozmawiał. Przychodził na trymowanie wąsów i podcinanie bokobrodów,

które wtedy miał. Niezobowiązujący kontakt. Ale dosyć się do siebie zbliżyliśmy.

Skoro jednak przypomniałam sobie o Irmie, kontynuuję:

— To co, chcesz spróbować skojarzyć Irmę z Julusem? Kto wie, może to się nawet uda? Może to całkiem dobry kandydat do tych jej irmologicznych ćwiczeń, chociaż ten jego śpiew delfina i welurowe portaski to był po prostu horror. Ale okej, wchodzimy w to, jak tylko Julius umówi się na następne strzyżenie.

Zaglądam do kalendarza i zbieram się na odwagę, aby w końcu powiedzieć:

— Posłuchaj, Ricky, mam coś do załatwienia w mieście.

— Co? Przecież dopiero co przyszłaś!

— Wiem, ale to bardzo ważne. Kiedy nagoniłam trochę klientek z Doradcy Wagi SA, zrobił się ruch w interesie, a teraz przydałoby się nam wsparcie z męskiej strony.

Naturalnie to nie do końca prawda. Ale mówię dalej na jednym wdechu, aby Ricky nie zdążył zaprotestować.

— Potrzebuję paru godzin u Clasa Ohlsona.

— Chyba lepiej by było, żebym to ja spędził tam parę godzin, bo przynajmniej wiem, jak co się nazywa. Ty pewnie klucz imbusowy nazywasz autobusowym i nie masz zielonego pojęcia, do czego służy suwmiarka ani co to jest sztyft.

— Przecież ty też nie masz pojęcia, przyznaj się! Chodzi ci tylko o to, że to ja mam werbować.

— To tyyyylko od nas, facetów, oczekuje się naprawiania różnych rzeczy, tyyyylko my naoliwiamy skrzypiące zawiasy i wymieniamy uszczelki w kapiących kranach i od nas się oczekuje, że graaatis pomożemy, jak jakieś nieogarnięte paniusie nie potrafią sobie z niczym poradzić. Czuję się

urażony!

— Wiem, co to jest gwóźdź pierścieniowy — mówię, a on od razu zauważa moją niepewność.

— Okej, no to opowiedz małemu Ricky'emu bajeczkę o sztyfcie.

— Sztyft to coś takiego małego jak ty, Ricky, to gwóźdź bez główki — strzelam i najwyraźniej trafiam. Nic na to nie poradzę, że jeśli chodzi o takie sprawy, to ja nosiłam spodnie w związku z Joakimem. On miał zupełnie inne talenty. Należał do osób ciepłych i rozbijających, był mistrzem zarówno erotyki, jak i retoryki, ale w kwestiach praktycznych pozostawał oferumą. Dopiero teraz zauważam, że Ricky ma tusz na rzęsach i kreski pod oczami. Bardzo dyskretne i twarzowe.

PO DRODZE do Clasa Ohlsona dzwonię do Tove i pytam, czy możemy się tam spotkać. Początkowo jest dosyć zaskoczona wyborem miejsca, ale zaraz jej wyjaśniam:

— Mam czyjeś zdjęcie. Być może znasz tego kogoś.

Czuję się fatalnie, że jestem zmuszona podejrzewać Magnusa o oszustwo finansowe, ale chcę w końcu poznać prawdę. Na Sandön nie udało mi się doprowadzić do odpowiedniej konfrontacji, zresztą nawet gdyby do niej doszło, nie jestem przekonana, czy dowiedziałabym się więcej, niż wiem teraz. Znalazłam w jego kieszeni listę zakupów z zapiskiem o odebraniu alkometru dzisiaj, w piątek, od Clasa Ohlsona. Można się więc spodziewać, że się tam pojawi. Mam tylko nadzieję, że nie wybrałam się za późno.

— Będę za dziesięć minut — obiecuje Tove. — Ale dlaczego akurat u Clasa Ohlsona?

— Bo to najlepsze miejsce na polowanko — rzucam szybko, żeby zamienić wszystko w żart.

Czekając na Tove przed Ähléns, obserwuję toczące się wokół życie. Widok mam z wózkami i przyszłych mam z okrągłymi brzuchami wzbudza

we mnie niepokój. Życie przesypuje się przez moją klepsydrę i wypełnia dni oraz lata tęsknotą za czymś, co inni przyjmują jako oczywistość.

Z apteki po drugiej stronie ulicy wyłania się Tilly. Macha do mnie, a potem przechodzi na moją stronę. Rozmawiamy przez chwilę — opowiadam jej o Ludvigu i o tym, co wydarzyło się z moją pocztą, na co ona obiecuje mieć moją skrzynkę na oku i wyjmować moje listy.

— Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę i byłabym bardzo zadowolona i zaszczyczona, gdybyś się zgodziła. Czy nie zechciałabyś zostać moją modelką na pokazie w najbliższą sobotę?

— Co ty za bzdury wygadujesz! — Tilly wybucha śmiechem, zupełnie zdębiała. — Co ludzie by powiedzieli, gdybym powłócząc nogami, kuśtykała w sukni ślubnej przez Adelsgatan?

— Że jesteś piękna! Dokładnie wiem, jak upięłabym ci włosy. Z tymi białymi pasemkami w siwiźnie wyglądają teraz super. Wyobrażam sobie, że ty i Generał w strojach nowożeńców bylibyście przeuroczą parą.

— Nie ma mowy! Co powiedziałyby Mildred Bofjär? Chybaby eksplodowała, że dałam się tak odsztyftować i zrobiłam z siebie dziwoląga.

— Jeśli ktoś robi z siebie dziwoląga, to raczej ona! Czy ona cię prześladowuje? — pytam bez owijania w bawełnę. Jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy, że starsze panie mogą się nawzajem dręczyć jak dzieci w szkole.

— Można by tak powiedzieć. Ocenia wszystko, co robię. Jak się ubieram, z kim się spotykam i w jakich stowarzyszeniach się udzielam. Boję się, że tym swoim gadaniem może zniszczyć delikatne uczucie, jakie żywi do mnie Generał. Wcześniej czy później wszystko się wyda i wtedy będziemy musieli przestać się widywać. Przecież ja i Generał nie należymy do tych samych kręgów.

— Albo obronicie swoją miłość, kiedy będziecie iść Adelsgatan, a ludzie będą bić wam brawo. Wtedy nikt już nie będzie miał nic do powiedzenia. Nie

uważasz?

Tilly całkiem się rumieni.

— Spytam go. Myślisz, że moglibyśmy ewentualnie przejechać jego kabrioletem?

— To byłoby cudowne!

Wzruszam się i trochę ściska mi gardło, gdy Tilly rzuca na mnie dziwne spojrzenie, a potem rusza przed siebie.

— Spytam Henry’ego — obiecuje jeszcze raz. Kiedy patrzę, jak oddala się w głębi ulicy, mam wrażenie, że niemal tańczy ze swoim balkonikiem.

— Zaraz pokażę ci to zdjęcie — mówię, zwracając się do Tove. — Szukam fotografii Magnusa w komórce i czuję, że zapiera mi dech. — Nie mów nic, dopóki nie będziesz pewna. Czy to jest ten mężczyzna, z którym byłaś i który zniknął w tym samym czasie, kiedy straciłaś dom?

Tove odgarnia ciemnbrązowe włosy za uszy i osłania dłonią oczy przed słońcem, aby lepiej widzieć wyświetlacz. Jest ode mnie niższa prawie o głowę i dzisiaj wyjątkowo sztywnie ubrana. Może zaczyna wstępować w nią z powrotem duch życia.

— Jest i nie jest podobny do tamtego, który mnie oszukał. To bardzo niewyraźne zdjęcie. Szczerze mówiąc, nie wiem. Myślisz, że on tu przyjdzie? Chyba umrę, nie dam rady spotkać się z nim znowu.

— Tove, kochana, to ważne.

Idzie niechętnie za mną. Zjeżdżamy ruchomymi schodami na dół. Wóz albo przewóz.

— A co zrobimy, jeśli to on? Wezwiemy policję? Będziemy go śledzić? — pyta.

W tej samej chwili, gdy Tove to mówi, dostrzegam przy kasie Magnusa. Mam całkiem miękkie kolana. Potykam się na ostatnim stopniu i zagradzam drogę zjeżdżającym za mną. A sama zawsze irytuję się na ludzi, którzy mają

zwyczaj stawać na samym dole tuż przy schodach i ucinać sobie pogawędki ze znajomymi, podczas gdy inni muszą ich omijać. Trącam lekko Tove i najdyskretniej jak się da pokazuję jej Magnusa.

— To on?

Mam wrażenie, że serce wypełnia mi całą klatkę piersiową. Słyszę w uszach własny puls i zasycha mi w ustach. To nie może być on. Powiedz, że to nie on!

Tove, która jest krótkowidzem, mruży oczy. Robi kilka kroków przed siebie, a ja drepczę za nią jak pies. Magnus płaci i bierze swoje zakupy. Dzisiaj jest ubrany w dżinsy i czarny T-shirt. Zapamiętuję ten opis, na wypadek gdyby zniknął.

— To on? — szepczę zniecierpliwiona, ciągnąc ją za rękę.

Magnus bierze reklamówkę z lady i rusza dokładnie na wprost nas. Nie zwraca uwagi na Tove, patrzy tylko na mnie i otwiera szeroko oczy ze zdziwienia, a potem rozjaśnia się w fantastycznym uśmiechu.

Jeszcze mocniej chwytam Tove za rękę. Niech w końcu odpowie! No już! Przenoszę spojrzenie z Magnusa na nią.

— Mówże wreszcie!

— To nie on. Jestem pewna na sto procent — szepcze.

Czuję nieopisaną ulgę i ściskam ją mocno. Magnus stoi nadal przede mną, jakby zastygł w kadrze.

— Co ty tu robisz? — pyta w końcu, ja zaś próbuję odczytać, czy naprawdę się cieszy, że mnie widzi, czy czuje się przyłapany.

— Szukam cię — mówię i patrzę mu w oczy. Nie wiem, co bym dała za to, żeby być z nim teraz sam na sam.

— Wiedziałaś, że tu będę? — pyta zdziwiony.

Wyjmuję z kieszeni kartkę z listą zakupów.

— Planowałaś to wcześniej.

— Wiedziałem, wiedziałem, że jesteś zręcznym kieszonkowcem! Pozwolisz, że sprawdzę, czy o czymś nie zapomniałem — mówi i patrzy na kartkę z uśmiechem od ucha do ucha. — Nie, mam wszystko oprócz wałków do włosów.

— Ty nie potrzebujesz wałków — mówię bez ładu i składu, byle mówić, bo nie chcę, aby ta chwila się skończyła, a najbardziej bym chciała, by Tove gdzieś sobie poszła, żebyśmy mogli porozmawiać w cztery oczy o tym, co jest najbardziej palące.

— Mnie rzeczywiście włosy same wystarczająco się kręcą, ale moja była chce, żebym kupił jej wałki. — Jego twarz przybiera nagle wyraz powagi. Powiedział: „moja była”. Czy to już skończone? Nie sposób jednak zadawać takich pytań przy Tove.

— Mówiłaś, że gdzie jak gdzie, ale u Clasa Ohlsona da się upolować facetów. — Tove wyraźnie nie wyczuwa nastroju i kłapie dziobem dalej. — Najlepsze miejsce na łowy dla samotnych kobiet! Cha, cha, dobre! Naprawdę jesteś zabawna, Angeliko. Wchodzę w to. Chcę mieć faceta złotą rączką, który potrafi wszystko zrobić.

— Ja jestem taką złotą rączką — rzuca Magnus, unosząc jedną brew. W kąciku jego ust wciąż igra uśmiech.

— Okej — odzywam się. — Ale czy jesteś singlem? — Jednak spytałam o to, co chciałam, a Tove na szczęście nie rozumie, o czym tak naprawdę mówimy.

— To nie jest takie proste. — W oczach Magnusa pojawia się udręka. Pochyla się ku mnie i szepcze mi do ucha: — Nie rezygnuj, proszę!

Rzucam mu długie spojrzenie, po czym Tove odciąga mnie dalej.

— Popatrz na tamtego, na tego, co ogląda pas z narzędziami. Niezła dupeczka!

— Faktycznie — mówię i puszczam oko do Magnusa.

POWSTAJE GRUPA PIĄTKOWA

Dzwonię na komendę do Rut i mówię jej, że Arsène nie jest tym mężczyzną, którego Tove wiąże z kradzieżą jej domu.

A facet, który oglądał pas z narzędziami i którego wypatrzyła sobie Tove, to nie kto inny jak Petter z CUS-u. Tańczyli ze sobą na balu maskowym, a ta sytuacja podsuwa mi oczywiście nowe pomysły w zakresie kojarzenia par. T1 + T1 = prawda. Rozmawiają z ożywieniem o testowanych czujnikach dymu, alarmach zdalnych i najlepszych alkomatach. Tove opowiada, że kiedyś popryskała się perfumami i dmuchnęła w alkomat, który pokazał 0,4, mimo że nie wypięła ani kropli, no i z konieczności miała areszt domowy, bo nie odważyła się wsiąść do samochodu. Petter stwierdza, że to interesujące, i obiecuje sprawdzić statystykę niezawodności rozmaitych urządzeń pomiarowych, jeśli tylko dostanie od niej numer telefonu.

Czasami wcale nie trzeba czynić wysiłków, aby związać nici życia, one splatają się same, i to mocnym żeglarskim węzłem. Okazuje się, że sklep sieci Clas Ohlson ma lepszy potencjał jako miejsce kojarzenia par, niż przypuszczałam.

Po rozdaniu przeze mnie ze dwudziestu ulotek z ofertą abonamentu na strzyżenie Tove proponuje, abyśmy poszły na kawę. To trochę nie fair wobec Ricky'ego, który haruje za nas dwoje w salonie, ale może warto porozmawiać z nią o tych przekrętach.

Gunnar z Radia Gute siedzi przy swoim stoliku pod oknem, jeszcze bardziej zapadły w sobie i zakutany niż zwykle. Jest w nim jakiś smętek, który nigdy go nie opuszcza, spóźniony protest lat siedemdziesiątych, który

skwaśniał razem z mlekiem w jego *caffè latte* i nigdy nie przerodził się w nic więcej poza słowami.

Swoją drogą w latach siedemdziesiątych pito głównie czerwone wino; pamiętam, że pod wpływem całej butelki jakiegoś bełta Gunnar stworzył znany w zamkniętych kręgach wiersz pod tytułem *Obłąd jest moim dziedzictwem*. Dostał jakąś nagrodę kulturalną za ten swój poemat, a wcześniej wyrecytował go, tkwiąc na balustradzie balkonowej przed Systembolaget w pewne niedzielne przedpołudnie Wielkiego Postu. To był prawdopodobnie jeden z najdonioślejszych momentów w jego życiu.

Siadamy przy nim z Tove. Najwyższy czas na dziennikarstwo śledcze. Zamawiam kawę i bułeczki z kremem waniliowym. Tym z cukierni Siesta nie potrafię się oprzeć.

We dwie przedstawiamy mu wszystko, co wiemy. Ja opowiadam o tym, że ktoś przejął mój dom i sprzedał go pewnemu bibliotekarzowi z deficytem w bilansie płatniczym. I o pieniądzach, które w niewyjaśniony sposób przepływały przez konto Obdartego Stevena.

— Zgadza się, on nazywał się Steven Nilsson — wtrąca Tove. — Dowiedziałam się od policji, że nie żyje. W obu przypadkach ta sama osoba pełniła rolę słupa.

Gunnar prostuje się na krześle i puszy się jak paw, jednocześnie zdejmuje z nosa swoje okrągłe okulary i pucuje je do czysta. Pora ujrzeć świat takim, jaki jest naprawdę. Sięga po długopis i notes i zaczyna robić szczegółowe notatki. Czyli jest nas już troje przeciwko złu.

— Ofiarą takiego samego oszustwa padło więcej osób — kontynuuję. — Pomyślałam sobie, że może mógłbyś poprosić tych ludzi przez radio, żeby się zgłosili. Ten kanciarz musi być ukryty gdzieś w zbiorowej świadomości. Potrzebujemy jakichś wskazówek. Od osób, które straciły swoje domy albo którym wyczyszczono konta. Może odezwą się też tacy, co zauważą, że ich

sąsiad, niemający żadnych specjalnych dochodów, nagle jeździ luksusowym samochodem.

— Czy dostanę wyłączność do tej historii, czy idziecie z tym też do gazet? Od dawien dawna istnieje rywalizacja między Jonną a Gunnarem.

— Ty dowiesz się pierwszy — obiecuje Tove wprost. Pracuje w przedszkolu i jest dobra w negocjowaniu, tak aby wszyscy byli zadowoleni albo kiedy trzeba odwrócić uwagę, mówiąc: Zobacz, ptaszek! — Proponuję, żebyś się skontaktował z Rut Qviberg z policji. Ona na pewno będzie chętnie współpracować.

— No i nie wolno pominąć urzędu skarbowego — dodaje z powagą Gunnar. — W tej sytuacji jest to jak najbardziej właściwa instytucja.

— Rozumiem, co masz na myśli — odpowiadam i sugeruję, żeby od razu zadzwonić do Lovisy Mörk.

LOVISA ZJAWIA SIĘ w Café Siesta zaledwie po paru minutach. Przesuwam się trochę, żeby musiała usiąść przy Gunnarze — bardzo blisko, tak by ocierali się o siebie nawzajem. Kiedy Lovisa sugeruje, że trzeba przyjrzeć się bliżej znajomym Stevena, mówię Gunnarowi, aby ją wsparł, i w ten sposób udaje mi się doprowadzić do tego, że umawiają się u niego wieczorem. Bardzo opornie idzie splatanie nici ich życia, to tak jakby pchać słońca po podłodze, ale w końcu jakoś centymetr po centymetrze idziemy do przodu.

Mówi się, że wystarczy, aby zebrała się trójka czy czwórka Szwedów, a od razu powstaje stowarzyszenie. I właśnie tak się dzieje. Niemal od razu przyjmujemy nazwę Grupa Piątkowa, ponieważ pierwsze spotkanie ma się odbyć w piątek.

Po ustaleniu głównych celów naszej współpracy nie mogę się powstrzymać i jeszcze raz zjeżdżam schodami ruchomymi na dół do sklepu Clasa Ohlsona, licząc na to, że może Magnus jeszcze tam jest. Jednak tak czy

inaczej to idiotyczne. Przecież on nie jest wolny. Ma kobietę, której kupuje podgrzewane wałki do włosów. Ale jeżeli natkniemy się na siebie przypadkiem, jak na przykład tutaj, w sklepie, to może nie będzie to takie żałosne.

Krażę więc między półkami i rozglądam się z nadzieją i utęsknieniem jak jakaś lalunia. Ale nie ma go tam. Ilu spośród facetów, którzy mówią, że skończą swój związek i zostawią żonę, robi to naprawdę? Być może nigdy się tak nie stanie. Prosił mnie, żebym była cierpliwa i czekała, ale powinnam chyba wyznaczyć jakąś granicę czasową. Dokładnie za miesiąc w poniedziałek przestanę o nim myśleć, jeśli do tej pory nie zrobi porządku ze swoim życiem. Taką radę zwykle daję innym kobietom. Nie siedź w domu i nie czekaj, aż się odezwie. Żyj swoim życiem!

KIEDY WRACAM do salonu, Ricky obrzuca mnie gniewnym spojrzeniem. Ma dwie klientki z farbą na włosach, trzecią strzyże, a dwie następne czekają jeszcze w kolejce.

— Brak ci etyki pracy, Angeliko. Zero moralności. Jak wiem z dobrze poinformowanych źródeł, ty sobie siedzisz w Sieście i pożerasz bułeczki z kremem waniliowym, a ja tu haruję. Ile wepchnęłaś w siebie? Sześć czy siedem?

— Możliwe, nie liczyłam dokładnie.

Nie zamierzam się z nim kłócić, nie przy klientkach. Nie dociera do niego, że przyszłość salonu zawisnie na włosku, jeśli nie uporządkuję swoich prywatnych spraw. Wkładam fartuch i zakasuję rękawy.

Póki co mamy dziś same T zera, co nadaje pracy zupełnie inny rytm niż wtedy, kiedy trzeba być czujnym i tak dryblować, żeby komunikacja jak najlepiej się kleiła. Dopóki ostro pracujemy, nie czuję zmęczenia. Ale kiedy o trzeciej robimy sobie przerwę na kawę, oczy prawie same mi się zamykają po nocnych wyskokach.

Ricky klapnął obok mnie na kanapę i podnosi mi podbródek, który opadł mi na klatkę piersiową.

— Chciałbym, żebyś była dla mnie jak mama i spytała, jak sobie radzę?

— Jak mama dla ciebie?

— No tak. Czyli żebyś była miła i troskliwa. Mama dla mnie to ktoś, kto zadaje upierdliwe pytania.

Nie nadążam. Pewnie tak jak zwykle z toku jego myślenia wypadło jakieś ogniwo pośrednie.

— Po pierwsze, nie jestem twoją mamą. Po drugie: jakie upierdliwe pytania mam zadawać? Związane z pracą czy osobiste?

— Mogą być osobiste.

— Ojjoj! — Wątpię, czy dam radę. — Czy zrobiłeś komuś dziecko?

— Zrobiłem dziecko dwom pannom i jeszcze muszę pomóc swojemu bratu w przeprowadzce. Mogę mieć jutro wolne?

— Jasne. Którym dwom? Znam je?

— Nie, żartowałem. Obudź się. Nie możesz tu siedzieć i drzemać.

— Czyli nie zostaniesz ojcem?

— Nie, używam podwójnego kondomu, dopóki nie podejmę tej ważkiej decyzji, jak to zwykłaś nazywać. Ale mam problem. Kocham się w dwóch dziewczynach i nie mogę się zdecydować, z którą mam być. Harem byłby dla mnie odpowiednim rozwiązaniem, ale nie dla nich.

— A czy któraś z nich chce być z tobą?

— Istnieją pewne przesłanki wskazujące na to, że tak.

— O których to damach rozmawiamy? — pytam, choć mam swoje podejrzenia.

— O Jessice i Alexandrze.

— Odnoszę wrażenie, że to zły zestaw do haremu — mówię z przekonaniem.

OBIETNICA JEST OBIETNICĄ

Po uzupełnieniu pomocników i zamieceniu podłogi wchodzę do przymierzalni po krótką perukę z syntetycznych włosów, którą mam podrzucić Naimie po drodze do domu. Wygląda bardzo ładnie i według mnie będzie świetnie pasować. Wpycham ją do torby i wychodzę.

Pod wpływem słonecznego światła zaczynają mi łzawić oczy. Przed księgarnią Wessman & Pettersson stoi Regina i trzyma za rękę Folkego. Chłopiec taki jak on może nawyczyniać z watą cukrową wprost niepojętych rzeczy, zanim człowiek nawet zdąży pomyśleć. Regina jest bliska płaczu, a grupka ludzi zebranych dookoła też nie wygląda na uszczęśliwionych. W torebce mam paczkę wilgotnych chusteczek, więc obdzielam nimi potrzebujących, choć tak naprawdę przydałby im się raczej wąż prysznicowy.

— Powinna pani lepiej pilnować swojego syna!

— Rodzice po to są, żeby uważać na własne dzieci!

— On ma chyba coś z głową? — syczy przez zęby zgrabna jak modelka damulka koło czterdziestki, której markowy płaszczyk jest cały zapačkany watą.

— To raczej pani ma nie po kolei, bo jest pani za bardzo zapatrzona w siebie i zbyt ograniczona, żeby móc zrozumieć dziecko z problemami.

W tej samej chwili uświadamiam sobie, że chyba stoję oko w oko z partnerką Magnusa. Wydaje mi się, że to ona, chociaż nie jestem do końca pewna. Te słowa po prostu same wyfruwają ze mnie, bo nie mogę znieść, kiedy wszyscy naraz napadają na Reginę. Otaczam ją więc ramieniem i z furią w oczach gapię się na nich, aż wreszcie jeden po drugim zaczynają

się rozchodzić. Regina w końcu traci panowanie nad sobą i wybucha płaczem, a Folke poklepuje ją po dłoni.

— Przepraszam, mamusiu, znowu nabroilem.

— Zdarza się.

Biorę małego na ręce razem z tym, co zostało z cukrowej waty, nie przejmując się, że jej resztki będą miała zaraz w swoich włosach. Stoimy tam niczym mała wysepka na morzu, którego wzburzone fale powoli opadają.

— Codziennie powtarzam sobie, że powinnam być lepszą matką, że powinnam więcej znosić. — Regina bierze chusteczkę i wyciera sobie nos.

— Ale jestem tylko najzwyklejszą matką, nie mam żadnej supermocy.

— Ja mam supermoc — odzywa się Folke i uśmiecha się tak uroczo, że kompletnie nas rozbraja. — Jak się je *falukorv*¹, wtedy ma się supermoc. Kup mi kiełbaskę!

Reginie przydałoby się odciążenie. Może powinnam zabierać chłopca co jakiś czas do siebie na noc, żeby biedaczka mogła się wyspać? Nawet nieźle się z nim dogaduję i mały chyba mnie lubi. Nigdy nie będę miała własnych dzieci, więc czemu nie wypożyczyć sobie na przykład jego? Pytam ją, na co ona rozpromienia się w fantastycznym uśmiechu.

— Jeśli w ogóle jest ktoś, u kogo z czystym sumieniem odważyłabym się go zostawić, to tylko ty. W poniedziałek — mogłabyś?

Rozmawiamy jeszcze przez chwilę, po czym zostawiam ich oboje i ruszam w kierunku hospicjum z peruką dla Naimy. Przystaję na placu Walléra. Wydaje się dziwnie pusty bez Stevena i jego gry na trąbce.

PARK ALMEDALEN tryska życiem. Wiosenne kwiaty lśnią na bogato obsadzonych rabatach, a gałęzie magnolii obsypane są białymi kwiatami. Ludzie siedzą małymi grupkami na trawie i na ławkach, jedzą lody albo popijają kawę. Z radosnym pluskiem w stawie nurkują kaczki, jakby miały kontrakt na dostarczanie rozrywki. Cały ten piękny obraz oblewa ciepłe

światło wieczoru, a drzewa rzucają coraz dłuższe cienie na zadbaną trawę. To niby to samo miejsce co dziś w nocy, a jednak zupełnie nie przypomina szaroczarnej scenerii, z której zabierałam Naimę i Sindbada Żeglarza, żeby zawieźć ich na Götska Sandön.

Naima miała dzisiaj dostać chemię. Mniej więcej o tej porze powinna wrócić ze szpitala. Wchodzę do budynku. Panuje w nim osobliwa cisza, świetlica świeci pustkami. Nie widzę też nikogo z personelu.

Ruszam korytarzem w kierunku pokoju Naimy. Drzwi są zamknięte. Przy klamce wisi metalowa tabliczka z informacją, że z kierowniczką oddziału należy kontaktować się podczas wizyt. Pukam, ale nikt nie odpowiada. Ostrożnie otwieram drzwi.

Rzeczy Naimy zniknęły. Łóżko jest starannie pościelone, a okno otwarte na morską bryzę. Odwracam się w stronę korytarza i widzę wysoką i chudą kobietę w czarnej sukience i białym fartuchu. Włosy ma mocno ściągnięte w mały koczek na czubku głowy, a zmarszczki na jej twarzy każą mi się domyślać, że jest około sześćdziesiątki i ma za sobą długą karierę palaczki.

— Szuka pani kogoś? — Jej głos jest głęboki i brzmi tak, jakby dobywał się ze średniowiecznej piwnicy na wina.

— Przyniosłam perukę mojej klientce, Naimie.

— Nie będzie jej potrzebna.

— Co pani ma na myśli? — Obawiam się najgorszego.

— Naima opuściła nas dziś rano. Nie żyje.

Nie wiem, co powiedzieć. Jest mi strasznie przykro, głównie ze względu na Sindbada. Kiedy chcę spytać, gdzie go znajdę, uprzytamniam sobie, że nie znam jego prawdziwego imienia i nazwiska.

— Ona miała tu przyjaciela.

— Naima miała tu wielu przyjaciół — mówi kobieta, z naciskiem na każde słowo. Dochodzę do wniosku, że to ona jest kierowniczką oddziału, gdy

czytam plakietkę widniejącą na jej chudej piersi: Dagmar Drake. Intuicja mi podpowiada, że miłość między Naimą a Sindbadem Żeglarzem nie znajdowała jej akceptacji.

Zaczynam iść w stronę wyjścia. Na szczęście ona rusza w przeciwnym kierunku. Wchodzę po schodach na piętro. Sprawdzam pokój za pokojem, zakładając, że może Sindbad został przeniesiony do hospicjum, tak jak chciał. Gdy słyszę, że ktoś się zbliża, chowam się w magazynku na pościel, dopóki kroki nie umilkną. Potem zbiegam szybko na dół, żeby sprawdzić drugą część oddziału.

Znajduję jego pokój na samym końcu korytarza. Siedzi przy oknie na swoim o wiele za dużym wózku. Patrzy na morze, na którym słońce wyścieliło szeroką złotą drogę dla tych, co potrafią chodzić po wodzie. Przykucam przed nim i ujmuję jego wyschnięte drobne dłonie w swoje ręce.

— Dostałaś mojego mejla? — pyta i zaczyna głaskać mnie po głowie, a potem ociera mi łzy, które dopiero teraz zauważam.

— Nie, ale już wiem.

Siedzimy w milczeniu. Postanawiam nic nie mówić, bo to, co pragnęłabym powiedzieć, jest większe od słów, które stają się mizerne i małe już w myślach.

— Umarła w szpitalu. Prawdopodobnie zawał, tak uważa lekarz. Jej mąż był z nią tam i poinformował o wszystkim kierowniczkę, kiedy przyszedł po rzeczy. Słyszałem, jak rozmawiali. Chyba jeszcze nie zdążyła ostygnąć, jak on się tu zjawiał, żeby opróżnić pokój Naimy. Bardzo zapobiegliwy.

Podnoszę się i biorę krzesło. Zdrętwiały mi nogi od siedzenia w kucki przy jego wózku.

— Tak bardzo ci współczuję — mówię.

— To była wspaniała wycieczka. Wszystko się udało — odpowiada drżącym głosem, po czym nabiera głęboko powietrza. — Jeśli o mnie chodzi,

może być już koniec. Z balu powinno się wychodzić, kiedy zabawa jest najlepsza.

SIEDZĘ U SINDBADA z dobrą godzinę. Dzielimy się myślami, które przychodzą nam do głowy. Przynoszę kawę ze świetlicy i pomagam mu ją wypić. Porcelanowy kubek jest dla niego zbyt ciężki do utrzymania. Od głębokich refleksji na temat życia i śmierci przechodzimy do bardziej powszednich tematów.

— Muszę ci coś powiedzieć — bąkam. — Kiedyś napomknęłam ci, że twój szofer to oszust. Zapomnij o tym. Myliłam się.

— Jasne. Magnus Jakobsson to na wskroś uczciwy człowiek. Chyba nigdy nie spotkałem kogoś tak solidnego i odpowiedzialnego jak on. To dlatego nie może się uwolnić od tej jędzy, z którą żyje. Ona dobrze wie, za jakie sznurki pociągać.

— A za jakie? — Nie zawracałabym mu głowy takimi pytaniami, gdyby to nie było śmiertelnie ważne.

— Ona wcale nie jest załamana, ale grozi, że odbierze sobie życie, jeśli Magnus od niej odejdzie. Nie sądzę, żeby rzeczywiście się na to zdobyła. Ale wystarczy, że on w to wierzy. Powiedziałem mu, że najgorsze, co może zrobić, to poddać się jej. Bo to znaczy, że jej pogrożki odnoszą skutek. Zaproponowałem, żeby spytał ją wprost, czy woli wieńce czy wiązanki na swoim grobie.

— Krótko i węzłowato. — Nie mogę powstrzymać uśmiechu, słysząc to makabryczne rozwiązanie.

— Groźenie odebraniem sobie życia, żeby tylko postawić na swoim, to najgorsze, co można zrobić drugiemu człowiekowi. To jest jak szyderstwo z tych, którzy wybierają tę drogę naprawdę w najgłębszej rozpacz. Nie pojmuję, co ona chce zyskać, zatrzymując go na siłę. Przecież uczepiła się jedynie szkieletu, bo jego dusza należy już do ciebie.

Znowu zaczynam płakać, bo słowa Sindbada budzą we mnie siłę, żeby czekać i tęsknić.

— Dzięki, mój drogi przyjacielu. Chciałabym, abyś był moim najbardziej zaufanym przyjacielem.

— Nic nie sprawiłoby mi większej radości. — Uśmiecha się, a jego oczy lśnią pod krzaczastymi brwiami.

— A czy mogłabym spytać, jak się nazywasz?

— Jasne, że możesz spytać, ale i tak ci nie powiem, bo uleciałaby resztką magii. Bardzo zależy mi na tym, żebyśmy kontynuowali naszą korespondencję od miejsca, gdzie skończyliśmy. Dziadek Sindbad to najlepsze rozwiązanie.

— A mogę cię czasami odwiedzić? — pytam, stojąc już w drzwiach.
— Czy też tunel między naszymi światami zamyka się dzisiaj?

— Możesz wpaść, ale jak umówimy się mejlowo. Są ku temu rozmaite powody, które pewnego dnia zrozumiesz. To, czego teraz najbardziej pragnę, to przenieść się na oddział do hospicjum, żeby zaznać tamtego spokoju. Tyle że jest na nim za mało miejsc, a pacjentów bardziej chorych ode mnie i potrzebujących większej opieki nie brakuje. Tam, na górze, pracują prawdziwe anioły i Helena, która ma najdelikatniejsze dłonie pod słońcem.

PO WYJŚCIU od Sindbada przypominam sobie, że klucz od domu zostawiłam w kieszeni kurtki, a kurtka wisi w Salonie d'Amour. Kiedy ruszałam do Almedalen, było ciepło i zapomniałam ją wziąć. Typowe. Po prostu typowe.

1. Falukorv — kiełbasa szwedzka, produkt mięsny. Od 1973 r. nazwa jest prawnie chroniona. [\[wróć\]](#)

PICA PICA FENNORUM

Idę ciężkim krokiem. Przygnębiający smutek sprawia, że czuję się otępiała. Pod wpływem śmierci Naimy znowu myślę o tym, jak odszedł Joakim. Żałoba Sindbada ożywia mój własny wyparty ból. Bo nie wystarczy być zakochanym, żeby żal zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Gorycz słabnie i z czasem godziny, kiedy wszystko wydaje się takie jak zwykle, są coraz dłuższe, a ten dogłębny, intensywny smutek zamienia się w poczucie braku. Mnie nigdy nie przestanie brakować Joakima.

Kiedy wchodzę na plac Walléra, przypominam sobie ostatnią serenadę Stevena i mój krok robi się jeszcze cięższy. Jestem wściekła na niego, że zgodził się zostać słupem. Jednocześnie przykro mi, bo wiem, że on nigdy nie chciałby mi zrobić krzywdy. Steven był niewolnikiem własnej ułomności. I ktoś wykorzystał jego słabość. Chcę mieć prawdziwego przeciwnika. Potrzebny mi jest ktoś, kogo mogłabym oskarżyć i się na nim wyżyć. Najlepiej by było, gdyby ten oszust włamał się teraz do salonu. Ja bym go obezwładniła i w samoobronie rąbnęła go w głowę wieszakiem z kutego żelaza, a potem zamknęłabym drania w magazynku na peruki i zostawiła tam na cały weekend, więc nie miałyby wyjścia i musiałyby robić w gacie. To poprawiłoby mi samopoczucie. Jednak życie rzadko jest tak wspaniałomyślne.

Otwieram salon i idę do magazynku, żeby odłożyć perukę Naimy. A tam stoi Ricky — w czarnej, błyszczącej obcisłej sukience, na wysokich obcasach i wygląda po prostu zachwycająco.

— Co ty robisz?

— Testuję. — Rzuca ku mnie uwodzicielskie spojrzenie.

Uśmiecham się do niego, bo jest naprawdę słodki jako dziewczyna.

— Widzę, że makijaż to twoja bajka. Mam na myśli pokaz. Po prostu jesteś mistrzem. Chcę, żebyś umalował Tilly. Co prawda robienie makijażu starszej pani i dwudziestolatce to dwie różne rzeczy, ale mam nadzieję, że ćwiczyliście to na kursie. Dojrzałe kobiety nie powinny stosować ciemnego pudru, który wpada im w zmarszczki. Dla nich odpowiednie są jaśniejsze niuanse i kremowe cienie do powiek.

— Dam radę.

JEDYNY POWÓD, dla którego nie mogłam się doczekać, żeby znaleźć się już w domu przy Fiskargränd, to mój komputer. Skoro teraz wiem, jak nazywa się Arsène, raczej powinno mi się udać ustalenie paru rzeczy na jego temat, na przykład gdzie mieszka, jak nazywa się jego partnerka i kiedy się urodził. Jest młodszy ode mnie, ale nie wiem o ile. Nie spodziewam się, aby było wielu Magnusów Jakobssonów, mimo że Jakobsson to jedno z popularniejszych nazwisk na wyspie.

Muszę dowiedzieć się więcej o swojej rywalce. Wstyd mi się przyznać nawet przed samą sobą, ale chyba nie będę potrafiła powstrzymać się przed surfowaniem po sieci, aby wyszperać coś o niej. Na birthday.se są osoby, których nie ma nawet na Eniro.

Magnus pewnie by nie chciał, żebym go znalazła, nim dojdzie do rozstania. Tak sobie tłumaczę jego milczenie. Jedyne tropy, jakie mam, to że niedawno sprowadził się na wyspę, zna magiczne sztuczki i potrafi przechodzić przez zamknięte drzwi. Sprawdzę każdego ślusarza w mieście. Powinien raczej zrozumieć, że zakochana kobieta to najniebezpieczniejszy detektyw.

Dla urozmaicenia ruszam z salonu do domu inną trasą. Idę prosto, a potem przecinam na ukos Stora Torget. Jeszcze nie ma na nim rozstawionych

straganów, ale latem świeżo odrestaurowany rynek będzie pełen obwoźnych handlarzy. Skręcam w wąskie brukowane zaułki Visby. Pod moimi stopami leży prastary system kanalizacyjny, który zmyślnie zbiera wodę spływającą z wyżej położonych części miasta. Jeśli drewniana konstrukcja tego systemu wyschnie i się zawali, wtedy całe Visby zniknie niczym legendarna Atlantyda za sprawą podziemnych mocy.

Mijam ruiny kościołów Sankt Lars i Sankt Drotten. Między nimi biegnie uliczka Syskongränd ¹, nazwana tak dlatego, że dwie siostry były ze sobą tak skłócone, że musiały zbudować dwa oddzielne kościoły, aby móc chodzić na niedzielne nabożeństwa. Po drugiej stronie ulicy bulgoczą miedziane kotły browaru.

Idąc Vattugränd, rozmyślam o życiu, śmierci i sensie wszystkiego. Czuję ogromną wdzięczność, że miałam okazję wybrać się na Gotska Sandön. Doznałam tam przebłysku sensu życia.

Zerkam na komórkę, żeby sprawdzić, która godzina. Bank jest zamknięty, a Rut też już na pewno nie ma na komendzie. Wyjaśnienie oszustw wymaga czasu.

Gdy docieram na Fiskargränd, ogarnia mnie autentyczna niechęć. To nie jest już mój dom. Mój niezawodny punkt w wieczności. Drzwi wejściowe nie są zamknięte na klucz. Furtka otwarta. Macham do Tilly, która siedzi w swoim kuchennym oknie i szpieguje. Kręci głową, nie bardzo wiadomo dlaczego, wskazuje na mój dom i znowu kręci głową. To musi coś znaczyć.

Po wejściu do przedpokoju uderza mnie zapach spalenizny. W kuchni nic się nie zmieniło, chociaż powiedziałam Ludvigowi, że do niego należy doprowadzenie jej do porządku po pożarze.

Z głębi domu dochodzą dziwne gardłowe odgłosy. Podobne do tych, kiedy As Kier dławi się własną sierścią. Ale kota nigdzie nie widać. Jego wrażliwy nos miał już na pewno dość tego smrodu spalenizny.

Mam wrażenie, że odgłosy dobiegają z mojej sypialni. Przychodzą mi na myśl włamywacze i ogarnia mnie strach. Wstępuję do kuchni i z wielką precyzją utracam szyjkę butelki po visby pils o kant zlewu, żeby mieć coś ostrego do obrony. Bezszelestnie skradam się w stronę sypialni z flaszką w gotowości.

Tuż przed drzwiami przystaję. Teraz słyszę postękiwanie *crescendo* i przeciągłe „aaach” *diminuendo*. Ktoś pieprzy się w moim łóżku!

Otwieram drzwi i pierwsze, co widzę, to już drugi raz w tym tygodniu goły tyłek Ludviga. Jego pośladki oplatają dwie białe nogi, których stopy z pomalowanymi na czarno paznokciami sterczą w powietrzu.

— Co wy robicie w moim łóżku?!

Kretyńskie pytanie, biorąc pod uwagę to, że przecież wyraźnie widzę, co oni robią. Ale teraz miarka się już przebrała. Byłam cierpliwa i układna, jak długo mogłam, jednak to jest ta przysłowiowa kropla.

Ludvig wykręca szyję i widząc mnie i szklaną butelkę w mojej dłoni, pieje:

— Jak miło, że pomyślałaś o zimnym piwie dla mnie i dla Jonny!

Jonna rzuca na mnie zamulone spojrzenie zza zasłony swoich długich czarnych włosów. Zdaje się, że wypili już trochę piwa — i nawet chyba brali kokainę, sądząc po wyposażeniu na stoliku nocnym — i nagle przelewa się we mnie, i przychodzi mi do głowy tylko jeden sposób, żeby ich zmusić do przerwania kopulacji i jednocześnie nie wylądować za kratkami za morderstwo.

Wychodzę zdecydowanym krokiem prosto do ogrodu, wciągając za sobą do środka ogrodowy szlauch i włączam wodę. Przecież i tak będę musiała zmienić prześcieradło — a najchętniej i materac, i łóżko, i dom, i kraj, i kontynent, i życie — więc jakie ma znaczenie kilka metrów sześciennych wody więcej albo mniej?

W zaskakująco dobrym tempie Ludvig i Jonna wypadają z krzykiem do

ogrodu, a ja zatrzymuję za nimi drzwi. Od tej chwili nie zamierzam bez potrzeby wpuścić do swojego domu żywej duszy.

Przeszukuję ubranie Ludviga, ale nie znajduję klucza do domu. Wisi w szafce obok klucza zapasowego. Czyli mam wszystkie trzy klucze! Bingo! Ciskam ich ciuchy przez okno wychodzące na ogród. Bingo! Rwę na strzępy jego przekłete zaświadczenie o wpisie. Bingo!

Postać Tilly miga za firanką na piętrze, skąd jest doskonały widok na mój ogród. Ludvig i Jonna, kompletnie nieskrępowani, kontynuują swoje ćwiczenia na łonie natury, a po drugiej stronie żywopłotu dostrzegam Generała, jak woskuje swojego mercedesa.

Pięć minut później przyjeżdża policja i zabiera tamtych dwoje. Podobno moja sąsiadka zadzwoniła na komendę i powiedziała, że u mnie odbywa się party na całego. Oczywiście miała na myśli *rave party*.

KIEDY JUŻ wszyscy sobie poszli, siadam w kuchni przy stole i ogarniam wzrokiem pobojuwisko. Jeszcze parę dni temu to był mój przytulny domek. W tej chwili spalona kuchnia i zalana sypialnia nie dają już poczucia domowego ogniska. W innych okolicznościach zadzwoniłabym do Jonny, żeby zapewnić sobie zdjęciowy materiał dowodowy i pomoc mediów w dochodzeniu sprawiedliwości. Tymczasem ona sprzymierzyła się z okupantem i w zaistniałej sytuacji sama muszę sfotografować to spustoszenie, żeby zaświadczyć, że nie jestem obłąkana, kiedy będę o tym opowiadać swoim siostrze i komuś z firmy ubezpieczeniowej.

Jeśli oszust potrafił podrobić klucze, być może ma ich więcej — przychodzi mi nagle do głowy. Stopniowo zaczyna przybierać konkretny kształt strategia mojego mentalnego ocalenia. Dzwonię do sióstr i proszę każdą o przelanie mi trzech i pół tysiąca koron jako pożyczki. Obie są wzburzone. Vera zamierza zatelefonować do Hägga prywatnie i zażądać odpowiedzi, co będzie z kredytem. Ulrika jest najbardziej zirytowana tym, że

policja nie ma więcej dochodzeniowców.

Za pieniądze, które przelały mi siostry, planuję sprowadzić ślusarza, który wymieni mi zamek w drzwiach wejściowych i w furtce. Jeżeli Ludvig będzie chciał się tu dostać, pozostanie mu tylko skok przez płotki. Już nigdy w życiu nie wpuszczę go dobrowolnie do swojego domu. Zbieram jego pojedyncze manatki do czarnego worka na śmieci i wystawiam do domku dla gości.

Ślusarz, korpulentny mężczyzna o greckim wyglądzie, przyjeżdża błyskawicznie, kiedy słyszy, jak bardzo jestem zdesperowana. Jego ciemne wąsy wyglądają prawie jak doklejone, ale brwi są identycznego koloru. Daruję więc sobie sprawdzenie, czy nie są sztuczne. Ma w sobie coś z hrabiego Drakuli, i budzi tym respekt.

Przedstawia się jako Nauplius. W ciągu kilku minut wymienia mi zamki i pyta, czy chcę mieć fakturę do odliczenia sobie kosztów od podatku. Idziemy do kuchni, aby ją wypisać.

— Co się tutaj stało? Chciała pani rozpaścić ogień w piekarniku? — Zagląda do środka, żeby się przekonać, czy naprawdę nie próbowałam tego zrobić. — Odłączyli pani prąd ze niepłacenie podatku?

Wybucham obłąkańczym śmiechem, a potem zaczynam szlochać, bo naprawdę już za dużo tego wszystkiego. Nauplius patrzy na mnie, jakbym postradała zmysły, i być może się nie myli.

— Dlaczego wymienia pani zamki? Pani mąż używa przemocy?

Dla świętego spokoju potwierdzam. Nie da się wyjaśnić tego, co się stało, mając gardło ściśnięte płaczem.

— Powinna pani pójść ze mną do mojej żony. Nie ma to jak rozmowa kobiety z kobietą. Prowadzimy restaurację z dobrym jedzeniem i najlepszym winem.

Jego życzliwość i troska rozkładają mnie całkowicie, toteż niewiele później wsiadam do jego rozklekotanej furgonetki i jadę razem z nim do

podmiejskiego Vibble, gdzie Nauplius kupił jakiś czas temu lokal po sklepie ICA i otworzył grecką restaurację.

Zostaję przyjęta przez jego rodzinę jak ukochana krewna, co wywołuje we mnie wyrzuty sumienia, ponieważ ich okłamałam — przecież nie mam żadnego męża, który by się nade mną znęcał. „Potrzebowałam jednak pocieszenia”, wyjaśniam Sindbadowi, gdy późną nocą zostaję podrzucona z powrotem do domu, opowiedziawszy wcześniej historię swego cierpienia moim nowym greckim przyjaciółom, których bezwzględnie muszę zaprosić do siebie do domu na gotlandzkie jedzenie, skoro tylko życie powróci do normalności.

Sindbad odpowiada:

Wszystko może się zdarzyć, wystarczy tylko trochę zwariować. Kiedy słyszę nowiny z twojego świata, ożywiam się trochę, tu bowiem ciemność położyła się kirem na wszystkim i nie dostrzegam żadnego światła.

Rozmawiamy o Naimie, wspominamy ją wspólnie. Po chwili zauważam, że Sindbad szuka innego tematu.

Opowiedz mi o swoim życiu, Sindbadzie. Chciałabym je poznać.

No cóż. Może rzeczywiście pora je podsumować. Pewnego razu, w innym czasie, byłem małym chłopcem w świecie, w którym teraz ty żyjesz. Lubiłem liczyć szyszki sosnowe, jodłowe i kulki do gry, marmurki. W rzucaniu nimi byłem bardzo kiepski, więc zacząłem prowadzić zakłady, na które inne dzieci mogły stawiać swoje tygodniowe kieszonkowe. Umiąłem wyliczać szanse i prawdopodobieństwo, pobierałem przy tym niewielką opłatę. I wkrótce uzbierałem nie najgorszy kapitał, który zainwestowałem w firmę brata. Najpierw pomagałem mu w porządkowaniu rachunków, a później przejąłem całą buchalterię.

I stałeś się bogaty?

Nie, kiedy mój brat umarł, byłem właścicielem tylko połowy interesu,

a jego żona nie chciała go dalej prowadzić. Domagała się swojej części w gotówce, musiałem zatem sprzedać firmę. Za uzyskane pieniądze kupiłem akcje, a akcje zaczęły żyć własnym życiem. Nie zauważyłem tego na początku. Pomnażały się, ale nie bezwarunkowo, zawsze wymagały czegoś w zamian. Mojego czasu. Minut, dni i lat, które mógłbym spędzić na życiu i na kochaniu. To jest cena, którą zapłaciłem za to, że zostałem bogaty, a brak czasu rósł w miarę zwiększania się wartości akcji.

Nie byłeś szczęśliwy?

Uważałem, że jestem szczęśliwy. Przecież dostałem wszystko, co według mnie chciałem mieć. Pochodziłem z ubogiego domu. Jeśli mogłem kupić to, czego mi brakowało, to było szczęście. Założyłem nową firmę. Aby osiągnąć lepsze zyski, musieliśmy pracować szybciej. Zniknęły długie, sympatyczne przerwy na kawę i pogaduszki na korytarzu. Moje przedsiębiorstwo zostało wprowadzone na giełdę. Rynek giełdowy wymagał dyscypliny. A w konsekwencji ci, którzy nie wytrzymywali tempa, musieli odejść. Nie mogłem już pracować z przyjaciółmi, których lubiłem.

Ale chyba sam zdecydowałeś o tym, kogo chcesz zatrudnić?

Można by tak sądzić. Jednak mój umysł był zatruty myślą o wzroście i zysku. Dopiero kiedy znalazłem się tutaj, nauczyłem się doceniać życie. Wydaje się, że trochę późno.

Nie masz żadnych krewnych ani przyjaciół w moim świecie?

Nie, tylko pracowników.

Przecież masz mnie. Nie jestem u ciebie zatrudniona, ja sama jestem sobie szefem.

To prawda. Dzisiaj przez okno wpadła sroka. Duża, biało-czarna, o ostrym spojrzeniu. Nie wiem, czy ptaki potrafią zwietrzyć śmierć. Nie wiem nawet, czy mają uszy, ale ona wiedziała, że Naima przekroczyła granicę Krainy bez Snów.

Czy ta sroka miała ludzką twarz?

Owszem. Rozmawiała na osobności z mężem Naimy, kiedy już pozbiierał skarby pozostawione w jej ostatniej siedzibie. Bizuterię, cenne fotografie i dokumenty. Sroka powiedziała, że zna zaczarowaną formułę, która zdejmie smutek z jego ramion, ale on zamachał rękami i ją przepłoszył. Wtedy przyleciała do mojego pokoju, ponieważ inny mały ptak szepnął, że mój smutek jest innego rodzaju niż jego.

Czy ta sroka ma na imię Irma?

Po prostu musiałam spytać.

W waszym świecie nazywa się Irma i jest certyfikowaną terapeutką w żałobie. W moim świecie, gdzie przenikamy wszelkie istoty laserowym światłem oczu, nazywamy ją Pica pica fennorum, a ona krąży, niczym ptak padlinożerny, wokół mojego kurczącego się ciała.

1. Dosłownie: zaulek rodzeństwa. [\[wróć\]](#)

PIEŁĘGNOWAĆ W SOBIE NAWZAJEM WEWNĘTRZNE DZIECKO

Jest sobota rano. Wyłączam budzik i gdy ledwie unoszę głowę znad poduszki, dzwoni telefon. Głos Jonny brzmi wyjątkowo charkotliwie:

— Tu Jonna... Ja wczoraj...

— ...byłam nieźle przymulona — dopowiadam za nią, aby pomóc jej przełożyć na słowa to, co najchętniej wymazałabym z pamięci. I po co człowiek jest tak cholernie usłużny? A niechby pomęczyła się trochę w piekielnym ogniu czyścica, zanim otrzyma rozgrzeszenie.

— Bardzo mi przykro i strasznie mi wstyd za... wszystko.

— Okej. — Po raz pierwszy od siedmiu lat, kiedy się znamy, Jonna mówi o sobie w pierwszej osobie, a nie w trzeciej.

— Jesteś wściekła? — skomle.

— A jak myślisz! Ale tym razem ci daruję. A ten bibliotekarz, z którym wczoraj wymiędliłaś prześcieradło, żyje?

— Ludvig właśnie idzie do ciebie, żeby po sobie posprzątać. — Słyszę, że jej głos staje się coraz pewniejszy, jeszcze chwila, a Jonna będzie znowu sobą.

— Nie wpuszczę go. Wymieniłam zamki.

Cudnie jest powalić przeciwnika na ziemię i mu się przeciwstawić. Wpycham sobie prymkę snusu pod wargę, czekając, aż Jonna coś powie, a kiedy w końcu się odzywa, padam z wrażenia na łóżko.

— Chyba go kocham — mówi głosem, jakiego nigdy dotąd u niej nie słyszałam.

— Co takiego?

Szczęka mi opada, gdy słyszę wypowiedź z gruntu obcą gatunkowo Jonnie, snus dostaje mi się do gardła i zaczynam dusić się od kaszlu. Ona natomiast wydaje się kompletnie nieporuszona moją reakcją, choć jest jej całkiem świadoma.

— Sądzisz, że dwoje ludzi może być sobie z góry przeznaczonych przez los?

Jako bogini przeznaczenia na tak postawione pytanie powinnam bezwarunkowo odpowiedzieć „tak”, ale akurat w tym kontekście myśl taka wydaje się dosyć naciągana.

— Uważam, że niektórzy ludzie lepiej pasują do siebie nawzajem niż inni — odpowiadam wymijająco, przypominając sobie Konrada i Lisbeth, którzy pasują do siebie jak dwa kawałki puzzli, ponieważ on ma tyłozgryz, a ona przodozgryz. Tak chytrze natura urządziła to za nich.

— Ludvig jest po prostu taki jak trzeba. Nigdy jeszcze nie spotkałam kogoś takiego. Wiesz, o co mi chodzi?

— Chyba tak. — Przy nim odważysz się być „taka mała”, a nawet się wyplakać, bo on nie jest dla ciebie zagrożeniem, myślę sobie. Potrzebujesz kogoś takiego jak on, żeby się nim zaopiekować. Kogoś tak bezbronnego.

— Ludvig mówi, że powinniśmy wspólnie napisać książkę o relacjach damsko-męskich. Miałyby tytuł: *Pielęgnować w sobie nawzajem wewnętrzne dziecko* albo coś w tym stylu. Ale obawiam się, że to byłoby trochę za śliskie dla mnie. Przecież ja muszę dbać o swoje nazwisko. Więc może niech on sam ją napisze. Choć zgadzam się, że jest sporo racji w tym, co mówi. On jest taki mądry.

Wewnętrzne dziecko! Przypominam sobie tanią sztukę, obrazy przedstawiające płaczące dzieci o wielkich oczach. Nie zasmarkane i brzydkie, ale estetycznie załamane na tle sielankowego krajobrazu

z owcami, łąkami zbóż i tulipanami.

— Resztę rzeczy odeślę mu DHL-em! — oznajmiam ostro.

Byłoby jednak zbyt pięknie, aby to mogła być prawda. Po chwili odzywa się moje sumienie. W takich okolicznościach sumienie to tylko balast. Jonna musi wiedzieć, jak się sprawy mają.

— On ma niespłacone długi, które obciążą też ciebie, jeśli będziecie przypisani do jednego gospodarstwa domowego. Powiedział ci o tym?

— No właśnie, psiamać! Ale te długi muszą zostać anulowane. Już Jonna się tym zajmie. Ludvig powinien dostać odszkodowanie za prześladowania. Może powstanie z tego cała seria artykułów o sytuacji samotnych ojców, byleby tylko on dał się pokazać na zdjęciu z rachunkiem w ręce. A niestety nie ma parcia na szkło.

— Przepraszam cię, muszę kończyć. — Słyszę jakieś odgłosy z ogródka. Co się znowu dzieje? Zupełnie jakby jakieś wrogie oddziały próbowały przekopać tunel pod garażem albo Bóg wie co.

Podchodzę do okna w kuchni, lecz nic z niego nie widzę. Gdy otwieram drzwi do mojej oazy zieleni, mym oczom ukazuje się Ludvig przewieszony w połowie przez płot.

— Muszę się dostać, żeby posprzątać! — dyszy z purpurową twarzą.

W tym momencie żałuję, że nie zainstalowałam na ogrodzeniu drutu kolczastego.

— Nie musisz! — Boję się, że jeśli go wpuszczę, wydarzy się coś nowego i już nigdy się go nie pozbędę. Posprzątać? Do tej pory nie pokazał choćby najmniejszej próbki swojego talentu w sprzątaniu, a ja nie mam siły go tego uczyć. Teraz warunki dyktuje moja intuicja.

— Muszę! — wrzeszczy. — Obiecałem Jonnie!

— Nie! Znikaj stąd! — też wrzeszczę.

On mimo to ostrożnie unosi jedną stopę, gotowy podciągnąć się wyżej. Nie

mam pojęcia, co we mnie wstąpiło. Normalnie nie jestem osobą agresywną, ale widocznie czara się przelała — przykładam swoją dłoń z rozcapierzonymi palcami do jego gęby i pcham tak mocno, aż Ludvig zwała się na ziemię po zewnętrznej stronie płotu. Przepraszam, przepraszam, przepraszam. Musiałam.

— PO PROSTU to zrobiłam — tłumaczę Ricky’emu godzinę później, kiedy otwieramy salon, aby wpuścić pierwszych klientów, facetów, których udało mi się zwerbować poprzedniego dnia u Clasa Ohlsona.

Lars, 34, przychodzi w towarzystwie swojej mamy. Przy jego nazwisku wpisałam w kalendarzu Z5. Przegrany facet o silnej potrzebie kontaktu z innymi dorosłymi, tyle że najpierw musi zostać odcięta pępowina. Mamusia pośrodku małżeńskiego łóżka, nawet w sensie przenośnym, stanowi raczej okoliczność ograniczającą. Trzeba go uwolnić. Ricky ma obciąć mu włosy, a najlepiej także pępowinę. Taka jest nasza strategia.

Ja mam ostrzyc Frassego. Wierzę w niego jako sprzymierzeńca w zapamiętałej walce o wyzwolenie dorosłych facetów od nadopiekuńczości ich mamusiek. Matka Frassego aż do rozpoczęcia przez niego szkoły nie pozwoliła mu rozstać się z pieluchami, mówi Ricky, który jest dobrze poinformowany. Dlatego zestawiałam Larsa i Frassego razem. Nie jako parę, ale dlatego, że Lars potrzebuje go jako swego rodzaju pluszaka, obiektu przejściowego, zanim będziemy mogli przystąpić do szukania miłości dla niego.

Frasse ma warsztat, w którym lakieruje stare samochody tak sprytnie, że wyglądają potem jak nowe. Papier gazetowy, szpachla Plastic Padding i trochę lakieru pomogą ukryć każde poważne uszkodzenie i podnieść cenę za kupę złomu czterokrotnie, twierdzi Ricky. Jego brat, który jeździ taksówką głównie w Hemse i robi interesy z Frassem, mówi, że facet jest szczywany jak lis i dlatego ma odstające uszy. A to znaczy, że raczej niełatwo nam będzie

ocenić jego zapotrzebowanie na naszą pomoc w sferze emocji. Dzisiaj jest tylko pomagierem przy odpędzaniu Lassego.

Kiedy zakładam mu pelerynkę, zniecka dotyka mojego biustu. Uznaję, że to... niechący. Może akurat musiał podrapać się po plecach albo chciał mi pomóc nałożyć pelerynkę. Uśmiecha się do mnie kusicielsko w lustrze, co odbieram niemal jako wyraz uznania. Dlatego rezygnuję z zapytania, co mogę dla niego zrobić. Aby nie było nieporozumień. W zamian za to usiłuję skupić się na stryżeniu. Jego włosy należą do najbardziej skręconych, jakie widziałam. Kręcone włosy obcina się o wiele trudniej niż proste. Poza tym w jego przypadku u nasady niemal łączą się z brwiami, a potem przechodzą w dwa bujne, poprzecinane siwizną bokobrody.

Lars, siedzący na fotelu obok, jest chudsza kopią swojej matki. Oboje mają identyczne wodniste niebieskie oczy, duże przednie zęby i fryzurę na pazia, która sprawia, że ona wygląda jak zramolała ciotka, którą jest, a on przypomina przerosłego księcia z bajki.

— Co mogę dla pana zrobić? — pyta Ricky, dokładnie tak, jak go nauczyłam.

— Chciałbym się ostrzec. — Lars spogląda na swoją matkę, aby uzyskać jej akceptację.

— Chodzi o podcięcie o dwa centymetry. — Matka staje przy fotelu i nadzoruje cały proces. — Lars chce mieć taką samą fryzurę jak teraz, tylko trochę krótszą.

— A nie chciałby pan spróbować czegoś nowego i bardziej... męskiego? — pyta Ricky swojego klienta, rzucając ku mnie w lustrze diaboliczne spojrzenie.

— Tak jest, najwyższy czas, kurdemol, pozbyć się tego babskiego fryzu! — mówi Frasse i robi tak nagły zwrot głową, że niewiele brakowało, a wbiłabym mu nożyczki w ucho. — Powinieneś na lato obsmyczyć się

prawie do gołej skóry.

— Może zdecydowałbym się na jeszcze trochę krócej — próbuje nieśmiało Lars, a ja mam wrażenie, że jego górna warga drży jak u królika.

— Lars chce mieć fryzurę na pazia.

Mama jest bardzo stanowcza, ja zaś ku swemu przerażeniu widzę, że Ricky’ego złapał jakiś spazmatyczny tik. A to oznacza jedno: zaraz wybuchnie rechotem, jeśli nie uda mi się odwrócić jego uwagi. Przymuszczałnie chodzi o to, że Lars i paż się rymują, choć nie do końca.

— Daj spokój, Lars, nie daj sobą manipulować. Powiedz babsku, żeby się nie wtrącała, bo inaczej trzeba będzie ją stąd wynieść, a to nie byłoby, psiakość, takie łatwe. Ale mogę zadzwonić do kumpla, który ma wózek widłowy. — Gdy Frasse gniewnie ściąga brwi, wygląda wypisz wymaluj jak człowiek pierwotny.

— Przepraszam na chwilę. — Ricky zostawia swojego klienta i tak błyskawicznie znika za draperią oddzielającą salon od pokoju socjalnego, że aż powstaje wizg. Potem słyszę dziwne bulgotanie. Lars sprawia wrażenie, jakby chciał się stąd zmyć, tymczasem jego matka udziela repliki na przemowę sprzed chwili:

— A tobie co do tego! Jakim prawem wtykasz nos w nie swoje sprawy! Bo odetnę ci tego... tego twojego małego robaka tępym sekatoreem!

Nie muszę nawet oglądać się za siebie, żeby się domyślić, że Ricky niezawodnie pracuje z zaparzaczką. Jak mógłby przegapić taką okazję?

Frasse obraca się gwałtownie na fotelu.

— Czyli to właśnie zrobiłaś biednemu Larsowi? Wykastrowałaś go tępym sekatorem? Jak żyję, nie słyszałem czegoś potworniejszego. Słuchaj, Lars, ty musisz spotykać się z innymi facetami, wychylić z nimi parę piw i wyglądać jak człowiek. Po to urządzamy zawody w tractor pullingu. Tam są prawdziwi twardziele na prawdziwych maszynach, zasuważą nimi tak, że aż dymią

cyliny i naokoło tryska błoto. Potem wypijamy piwko i gadamy o zwycięstwach, przegranych i słynnych popisach. To jest dopiero życie. Masz jakąś robotę?

Spytany kręci głową. Unika patrzenia na swoją matkę.

— Lars pracował latem jako praktykant w Gahms w Fardhem i sprzedawał plastikowe torebki. To było w zeszłym roku.

— Jak chcesz, od poniedziałku możesz zacząć u mnie jako uczeń. Mnie przyda się pomoc, a tobie dobrze zrobi zmiana otoczenia.

Przez szparę w kotarze widzę, że Ricky znowu pije mleko prosto z kartonu.

— To ciachamy krótko czy nie? — pyta, wróciwszy na swoje miejsce.

Zapada milczenie, podczas którego odbywa się cichy pojedynek między matką a Frassem. W końcu Lars wypowiada wyzwajające słowo:

— Ciachamy.

— Tak trzymaj, brachu — mówi Frasse i zdecydowanie kiwa głową. W geście zwycięstwa zamyka dłoń na mojej piersi, ściska ją i posyła mi pełen wyczekiwania uśmiech, jakbym miała mu podziękować i za jedno, i za drugie. Biorę nożyczki i szturcham go w ucho.

— Zdarza się! — Nie przepraszam. Nie ma powodu.

PO WYJŚCIU KLIENTÓW robimy sobie przerwę na przedpołudniową kawę. Wyjmuję masło, ser i chleb, a przy okazji niepostrzeżenie wrzucam do mleka parę prymek snusu — za karę, że Ricky źłopie je prosto z kartonu. Próby, na jakie zostałam wystawiona w ostatnim czasie, obniżyły poziom mojej tolerancji.

Właśnie usiedliśmy, gdy Ricky znowu wstaje i idzie do lodówki.

— Przyszedł mi na myśl Samson.

Jest to przypuszczalnie jedno z tych zdań, które często wyrzuca z siebie, mimo że nie było mi dane uczestniczyć w poprzedzającej to stwierdzenie

pracy jego mózgu. Zauważa, że nie nadążam, precyzuje zatem, otwierając jednocześnie drzwi lodówki.

— Nie, nie, nie mam na myśli Simpsona z kreskówki, tylko prawdziwego Samsona, który był sędzią starożytnego Izraela i mężczyzną budzącym postrach. Został zdradzony przez swoją dziewczynę Dalilę, która wiedziała, że jego niezwykła siła kryje się we włosach, i opowiedziała o tym jego wrogom, aby mogli go pokonać. — Ricky sięga po karton mleka. — Kiedy ścięto mu włosy, stał się słaby i został uwięziony.

— Aha — mówię i czekam na dalszy ciąg, podczas gdy Ricky starym zwyczajem przykłada tekturowy karton do ust.

— Może to samo zrobiliśmy z Larsem. No bo jeśli jego drobna siła kryła się we włosach, a teraz Frasse weźmie go w niewolę, to zrobi z niego swoją kopię.

Ricky pociąga spory łyk, a razem z nim dostaje mu się coś do ust. Wypluwa moją prymkę snusu sobie do ręki, a potem dławi się i prycha, i rzuca się do toalety.

— Niech to szlag, co za ohydztwo! Wyplućś snus do mleka?!

— Widocznie wypadł mi, kiedy wypiałam jeden łyk. Jak ty chłepczesz z kartonu, to ja też.

Myślę, że został wyleczony.

KINDFULNESS

Od kiedy Jessika przejęła pościg za oszustem, mogę znowu siedzieć w salonie. A ponieważ w sobotę policja nie zamierza robić nic w sprawie mojego bezprawnie przejętego domu, próbuję skoncentrować się na pracy.

W przerwie na kawę omawiamy z Rickym nasze oceny i różne strategie pozwalające zmanifestować je w pracy. Ostatnio bardzo dużo mówi się o *mindfulness*. Wystarczy otworzyć pierwszy lepszy tygodnik, żeby natknąć się na co najmniej jeden test osobowości. „Na ile żyjesz tu i teraz?”. Podczas gdy herbata stygnie mi w kubku, próbuję zrobić taki test Ricky’emu, który jednak zupełnie nie wykazuje motywacji.

— Uważam, że to wcale nie jest dobre, kiedy człowiek wciąż dąży do świadomej obecności. Bywają takie chwile w życiu, że ucieczka od rzeczywistości jest bardziej funkcjonalna.

— Na przykład kiedy? — pytam trochę nieobecna. Zaczęłam robić test sobie samej.

— No na przykład kiedy jesteś na kolacji u brata i atmosfera jest tak potwornie napięta, że wystarczy położyć źle widelec albo przeżuwać za głośno, żeby jego ukochana zaczęła kręcić głową jak kobra i ukąsiła cię w szyję.

— Co ty właściwie masz przeciwko niej?

— Wszystko. Wnerwia mnie to, co robi, to, jaka jest, to, co mówi. Dosłownie wszystko.

— Przyszło mi do głowy coś innego — mówię, zanim on rozпали się do czerwoności. Ten koncept nie jest jeszcze przemyślany do końca, ale już mi

się podoba. — A co byś powiedział na *kindfulness*?

— A co by to według ciebie miało znaczyć?

— Próbować w każdej chwili kierować się czymś maksymalnie dobrym i miłym.

— I właśnie o to ci chodziło, kiedy wyplułaś snus do kartonu z mlekiem?

— To zrobiłam w celu wyższym — oświadczam. — Bycie miłym nie oznacza, że jest się bojaźliwym. Bycie miłym to też przeciwstawianie się czemuś dlatego, że w rezultacie prowadzi to do czegoś dobrego, na przykład my przestaniemy się kłócić o to, że pijesz prosto z kartonu. I będzie to dobre także dla pańienek, które sprowadzasz do domu, i dla twojej mamy, która na pewno też sobie nie życzy, żebyś złopał mleko z opakowania.

— Czyli na jednej szali jest moje cierpienie, a na drugiej zadowolenie mas. Coś takiego zwykło się chyba nazywać dyktaturą demokracji. Jeśli większość coś preferuje, ma prawo oprotestować mnie jako jednostkę. To przypomina główne założenie utilitaryzmu: celem działań powinno być szczęście jak największej liczby ludzi. Ale ja staję się tego ofiarą.

— Wcale nie, bo masz inicjatywę. To ty decydujesz, czy zamiast pić z kartonu, sięgasz po szklankę. No to jak — co myślisz o mojej koncepcji, o *kindfulness* jako naszym przesłaniu?

— Jeżeli to oznacza, że miałabyś być przyjemniejsza i serdeczniejsza w pracy — mówię okej. Dzisiaj okazałaś trochę agresywne skłonności. *Kindfulness*. — Ricky smakuje to słowo. — Moglibyśmy zapoczątkować całkiem nowy kierunek w psychologii mody i jeździć po kraju z odczytami, i zarabiać nieprzyzwoicie duże pieniądze, organizować kursy weekendowe i napisać książkę, która stałaby się bestsellerem, i...

— *Kindfulness* nie jest niczym nowym — to jest coś, co w salonie praktykujemy przez cały czas — mówię, mając na myśli to, że patrzymy nie tylko na włosy klienta, ale pochylamy się też nad jego sytuacją życiową.

- Masz rację. „Co mogę dla pana zrobić?”. To jest właśnie *kindfulness*.
- Ricky sięga po swojego smartfona i sprawdza to słowo w Internecie. — Nic z tego — mówi po chwili.
- Dlaczego?
- Ta nazwa jest zajęta. Chyba wolałabyś nie wiedzieć, co to jest.
- No powiedz! Co to?
- Firma wynajmująca callgirls.

KIEDY WRACAMY do salonu, Gunnar Wallén stoi przy kasie i niecierpliwie przestępuje z nogi na nogę. Spogląda na zegarek na ręce i patrzy na mnie wymownie.

- Nareszcie!
- Co mogę dla ciebie zrobić, Gunnar? — Posyłam mu ciepły uśmiech, ponieważ na moje oko on wyraźnie tego potrzebuje.

— Po pierwsze, nie mogę przyjść na strzyżenie w terminie, który ustaliliśmy. O tej samej porze mam zebranie z kierownictwem Radia Gute. Po drugie, zorganizowałem duże spotkanie z pewną liczbą osób z wyspy, które straciły swoje domy tak jak ty. Widzimy się jutro w radiu o siedemnastej. Odpowiada ci?

— W końcu coś się dzieje — mówię i wyjmuję wizytówkę, którą dostałam od Lovisy Mörk z urzędu skarbowego. Niezauważalnie wsuwam ją do kieszeni jego parki. Jeśli potencjalnej parze nie pasuje w najbliższym czasie ten sam termin wizyty u fryzjera, należy zrobić wszystko, co możliwe, i znaleźć inny sposób, aby tych dwoje się spotkało.

— Dobrze by było mieć na jutrzejszym spotkaniu kogoś z urzędu skarbowego, nawet jeśli zobaczycie się dziś wieczorem — stwierdzam. — Coś mi się zdaje, że chyba dostałeś wizytówkę Lovisy Mörk, kiedy akurat byliście u mnie ostatnio. Włożyłeś ją sobie do kieszeni. Ona bardzo chętnie z tobą pracuje, bo uważa, że jesteś odcytany i mądry. Czy czarujący, już nie

pamiętam, jak powiedziała. I według niej masz fenomenalny radiowy głos.

Gunnar chłonie te pochlebstwa jak gąbka i sięga do kieszeni.

— Rzeczywiście, masz rację — mówi, wyławiając wizytówkę.
— Widocznie musiała wsunąć ją do kieszeni, bo nie przypominam sobie, żeby dała mi do ręki. Co ona mogła mieć na myśli twoim zdaniem?

— Żebyś się do niej odezwał, rzecz jasna. Lovisa cię ceni. To spory atut, że możemy ją mieć na naszym spotkaniu. Zastanawiam się poza tym, czy wy dwoje nie moglibyście później utworzyć takiej specjalnej grupy roboczej, która by się zajmowała kolejnymi czynnościami w sprawie, bo przecież wcześniej czy później ona i tak trafi do urzędu skarbowego.

— No tak, to przecież całkiem oczywiste. — Gunnar uśmiecha się tym swoim niezwykle rzadko demonstrowanym uśmiechem i wychodzi za drzwi, wpuszczając w nie jednocześnie mamę Alexandry, a potem szybuje lekkim tanecznym krokiem przez ulicę. Większość ludzi staje się szczęśliwsza pod wpływem komplementów i ta pozytywna spirala rozwija się już później sama.

— Angeliko, moja droga, musimy porozmawiać!

Mama Alexandry przemierza podłogę kilkoma długimi krokami i na modłę kontynentalną całuje mnie w policzek. Nie jestem na to przygotowana. Gdy zamierza cmoknąć mnie w drugi, odruchowo obejmuję ją na szwedzki chłopski sposób, wskutek czego nasze nosy mimowolnie się zderzają, co jest dosyć żenujące i przykre. Ricky miał rację: *kindfulness* nie zawsze działa.

— Gdzie mogłybyśmy spokojnie porozmawiać? — nie ustępuje.

Zaglądam do kalendarza, nie tracąc nadziei. Niestety, salon jest pusty. Proszę Ricky'ego, żeby szybko wywiesił tabliczkę „Zapraszamy”, której używamy jedynie w skrajnych przypadkach, kiedy mamy kłopot z domknięciem naszych finansów. Nie mogę jej odmówić, więc proszę ją do kącika socjalnego.

— Wiem, że popadłaś w finansowe tarapaty.

— Kto tak mówi?

— Ależ moja droga, przecież wszyscy wiedzą, że twój salon będzie musiał zostać zamknięty, skoro masz problemy ze swoimi prywatnymi finansami. Tak właśnie wygląda surowa rzeczywistość dla nas, prywatnych przedsiębiorców. I dlatego musimy trzymać się razem i nawzajem wspierać.

— Co masz na myśli? — Czuję, że za tymi gładkimi słówkami kryje się jakieś kwaśne jabłko, w które zaraz wbiję zęby.

— Chcę ci pomóc, Angeliko, bo jestem przekonana, że ja też w razie czego mogłabym na ciebie liczyć. Jak wiesz, w piekle jest takie specjalne miejsce dla kobiet, które się nie wspierają.

— A tak dokładnie co masz na myśli? — powtarzam pytanie, chociaż już czuję, co zaraz usłyszę. W piekle jest też specjalne miejsce dla tych, którzy próbują manipulować innymi. W piekle jest wiele różnych miejsc.

— Pożyczkę na wyjątkowo korzystnych warunkach. Bez odsetek i prowizji przez pierwszy rok, dopóki się nie odbijesz od dna.

— A jaki jest warunek?

— Jedna drobna korekta decyzji, którą podjęłaś w pośpiechu. Czasami tak się dzieje, że postanawiamy coś, zanim zdążymy wszystko solidnie przemyśleć. To ludzka rzecz. Niekiedy to nic ważnego, ale bywa, że może mieć rozstrzygające znaczenie. Na szczęście w tym wypadku da się to łatwo naprawić, droga Angeliko.

Za każdym razem, kiedy wypowiada moje imię, głaszczesz mnie po ramieniu. Nie cierpię tego! Chcę sama wybierać, kto i kiedy może mnie dotykać, więc odchylam się do tyłu, co jej jednak w ogóle nie zraża.

— Alexandra chce być twoją modelką na pokazie w najbliższą sobotę. Pozwól jej. Jesteś najlepsza. Nikt nie robi takich fryzur jak ty. Potem dołączyłaby do teamu, który szuka fotomodelek. To chyba niezbyt

wygórowane żądanie?

— A jaką szykanę przewidziałaś, jeśli odmówię? — pytam i cofam się znowu kawałek. Dobrze jest dokładnie wiedzieć, na czym się stoi.

— Och, nie mów tak. No cóż, jeśli nie pójdziesz po rozum do głowy, niewykluczone, że porozmawiam ze swoim mężem, który pracuje w banku i jest przełożonym Hägga. Możliwe, że zbada ponownie twoją zdolność kredytową i oszacuje ją niżej, jeżeli nie dojdziemy do porozumienia.

— W takim razie moja odpowiedź brzmi nieodwołalnie: nie. Nie przyjmuję łapówek i nie zamierzam ulegać pogrożkom. Wiesz, gdzie są drzwi.

ŻYCIE SIĘ HUŚTA, A MY HUŚTAMY SIĘ Z NIM

— Dlaczego nie mogłaś być trochę bardziej elastyczna i nie zgodziłaś się na jej propozycję? — pyta Ricky, który stał za kotarą i podsłuchiwał. — W końcu świat by się nie zawalił, gdyby Alexandra była twoją modelką. Nie ogarniam, dlaczego chcesz akurat Tilly?

— Najwyraźniej nie jesteś jeszcze wystarczająco dojrzały. Tu nie chodzi o upór, tylko o szacunek dla siebie.

— Ale może cię nie stać aż na tyle respektu dla samej siebie. Zanim te machlojki zostaną wyjaśnione, minie pół roku albo i więcej, a ty do tego czasu będziesz kompletnie spłukana, a ja bez pracy. Poza tym Alexandra jest pioruńsko zgrabna.

Kotara się rozchyła i nagle staje przede mną Ludvig. Wydaję okrzyk — to posttraumatyczny symptom stresu. Z bliskiej odległości jego włosy wyglądają jeszcze gorzej niż zaraz po pirotechnicznym eksperymencie w mojej kuchni.

— Na drzwiach jest tabliczka „Zapraszamy”, więc wszedłem. Mogłabyś coś zrobić z moimi włosami? Jonna uważa, że są szkaradne.

Ricky gapi się, jakby zobaczył ducha.

— *Holy fire!*

Ludvig rzeczywiście wygląda żałośnie. Czuję lekki wyrzut sumienia, że zepchnęłam go z płotu. Ale czy miałam wybór?

— Posłuchaj, Angeliko, musimy pogadać! Rozmówić się. Przecież tak nie może być. Potrzebuję swojej szczoteczki do zębów, golarki, gatek. Nie

mogłabyś mnie wpuścić, żebym sobie to wszystko wziął?

— Wykluczone. Zrób listę. Podrzucę ci ważniejsze rzeczy.

Wychodzę do salonu. Przy kasie stoi znajoma postać. Oskar Brodin, taksówkarz. Rut nic mi nie mówiła, jak przebiegła jej wizyta u niego około północy, dokąd się wybrała po listę pasażerów, których Oskar podwoził w Wielką Sobotę. Był przecież przekonany, że to ja przyjdę. Mam mikroskopijne wyrzuty sumienia, chociaż tak naprawdę zupełnie bez powodu. Mimo to cieszę się, że go widzę, bo on jest ogniwem łączącym z Magnusem. Nie powinnam dawać się wciągać w każdy najdrobniejszy trop, ale nie potrafię się powstrzymać. Muszę dowiedzieć się więcej o nim. Chcę wiedzieć wszystko.

— Co mogę dla pana zrobić? — pytam i notuję coś w kalendarzu, a potem spotykam wzrok Oskara. Piszę kategoria T1, na razie.

— Możemy zacząć od strzyżenia, później zobaczymy, co dalej — odpowiada zagadkowo. — Nie przyszła pani. Nasłała pani na mnie policję. To nie było miłe.

Udaję, że nie rozumiem aluzji, i proszę go, żeby usiadł na wolnym fotelu.

— Uważałam, że to jest sprawa dla policji — mówię łagodnie.

Wtedy on eksploduje.

— Wielkie dzięki! Naprawdę cholerne dzięki za nasłanie na mnie tego psa gończego Rut! Musiałem wytłumaczyć się z każdego głupiego rachunku tylko dlatego, że pani podejrzewa mojego kumpla, że jest oszustem.

— Kumpla? To on jest pana kumplem?

— Jest taksówkarzem, a ja podrzuciłem go za friko. I wścibskiej fryzjerce nie musiałbym się z tego tłumaczyć. Ale Rut Qviberg to co innego, ona nie popuściła. Według niej wziąłem pieniądze za kurs i włożyłem je sobie do kieszeni. Nie powiedziałem jej, pod jaki adres go zawiozłem. Musiałem najpierw z nim pogadać, żebyśmy zeznawali to samo. Rozumie pani?

— Powiedzmy. — A więc Magnus jeździ taksówką. Oskar wie, gdzie on mieszka. Miałabym do niego jeszcze wiele pytań, jednak do salonu może w każdej chwili wejść Ricky i zacząć przysłuchiwać się rozmowie. Nie chcę, żeby się dowiedział, że zakochałam się w mężczyźnie, który nie jest wolny i być może nigdy nie będzie. Bo może Magnus i jego partnerka jakoś to skleją i będą mieli małe uroczę dzieci, a ja rozpląnę się w zapomnieniu, jak przyprawa w małżeńskiej zupie. Nie, nie, wystarczy, że już Urika i Vera wiedzą, jak się sprawy mają, i martwią się o mnie.

— Co robi pani dziś wieczorem? — Twarz Oskara jest całkiem odprężona, kiedy rzuca to pytanie, jakbyśmy byli parą najlepszych kompanów, którzy wciąż wynajdują jakieś pomysły na wspólne wieczory.

— Ja? — Jestem kompletnie nieprzygotowana na takie pytanie. Ricky wymyślił kiedyś, że powinniśmy zawiesić tabliczkę z napisem: „Podrywanie personelu zabronione”. Ale kiedy sobie uświadomił, że to obejmowałoby także jego, zrezygnował.

— No tak, pani! — Oskar wybucha śmiechem i w tym momencie trochę przypomina Magnusa. Ciemne włosy, brązowe oczy i odrobinę szelmowski uśmiech. — Zarezerwowałam stół w Lindgården i chciałabym zaprosić panią na kolację. Po prostu.

— Lindgården to znowu nie takie „po prostu”, to całkiem sztywne miejsce. — Zastanawiam się szybko. Właściwie co mam do stracenia? Może usłyszę coś więcej o Magnusie? Po rozważeniu postanawiam przyjąć zaproszenie, choć z zupełnie innego powodu, niż Oskar przypuszcza. — Ale płacę za siebie.

— Czy to znaczy, że pani się zgadza?

— Tak. — Zezuję na Ricky’ego. Jest pochłonięty rozmową z Ludvigiem o tym, kim tak naprawdę był Szekspir. Ricky nie wie nic a nic o Szekspirze, ale wytrawny fryzjer potrafi rozmawiać na każdy temat.

— Tworzył pod pseudonimem, bo współcześni uważali, że ta jego twórczość to tandetna pisanina — twierdzi Ludvig. — To fascynujące, co w różnych epokach uważa się za dobrą literaturę. Był czas, kiedy za warte czytania uznawano jedynie Biblię i budujące książki o religijnym charakterze. Czytanie powieści szkodziło oczom i mogło zatruć umysły młodych ludzi niebezpiecznymi ideami, poza tym groziło suchotami, wysypką, astmą i poceniem się nóg. Pisanie sztuk teatralnych nie było eleganckie. I wtedy byli, i dzisiaj są koneserzy, którzy próbują innym dyktować, co mają czytać.

— Moja mama zawsze powtarza to samo, kiedy ludzie pomstują na kryminały za to, że opisuje się w nich zbrodnie. Mówi: „Wystarczy zajrzeć do *Otella*. Naliczyłam dwadzieścia sześć ewidentnych morderstw plus całą masę ludzi ginących w tle w czasie trwającej w sztuce wojny. Czy to brzydko pisać o zbrodni? Czy Szekspir był dobrym pisarzem?” — emocjonuje się Ricky w imieniu swojej matki.

— Być może za sto lat dzisiejsze kryminały będą odbierane jako portret społeczeństwa z etycznego punktu widzenia. Kryminał to najbardziej moralna forma wszelkiej literatury, bo przedstawia wizję społeczeństwa praworządnego, jak mówi Dorothy Sayers. — Ludvig przygląda się swojemu odbiciu w lustrze. Jego włosy teraz to szczecina pięciomilimetrowej długości, a na szyi widać tatuaż, który wcześniej zasłaniały warkoczyki. Serce, a w sercu napis: Eva.

— Chyba będziesz musiał go usunąć? — mówi Ricky i aż wzdryga się na myśl o reakcji Jonny. — Jeśli dasz radę wytrzymać ten ból.

— Muszę. Zrobię to dla Jonny.

— To jest dopiero prawdziwa miłość. — Oskar unosi wyimaginowaną chusteczkę do nosa i ociera równie wyimaginowaną łzę na policzku. — Wobec tego o ósmej — szepcze do mnie.

— Co to ma być? — Ricky robi pantomimę w lustrze. — Masz randkę?

KIEDY JUŻ zbieramy się do wyjścia, Ricky blokuje drzwi ramieniem i nie przepuszcza mnie.

— Chyba nie zamierzasz wybrać się gdzieś z tym obleśnym typem i popsuć sobie cały sobotni wieczór?

— A od kiedy to jesteś moim rzecznikiem? — Czuję wewnętrzny chichot, który drażni mięśnie twarzy i wywołuje na niej trochę zbyt szeroki uśmiech.

— Nie ma się z czego śmiać. Oskar to nikt dla ciebie, Angeliko! On jest za bardzo... za bardzo napalony. To taki ogier najgorszego sortu.

— Tydzień temu martwiłeś się, że nie mam z kim iść do łóżka, a teraz się przejmujesz, że może się ktoś taki znalazł. Powiedziałeś jasno i wyraźnie, że seks to naturalne i przyjemne zachowanie, do którego powinno się zachęcać.

— Ja jestem twoim aniołem stróżem, Angeliko. Chronię cię przed niebezpieczeństwami, których sama nie umiesz dostrzec. Ten taksjarski przelatuje każdą, która mu się tylko nawinie.

— No to co — irytuję się. — To będzie spokojnie. I może wieczór skończy się szczęśliwie.

— Macie spotkać się o ósmej w Lindgården?

— Szczerze mówiąc, Ricky, to są moje sprawy prywatne, a ja jestem twoim szefem. I nie zamierzam ci się z niczego tłumaczyć.

PO DRODZE do domu dzwonię do Juliusa z przedsiębiorstwa pogrzebowego, żeby porozmawiać o pogrzebie Stevena. Obawiam się, że zabraknie pieniędzy. Julius jednak wyjaśnia, że w takich przypadkach państwo dokłada się do przyzwoitego pogrzebu, co mnie uspokaja. Chcę, żeby Steven miał godne pożegnanie, mimo że nadal jestem na niego zła za to, co zrobił.

Idąc dalej, postanawiam odwiedzić Sindbada. Tylko zajrzeć na minutkę,

o ile jest na zewnątrz.

Widzę go już z daleka. Siedzi na swoim wózku w tym samym miejscu, w którym widziałam go razem z Naimą pierwszy raz. Zauważa mnie dopiero wtedy, gdy staję przed nim i zasłaniam mu słońce, a na jego twarz pada cień.

— O, przyszedłeś, dziecinko. Właśnie myślałem o tobie. Czysta magia.

Sindbad jest jeszcze chudszy i wydaje się bardziej przejrzysty niż dotąd, a gdy spogląda na mnie, ma przyćmione, niemal nieobecne spojrzenie.

— I co sobie o mnie myślałeś? — Siadam na ławce obok niego i wystawiam twarz na wieczorne słońce.

Powoli wyciąga do mnie wychudzoną dłoń, a ja szybko ją ujmuję.

— Nie byłem wobec ciebie do końca szczery, Angeliko. Powiedzenie prawdy było zbyt bolesne, ale mój czas niedługo się wyczerpie, dlatego chciałbym opowiedzieć ci resztę mego życia, zanim będzie za późno. To może się wydawać zbyt bezpośrednie, mam jednak nadzieję, że nie uznasz, iż jestem natarczywy, po prostu czasu jest coraz mniej.

— Wysłuchiwałeś moich zmartwień, Sindbadzie, więc teraz opowiedz mi o swoich. — Pomyślałam, że musi chodzić o kłopoty, bo jego twarz nigdy dotąd nie była tak smutna jak w tej chwili.

Zamyka oczy i najpierw się koncentruje, aż wreszcie odważa się na skok i spogląda na mnie.

— Mam córkę. Kiedy mówiłem, że zaprzepąściłem szansę na stworzenie rodziny, nie była to całkiem prawda. Miałem rodzinę. Ale jedno uderzenie, jeden cios... jeden policzek zmienił nasze życie. Moja żona przewróciła się do tyłu na schody i spadła, i... — Patrzy na mnie błagalnie, ja zaś ściskam go za rękę, żeby dać mu do zrozumienia, że nie zamierzam go oceniać, a jedynie wysłuchać.

— Jak to się stało?

— To była najwspanialsza kobieta, jaką spotkałem. A mnie brakowało

poczucia własnej wartości. Myślałem, że muszę udowodnić, że jestem wystarczająco dobry, że się dla niej nadaję, a tę moją wartość da się najlepiej zmierzyć w koronach i öre. Moja żona była zdecydowanie zbyt doskonała — nikt, a już najbardziej ja sam nie mogłem pojąć, co ona we mnie widziała. Była piękna i dowcipna. Miała wyższe wykształcenie. Nigdy nie umiałem zrozumieć, dlaczego powiedziała mi „tak”, mnie, który ledwie skończył szkołę podstawową.

Żyłem pod potworną presją, w pracy nawet na chwilę nie pozwalałem sobie na zwolnienie tempa. Dlatego musiałem pić, żeby móc się rozluźnić i od czasu do czasu zasnąć. A potem zacząłem brać inne, mocniejsze używki, bo przecież musiałem być trzeźwy. Myślałem, że jeśli tylko będę mógł dać swojej rodzinie to, co najlepsze — najpiękniejszą willę, najdroższą podróż — to ona będzie mnie kochać. Ale myliłem się. Ona kochała mnie naprawdę. I chciała ode mnie mojego czasu. Kiedy nie potrafiłem tego zrozumieć, postanowiła się rozwieść. Wściekła się do tego stopnia, że mnie uderzyła, a ja jej oddałem. Ja nie miałem nawet siniaka, a ona złamała rękę i ze wstrząśnieniem mózgu trafiła do szpitala. A na piętrze stała nasza mała córeczka i wszystko widziała.

— Co było potem?

— Zamiast błagać ją, żeby mi wybaczyła, wszelką komunikację między nami zleciłem adwokatowi. Unikałem więzienia za użycie przemocy, ale ona dostała wyłączną opiekę nad dzieckiem i nie chciała się już ze mną widzieć.

— A teraz masz jakiś kontakt z córką?

— Usiłowałem go nawiązać, kiedy stała się pełnoletnia. Jednak ona nie chciała. Matka nastawiła ją przeciwko mnie. Moja córka jest pełna złości, za co nie mam do niej pretensji. Byłem idiotą i nie potrafiłem zrozumieć, co jest ważne w życiu. Żona już nie żyje, ale córka mieszka na wyspie.

— Próbowaleś się do niej odezwać? — pytam, czując zimny wiatr wokół swoich nóg. Pomagam Sindbadowi otulić się kocem, który zsunął się na ziemię.

— To wymaga odwagi, bo jest ważniejsze niż cokolwiek innego. Nie wiem, czy dam radę. Znasz ją. Ona strzyże się w twoim salonie. Wspomniałaś o niej kiedyś i tak się zastanawiam, czy nie mogłabyś z nią porozmawiać. Poprosić ją. Może ciebie posłucha. Ona nie chce mieć ze mną nic wspólnego, i to jest dla mnie rozpaczliwie smutne.

— Kto to jest? Obiecuję, że zrobię wszystko, co możliwe.

Sindbad patrzy na mnie oczami takimi jak zwykle, zatopionymi głęboko w zmęczonej, pomarszczonej twarzy, po czym zmienia temat.

— No i co, dziecinko, co tam słyhać w twoim świecie? Co cię teraz martwi?

— To drobiazgi w porównaniu z tym, co opowiadasz. Nie mam żadnych wieści od Magnusa. Boję się, że się rozmyślił, że nie będzie mnie chciał, kiedy dojdzie do rozstrzygającego wyboru. Tęsknię i czekam, i jestem zła i zdezorientowana, bo nie chciałabym się znaleźć w takiej sytuacji. Nie chcę być kobietą, która czeka na zajętego mężczyznę. To klasyczny idiotyzm. Ale z drugiej strony nie potrafię przestać o nim myśleć i nie mam innego wyjścia, skoro nie da się przeprogramować mózgu. Poza tym właśnie zostałam zaszantażowana przez żonę dyrektora banku. Szefa Hägga. Mówi, że może doprowadzić do zweryfikowania mojej zdolności kredytowej i zmusi mnie do sprzedania salonu, żeby można było wykupić długi, które ciążą teraz na moim domu. — Opowiadam dokładnie, co powiedziała mama Alexandry.

— Co się tyczy twoich zgryzot miłosnych, mogę cię jedynie wysłuchać i nic poza tym, ale jeśli chodzi o twojego opiekuna z banku... — Sindbad śmieje się krótko — ...jestem przekonany, że potrafię nakłonić go do lepszych rozwiązań. Zdziwiłbym się, gdyby posłuchał tych głupot swojej

żony. Znam go. To dobry z gruntu gość, który ożenił się ze żmiją.

— Ożenił się z kobietą, która raczej odgryzła język żmii.

Sindbad wydaje się zmęczony.

— Podwiozłabyś mnie?

— Oczywiście. Jak się nazywa twoja córka? Nie powiedziałeś kto to.

— To osoba, która nienawidzi facetów. I to jest moja wina. Jeśli przypomnisz sobie jej oczy i spojrzysz na mnie, będziesz wiedziała.

— Jonna?

— Moja córka ma na imię Jonna.

GDY DOCIERAMY do jego pokoju, prosi mnie, abym sięgnęła z półki jakiś album. Potem mówi, żebym go otworzyła i przejrzała. Cały poświęcony jest Jonnie. Jest w nim każdy artykuł, który napisała, każda najdrobniejsza notatka, wydruki z Internetu i zdjęcia z różnych okresów.

— Jestem z niej strasznie dumny. Ona ma fantastyczne pióro, prawda?

— Rzeczywiście. Mogę pożyczyć sobie ten album?

POJEDNANIE TO NAJPIĘKNIEJSZE SŁOWO, JAKIE ISTNIEJE

Jonna mieszka przy Mellangatan. Niecałe piętnaście minut zajmuje mi dojście na Fiskargränd, zabranie rzeczy Ludviga z listy i dotarcie do niej na miejsce. Dzwonię do drzwi z albumem Sindbada w jednej ręce i torbą Ludviga w drugiej, i ze względu na Sindbada z przyspieszonym z napięcia pulsem. W domofonie odzywa się głos Jonny, która zaprasza mnie na górę.

— Ludvig jest w bibliotece i próbuje załatwić sobie na lato pracę w kawiarni. — Wyciąga rękę po torbę, a ja czuję się jak sprzedawca odkurzaczy na granicy śmierci głodowej, gdy robię krok do przodu i wchodzę w drzwi.

— Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

— Przeprosiłam cię. Jeśli są jakieś straty — w porządku, pokryję koszty. Ale nie za zalanie wodą, bo to ty wciągnęłaś ogrodowy szlauch do środka. Coś poza tym?

— Tak. To zupełnie inna sprawa. Mogę wejść?

— Proszę... możesz. — Jonna cofa się do ciemnego przedpokoju. — Brzmisz strasznie serio — rzuca przez ramię, prowadząc mnie do kuchni, gdzie — sądząc po chlewie na szafkach — Ludvig zadomowił się już na dobre. — O co chodzi?

Gdy siadamy przy stole, podaję jej bez słowa album.

— Co to jest? Skąd to masz? — Jonna kartkuje go zaaferowana. — Ktoś mnie prześladowa? Jakiś szaleniec?

— Ten ktoś cię kocha, i zawsze cię kochał.

Jej reakcja jest natychmiastowa — oszołomienie przechodzi w zrozumienie.

— Nie chcę mieć nic wspólnego z moim ojcem! — Raptownie zatrząskuje album.

— On jest umierający. I ma jedno jedyne, ostatnie życzenie: spotkać się z tobą. Jeśli nie porozmawiasz z nim teraz, już nigdy nie będziesz miała tej możliwości.

Jonna obgryza kciuk i rzuca w moją stronę pełne irytacji spojrzenie.

— Nie zrobię tego. On uderzył moją mamę. Widziałam, jak spadła ze schodów.

— A nie widziałaś, że twoja mama najpierw uderzyła go w twarz? — mówię powoli.

Jonna przymyka powieki, po czym głęboko wciąga powietrze przez nos i wydmuchuje przez usta, jakby przygotowywała się do biegu sprinterskiego.

— No i co z tego? On był głupi, potwornie głupi, i krzyczał na nią.

Głos Jonny przyjmuje piskliwy, dziecinny ton, a w szeroko otwartych oczach pojawia się strach.

— Przyznaje, że był głupi, i bardzo żałuje. A najbardziej tego, że uderzył twoją mamę. Przez całe życie każdego dnia marzył o tym, żeby móc cofnąć tamtą chwilę.

— Nie zamierzam się z nim widzieć — mówi już ciszej. — Co by to dało? Jedynie tyle, że pokłócilibyśmy się ostatni raz, a to nikomu nie jest potrzebne.

— Uważam, że takie spotkanie zrobiłoby dobrze i tobie, i jemu.

Odczytuję po mowie jej ciała, że zaczyna mięknąć. Ramiona, które do tej pory mocno oplatały tułów, zwisają teraz bezwładnie po bokach. Twarz się wygładza.

— Nie mam mu nic do powiedzenia. To obcy facet. Wiesz co, kiedy

umarła mama i porządkowałam jej mieszkanie, na strychu znalazłam dużą skrzynię. Były w niej prezenty na urodziny i pod choinkę od niego dla mnie. Listy. Kartki wysyłane na moje imieniny. — Jonna przygryza sobie dolną wargę tak mocno, że aż odpływa z niej krew. Pociąga nosem. — Nigdy ich nie dostałam. Mama ich nie wyrzuciła, bo pewnie uznała, że nie powinna, skoro są moje, ale nie chciała też, żebym je miała.

— On cały czas myślał o tobie i przejmował się tobą.

Twarz Jonny przyjmuje nowy wyraz, smutek wypiera złość.

— Kiedy skończyłam osiemnaście lat, pojawił się i pomachał plikiem pieniędzy, jakby mógł odkupić mnie sobie z powrotem. Kupić wzajemną więź! To było bezduszne, potwornie bezczelne. Powiedziałam mu, żeby wsadził sobie gdzieś te swoje pieniądze! Jonny nie da się kupić.

— Chyba nie wierzył wtedy, że jest coś wart, że wystarczy taki, jaki jest, a teraz potrafi się do tego przyznać. Bardzo bym chciała, żebyś z nim porozmawiała. Wykorzystaj tę szansę, Jonna, bo potem możesz żałować.

Z jej ust dobywa się przeciągłe, lekko drżące westchnięcie.

— Sama nie wiem. Trochę za dużo tego jak na jeden raz. Muszę pomyśleć.

— A czego najbardziej się boisz?

— Chyba tego, że się rozpłaczę.

Gdy obejmuję ją na pożegnanie, ściska mnie mocno.

— To takie trudne. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo trudne. Bo jeśli się z nim pogodzę, to zdradzę mamę. A ona chciała, żebym trzymała się od niego z daleka. To było jej ostatnie życzenie.

— Moim zdaniem to ogromnie egoistyczne. Wiesz, co ci powiem? Najgorsze błędy popełniamy nie wtedy, kiedy czujemy się wielcy i silni, ale wtedy, kiedy wydajemy się sobie mali i nędzni.

Wychodzę od Jonny, nie mając pojęcia, czy odezwie się do Sindbada. Album specjalnie zostawiam na stole. Może zajrzy znowu do niego

i przewracając kartki, dostrzeże miłość i wysiłek, jakie włożył w to, aby zebrać wszystko, co napisała.

IDĄC DO DOMU, powtarzam w myślach: Magnus, Magnus, Magnus. Nie dał znaku życia, mimo że wie, gdzie pracuję, i bez trudu mógłby znaleźć mój numer telefonu. Poza tym zna mój adres mejlowy.

Mam wrażenie, że od czasu, kiedy siedzieliśmy pod rozgwieżdżonym niebem na Gotska Sandön, minęła cała wieczność. Niczego mu nie obiecywałam. I mogę widywać się z kim chcę, tłumaczę się sama przed sobą, myśląc o wieczornym spotkaniu. W najlepszym razie Oskar powie mi coś więcej o Magnusie. Bo wiem o nim zdecydowanie za mało, żeby móc w rozsądny sposób myśleć o przyszłości. Ale zakochany umysł nie kieruje się rozsądkiem, dlatego mimo wszystko myślę o przyszłości, bo w przeciwnym razie ogarnęłaby mnie przeraźliwa pustka.

Po powrocie do domu robię obchód ogródka. Róże wymagają przycięcia i niedługo będzie można już wysadzić rośliny, które wyhodowałam w swojej małej szklarni. Myśl o tym, że może będę zmuszona wyprowadzić się z tego domu i w najgorszym razie sprzedać jeszcze salon, doprowadza mnie do obłędu. Do tej pory odpychałam ją od siebie. Nie mogę czekać na koniec policyjnego dochodzenia. Co mi da uzyskanie racji za pół roku? Jutro wieczorem mamy spotkanie, a potem muszę zacząć działać, żeby ocalić salon. Sindbad powiedział, że ma kontakty w banku, mam nadzieję, że to będzie mój ratunek. Nie wyobrażam sobie, że może być inaczej.

Biorę prysznic, poprawiam włosy i w płaszczu kąpielowym zaglądam do kuchni, która przedstawia opłakany widok, a przecież jutro rano przychodzi Ricky na cotygodniowy kurs gotowania. Polewam płytę kuchenki płynem do czyszczenia w nadziei, że może chociaż połowa tego czarnego nalotu się rozpuści. Zapach spalenizny siedzi wciąż w firankach, więc zdejmuję je i od razu widzę, że powinnam umyć szyby. Tilly wygląda u siebie przez okno

i macha do mnie. Tuż za nią stoi Generał. Okno tworzy ramę wokół nich, a ich wspólny portret jest bardzo ładny.

Posprzątawszy z grubsza, siadam do komputera i piszę parę słów do Sindbada. Powinien wiedzieć, że zostawiłam jego album u Jonny. Z całego serca pragnę, żeby go jednak odwiedziła.

Potem zaczynam się szykować do wieczornej randki. Wyjmuję z garderoby coś, co nie jest zbyt wydekoltowane ani za krótkie. Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz stroiłam się na takie wyjście.

Za dziesięć ósma zamykam dom i idę spacerem w kierunku Strandgatan. Wieczór jest niemożliwie ciepły. Ni z tego, ni z owego przychodzą mi na myśl lata głodu 1867-1869, kiedy pogoda na wyspie była kompletnie zwariowana. Pod koniec czerwca, na sobótce, ścisnął mróz i padał śnieg, a w Boże Narodzenie było ciepło jak na wiosnę.

Napływ ciepła robi coś z naszymi zmysłami. Ludzie wychodzą z domów i są spragnieni kontaktu. Restauracje pootwierają już ogródki, które dzisiejszego wieczoru są zajęte prawie do ostatniego miejsca. Policzywszy dokładnie swoje pieniądze, dochodzę do wniosku, że mogę pozwolić sobie na danie główne, kawę i lampkę wina, pod warunkiem że w przyszłym tygodniu będę żyć tym, co zawiera ta część mojej książki kucharskiej, którą stosuję, kiedy jest krucho z kasą. Specjalnie podzieliłam zbiór swoich przepisów na rozdziały: przepisy do wykorzystania przy pustkach w portmonetce, przepisy na trochę bardziej uroczyste okazje i szczególne, mroczne sposoby przyrządzania *lammskalle*¹ i *torskboddar*², których nie robi się tak często. Ricky kopiuje te recepty, w miarę jak je wykonujemy.

Czekam na Oskara przed Lindgården, przy gablocie z menu. Robi się ósma, i kwadrans po ósmej, w końcu wchodzę do środka i pytam o stolik zarezerwowany przez Oskara Brodina. Kelner wskazuje mi miejsce, gdzie siedział Magnus, kiedy zobaczyliśmy się po raz pierwszy, co oczywiście

ożywia wspomnienia.

Ponieważ stać mnie tylko na jeden kieliszek wina, na razie nie zamawiam niczego. Dwadzieścia po ósmej dzwonię, ale nikt nie odbiera. O wpół do dziewiątej postanawiam wrócić na Fiskargränd i skończyć sprzątanie kuchni, mimo że jest sobotni wieczór i nastawiłam się na dobrą kolację. Zastanawiam się, co się mogło stać. Oskar zamówił stolik i nie odwołał rezerwacji.

W domu siadam do komputera. Mam list od Sindbada.

Córka żeglarza przyszła do Królestwa Cieni i radość przepełniła moje serce. Gdy fale jej gniewu opadły i morze się uspokoiło, mogliśmy słyszeć nawzajem swoje głosy i wszystko, co mnie dręczyło, odeszło w dal. I płakaliśmy pospółu po raz pierwszy od tego rozpaczliwego dnia, gdy bajka się roztrzaskała i zamieniła w palący smutek. Dziś wieczór ślę ku tobie, moja przyjaciółko i bogini losu, me najcieplejsze myśli. Twój na zawsze — Sindbad.

NAJCIEPLEJSZE MYŚLI Sindbada przepełniają me serce, a jednocześnie słyszę jakiś głucho pacnięcie na zewnątrz. Gdy dzwonek przy drzwiach wejściowych przecina ciszę, próbuję wyrzeć w mrok. Kto to może być w sobotni wieczór?

-
1. Typowa regionalna potrawa z Gotlandii; grillowana głowa barania, z której jada się nie tylko mięso, ale także język, a nawet oczy, uchodzące za specjał. [\[wróć\]](#)
 2. Gotowane w słonej wodzie głowy dorsza faszerowane wątróbką z dorsza, doprawioną mlekiem, mąką żytnią i przyprawami. [\[wróć\]](#)

PÓJDŹ KU MEJ OWŁOSIONEJ PIERSI!

Moja pierwsza myśl jest taka, że to może Ludvig nie był zadowolony z tego, co upchnęłam w plastikowej reklamówce, a druga — że to może być Oskar. Przecież wie, gdzie mieszkam, bo podrzucił mnie kiedyś do domu swoją taksówką.

Jednak nie zgadłam. Przez okno widzę kobietę z długimi jasnymi włosami, na wysokich obcasach i w krótkiej różowej sukience. Nikt, kogo bym знаła, obca osoba wyglądająca na potrzebującą pomocy. Przekręcam klucz w zamku, otwieram drzwi i patrzę prosto w zaskakująco znajomą twarz. I to jest jedyna rzecz, która się zgadza.

— Ricky?

— Leci mi krew z nosa i nie mogę jej zatamować — mówi płaczliwie.

— Ale Ricky, co to ma być? — Widzę, że podprowadził perukę z salonu i jest ubrany trochę na wampa. Byłby niezłą laską, naprawdę całkiem niezłą, gdyby nie krew, która kapie mu między palcami. Trzyma się ręką za nos. Sukienka jest w czerwonych plamach, a od jednego buta odpadł obcas. Pończochy kabaretki są porwane.

Czuję taką samą bezsilność jak wtedy, kiedy na początku poprzedniego tygodnia wylądował zarzygany u mnie na schodkach. Mój dom to nie filia oddziału ratunkowego ani izby wytrzeźwień. To prywatne mieszkanie i absolutnie nie zgadzam się na to, aby komukolwiek weszło w nawyk szukanie przystani w razie katastrofy akurat tutaj.

— Nieźle oberwałem.

Powiedziawszy to, chwyta się zakrawioną ręką białej framugi drzwi

i zostawia na niej czerwony ślad. Nie mam wyboru — muszę go wpuścić i doprowadzić do porządku.

Sadzam go na krześle w kuchni, proszę, żeby ucisnął sobie nasadę nosa i odchylił głowę do tyłu, a sama szukam waty.

— W najgorszym razie pojedziemy do szpitala, żeby przypalili ci naczynko — mówię, bo coś takiego zrobili kiedyś mężowi Ulriki, po tym, jak rzuciła się na niego z dosyć ciężką książką, gdy nakryła go z uczennicą na zapleczu podczas wykonywania niezwykle praktycznych eksperymentów biologicznych.

Wpycham mu kawałek waty w dziurkę, która krwawi mocniej, jednak z drugiej też się leje.

— W pierwszej chwili chciałem od razu pojechać do szpitala, ale potem uzmysłowiłem sobie, że tak ubrany nie powinienem się tam pokazywać. Na oddziale ratunkowym pracuje mój kumpel. Teraz mogę oddychać tylko przez usta — bełkocze niewyraźnie.

— Parę rzeczy musisz mi wyjaśnić — mówię. — Dlaczego jesteś w damskich ciuchach i kto spuścił ci taki łomot?

— Zrobiłem to dla ciebie, Angeliko. Skoro ty sama nie wiesz, co jest dla ciebie najlepsze, czułem się w obowiązku interweniować, trochę jak bóg przeznaczenia.

Widzę, że jak zwykle brakuje jednego lub dwóch szczegółów, żeby dało się ogarnąć całość.

— Co znowu masz na myśli?

Ricky wisi odchylony do tyłu na kuchennym krześle i uciska sobie nasadę nosa.

— Czujesz, że krew spływa ci też do przetyku? Myślisz, że masz złamany nos?

— Nie, spokojnie, ale jasny gwint, jak to cholernie bolało, kiedy

depilowałem sobie nogi woskiem. Bycie facetką i wyszykowanie się na randkę to straszna robota. Wyobrażasz sobie — dwie godziny zajęła mi stylizacja!

Ricky zadziera do góry sukienkę w mało kobiecy sposób. Jego czerwone tipsy połyskują, kiedy podnosi jej skraj i odsłania porwane pończochy.

— Moim zdaniem mam ładne nogi, całkiem zgrabne i gładkie, no nie? Petter z CUS-u mówi, że mężczyźni często występują w reklamach rajstop, bo mają o wiele zgrabniejsze łydki od kobiet. Ciekawe, ile można zarobić na takim pozowaniu do zdjęć? Myślę, że to mogą być całkiem przyjemnie zarobione pieniądze.

Całą tę tyradę wygłasza coraz bardziej piskliwym głosem, bo nie może oddychać przez nos i z każdą sekundą ma coraz mniej powietrza. Wyciąga poduszeczki do wypychania ramion z biustonosza, który od razu zapada się jak przekłuty balon.

Nie pozwalam mu jednak odwrócić uwagi.

— Dość tego, Ricky! Gadaj wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi?

Potrafię sobie wyobrazić jedynie, że był na jakiejś maskaradzie, na imprezie, która wymknęła się spod kontroli. I dalej moja wyobraźnia nie sięga.

— Akceptuję swoje kobiece cechy. No bo jak inaczej mógłbym zrozumieć dziewczyny? Wystarczył mi jeden wieczór w knajpie, żeby uświadomić sobie, na co wy, kobiety, jesteście narażone. To było wstrząsające. Te wszystkie pożądliwe spojrzenia. Czuję się jak kawałek świeżej polędwicy wołowej wyłożonej w hali targowej. Wyceniany i prawie już w połowie skonsumowany.

— Gratulacje, młody człowieku! Ale zapewniam cię, że to i tak jest o niebo lepsze, niż czuć się jak wczorajsze danie dnia.

Całe to przedstawienie to jedynie wybieg z jego strony, żeby wykpić się od

wyjaśnięć, ja jednak domagam się, by przeszedł w końcu do konkretów:

— Kto ci spuścił łomot?

— Oskar Brodin. Taksówkarz, z którym się umówiłaś. Spójrz na to jako na cierpienie w zastępstwie. Uniknęłaś migdalenia się z nim dla uzyskania samoakceptacji. To babiarz albo tak jakby babiarz. To kwestia definicji. Nie zdzierzył, kiedy się rozebrałem, to już było dla niego za dużo.

— Co takiego? — Opadam na krzesło i nie wierzę własnym uszom.

— Rozbierałeś się dla Oskara Brodina? Po co?

— A co miałem zrobić? Moim zdaniem to nieodpowiednia osoba dla ciebie, więc go zbałamuciłem, zanim się z tobą zdążył zobaczyć. Poszło jak po maśle. Wczułem się w rolę, rzuciłem mu propozycję i nagle znaleźliśmy się w jego mieszkaniu. Czy ty wiesz, że on zbiera trofea po swoich zdobyczach? Majtki! Chore, nie? Pokazał mi swoją kolekcję.

— Chyba nie chcę tego słuchać.

— Potem częstował mnie drinkami i puszczał nastrojową muzykę, a później zrobił się całkiem namolny, więc podniosłem się i zacząłem się rozbierać. Powinnaś zobaczyć jego minę, kiedy cisnąłem stanik i odsłoniłem swoją owłosioną klatę. „Pójdź ku mej piersi owłosionej i posłuchaj, jak piszczą moje pchły”, zaśpiewałem takim zmysłowym głosem jak Zarah Leander, no wiesz. — Ricky z imponującą precyzją naśladuje wystudiowany sposób, w jaki gwiazdy unoszą ciężkie powieki z jeszcze cięższymi rzęsami.

— Żartujesz sobie ze mnie?

— A wyglądam na to? — odpowiada szybko i chwyta się za nos.

— Zrobiłem to z myślą o tobie, Angeliko. Oskar to kawał szubrawca. A potem przyszła jego żona. Ja cię kręcę, wtedy to się dopiero zaczęło dziać! Okazuje się, że nie pierwszy raz przyprowadził sobie do domu dziewczynę, kiedy jej nie było. Oskar to dziwka. Ja ci to mówię.

— Ty musisz mieć coś nie w porządku z głową, Ricky. Dlaczego ty to

robisz?

— Moim celem było czuwanie nad twoją cnotą i udało mi się. Posłuchaj, skoro jutro rano i tak mam tutaj być, żeby gotować, to może mógłbym u ciebie przenocować? Na kanapie, tak zwyczajnie, bez ceregieli. Nie chrapię.

— Nie, nie, nawet nie próbuj — mówię szybko, kiedy widzę, że przymierza się do wystartowania z kolejnym argumentem. — Odzyskałam swój dom i chcę pomieszkać w nim w spokoju.

— Myślisz, że powinienem iść do domu aż na Irisdalsgatan z krwawiącym nosem i w rozwalonych butach? Nie poczuwasz się do odpowiedzialności jako pracodawca?

Przedstawia sobą oplakany widok, gdy blond peruka przekrzywia mu się na głowie, a nasiąknięta krwią wata rozdyma nos do wielkości kartofla. Waham się przez moment i zastanawiam.

— Mogę ci pożyczyć coś do ubrania i rower. — Ale w tej samej chwili przypominam sobie, że wszystkie rzeczy Joakima oddałam do Czerwonego Krzyża. — Mogę ci pożyczyć rower — poprawiam się.

NASTĘPNEGO DNIA rano jesteśmy pierwszymi klientami, kiedy otwierają sklep spożywczy przy rynku. Musimy kupić tylko to, co najniezbędniejsze. Żadnemu z nas się nie przelewa. I razem zrobiliśmy remanent w lodówce. Kiedy Ricky chciał wyrzucić jogurt z prawie nieaktualną datą najlepiej spożyć przed, powstrzymałam go. Trzeba trochę zaufać własnemu nosowi. Z jogurtu da się zrobić twarożek, wystarczy go zagotować, żeby się ściał, a potem odcedzić serwatkę przez filtr do kawy. W ten sposób wytwarza się ser. Później się go soli, wyciska do niego czosnek albo dodaje mielonej papryki czy co tam jeszcze się wymyśli. Z resztek jedzenia można też przygotować pyttipanne, która potem zamieni się w chłopski omlet. Można ugotować zupę na kości. Jedyne granice wyznacza nasza wyobraźnia.

Jadłospis na najbliższy tydzień ogarniemy za dwieście koron na nas dwoje, pod warunkiem że zagospodarujemy zapasy z lodówki i spiżarki. Prawdziwe wyzwanie.

Przy moim kompoście rosną pokrzywy i podagrycznik, z których ugotujemy zupę. Najlepszym sposobem pozbycia się chwastów jest zjedzenie ich albo, jak mówi Ricky: *If you can't beat them, eat them!* Jedzenie należy przygotowywać z miłością i przejęciem, zwłaszcza gdy z kasą jest krucho.

Wyjmuję swoją najładniejszą porcelanę i stawiam kryształowe kieliszki. Ricky składa serwetki. Odbył kurs origami i co prawda serwetki może nie wyglądają tak, jak sobie wyobrażałam, ale w każdym razie jest oryginalnie z małą rakieta kosmiczną czy czymś takim przy nakryciu. Zrywam jeszcze pęk narcyzów i układam je w niebieskim wazonie.

Menu wygląda następująco:

Niedziela: Specjalność z Fiskargränd. Sałatka z pomidorów i cebuli z winegretem.

Poniedziałek: Ugnstrull ¹ i hummus. Sałata zielona.

Wtorek: Zupa pokrzywowo-podagrycznikowa. Chrupkie pieczywo z twarogiem z dodatkiem natki pietruszki, koperku i szczypiorku. Dekoracja: rzodkiewka w talarkach.

Środa: Pierogi nadziewane żółtym serem, zielonymi oliwkami i makrelą w sosie pomidorowym. Zielona sałata z fasolą.

Czwartek: Daal z podagrycznika, sałaty i papryki.

Piątek: Lasagne sin carne i sałata à la pizza. Parfait Salon d'Amour.

Sobota: Zupa z pieprzników trąbkowych i jabłecznik babci.

KIEDY POD CZEREŚNIĄ w moim ogródku jemy specjalność Fiskargränd, podczas gdy na kuchni pyrka zupa i *ugnstrull* siedzi w piecu, życie wydaje się całkiem znośne, mimo finansowych niepokojów. Ale Ricky szybko sprowadza mnie na ziemię.

— Załóżmy, że wszystko się spieprzy. — Wygląda jak chomik, kiedy wpycha w siebie jedzenie. Policzki ma wciąż jeszcze trochę czerwone od różu. — Załóżmy, że tego naciągacza nigdy nie znajdą i Ludvig zostanie właścicielem twojego domu, a z powodu kredytu pod zastaw domu będziesz musiała sprzedać salon. Co wtedy zrobisz?

— Nie wiem. Nie chcę o tym nawet myśleć.

— Trzeba mieć plan B. Moglibyśmy otworzyć knajpkę i sprzedawać w niej napoje z chwastów dla fanatyków zdrowia, którzy chcą rozpocząć nowe i lepsze życie — po raz kolejny. Na początku załatwilibyśmy sobie taką skrzynkę jak do sprzedawania lodów na plaży i kręcilibyśmy się między siłowniami, żeby dawać im do posmakowania próbki. Potem zostaliby naszymi stałymi gośćmi. Moglibyśmy zawiązywać nici przeznaczenia dokładnie tak jak teraz. Wyznawca diety LCHF spotka wyznawczynię diety 5:2, a oboje połączy prosta zieleń sałaty.

— Żeby serwować drinki, trzeba spełniać pewne wymogi. Na przykład trzeba mieć na to pozwolenie.

— Ty to umiesz człowiekowi dodać skrzydeł. Jessika będzie dziś wieczorem na spotkaniu?

— No jasne. Cały swój wolny czas poświęca na przejęcia nieruchomości.

— Można się dołączyć? — Twarz Ricky'ego doznaje przeobrażenia — chomik ponury zamienia się w pełnego nadziei.

— Można, pod warunkiem, że jest się przyzwoicie ubranym. A co cię pociąga: Jessika czy spotkanie?

— To skomplikowane. — Ricky wbija wzrok w talerz i goni widelcem po talerzu kawałek buraka, który w końcu ląduje na stole. — Jessika powinna być wdzięczna, że jestem nią zainteresowany i poświęcam jej uwagę, ale nie jest.

— Wdzięczna? Dlaczego miałaby być wdzięczna?

— Bo jestem fantastycznym fryzjerem z ambicjami i planami na przyszłość i prawdziwym ekwilibrystą, jeśli chodzi o kulinarne smakołyki.

— Przykro mi, ale muszę ściągnąć cię na ziemię, Ikarze. Jak na razie znasz jedynie podstawy robienia najzwyklejszego, prostego jedzenia.

— Droga Bogini Losu, Jessika nie wykazuje takiego entuzjazmu jak powinna. Czy nie mogłabyś machnąć swoją magiczną różdżką i sprawić, żeby bardziej się zainteresowała?

— Jeśli w tym samym czasie będziesz się uganiał za Alexandrą, to raczej nie masz szans!

— Co? Myślałem, że to najskuteczniejszy sposób, jak się pokaże, że ma się powodzenie. Alexandra jest zainteresowana. I jest pioruńsko zgrabna, ale i tak cały czas myślę o Jessice. Więc twoim zdaniem jej zależy na swego rodzaju wyłączności, tak?

— A ty nie chciałbyś mieć prawa wyłączności, gdybyśmy byli razem?

— Nie mogę się nadziwić, jak on może tak nic nie rozumieć. — Dojrzałeś już do prawdziwego związku czy nie?

— To znaczy, żeby być z kimś razem? — Zastanawia się przez dłuższą chwilę, tak długą, że w końcu uznaje, iż moje pytanie zostało jedynie zapisane i zarchiwizowane w zasobach jego mózgu. — Nie sędzę.

-
1. Jadany tylko na Gotlandii chlebek przypominający pieróg nadziewany smażonym mięsem i smażoną cebulą. [\[wróć\]](#)

GRUPA PIĄTKOWA SIĘ SPOTYKA

Jest niedziela wieczór. Siedzimy wszyscy razem wokół dużego stołu w sali konferencyjnej Radia Gute. Za panoramicznym oknem kłębią się chmury. Deszcz wisi w powietrzu, ale wciąż nie pada. Atmosfera jest ciężka. Obecni to Gunnar, który jest samozwańczym przewodniczącym zebrania, Lovisa z urzędu skarbowego, Rut z policji (w swój wolny dzień), Jessika, Ricky i ja razem z czwórką innych osób też okradzionych ze swoich domów. To trzy kobiety i jeden mężczyzna. Celem naszego spotkania jest w najlepszym razie znalezienie wspólnego mianownika. Po formalnym otwarciu pierwsza wstaje Tove i mówi:

— Jestem tak cholernie wściekła — zaczyna. Potem siada z powrotem, usiłuje się uspokoić i zrywa się znowu, jakby poparzyła sobie siedzenie. — Pomyliłam się. Oskar Brodin, o którym mówiłam, ten wysoki, ciemnowłosy, jest niewinny. Zdradził swoją żonę, kiedy była w Tajlandii z przyjaciółką. Ale w rozumieniu prawa skok w bok, a potem zmycie się to nie jest żadne przestępstwo. On nie zakosił mi domu. Ten człowiek jest biedny jak mysz kościelna i jeździ taksówką. Te eleganckie wozy, którymi się pysznił, są własnością jego brata, który ma firmę samochodową. Właśnie spotkałam Oskara, kiedy jechałam tu taksówką. Rozmówiliśmy się. To ktoś inny musiał podprowadzić mi dom. — Tove siada znowu. — Jakiś inny idiota — dodaje jeszcze.

Myślę tak intensywnie, że aż trzeszczy mi w głowie. Gdyby Tove nie wspomniała o wysokim ciemnowłosym mężczyźnie, nigdy nie rzuciłabym podejrzenia na Magnusa. Ale przecież nie ma pewności, że Sindbad wie

wszystko o swoim szoferze. Muszę jeszcze pokazać jego zdjęcie Mickemu z nożem i jego flamie. Nie chcę podejrzewać Magnusa, ale ta myśl sama snuje się dalej. Nie chcę być oszukana.

— Wszystkie transakcje dotyczące waszych domów odbywały się za pośrednictwem konta Stevena Nilssona. — Jessika otwiera swojego laptopa i się loguje. — Sposób postępowania jest we wszystkich przypadkach identyczny. Na umowach widnieje jego podpis. Wynika z nich, że on odkupił od was wasze domy. Następnie, zgodnie z wpisem do rejestru, sprzedał je dalej i dostał zaliczkę. Transakcje dokonywane były przez Internet, nie w banku. Zaliczki przelewano na konto Stevena. Dlatego myślę, że to jest jeden i ten sam oszust. — Jessika przekazuje głos Rut.

— Z tego nowo otwartego konta wypłacano Stevenowi w gotówce od 50 000 do 150 000 koron dziennie, oprócz tego kupił sobie cztery telewizory, telefony komórkowe, iPady, iPody i tak dalej. Nic z tych rzeczy nie znaleziono w posiadaniu Stevena po jego zniknięciu.

— On był bezdomny, więc nie ma gdzie tego szukać — odzywa się znowu Jessika. — Oszust wziął potem kredyty pod zastaw domów. I to jest ten wspólny mianownik. Wasze domy są obiektami godnymi pożądania.

— To znaczy, że wy wszyscy musieliście natknąć się na kogoś, kto wiedział, że są pieniądze do wyciągnięcia — dopowiada Gunnar.

— Kiedy dotarło do mnie, że zostałem wykantowany... Chyba nawet po śmierci żony tak nie płakałem — mówi Karl-Erik. — To jest po prostu jeden wielki koszmar, którego końca nie widać. Do mojego domu wprowadziła się rodzina z małymi dziećmi. Mieszkają u mnie, pichcą kaszki, zmieniają pieluchy. Dzieci płaczą. *Mama Mu* leci na okrągło przez całą dobę. Nie mam serca ich wyrzucić, bo oni nie mieliby gdzie się podziać. Zostali tak samo oszukani jak ja.

— A ja dzielę dom z dwiema starszymi paniami, które po latach

postanowiły wrócić na wyspę — odzywa się Sara, jedna z trzech kobiet. — Co rano wstają już o piątej i robią rumor w kuchni, poza tym wieszają swoje nylonowe pończochy na kaloryferze. Położyły wykładzinę ze sztucznej trawy na balkonie, a w wiadrze w łazience moczą się ich łososioworóżowe majtki. Poza tym grają na akordeonie! Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam.

Jeśli wszyscy będziemy mówić o naszych mękach, zajmie nam to cały wieczór, myślę i trzymam buzię na kłódkę, chociaż gdybym opowiedziała im o pomysłach Ludviga, pobiłabym ich wszystkich na głowę.

— Następna ważna rzecz: dla bezpieczeństwa musicie zablokować wasze dane osobowe — ciągnie dalej Jessika. — Dlatego rozmawiałam w banku z człowiekiem, który będzie waszą osobą kontaktową. To Martin Hägg. Pomoże wam, jak tylko będzie mógł. Tyle że to wszystko wymaga czasu. Starajcie się odraczać wszelkie płatności w trakcie trwania dochodzenia.

— Ale jak? — pyta Tove. Wygląda na to, że zaraz się rozplacze.

Lovisa, która do tej pory milczała, wyjaśnia:

— Trzeba skontaktować się z każdą firmą, która przysyła rachunek, wyjaśnić, jak się sprawy mają, i poprosić o przedłużenie terminu płatności.

— Ten, kto przejął wasze domy, zna wasze numery ewidencyjne, numery nieruchomości w rejestrze, numery konta i wie o was całkiem sporo. Ten ktoś podrobił też klucze do waszych domów i posłał je potem nowym nabywcom. Zastanówcie się, kto miał dostęp do waszych kluczy w ciągu ostatnich lat. Ślusarze, elektrycy czy inni rzemieślnicy, zróbcie listę, żebyśmy mogli się przekonać, czy da się znaleźć jakiś wspólny mianownik. — Jessika jest gotowa zacząć notować w komputerze.

— Są osoby, które widziały tego naciągacza, tak jak przed chwilą powiedziała Tove — dopowiadam. — Kumple Stevena parę razy zauważyli wysokiego ciemnowłosego faceta, który rozmawiał z nim, i ten sam gość dał mu reklamówkę z wódką tego dnia, kiedy Steven umarł.

— Tak — mówi Jessica, notując. — Jak powiedziałam, transakcje odbywały się przez Internet, a nie fizycznie w banku. Żaden z kupujących nie widział na żywo mężczyzny, który podawał się za Stevena, poza Ludvigiem Jönssonem, a on też opisuje go tak samo — wysoki, ciemnowłosy.

Aż do tej pory nie przyszło mi do głowy, żeby zdjęcie Magnusa pokazać Ludvigowi. Widocznie moja podświadomość przeciwstawiała się temu. Jeśli Micke z nożem nic mi nie powie, będę jednak zmuszona to zrobić.

W sali podnosi się ponury szmer, nikt jednak nie ma żadnych konkretnych propozycji. Gunnar robi z każdym z nas po kolei krótkie wywiady, które potem wykorzysta w obszerniejszym reportażu. Zauważam, że co jakiś czas, kiedy mówi coś naprawdę istotnego, zezuje na Lovisę, żeby uzyskać jej aprobatę, a ona za każdym razem się do niego uśmiecha. Kiedy spotkanie dobiega końca i wszyscy się rozchodzimy, ona ściska go przelotnie, a on odpowiada jej na to w swój nieporadny sposób. Nie jest nawykły do kontaktu cielesnego. Domyślam się, że poprzedni wieczór, kiedy Lovisa została zaproszona do Gunnara, był interesujący. Może odważyli się trzymać ręce. Albo przynajmniej zgodnie uśmiechać do siebie nawzajem.

ZAPRZĄTNIĘTA MYŚLAMI idę w stronę miasta, żeby znaleźć Mickego z nożem i Bebbę. Zdjęcie Magnusa, które zamierzam im pokazać, mam w komórce. Otwieram je i patrzę na jego twarz już chyba po raz setny. Za każdym razem, kiedy widzę to zdjęcie, przeszywa mnie dreszcz. Zakochanie to obłąd. Nie mam żadnej odtrutki — wpadłam po uszy. Minęły dwie doby i jedenaście godzin od pobytu na Gotska Sandön, gdzie Magnus wyznał mi miłość. Muszę się upewnić, czy to na serio. Muszę się z nim zobaczyć, inaczej umrę z tęsknoty.

Idę w kierunku Öster Centrum. Micke z nożem był kiedyś chirurgiem, ale za dużo bywało przyjęć, na których lał się alkohol, a potem zdarzyła się jedna czy druga pomyłka przy stole operacyjnym i zgodnie z powszechnym

oczekiwaniem zakończył karierę. Bebba była szefem finansowym i stoczyła się w bagno tequili. Odnaleźli miłość na ławeczce gawędziarzy w galerii, na której mają zwyczaj przesiadywać emeryci. Zrobili to zupełnie sami, bez mojej pomocy.

Natrafiam na nich przy budce z hamburgerami za Bramą Wschodnią. Skuleni pod kurtką Mickego dzielą się jedną gorącą kiełbaską i dwoma kawałkami chleba.

— Kocham swojego faceta, przystojny jest, prawda! To najpiękniejszy mężczyzna, jakiego spotkałam, i jest tylko mój. Jestem taka szczęśliwa — mówi Bebba i całuje go w łysinę.

Micke uśmiecha się dumnie.

— Dzisiaj świętujemy nasze pięciolecie.

— Gratulacje! — Pokazuję im zdjęcie Magnusa Jakobssona, które mam w telefonie. Bebba wyjmuje swoje okulary. Jeden z zauszników jest w dwóch miejscach skleiony taśmą.

— Nie — mówi. — To nie on.

Czuję tak wielką ulgę, że ściskam ich oboje naraz, a oni dają się zarazić moją radością i wszyscy razem śmiejemy się głośno. Micke z nożem siada z powrotem.

— Facet, którego szukasz, był ubrany w ciemny garnitur, jak taki prawdziwy ponury korpoludek. Najwyraźniej umiał się poruszać w tym świecie... tyle że... jedna rzecz była w nim nietypowa — nosił skarpetki w czerwone paski. Nawet zdziwiliśmy się z Bebbą i mówiliśmy o tych jego kolorowych skarpetach. Prawda, kochanie, że o tym rozmawialiśmy?

Nagle wszystko staje się jasne!

— Dzięki! — Macham do nich na pożegnanie i odwracam się na pięcie. Muszę złapać Jessikę. Wybieram jej numer i odczekuję parę sygnałów, dopóki się nie zgłasza.

— Musimy się włamać do zakładu pogrzebowego Dubbego.

— Musimy? — Jessika wydaje się sceptyczna.

— O północy. Tylko najpierw zrobię małe rozeznanie.

— Chyba są inne bardziej interesujące miejsca do włamania się niż zakład pogrzebowy? Czy to naprawdę jest warte zachodu?

— Bez dwóch zdań. Ja nie żartuję. Tylko Julius Dubbe nosi czerwone skarpetki do czarnego garnituru.

— Nie ogarniam, ale zaraz będę — odpowiada Jessika.

WŁAMANIE DO ZAKŁADU POGRZEBOWEGO

Siedzę przy oknie w kuchni, popijam herbatę i patrzę na brudnoróżowy zmierzch, który stopniowo zamienia się w rozmytą chmurę ponad dachem sąsiedniego domu, gdzie ogrzewany drewnem piec wysyła ku niebu dymne znaki.

Przypominam sobie test dojrzałości szkolnej, na którym, żeby nie oblać, trzeba było narysować dym i flagę zwrócone w tę samą stronę. Próbowałam iść do szkoły rok wcześniej, jak moja najlepsza koleżanka, ale nie zostałam dopuszczona. Ciekawe co ona teraz porabia? Tylu fajnych przyjaciół straciłam po drodze. Myślę o tym, co Sindbad powiedział o życiu — trzeba mniej pracować, a mieć więcej czasu dla przyjaciół. Co prawda w mojej pracy zyskuje się przyjaciół. A moja praca to moje życie, nie chcę robić nic innego. Jedyne, czego mi brakuje, to miłość.

Patrzę na zdjęcie Magnusa i nagle pragnę, by móc podejrzeć przez dziurkę przyszłość. Czy będziesz za rok w moim życiu?

Sindbad mówił, że partnerka Magnusa grozi mu samobójstwem, jeśli od niej odejdzie. A jeśli Sindbad się myli. Jeśli ona rzeczywiście to zrobi. Czy potrafilibyśmy żyć z taką winą?

Nie, nie, muszę być odważna i mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze, chociaż nie jestem spokojna. Przymykam oczy i próbuję sobie wyobrazić, że przykładam swój policzek do jego policzka. Wodzę palcem po swoich wargach, czuję ich zarys, to samo zrobił on, zanim mnie pocałował. Wariuję od tego, że nie wiem, czy on nadal jest z nią, czy ją zostawił. Gdyby

skończył, to powinien być tutaj. Jeśli się pogodzili, to może właśnie teraz się kochają. Zadręczam się tą myślą. Nasuwają się obrazy, niedozwolone i brzydkie.

Komórka brzęczy na blacie stołu.

— Masz zamiar mnie wpuścić czy mam się wdrzeć siłą? — W głosie Jessiki słyszę śmiech. Nie dotarło do niej, że mówiłam śmiertelnie poważnie.

— Już otwieram.

Ma czapkę naciągniętą głęboko na uszy. Kołnierz kurtki postawiła wysoko, więc widać jedynie oczy. Jest dokładnie dwunasta. Przyszła punktualnie.

— Możesz mi powiedzieć, co miałybyśmy robić w tym zakładzie pogrzebowym? — Wpycha swoje długie włosy pod czapkę, po czym patrzy mi prosto w oczy w sposób kompletnie nieprzypominający tamtych spłoszonych spojrzeń, jakie rzucała, gdy zobaczyłyśmy się po raz pierwszy w bibliotece.

— Ten naciągacz nosi skarpetki w czerwone paski.

— Jak miło. Zostaję zawezwana w środku nocy i pedałużę na rowerze przez całe miasto w gównianą pogodę, żeby dowiedzieć się czegoś takiego. Wielkie dzięki, mądra przewodniczko życiowa!

Wkładam sobie pod wargę nową prymkę snusu.

— Jessika, ja mówię serio. Jest jeden wspólny mianownik, który łączy tych, co bezprawnie zdobyli domy. Wpadłam na to, kiedy usłyszałam o tych skarpetkach. Mój mąż zmarł siedem lat temu. Tove straciła mamę. Karl-Erik powiedział wczoraj, że jego żona nie żyje. Pozostała dwójka też straciła kogoś bliskiego. Jeszcze nie wiem, czy wszyscy korzystali z tego samego zakładu pogrzebowego co ja, ale to bardzo prawdopodobne. A on był sprytny na tyle, żeby nie uderzać od razu po każdym pogrzebie, tylko wolał trochę odczekać i wziąć wszystko naraz. Julius ma te dane, o których mówiłaś.

Przecież to on robi rejestr przychodów i długów obciążających nieruchomości zmarłego i wycenia spadek po nim, miał też dostęp do zapasowych kluczy, kiedy trzeba było dokonać wyceny. Nie brakowało mu możliwości, żeby dorobić sobie każdy z nich.

— Faktycznie, reszta oszukanych też straciła kogoś bliskiego. A ponieważ wolisz nie pytać ich wprost, z usług którego zakładu pogrzebowego korzystali, by nie rozdrapywać zabliznionych ran, chcesz, żebyśmy się tam włamały i same poszukały dowodów, tak? Dobrze zrozumiałam?

— Dokładnie o to mi chodzi.

Chmury wciąż wiszą ciężko na niebie, gdy obie jedziemy na rowerach do miasta. Nie widać księżyca, nie widać gwiazd, przez ciemność prowadzi nas zamglone światło ulicznych latarni. Zostawiamy rowery przy kiosku Reno i ostatni kawałek idziemy na piechotę. Zakład pogrzebowy Dubbego leży ukryty w zielonej, gęsto zamieszkaney dzielnicy, gdzie jako dziecko bawiłam się w chowanego. Na podjeździe stoi uwielbiane przez Juliusa volvo PV, a nieco dalej widzimy gotowy w połowie grill, budowany przez niego w wolnych chwilach. Wiadro z narzędziami murarskimi i zaprawą zostawił niedbale obok sterty cegieł.

— Jak dostać się do środka? — Przyglądam się uważnie wejściu. — Są jakieś drzwi od tyłu?

— Okno. — Jessika zsuwa z ramion plecak, do którego włożyła wszystko, co może się nam przydać. Nóż do cięcia szyb i przepychaczkę do rur, jakiej używają hydraulicy, kiedy zapcha się zlew. — Musimy być profesjonalne. Sprawdziłam w Internecie. Tę przepychaczkę trzeba przyssać do szyby. Ty będziesz trzymała trzonek, ja wytnę szyby tyle, ile trzeba, wyjmujemy ten kawałek, otworzymy okno cicho i elegancko i wejdziemy do środka.

— Sprytne — mówię.

W trakcie jej wykładu przechodzimy na tył domu, który ma dwie

kondygnacje. Julius Dubbe mieszka na piętrze, a na parterze jest jego firma.

Jessika zatrzymuje się przy tylnych drzwiach.

— Ale jest łatwiejszy sposób. Zamek w drzwiach jest otwierany na kod cyfrowy. Pewnie mogłybyśmy wypróbować Bóg wie ile różnych kombinacji, jednak nie da się też wykluczyć, że system jest połączony z alarmem, dlatego lepiej by było trafić od razu na tę właściwą. Najbardziej popularny kod to 1066 — bitwa pod Hastings. Potem dochodzą cztery ostatnie cyfry z numeru ewidencyjnego. Na Gotlandii te cztery ostatnie zaczynają się od 32XX.

— Naprawdę? — W komórce mam PIN 1066. *Note to self*, powiedziała by Ricky. Muszę go zmienić.

Jessika wyjmuje z kieszeni kurtki niedużą latarkę. Potem pochyla się do przodu i chucha na panel z przyciskami cyfrowego zamka. Następnie kieruje na nie snop światła i uważnie się im przygląda.

— Na czterech przyciskach w ogóle nie powstała warstwa pary, bo te są zaimpregnowane tłuszczem z opuszków palców. Widzisz? Cztery cyfry są bardziej starte od pozostałych, to te niepokryte wilgocią: 4247.

— Cztery ostatnie cyfry jego numeru ewidencyjnego zaczynają się od 32. A potem?

— Dziewczyny dostają liczby parzyste, faceci nieparzyste. I to ma być ostatnia cyfra w numerze ewidencyjnym. Mamy do wyboru 4 i 7. Julius ma nieparzystą. Czyli cały kod powinien wyglądać tak: 3247.

— Zdolna jesteś.

— To przecież proste. — Jessika wstukuje szereg cyfr, po czym słychać kliknięcie potwierdzające jej teorię.

Przechodzimy przez szatnię, mijamy toaletę i wkraczamy do biura.

— Co dokładnie chcesz zrobić? — pyta Jessika.

Nie zastanawiałam się nad tym specjalnie. Wyobraziłam sobie, że wejdziemy i nakryjemy go z opuszczonymi spodniami. Tadaam! Jednak

okazuje się, że to nie takie proste. Dlatego zaczynam improwizować.

— Trzeba znaleźć dowody. Cicho! Coś słyszałam.

Rozglądam się za jakąś kryjówką, w razie gdyby nagle zapaliło się światło. Ale nic takiego nie widzę.

Jessika wskazuje na miejsce w głębi, gdzie przechowywane są trumny. Ruszam za nią. Z piętra dochodzi skrzypnięcie drzwi, odgłos sikania, a potem długi ciąg niemal muzykalnie brzmiących popierdywań i znowu skrzypnięcie drzwi.

— Nie myje rąk po sikaniu. A wyobrażasz sobie, ilu on klientom w ciągu roku ściska dłonie? — szepczę. — W moim zawodzie rzadko się podaje ręce, ale przy jego pracy — bez przerwy. Może należałoby zawiadomić sanepid. Trzeba by też zdezynfekować przyciski przy zamku cyfrowym...

— Akurat w tej chwili to nie jest nasz największy problem — odpowiada szeptem Jessika przez ramię, a ja słyszę to samo, co i ona. Kroki na schodach słychać coraz niżej, ja zaś się zastanawiam, czy Julius jedynie żartował, kiedy mówił, że był instrumentariuszem w szpitalu i robił się zawsze głodny, kiedy widział ładne świeże mięso.

Przy schodach zapala się lampa, która rzuca bezlitosny snop światła w stronę biura, w którym obie stoimy przyciśnięte do ściany. Jessika pochyla się do przodu, usiłując uciec przed światłem. Rozbłyśka kolejna lampa. Nie mamy wyboru — musimy wślizgnąć się w ciemność między trumny. Kroki są coraz bliżej.

— Szybko! — Jessika unosi wieko trumny stojącej najbliżej drzwi. Wpełzam do środka. Moje ciało ogarnia bardzo dziwne uczucie, gdy pokrywa nade mną się opuszcza. Kiedy byłam tu ostatnio, siedem lat temu, wybierałam trumnę dla Joakima. Choć byłam bardzo przybita, żartowałam z Juliusem, że drewniana jesionka jest odrobinę elegantsza od czarnego garnituru, który był strojem służbowym Joakima. W walce przeciw śmierci

— która jest wszechpotężnym przeciwnikiem, a wynik tej walki jest w stu procentach przewidywalny — nie ma się nic do stracenia i można być bezwzględny.

W nieprzeniknionej ciemności moszczę się wygodnie na dnie trumny. To jest miejsce, w którym można by przetestować *mindfulness*. Bo na *kindfulness* jest w niej zbyt za samotnie, przydałoby się też znać choć trochę strategię copingu. Kiedyś napisałam wierszyk o listach przypominajkach. O ile pamiętam, kończył się jakoś tak: „Długą list kolumnę kończy zamknięcie w trumnę”.

Moja skrzynia jest wyściełana, niemal wyłożona materacem, co tłumi wszelkie odgłosy z zewnątrz. Prawdopodobnie jest tak szczelna, że oddychając przez cały czas tym samym powietrzem, można się wreszcie zatruć dwutlenkiem węgla. Oczywiście nikt nie wykonał takich pomiarów. Trumna nie jest przeznaczona dla żywych. Gdyby tak było, powinna by znajdować się na niej ostrzegająca informacja: „Powstrzymać się przed oddychaniem w trumnie”.

Każdy dzień przybliża nas do śmierci. Może to nie takie głupie, żeby trochę poćwiczyć przed niechronnym końcem, przebiega mi jeszcze przez głowę, zanim słyszę odgłos zbliżających się kroków. Ludzie przygotowują się do ślubów, do porodów i do innych wielkich wydarzeń życiowych. Co złego byłoby w próbnym przymierzeniu się do trumny? Wypróbowanie asortymentu jeszcze przed tym ważnym dniem i zarezerwowanie odpowiedniego modelu stanowiłoby potem duże ułatwienie dla rodziny. Nie chcę mieć najtańszej trumny i zdecydowanie nie chcę być skremowana. Chciałabym zostać znaleziona w wykopaliskach za pięćset lat. W najlepszym razie zachowają się moje włosy i dzięki nim potomni będą mogli ustalić, czy nie zostałam otruta arsenikiem. Byłoby mi miło, gdyby jakiś archeolog zanotował, że miałam bujne i piękne włosy. Już poinstruowałam moje siostry

w tej kwestii.

Zastanawiam się, kto przyjdzie na mój pogrzeb i kto wygłosi mowę? Straszna szkoda, że za życia człowiek nie ma możliwości wysłuchać tych wszystkich pięknych słów, jakie mówią o nim nad grobem, myślę, czując jednocześnie, że jestem coraz bardziej śnięta z powodu braku tlenu w tym szczelnym zamknięciu.

Rut stanie z lokówką w dłoni i powie: Angeliko Lagermark, ty uratowałaś mi życie! I wszystkie pary, które doprowadziłam do ołtarza, będą wznosić toasty na moją cześć, dziękować mi i żegnać się przed moją ostatnią drogą. To byłby taki pogrzeb w nowoorleańskim stylu, jaki widziałam na jakimś starym filmie o Bondzie. Oni tam idą kilometrami za trumną, grają jazz na trąbkach, kołyszają biodrami i wymachują rękami. Pięknie by było.

A Magnus... mój ukochany Arsène Lupin... opłakiwałby mnie przez resztę swego śmiesznego życia w nudnym podmiejskim mieszkanku z kapiącymi kranami, wydzierającymi się sąsiadami i zapleśniałymi zasłonami, podczas gdy jego dramatycznie jurna żona leży niedysponowana na kanapie i krzyczy do niego, żeby wyniósł śmieci, bo nazbierała się ich cała góra z cuchnących resztek jedzenia, w których buszują wielkie jak koty zabójcze szczury. Szczury, których jest coraz więcej i które roznoszą zarazę i śmierć z kloak przez system rur kanalizacyjnych i pchają się do domu, żeby gryźć ich podczas snu. Z goryczą będzie myśleć o szczęściu, które nigdy nie stało się udziałem nas dwojga, i będzie żałował, że nie dał znaku życia przez dwie doby i szesnaście godzin, jeśli teraz umrę tu zaraz z uduszenia. Co oszczędzi jednak moim siostrom mnóstwa kłopotów, ponieważ spoczywam już jak się należy w trumnie, myślę sobie i lekko uchylam wieko swojego sarkofagu, i widzę tuż przed sobą męskie gatki w czerwono-fioletowe paski i lufę pistoletu.

OSTATNIE POZDROWIENIE

Dostępność broni w Szwecji nie jest tak duża, jak widzi się to w filmach amerykańskich. Kiedy wgapiam się w otwór lufy pistoletu, wcale nie ogarnia mnie przerażenie. Chce mi się tylko śmiać. Co oczywiście może wynikać z tego, że broń traci na straszności na tle tych bajecznie kolorowych gatek, a także z tego, że stoi przede mną nikt inny, tylko Julius w swej białej, przelewającej się cielesnej powłoce. Wieko mojej trumny unosi się gwałtownie i do jej wnętrza wlewa się światło.

— Angelika! Co, do stu diabłów, tutaj robisz? Usłyszałem hałas i myślałem, że to jakiś włamywacz.

Julius wybucha gromkim, gdakliwym śmiechem, nie okazując najmniejszych przejawów gościnności. Nie cieszy się, że mnie widzi. Co prawda ja też nie jestem specjalnie zadowolona z jego widoku, cholera wie, co oboje teraz wymyślimy. Ciekawa jestem, czy on zaprasza na kawę nieproszonych gości?

— Pomyślałam sobie, że do ciebie wpadnę — mówię zakłopotana, bo nic mądrzejszego nie przychodzi mi do głowy. Powietrze w trumnie zdecydowanie nie sprzyja procesom myślowym.

Julius podaje mi rękę i pomaga wstać. Czuję się równie zwinna jak ciężarny czołg.

— Dlaczego jesteś tutaj? O co ci chodzi?

— O nic. Akurat przechodziłam i pomyślałam sobie, że powinnam zobaczyć, jak mieszkasz. — Próbuję ze wszystkich sił wyglądać na wstawioną, ale nie mam zielonego pojęcia, czy mi się udaje.

— Jak się tu dostałaś? — Jego twarz jest tak blisko mojej, że czuję jego oddech. Podejrzewam, że jadł kanapkę z tuńczykiem.

— Było otwarte. Więc weszłam, a potem poczułam się zmęczona i więcej nie pamiętam. Chyba padłam. — Ziewam przeraźliwie, czemu raczej trudno się dziwić. W końcu jest po północy i rzeczywiście jestem wykończona.

— Gdybyś to nie była ty, zadzwoniłbym po policję. Widzę, że masz poważny problem z alkoholem, Angeliko. Musisz coś z tym zrobić.

Rechoczę, patrząc na jego pasiaste gatki i równie pasiaste skarpety. To pewnie przez ten dwutlenek węgla w trumnie czuję się teraz lekko podcięta.

Julius zamawia mi taksówkę. Kiedy mówi przez telefon, zerkam w stronę Jessiki, która siedzi skulona pod biurkiem. Widocznie nie zdążyła ukryć się w trumnie po tym, jak pomogła mi zamknąć wieko. Szepcze tak cicho, że ledwie ją słyszę.

— Zostanę tutaj. Czuwaj na zewnątrz, żebyś była gotowa interweniować, w razie gdyby mnie odkrył.

Julius prowadzi mnie pod rękę do frontowej części domu. Sytuacja jest tak absurdalna, że nie mogę przestać chichotać, dopóki nie dostrzegam, kto siedzi w taksówce, która po mnie przyjechała.

— Ona jest pijana i raczej będzie potrzebowała pomocy, żeby dojść do samego domu — informuje Julius, a ja czuję, że kręci mi się w głowie. To Magnus.

— Zajmę się tym. — Jego twarz jest nieporuszona. Stoi w białej koszuli bohatera i czarnych dżinsach obok swojej błyszczącej taksówki. Robi mi się ciemno przed oczami, kiedy uzmysławiam sobie, na co to może wyglądać — wychodzę na gazie od przedsiębiorcy pogrzebowego po północy. Zdaje się, że nie obejdzie się bez wyjaśnień.

— Siemanko — bełkoczę, po czym zataczam się do taksówki i opadam ciężko na przednie siedzenie pasażera.

— Udał się wieczór? — Magnus wygląda, mówiąc delikatnie, na strapionego, kiedy zerkam na niego z boku. Trudno nie zauważyć ironii.

— Objedź wokoło dom — mówię i chwytam go za rękę, kiedy próbuje zmienić bieg na wyższy. — Stań tutaj.

Zatrzymuje samochód, a ja próbuję najlepiej, jak potrafię, wyjaśnić te nocne ćwiczenia. Strasznie jednak się płaczę, ponieważ boję się, że on mi nie wierzy.

— Zobacz, możesz sprawdzić, z zamkniętymi oczami połączę oba palce wskazujące. Jestem trzeźwa.

— Trudno się domyślić.

— A ty jeździsz taksówką. Myślałam, że jesteś ślusarzem albo recydywistą. Jak udało ci się otworzyć drzwi u Ricky’ego, tak po prostu, bez niczego?

— Miałem zapasowy klucz.

— Co? — Nic nie rozumiem albo rozumiem, ale bardzo powoli. — Jakim cudem mogłeś mieć zapasowy klucz do mieszkania Ricky’ego?

— Ricky to mój młodszy brat.

— Co? — Nie wierzę, że to prawda. Jak to możliwe, żeby Magnus był starszym bratem Ricky’ego? — Mówisz poważnie? Dlaczego nic nie powiedziałeś? Ile wie Ricky?

— Nic. Kiedy moja partnerka zagroziła, że odbierze sobie życie, starałem się mówić mu jak najmniej, bo on nie umie trzymać języka za zębami. Nie opowiedziałem mu, co ja... co my... no wiesz. I dlatego nie mogłem też nic powiedzieć, kiedy byliśmy w jego mieszkaniu.

Spogląda na mnie. Unosi mój podbródek, jakby chciał mnie pocałować, ale ja nie zamykam oczu. Gapię się na niego, a serce o mało nie wyskoczy mi z piersi, bo za dużo tego wszystkiego, zdecydowanie za dużo.

— Co to... dla ciebie znaczy? — pytam, a jego twarz jest teraz tak blisko

mojej, że patrzę zezem.

— Kocham cię, Angeliko Lagermark.

— Ja też ciebie kocham.

Jest to szczerą prawdą, mimo wszystko dziwnie się czuję, wypowiadając te słowa do kogoś innego niż Joakim. Lekkie poczucie zdrady. Magnus całuje mnie, a potem cofa się trochę, żeby spojrzeć mi w oczy.

— Odszedłem od niej. To było trudne. Potwornie trudne. Nie zniosła tego zbyt dobrze.

— Sindbad mówił mi, że groziła samobójstwem, jeśli ją zostawisz.

— Widzę desperację w jego oczach. Potem nabiera głęboko powietrza i powoli dodaje:

— Kiedy pielęgniarka na oddziale ratunkowym zmyła czerwony tusz z jej nadgarstków, nie wyglądało to już tak groźnie.

— To chore.

— Gdyby była zdrowa, odszedłbym już dawno. Uważałem, że ponoszę za nią odpowiedzialność. Ze względu na nią sprzedałem swoją firmę taksówkową i przenieśliśmy się z powrotem na wyspę, ponieważ ona pokłóciła się ze wszystkimi naszymi znajomymi. Myślałem, że będzie lepiej, jeśli zamieszkamy tutaj, gdzie życie jest spokojniejsze. Mieszkamy w Hemse.

— To dlatego pracujesz dla Sindbada.

— Wożę Simona Bogrena przy specjalnych okazjach.

Po raz kolejny słyszę, jak wykrzykuję pełne przerażenia „Co?”.

— Sindbad to Simon Bogren? — Nic nie pojmuję. — Magnat finansowy Simon Bogren, ten, który chce zbudować tunel pod morzem? Zwariowałaś?

— Myślałem, że wiesz. Chociaż ta historia z tunelem to tylko taki błąd, żeby zwrócić uwagę mediów na komunikację promową na wyspę. Sprawiedliwość ma tendencję do bycia bardziej sprawiedliwą w świetle mediów, powtarza często Simon. Dotyczy to też krajowej infrastruktury.

— W gazetach nigdy nie ma jego zdjęć.

— On woli nie rzucać się w oczy. Jak się jest tak bardzo bogatym, trudno odróżnić prawdziwych przyjaciół od nieprawdziwych. Za to bardzo sobie ceni wasze nocne rozmowy.

Gdy Magnus odwraca się do mnie, w jego oczach pojawia się śmiech, a wokół ust daje się dostrzec drobne drgnięcia.

— W co tym razem jestem wplątany? W kolejne włamanie?

— W środku została Jessika. Szuka dowodów na to, że Julius Dubbe jest przestępcą. — Wyjaśniam mu od nowa, tym razem już trochę spokojniej, bo widzę, że mnie słucha.

— Rozmawialiście z policją?

— Oczywiście. Ale policyjni dochodzeniowcy mają regulowany czas pracy i wyjaśnienie wszystkiego zajmie im wieczność. A w banku tym bardziej nie pracują po nocach. Jest jeszcze izba komornicza, kasa ubezpieczeniowa i urząd ewidencji nieruchomości, gdzie też nie rekomenduje się nocnych działań w szczególnie dużym zakresie.

— A tobie weszło w nawyk włamywanie się do ludzi, żeby coś się działo?

— Jego uśmiech jest coraz szerszy. Równe białe zęby połyskują w ciemności. Nie dociera do niego, jak bardzo poważna jest sytuacja.

— Mój dom jest teraz własnością jakiegoś pokręconego bibliotekarza z długami i istnieje poważne niebezpieczeństwo, że nieruchomość zostanie zajęta przez komornika. Dom jest zabezpieczeniem kredytu, który wzięłam na salon, i w tej sytuacji kredyt by przepadł, a ja musiałabym sprzedać salon. Zanim policja zdąży znaleźć winnego, moje życie zawali się jak domek z kart.

— I według ciebie jest nim Julius Dubbe? — W jego głosie słyszę powątpiewanie.

— Tak sędzę. Po śmierci mojego męża Julius robił wycenę domu i miał

dostęp do wszystkich informacji na temat moich zasobów, numeru w rejestrze nieruchomości i wysokości kredytu. Wiedział wszystko. Dałam mu nawet klucz do domu, żeby mógł dokonać wyceny przed podziałem spadku między mnie a moje siostry.

„Pilne zgłoszenie z Endre. Kobieta rodzi. Magnus, możesz je wziąć? Masz wprawę, cha, cha”. Słysząc trzaski w radiotelefonie, ale wszystko słyszę. A więc Ricky mówił prawdę, że Magnus pomógł wtedy przyjść dziecku na świat.

— Okej — rzucam. — Same damy sobie radę.

— Bądź ostrożna.

To, co miało być przelotnym całusem na do widzenia, zamienia się w długi pocałunek, który przerywa dopiero nagle pukanie w szybę. To Jessika. Mam wyrzuty sumienia wobec tamtej rodzącej kobiety.

— Kiedy zobaczymy się znowu? — pyta Magnus.

— Wkrótce! Jedź już!

Posyłam jeszcze pocałunek za oddalającą się taksówką i odwracam się ku Jessice, która z triumfalną miną trzyma w dłoni pamięć USB.

— To ty siedzisz sobie w samochodzie i się obściskujesz, podczas gdy ja narażam życie. — Patrzy na mnie surowo.

— Znalazłaś coś?

— Tak, teraz już się nam nie wywinie. Znalazłam dowody na przejęcia domów. Starannie zarchiwizowane. Zobaczysz. Proponuję zadzwonić na policję i poprosić, żeby od razu wkroczyli do akcji. Zgrałam z komputera jego prywatną dokumentację. Anonimowo powiemy im, czego mają szukać. Przecież nie możemy się przyznać, że się włamałyśmy.

— Nie włamałyśmy się — protestuję gwałtownie. — Akurat udało ci się przycisnąć właściwe guziki. To czysty przypadek.

Jestem potwornie wściekła na Juliusa za to, co zrobił ludziom, którzy

zaufali mu w żałobie i smutku.

— A nie lepiej by było, żeby on sam zadzwonił po policję i żeby Radio Gute było przy tym i nadawało na żywo? — proponuję.

— Jak to sobie wyobrażasz? Jak chcesz go zmusić, żeby on zadzwonił na policję?

— Mam plan.

Więzienie to zbyt łagodna kara dla kogoś, kto wyrządził tyle zła. On zabił Stevena. Wykorzystał zaufanie ludzi pogrążonych w bólu po stracie swoich bliskich.

Pod osłoną ciemności wkładam rękawice Juliusa, dosypuję do wiadra więcej zaprawy murarskiej, dolewam wody i mieszam. Potem energicznymi zamaszystymi ruchami rozprowadzam ją kielnią po błyszczącym czerwonym lakierze ukochanego samochodu, dopóki jaskrawy kolor całkiem nie zniknie pod szarą warstwą. Czuję się naprawdę upojnie, kiedy wyobrażam sobie reakcję Juliusa, gdy odkryje ten swój skarb w nowym opakowaniu.

— Do rana zaprawa pięknie zastygnie. I kiedy pan Dubbe wyjdzie po gazetę, przeżyje największy szok w swoim życiu.

— I zadzwoni na policję. — Jessika wygląda na rozbawioną. — Cudny plan. Poza tym pewnie chcesz, żeby Gunnar był też na miejscu z kamerą i mikrofonem i zaczął zadawać pytania? Postaram się skopiować mu dokumentację Juliusa i poproszę go, żeby powołał się na ochronę źródła informacji. Media mają prawo do zachowania w tajemnicy danych swojego informatora.

— A co za dowody znalazłaś?

— Widać, że Julius lubi mieć porządek w papierach. Precyzyjnie zapisywał i sumował środki, które zarobił na przejęciu nieruchomości. W jego komputerze są nawet skany umów. Wszystko rejestrowane w tym samym programie, którego używa do prowadzenia firmowej dokumentacji.

Zresztą identyczny mamy w salonie. Jasny i przejrzysty.

— Ale jak ci się udało wejść do jego komputera?

— To było śmiesznie proste. Hasło miał zapisane na podkładce na biurku: volvo PV 51.

— Dobra robota! — Spadł mi kamień z serca. Jeszcze mnóstwo papierkowej zabawy przede mną, zanim cały ten bałagan zostanie uprzątnięty, ale zachowam dom i salon, a Ludvig odzyska pieniądze, które wyłożył na jego kupno. Ściskam Jessikę tak mocno, że prawie nie może oddychać.

PO NOCNYM WŁAMANIU

Po powrocie do domu siadam do komputera. Nie ma wiadomości od Sindbada. Za to napisał Magnus. Czytam każde słowo raz za razem. Mamy spotkać się w Lindgården we wtorek wieczorem i już nie mogę się doczekać. Myślę tylko o tym, co on mi powiedział i co ja powiedziałam jemu, zanim zaczęliśmy się całować, i zastanawiam się, jak to będzie, kiedy się zobaczymy, i w ogóle nie mogę zasnąć, mimo że jestem śmiertelnie zmęczona.

W poniedziałek rano pod salonem czeka na mnie Gunnar. Wygląda na szczęśliwego. Po raz pierwszy od kiedy go znam, dostrzegam w nim pewien powab. Plecy ma niezgarbione, głowę trzyma wysoko i patrzy mi prosto w oczy, zamiast błędzić wzrokiem naokoło i wciąż uciekać spojrzeniem.

Minionej nocy pojechałyśmy z Jessiką na rowerach do niego, a on z kolei wezwał Lovisę ze skarbówki. Oboje nakręcili się na maksa i nie wyobrażali sobie, że mogłoby ich nie być na miejscu, kiedy Julius zobaczy swój samochód. Dlatego przyczaili się i czekali, aż wyjdzie po poranną gazetę, opowiada Gunnar. Po prostu wymarzona okazja, żeby zadać ukochane pytanie każdego reportera: Co pan teraz czuje?

„Co czuuuję? Zamorduję tego sukinsyna, który wysmarował mi samochód zaprawą!”.

Gunnar śmieje się do rozpuku z imitacji scenki, którą odegrał przede mną.

— Poradziłem mu, żeby zadzwonił na policję. Na swoim komputerze pokazałem Rut zawartość pamięci USB, a ona z miejsca dostała zgodę prokuratora na przeprowadzenie rewizji w domu Juliusa. Mój wywiad

z Juliusem Dubbem będzie nadany w P1. — Gunnar jest tak dumny, że wprost nie wie, co ma ze sobą począć. — A potem Radio Gute zrobi cały cykl audycji o oszustwach i o pracy Grupy Piątkowej.

Gratuluje mu. P1 to według niego jedyny prawdziwy kanał radiowy poza Radiem Gute. Głos rozsądku, prawdy i oświaty, który ma wyciągnąć szwedzki naród z ogłupienia magmą rozrywki.

— A pomyślałeś może o pogłębionym wywiadzie z urzędem skarbowym, żeby uzyskać komentarz do tego proceduru przejmowania domów? — pytam z kiepsko ukrytą intencją.

— Tak, tak, pomyślałem o tym.

Widzę, że się czerwieni jak uczeń i pokrywa jaskrawym rumieńcem aż po uszy.

— Razem z Lovisą postanowiliśmy utrzymać Grupę Piątkową, my dwoje pozostaniemy jej stałymi członkami. Będziemy się spotykać w każdy piątek. Mogą przecież wypłynąć jakieś nowe sprawy. Musimy być przygotowani.

— Świetny pomysł — mówię.

Porządkując salon przed rozpoczęciem dnia, rozmawiam z nim dalej o wydarzeniach ostatniej nocy i poranka. Kiedy zabieram się do nalewania kawy, Gunnar dziękuje i rusza szybko w kierunku Radia Gute. Ja zaś biorę swój kubek i siadam na rynku przy fontannie. Spoglądam na morze i czuję, jak ogarnia mnie zmęczenie. Nie mogłam w ogóle spać w nocy, pijana, szczęśliwa i oszołomiona.

Nagle czuję na twarzy cień. Podnoszę powieki i widzę Ricky'ego. Nie mam pojęcia, czy on już cokolwiek wie o mnie i o Magnusie.

— Ale się naharowałem — mówi z ciężkim westchnięciem i opada na ławkę obok mnie. — Od razu wiedziałem, że ty i mój brat pasujecie do siebie. Narazając własne życie, wypilem całą flaszkę absyntu. Potem twój list z adresem mejlowym wcisnąłem mu praktycznie do ręki — pokazałem mu tę

butelkę, jak pływała w stawie Almedalen. Ale on wszystko schrzanił i dał ją Simonowi Bogrenowi, który akurat siedział przed hotelem na wózku. A potem ty chciałaś wybrać się na randkę z kimś innym, z dziwkarzem najgorszego sortu, więc nie miałem wyboru i przebrałem się za dziewczynę, żeby go zatrzymać. Widzisz, jak ja musiałem się natyrać? Chyba nie ma nikogo, kto lepiej by realizował przesłanie i politykę Salonu d'Amour niż ja. Nie musisz mnie już niczego uczyć. Niczego!

— Magnus mieszka u ciebie? — pytam z ciekawością. — To dlatego musiałeś wysprzątać mieszkanie?

— No właśnie, jeszcze i to. — Ricky rozkłada ramiona w szerokim geście. — Czy ty w ogóle widzisz, ile poświęcenia mnie to kosztowało?

— No widzę, widzę.

Wchodzimy do salonu i zabieramy się do rozplanowania tygodnia. Najtrudniejsze przypadki mamy z głowy — zarówno Gunnar, jak i Jonna, uznani za N5, po pierwszym stryżeniu są w prawdziwych związkach. Julius wylądował w więzieniu. Czyli należy liczyć się z pewną stratą.

— Nie będzie żadnej straty. Kiedy znajdzie się za kratkami, będzie dostawał pełne uwielbienia listy od kobiet, które myślą, że swoją miłością mogą odmienić na lepsze takich niebezpiecznych typów. Moim zdaniem w nim tkwi mały niepoprawny Hannibal Lecter i w każdej chwili można się spodziewać, że on się stamtąd wyrwie — mówi Ricky.

— Czyli idąc twoim tokiem myślenia, mamy go podpuszczać na Irmę, terapeutkę od żałoby? Odpowiadamy za jego rozwój, nawet kiedy siedzi w pudle. Potem mamy Mildred Bofjär, też N5, na którą możemy chyba nasłać jakiegoś starszego pana z apteki. To będzie twoje zadanie. No i jest Lars — zapisałam go jako Z5. Jego matce też przydałby się jakiś obiekt przejściowy. Poza tym jest Regina, która nie znajdzie sobie nikogo, bo Folke zajmuje cały jej czas i energię. Nawiasem mówiąc, mały nocuje dzisiaj

u mnie, żeby ona mogła się wyspać.

— Dasz radę? — pyta Ricky, zaniepokojony i jednocześnie zadowolony. Lubi tego chłopca.

— Regina daje radę przez okrągłą dobę od paru lat. A ja będę go miała tylko przez kilka godzin. Na pewno wszystko będzie dobrze. Dzieciak jest sympatyczny i chce jak najlepiej, tyle że wszystko się chrzani i idzie na opak, zanim on zdąży pomyśleć.

— Ale to nie dzieje się samo, to on do tego doprowadza. Chociaż jest słodki, jednak to jego wina.

— Wypisz, wymaluj ty — jak byłeś mały — odpowiadam i życzliwie szczypię go w policzek.

DZIEŃ WLECZE SIĘ powoli, w miarę jak smuga słonecznego światła wlewająca się przez okno przesuwa się po podłodze, aby w końcu zatrzymać się w kącie przy kasie i rozpląnąć się w cieniu. Jestem taka zmęczona. Może należałoby spróbować skojarzyć Ricky'ego z Reginą, przemyka mi przez myśl, kiedy ona staje w drzwiach, a ja dostrzegam w jego twarzy nieskrywany zachwyt. Regina jest ubrana w ciemnoróżową sukienkę bez rękawów, a jej włosy, które zwykle upina wysoko w kok albo ściąga mocno w koński ogon, dziś opadają swobodnie na ramiona. Usta ma umalowane w odcieniu sukienki.

— Jaka jesteś śliczna!

— Wychodzę do miasta na kolację.

— Interesujące! Musisz mi jutro opowiedzieć.

Biorę Folkego za rękę i ruszam z nim spacerem w stronę domu. Właściwie jest już trochę za duży, żeby trzymać go za rękę, ale dopóki on sam nie ma nic przeciwko temu, tak jest lepiej dla wszystkich postronnych.

Dziś Ricky zamyka salon. Widzę przez ramię, że Regina stoi jeszcze z nim i rozmawia. No, no, może coś się między nimi kroi. Hm. Co prawda on jest

trochę od niej młodszy, ale jeśli tylko faceci osiągną pewien poziom dojrzałości, młodszy wiek nie jest żadną wadą.

Gdy docieramy na Fiskargränd, przy mojej skrzynce pocztowej stoi Tilly z listami do mnie.

— Dzisiaj nic nie przyszło do tego Ludviga.

— To dobrze — odpowiadam i rzucaam parę słów na temat pokazu, podczas gdy Folke płąsa w jakimś mistycznym tańcu dookoła naszych nóg.

— Zdecydowaliśmy się wziąć kabriolet Henry’ego, o ile moja fryzura to wytrzyma. Będziemy jechać powoli Adelsgatan. Jak pewnie wiesz, mercedes to jego oczko w głowie. — Tilly wskazuje w kierunku Generała. Prawdopodobnie właśnie stoi teraz w garażu i pucuje swoje auto.

— Myślałam, że ty jesteś jego oczkiem w głowie.

— Przestań! — Tilly wybucha śmiechem. — To będzie fantastyczne przeżycie i okropnie się denerwuję. Zadzwońiła do mnie jakaś dziennikarka, nazywa się Jonna Bogren, i chce opisać historię naszej miłości. Jak znaleźć swoją połówkę po osiemdziesiątce. Ale mówiąc szczerze, ja nie widzę żadnej różnicy między zakochaniem w wieku osiemdziesięciu lat czy kiedy jest się nastolatkiem. W środku człowiek czuje się tak samo cudownie roztrzęsiony i podniecony.

Rozmawiamy jeszcze przez chwilę o ogródkach i o tym, co trzeba w nich zrobić na wiosnę. Folke zaczyna się nudzić dokładnie tak samo jak wszystkie dzieci, kiedy dorośli rozmawiają z dorosłymi. Gdy w końcu znika w domu, dochodzę do wniosku, że lepiej będzie pójść za nim, i żegnam się z Tilly.

Nie mogę go znaleźć. Szukam i wołam, ale Folkego ani widu, ani słyhu przez długie dziesięć minut, podczas których może się zdarzyć Bóg wie co. Kiedy jestem już gotowa zadzwonić do jego mamy i przyznać się do niepowodzenia w roli opiekunki, on wyłania się nagle, zadowolony i pełen oczekiwania.

— Co będzie do jedzenia?

— *Falukorv*. Będziesz mógł sam ją sobie upiec.

Razem obieramy ziemniaki na purée i stawiamy garnek na kuchni. Kiedy sięgam do lodówki po kielbasę, widzę pustą półkę. Jestem pewna, że kupiłam całe pęto właśnie z myślą o Folkem.

— Nie mam pojęcia, co się z nią mogło stać. Wiesz coś o tym? — mówię i łapię go za ramiona, po czym patrzę mu w oczy.

W tej samej chwili zza ogrodzenia dochodzi rozdzierający wrzask. Pokazuje się purpurowoczerwona facjata Generała, a ja patrząc na niego, obawiam się, żeby nie dostał zawału.

Podchodzę na skraj działki, aby zobaczyć, co się stało, i po sekundzie widzę, gdzie się podziała moja kielbasa. Dwa grube serdelki tkwią zatknięte na wycieraczkach kabrioletu równomiernie poruszających się w powietrzu. Folke musiał w jakiś niewiadomy sposób uruchomić zapłon. Dziękuję Bogu, że nie zdarzyło się nic gorszego.

Kielbaski poruszają się tam i z powrotem. Generał ma obłęd w oczach i rzuca ciężkie, wojskowe przekleństwa. Otaczam Folkego ramieniem i kieruję go w bezpieczne miejsce, przeczuwając, na co się zanosi.

— Możesz mi wyjaśnić, co myślałeś, kiedy to zrobiłeś? — pytam go, patrząc mu w oczy.

— Chcę być wynalazcą, jak będę duży — oznajmia i śmieje się do mnie całą swoją piegowatą buzią. — Wiesz, jaka pyszna jest kielbasa z grilla? A na to coś z przodu maski w samochodzie mówi się przecież grill, no nie? No i są dwa szpikulce. Wpadłem na to całkiem sam!

— My dwoje chyba jesteśmy trochę do siebie podobni, Folke. Czasami dobrze jest myśleć szybko, ale czasami dobrze jest się zastanowić. I teraz właśnie musimy się zastanowić.

— Nie mamy kielbasy i tamten dziadek jest zły. Są dwa problemy

— mówi z ogromną powagą.

— Za parę minut Generał powinien się uspokoić, więc będziemy mogli pójść po naszą kielbasę i wyjaśnić mu, skąd to wszystko. A na razie zrobimy purée.

POD DRZEWKIEM MORWOWYM

Jest wtorkowy ciepły wieczór. Czerwone zachodzące słońce igra nad moim ogródkiem, kiedy otwieram furtkę. Magnus zamówił stolik w Lindgården. Ten sam, przy którym siedziałam, kiedy zobaczył mnie w magiczny wieczór tysiąc lat temu.

Rzeczywiście mam wrażenie, że od tamtej pory minęła cała wieczność, tyle bowiem się zdarzyło. Umówiliśmy się na siódmą, a ja właśnie przed chwilą wróciłam z pracy. Zabrałam po drodze pocztę i siadam teraz przy stole w kuchni, żeby ją przejrzeć, zanim pójdę pod prysznic.

Przez cały dzień nie mogłam się doczekać spotkania z Magnusem. Powinnam czuć się radosna i spokojna, ale w moim ciele dzieje się jakaś rewolucja. Z nerwów burczy mi w brzuchu, bo tyle jest jeszcze niedopowiedzeń. Tyle ważnych spraw jest nierozstrzygniętych. Tyle się waży.

W mózgu znajdują się dwa małe punkty w kształcie migdałów, tak zwane ciała migdałowate, opowiadała mi kiedyś Ulrika. To one odpowiadają za to, że pocą się nam ręce i skacze nam puls, kiedy jesteśmy zakochani. Tam też kryje się uczucie paniki i czyha na odpowiedni moment, żeby się obudzić. W niektórych sytuacjach jest to praktyczne rozwiązanie, w innych — destrukcyjne.

Kiedy człowiek jest zakochany, stoi z pewnością przed najważniejszą decyzją, więc zdenerwowanie jest jak najbardziej uzasadnione. Ale nic nie przemawia za tym, że nasza decyzja będzie lepsza, jeśli będą nam się pocić ręce, puls skoczy do 134, a w ustach zrobi nam się tak sucho, że nie zdołamy

wypowiedzieć ani słowa. To wygląda tak, jakby mózg przeciwstawiał się stanowi zakochania jako czemuś nienaturalnemu i z gruntu obcemu naszemu organizmowi. Istotnie można się rozchorować z miłości.

Według Ulriki psychopata nigdy nie będzie miał podwyższonego pulsu ze zdenerwowania czy z powodu zakochania. Psychopaci z reguły mają niski puls. „Powinnaś zmierzyć mu puls, jakby ci się udało”, poradziła mi, kiedy jej wspomniałam, że się z nim spotykam. Ona nigdy nie przestanie być podejrzliwa. Vera jedynie mi pogratulowała, a potem musiała pędzić do łazienki, bo ciążowe mdłości zaczęły męczyć ją na dobre. Słyszałam chluśnięcie do sedesu, bo nie zdążyła wyłączyć komórki.

Mając z tyłu głowy te mądrości moich sióstr, przygotowuję się do spotkania. Czerwona sukienka w białe cętki, która podobała się Magnusowi, wisi świeżo wyprasowana na drzwiach garderoby. Włączam komputer, podczas gdy włosy schną mi nawinięte na podgrzewane wałki. Przyszedł mejl od Sindbada:

Droga Bogini Losu, dzisiejszego wieczoru wiatr jest łagodny, a słońce czerwone. Do królestwa cieni zawitały kolory. Najpierw niewielki promień o barwie macicy perłowej wślizgnął się przez szparę pod drzwiami, kiedy usłyszałem ten najmniejszy głos. A potem stanęła w wejściu z oczami niczym gwiazdy, a w ślad za nią wniknęły kolory i wypełniły mój pokój.

Kto to był, Sindbadzie?

Helena o najdelikatniejszych dłoniach. Nie jestem już pod opieką Bestii. Ona mnie wyzwoliła i walka o uratowanie mi życia dobiegła końca.

Nie bardzo rozumiem.

Zostałem awansowany i mogę przenieść się na górę. Zawsze pragnąłem się tam znaleźć, aby kres mego życia był spokojny i godny. Helena i jej siostry będą przy mnie, gdy nadejdzie pora, by przekroczyć granicę, i teraz już się nie boję. We wszystkim, co one czynią, jest wielka życzliwość. Skupienie na

chwili, która jest, a nie walka o przyszłość, której dla mnie już nie ma.

Przenosisz się do hospicjum?

Tak, dziecinko — nareszcie. Była tu Bestia i pożegnała się ze mną. Poglaskała mnie po policzku, a ja muszę przyznać, że nie mam wiele uznania dla tego, co zrobiła. Ona chce ratować życie za każdą cenę i czasami nawet się jej udaje. Ja jednak przez cały czas wiedziałem, że moje ciało skazane jest na odejście, że ta walka nie jest moja. Cudownie będzie móc teraz odpocząć.

ROZMAWIAMY JESZCZE CHWILĘ, a na koniec obiecuję, że wkrótce go odwiedzę. Jeśli pozwolono mu przenieść się do hospicjum, to znaczy, że został mu miesiąc życia, najwyżej. Może mniej. Zaciska mi się gardło, ale pocieszam samą siebie, że jest mu teraz dobrze u Heleny o najdelikatniejszych dłoniach i u jej sióstr.

MAGNUS CZEKA NA MNIE przed restauracją. Lampiony w ozdobnych szklanych osłonach wskazują drogę po schodkach do ogródka. Stolik pod morwą jest nakryty białym obrusem i palą się na nim świece. Patrzę w jego iskrzące się oczy i gotuje się we mnie śmiech. Gdy otacza mnie ramieniem i całuje, niepostrzeżenie przesuwam palce na jego nadgarstek i badam puls. Jest równie wysoki jak mój. Ulrika może naciągnąć sobie czarny worek na śmieci na głowę i swoje mroczne psychopatyczne przecucia.

Łagodny wiatr niesie zapach morza, zatapiamy w sobie nawzajem spojrzenia i prawie nie słyszymy, gdy kelner pyta nas, co mamy ochotę zamówić. W oczekiwaniu na stek barani i morwowe parfait pijamy martini z syropem z czarnego bzu.

Jest jedno pytanie, na które muszę uzyskać odpowiedź, ale nie tak łatwo je zadać. Przypuszczam, że Magnus jest ode mnie młodszy. Nie wiem jednak o ile. Ricky ma dwadzieścia pięć lat. Magnus jest jego starszym bratem. Jaka może być między nimi różnica? Ja właśnie skończyłam czterdzieści osiem.

Nie jestem pewna, jakie plany ma Magnus, czego oczekuje od nas. Może chciałby mieć dziecko, a ja już mu go dać nie mogę. Nie mam pojęcia, czy on zdaje sobie z tego sprawę. Jednocześnie trudno rozmawiać o dziecku, skoro wcale nie jest pewne, czy w ogóle będziemy żyć razem. Jeśli nawet miałyby to być gorąca, ale krótka historia, jestem zdecydowana przyjąć tę miłość, jaka mi się trafiła. Jeśli natomiast on chce mieć dzieci, musi iść dalej. Dużo o tym myślałam. Inaczej być nie może.

— O czym tak dumasz, Angeliko? — pyta i lekko uniósłszy mój podbródek, patrzy mi prosto w oczy. Nie mam ucieczki.

— Ile masz lat?

Wybuchła gromkim śmiechem i delikatnie szczypie mnie w policzek.

— „Jeśli tylko faceci osiągną pewien poziom dojrzałości, to młodszy wiek nie jest żadną wadą”. Podobno powiedziałaś tak do któregoś klienta. Wiem to od Ricky’ego.

— Uważam, że nie powinniśmy mieszać w to Ricky’ego. Ile masz lat?

— Trzydzieści cztery i osiągnąłem pewien poziom dojrzałości. A na ile mnie oceniałaś?

— Czyli jestem starsza od ciebie o czternaście lat — mówię przytłumionym głosem. Jest gorzej, niż myślałam.

— Jeśli tylko kobiety osiągną pewien poziom dojrzałości, nie jest to żadną wadą. — Śmieje się, widząc moje zaskoczenie.

— Miałam nadzieję, że skończyłeś czterdziestkę — dodaję zawiedziona.

— Kocham cię, Angeliko Lagermark. Chcę spędzić z tobą resztę życia. Kobiety żyją średnio o siedem lat dłużej od mężczyzn, a biorąc pod uwagę to, jak zdrowo nauczyłaś Ricky’ego żyć i się odżywiać, może nie powinniśmy się martwić, które z nas umrze pierwsze.

— No to mnie uspokoiłeś. Już na pierwszej randce planujesz nasz podwójny pogrzeb. Muszę to opowiedzieć mojej siostrze Ulrice. Ja też ciebie

kocham. Niczego tak nie pragnę, jak być z tobą... tak długo, jak się da. Ale domyślam się, że możesz chcieć mieć dzieci. A ja mam czterdzieści osiem lat. Jestem za stara.

Powiedziałam to. Czuję puls. Nie sposób już liczyć uderzeń. Jeśli szlag mnie trafi tu, na miejscu, jeśli padnę na atak serca, to przynajmniej nie będę się już zadręczać.

— Nic nie jest dla mnie tak ważne jak bycie z tobą. Marzę o nas. A jeśli chodzi o resztę — co ma być, to będzie.

Zaczynam płakać. Kelner, który właśnie przyniósł nam jedzenie, patrzy na mnie osłupiały.

POKAZ I NIESPODZIEWANA WIZYTA

W najbliższą sobotę odbywa się Visby Fashion Weekend, znany z najdłuższego wybiegu w Europie wzdłuż całej Adelskatan. Biorą w nim udział wszystkie butiki położone w centrum.

W Salonie d'Amour panuje gorączkowa atmosfera. Oprócz pary młodej mamy siedem modelek z fryzurami. Tilly i Generał będą sunąć powoli kabrioletem z długim ogonem grzechoczących puszek z tyłu jak prawdziwa para młoda. Magnus to zorganizował. Generał jest już wyszykowany i wystrojony, a ja robię ostatnie poprawki przy lokach Tilly, żeby nie rozsypały się podczas jazdy. Jest oszałamiająco piękna z tymi swoimi srebrzystobiałymi włosami ozdobionymi staroświeckim diademem ze srebra i kryształków, który specjalnie na tę okazję wykonał jubiler z rogu. Ricky zrobił jej delikatny makijaż i Tilly wygląda isticie po królewsku.

Jessika odebrała z kwiaciarni bukiet dla panny młodej. Fantastyczna kompozycja z białych róż, mimozy i bluszczu. Mam właśnie popsikać sprayem loki Tilly, gdy nagle zauważam przy kasie mężczyznę w czarnym garniturze i białym krawacie. Ricky próbuje mu wytłumaczyć, że dzisiaj nie obsługujemy klientów, jednak coś w spojrzeniu tego gościa trafia prosto do mojego serca, odstawiam więc pojemnik z lakierem i podchodzę do kontuaru.

— Co mogę dla pana zrobić? — Dopiero teraz widzę, że ma na sobie strój żałobny. Biały krawat mówi, że stracił kogoś bardzo bliskiego.

— Przysłała mnie do pani moja żona. Od niej dostałem adres pani salonu. Powiedziała, że mam tutaj przyjść i się ostrzec. Do tej pory nie zwracałem sobie tym głowy, ale włosy zrobiły się już za długie i są bardzo zaniedbane.

— Wygląda na zakłopotanego. — Muszę być za godzinę na pogrzebie. Jej pogrzebie, jestem taki roztrzęsiony.

— Jak nazywała się pańska żona? — pytam, chociaż domyślam się odpowiedzi.

— Naima. Powiedziała, że jeśli będę chciał się ostrzyć, mam przyjść tutaj. I powiedziała jeszcze, że pani się mną zajmie. To były jej ostatnie słowa. Więc jestem. Jest mi tak okropnie smutno.

Jego twarz marszczy się, a oczy zaciągają się mgłą, jednak po chwili mężczyzna się opanowuje. Kiedy próbuję powiedzieć coś pocieszającego, unosi dłoń, żeby mnie powstrzymać. Wyraźnie nie chce płakać. Nie ma czasu.

Zerkam dyskretnie na zegar.

— Wobec tego zrobimy tak. Teraz mam dosłownie pięć minut. Ostrzygę pana na szybko, a na poniedziałek umówimy się na dopieszczenie. Czy może tak być?

— Dziękuję. — Siada na fotelu, ja zaś widzę pełne irytacji spojrzenie Ricky'ego w lustrze.

„Wytłumaczę ci potem”, odpowiadam mu pantomimą. To gardłowa sprawa.

LUZDZIE Z CAŁEJ WYSPY zgromadzili się pod ścianami domów, żeby zobaczyć dzisiejsze show. Muzyka dodatkowo podnosi nastrój. Jest odświeżenie. Rozwijają czerwony dywan. Po drugiej stronie ulicy widzę Lovisę i Gunnara, który w tym ogólnym zamieszaniu całuje ją w usta. Ciągnę Ricky'ego za rękaw.

— Widziałeś?

— Tak! Nareszcie! Czyli oni oboje to teraz zwykłe T zero?

— No. — Czuję się niewypowiedzianie szczęśliwa z ich powodu.

Personel sklepu obuwniczego niesie na przystrojonych deskach pary

butów, żeby zaprezentować publiczności najnowsze modele. Perfumeria rozpyła po drodze najmodniejsze zapachy z ostatnich miesięcy. Sklep Moda dla Puszystych i butik przygotowały wspólnie przegląd kostiumów kąpielowych z różnych epok. Każdy pokaz komentowany jest z ogromnym entuzjazmem przez najradośniejszy głos biura reklamowego.

Tilly jest tak zdenerwowana, że zrobiło się jej niedobrze. Wyjście w tłum w takiej kreacji jest paralizujące. Ale gdy Generał otacza ją ramieniem, pomagając jej wsiąść do auta, widzowie biją brawo i krzyczą radośnie. Gdy oboje siedzą już na swoich miejscach, on całuje ją w same usta, co wywołuje jeszcze większy aplauz. Tilly czerwieni się i wygląda słodko jak cukierek.

Jadą do Stora Torget, a potem zawracają i znowu ich widzimy. Dosłownie naprzeciwko mnie Tilly staje w kabriolecie, wspierana przez Generała wolną ręką. Jessika i Ricky jak szaleni sypią konfetti, a Magnus puszcza w niebo pęk balonów napełnionych helem w momencie, gdy Tilly rzuca swój bukiet panny młodej, który leci łukiem ponad Generałem i ląduje prosto w moich objęciach. To naprawdę nie było zaplanowane.

— Dobrze to urządziłaś — mówi Ricky. — Choć chętnie zobaczyłbym *Catwoman* na wybiegu.

— Tak, udało nam się! — odpowiadam lekko odurzona i widzę roześmianą twarz Magnusa po drugiej stronie morza ludzi.

Oczy wszystkich skierowane są na mnie. Wchodzę więc na schodki księgarni Wessman & Pettersson i macham bukietem wysoko nad głową. Również się śmieję, chociaż z lekkim zakłopotaniem. Nie myślałam, że bukiet trafi do mnie. Ale kto to wie, co przyszłość ma dla nas w zanadrzu. W gruncie rzeczy chodzi tylko o to, żeby mieć odwagę przegrać, aby wygrać.

PO DŁUGIM, ale wspaniałym dniu doprowadzamy z Rickym salon do porządku. Zaczynam już myśleć o nowych planach na najbliższy tydzień. Ricky wybierze się do apteki i zajmie się randką dla Mildred Bofjär, a ja

pójdę na pogrzeb Stevena. Tam zamierzam zawiązać węzeł na nici życia Irmy, aby musiała nawiązać kontakt z Juliusem siedzącym w pudle. Ona i on z całą pewnością mogą wiele sobie dać.

Ale najbardziej tęsknię za tym, aby znaleźć się w domu, bo Ricky obiecał przygotować dla mnie i dla Magnusa kolację. Ma być niespodzianka. Mistrzowskie danie, zapowiedział. Mam nadzieję, że nie ma na myśli strogonowa z kielbasy.

Ricky pierwszy wychodzi. Ja podliczam jeszcze utarg, gaszę światła, zamykam i też idę.

WIECZOREM SERWOWANY jest prawdziwy boeuf Strogonow.

— Czegoś się jednak nauczyłem przez te tygodnie — mówi Ricky, uchylając pokrywkę garnka stojącego na kuchni. Pachnie całkiem nieźle. — Jak przyjęcie to przyjęcie — dodaje z triumfem.

Nakrył w dużym pokoju. Wianuszek puszek z piwem okala bukiet panny młodej, który stoi w kryształowym wazonie na samym środku stołu. Serwetki są złożone na nowy, zaawansowany samolotowy sposób.

Siadamy z Magnusem i czekamy na jedzenie. Kiedy widzę kieliszki do szampana, zastanawiam się, czy Ricky przypadkiem nie wymyślił, żebyśmy pili z nich piwo, aby było trochę bardziej wytwornie. Nie zdążyliśmy jeszcze przerobić nakrywania do stołu ani tego, jakie kieliszki pasują do czego.

Kiedy wychodzi do kuchni po sałatę w miodowym winegrecie, czuję się dumna. Zanim zaczęliśmy wspólnie gotować, nigdy nie przychodziło mu do głowy, żeby jeść zieleninę.

Podczas gdy Ricky tłucze się po kuchni, biorę Magnusa za rękę i patrzę mu w oczy. Mogłabym patrzeć w te jego błyszczące oczy bez końca. On przyciąga mnie do siebie i gdy zaczynamy się całować, słyszę stłumiony huk.

— Ja cię kręcę, ale wystrzał! — Ricky wpada z butelką szampana, który

leje się na podłogę, na jego ubranie i na obrus, aż wreszcie cenne krople lądują w naszych kieliszkach. Po niewielkim łyżku.

— Korek przebił papę na dachu! — mówi ponuro.

— To będę miała na całe życie pamiątkę po tym szczęśliwym dniu — mówię, nie ruszając się z miejsca, żeby zobaczyć, jak duża jest szkoda.
— Na zdrowie i dzięki za pomoc przy dzisiejszym pokazie!

Na deser jest parfait à la Salon d'Amour ze świeżymi z jeżynami. Tylko niech mnie nikt nie pyta, jak Ricky dał sobie z nim radę. Chwalę go, a on cieszy się i świetnie gra rolę kelnera i uwodziciela.

Przy kawie wyjmuję swój album z parami młodymi. Magnus rozpoznaje Rut i jej męża. Na razie jest ich dwadzieścia sześć, mam jednak nadzieję, że to nie koniec. Uwielbiam chodzić na śluby. To takie miłe popłakać sobie, kiedy wszystko jest takie piękne, romantyczne i cudowne.

Ricky zastanawia się, jak można by skojarzyć jeszcze więcej osób. Gada i gada, ja zaś zaczynam tęsknić za tym, żeby zostać sam na sam z Magnusem.

— Moglibyśmy otworzyć w Internecie stronę randkową i stać się nieprzyzwoicie bogaci — proponuje.

Protestuję.

— Nie chodzi o ilość, tylko o jakość. Ale możemy spróbować rozwinąć naszą działalność i z czasem wykorzystać Magnusa. — Uśmiecham się do niego, a on rozumie swoje zadanie bardzo konkretnie.

— Taksówkarzowi ludzie ufają. Mogę znajdować klientów, którym naprawdę przydałaby się wizyta w Salonie d'Amour. Mniej T zero, a więcej takich z określonymi preferencjami.

PO PARU niezbyt zawołanych aluzjach ze strony Magnusa Ricky domyśla się wreszcie, że chcemy zostać sami. Dziękuje za gościnę, a my dziękujemy mu za kolację.

— Co chcesz teraz robić? — pyta Magnus, gdy po zamknięciu drzwi

wejściowych tulę się do niego.

— Zamierzam nalać wody do wanny.

Gdy się uśmiecha, w jego oczach dostrzegam pytanie.

— Dla nas — precyzuję i idę do łazienki, żeby znaleźć płyn do kąpieli, który zachowałam specjalnie na tę okazję. Gdy wody przybywa, zapalam małe świece w niskich szklaneczkach. Magnus włącza muzykę, którą oboje lubimy, i przychodzi do mnie. Ubranie sztuka po sztuce spada na podłogę, a my całujemy się nieprzerwanie. Pocałunki mogą być takie cudowne.

Kiedy wcześniej myślałam o miłości, sądziłam, że to niemożliwe, abym rozebrała się do naga przed nowym mężczyzną po tych wszystkich latach samotności. A jednak. W jego oczach jestem piękna i godna pożądania. Pewna siebie i ufna wchodzę do niego do wanny i zanurzam swe ciało w ciepłej wodzie. Jestem szczęśliwa. I nikt mi tego nie odbierze.

A TERAZ, drogi czytelniku, zamykam drzwi, bo pragnę zostać sama z moim ukochanym. Kto wie, może zobaczymy się znowu w Salonie d'Amour, jeśli zawiedzie cię tam droga. Zawsze znajdę czas na pogawędkę i poczęstuję cię herbatą z szafranowymi sucharkami.

Twoja przyjaciółka

Angelika Lagermark

KILKA MYŚLI AUTORKI NA TEMAT JEDZENIA

Przepisy zawarte w *Księżce kucharskiej Bogini Losu* są mojego autorstwa, a także mojej mamy, mojej ciotki Stiny i babci mego taty. Babcia, która też miała na imię Anna, urodziła się tuż po okresie wielkiego głodu na wyspie w latach 1867-1869. Aby przetrwać, spożywano wówczas dosłownie wszystko, co tylko było jadalne. Pokrzywy, podagrycznik i pieczone żołądźcie. Mąkę robiono z grochu. Ta wymuszona przez sytuację gospodarności i oszczędności została przekazana mi w genach. Ale nie ukrywam, że lubię także jedzenie wystawne. Jeśli od czasu do czasu zaciśnie się pasa, potem można sobie pozwolić na szaleństwo. Życie należy przeżyć z rozmachem!

GARŚĆ PRZEPISÓW NA GORSZE CZASY

SPECJALNOŚĆ Z FISKARGRÄND

Dla 4 osób

18 średniej wielkości ziemniaków

1 cebula

2 opakowania bekonu albo boczku, albo skrawków mięsa (300 g)

300 ml śmietany

szczypta cukru

sól i czarny pieprz według uznania

Nagrząć piekarnik do 225°C. Obrać i zetrzeć drobno ziemniaki jak na placki. Posiekać cienko cebulę. Podsmażyć ziemniaki i cebulę, aż będzie złotobrązowa. Wysmarować tłuszczem żaroodporne naczynie. Przełożyć do niego połowę ziemniaków z cebulą.

Pokroić bekon na cienkie paski i usmażyć. Usunąć zbędny tłuszcz z patelni i odsączyć bekon z tłuszczu na papierowym ręczniku, po czym ułożyć na ziemniakach. Doprawić. Dodać resztę ziemniaków i wylać na wierzch śmietaną.

Wstawić do piekarnika na 15-20 minut. Uprzednie podsmażenie cebuli i ziemniaków podnosi smak, ale oczywiście można także pominąć ten krok. Wówczas zapiekanka musi pozostawać w piekarniku 25-30 minut.

PIEROGI Z ŻÓŁTYM SEREM

Jeśli zetrzemy resztki żółtego sera i włożymy je do zamrażalnika, można je potem użyć jako farsz do pierogów albo do posypania pizzy. Z dodatkiem makreli w pomidorach i zielonych oliwek lub bekonu i smażonych pieczarek pierogi będą jeszcze smaczniejsze.

Na 32 sztuki

Ciasto:

1 l mleka

2 opakowania drożdży

szczypta cukru

2 kg mąki

300 g masła

2 łyżki soli

Farsz:

ok. 1 kg startego sera

8 puszek makreli w sosie pomidorowym

400 g zielonych oliwek albo 400 g wędzonej szynki i 500 g pokrojonych w plasterki smażonych pieczarek

Nagrząć piekarnik do 225°C. Lekko podgrzać mleko, aby było letnie, i dodać do niego drożdże i cukier. Mieszać, dopóki drożdże się nie rozpuszczą. Dodać pozostałe składniki na ciasto, zagniać przez 5 minut, następnie odstawić na 30 minut, aby urosło.

Uformować z ciasta 32 kulki, a potem rozwałkować je na okrągłe placki o średnicy ok. 15 cm. Nałożyć na jedną połowę wybrany farsz, nakryć drugą połową i ścisnąć brzegi za pomocą widelca. Piec przez 15-20 minut albo tak długo, aż pierogi lekko się przyrumienią.

ZUPA Z PIEPRZNIKÓW TRĄBKOWYCH À LA

ANGELIKA

Dla 4 osób

2 średniej wielkości ziemniaki

½ kg oczyszczonych pieprzników trąbkowych, posiekanych

1 duża cebula, posiekana

500 ml śmietany

500 ml wody

500 ml mleka

50 ml sosu sojowego

szczypta cukru

3 kostki rosołu drobiowego

2 ząbki czosnku, zgniecione

2 łyżki galaretki z czarnej porzeczki

sól i chili według uznania

Ugotować i ugnieść ziemniaki. Grzybki i cebulę podsmażyć, tak by cebula się zrumieniła. Włożyć wszystkie składniki do garnka. Gotować ok. 15 minut.

LASAGNE SIN CARNE

Dla 4 osób

12 ugotowanych płatów lasagne

Sos serowy:

400 ml mleka

2 łyżki masła

200 g parmezanu albo innego ostrego sera, startego

6 łyżek mąki pszennej

sól

Sos pomidorowy:

1 opakowanie przecieru pomidorowego (ok. 400 g)

1 łyżeczka cukru

1 cebula, posiekana

1 duży ząbek czosnku, zmiądzony

3 łyżki keczupu

3 łyżeczki soli

2 łyżeczki bazylii

2 łyżeczki tymianku

2 łyżeczki oregano

Nagrzać piekarnik do 200°C. Zagotować razem wszystkie składniki na sos serowy, zostawiając trochę sera do posypania lasagne przed wstawieniem do pieca. W razie potrzeby posolić.

Gotować wszystkie składniki na sos pomidorowy tak długo, aż cebula będzie miękka. Wyłożyć warstwę sosu na dno posmarowanego tłuszczem żaroodpornego naczynia. Następnie kłaść na przemian warstwę płatów lasagne i warstwę sosu, kończąc na samym wierzchu warstwą sosu serowego i ewentualnie posypując tartym serem. Zapiekać przez 25 minut.

UGNSTRULL

Jest to stare gotlandzie danie, którym naprawdę można było najeść się do syta, zwłaszcza że dawniej każdy bochenek chleba miał 25 cm średnicy. Ja robię mniejszy wariant, nadający się na wycieczkę albo na stół z przekąskami. Kiedy bochenki są w piecu i parują, wyglądają jak buzie mówiących trolli. Stąd nazwa tej potrawy.

Na 25 małych sztuk

Chleb:

½ szklanki mąki żytniej + trochę do posypania blatu

1 szklanka mąki żytnio-pszennej

50 g drożdży

100 ml rozpuszczonego masła albo oleju rzepakowego

400 ml letniej wody

2 łyżki syropu

3 łyżeczki soli

2 łyżeczki winegretu

Farsz:

ok. 750 g mięsa pokrojonego w kostkę

pieprz ziołowy według uznania

2 średniej wielkości cebule, posiekane

Nagrząć piekarnik do 200°C. Zagnieść ciasto i odstawić na 30 minut, aby urosło.

Usmażyć pokrojone mięso z pieprzem ziołowym. Oddzielnie zrumienić cebulę. Połączyć mięso z cebulą.

Podzielić ciasto na 25 kawałków. Uformować z każdego małą miseczkę i wieczko. Włożyć do miseczki farsz i nakryć wieczkiem, następnie mocno ścisnąć obie części, zostawiając niewielki otwór albo nakłuwając otwór w wieczku, aby umożliwić uchodzenie pary. Wstawić do piekarnika na 15-20 minut, tak by chlebki lekko się przyrumieniły.

Smaczny dodatek: jogurt z posiekaną świeżą miętą, startym ogórkiem, wyciśniętym ząbkiem czosnku i pieprzem cytrynowym. Albo jak za dzieciństwa mojego taty: ubić śmietanę, aby uzyskała konsystencję masła. Posolić według uznania lub doprawić odrobiną wyciśniętego czosnku albo natką pietruszki.

SUCHARKI SZAFRANOWE À LA SALON D'AMOUR

Na 30 sztuk

200 g migdałów

3 jajka

250 g cukru

szczypta soli

1 łyżka cukru waniliowego

350 g mąki pszennej

1 łyżeczka proszku do pieczenia

½ g szafranu (można zrezygnować lub zastąpić kardamonem, jeśli jest krucho z pieniędzmi)

Rozgrzać piekarnik do 175°C. Wsypać migdały do garnka z gorącą wodą i obrać ze skórki. Uprażyć migdały w nagrzanym piekarniku na złotobrazowo, następnie drobno posiekać.

Wymieszać wszystkie składniki i zagnieść ciasto, następnie uformować wałki grubości 2 cm, nieco je rozplaszczyc i ułożyć na blasze wysmarowanej tłuszczem. Piec ok. 25 minut. Bezpośrednio po wyjęciu z piekarnika pokroić ukośnie na sucharki.

Podawać najlepiej z herbatą z czarnego bzu i mięty.

JABŁECZNIK BABCI

Pamiętam to ciasto z dzieciństwa. Jest tak pyszne, że po zjedzeniu kawałka człowiek robi się po prostu lepszy! Jeśli jest krucho z pieniędzmi, wystarczy sam cynamon do przyprawienia. Jeśli natomiast jest się przy kasie, dobrze jest dodać 200 g migdałów w płatkach. A przy szczególnie uroczystej okazji

można podać jabłecznik ze śmietaną ubitą z kropelką ponczu.

Na 8 porcji

150 g połamanych sucharków, biszkoptów lub suchej bułki pszennej

200 ml mleka do zamoczenia

500 ml musu jabłkowego

100 ml syropu

cynamon według uznania (ok. 2 łyżek)

3 łyżeczki goździków

3 łyżeczki skórki pomarańczowej

Nagrząć piekarnik do 200°C. Kawałki sucharków, biszkoptów lub bułki namoczyć w mleku na 10 minut. Wysmarować formę tłuszczem i oprószyć bułką tartą. Wymieszać wszystkie składniki i przelać do formy. Piec ok. 1 godziny na środkowej półce piekarnika. Podawać ciasto z sosem waniliowym lub bitą śmietaną z odrobiną ponczu (tak jak jadł Sindbad).

LODY JEŻYNOWE À LA ANGELIKA ALBO PARFAIT À LA SALON D'AMOUR

Owoce jeżyny popielicy rosną na plażach Gotlandii.

250 g jeżyn lub malin

4 jajka

300 ml śmietany

50 g cukru pudru

2 łyżki cukru waniliowego

Rozbić jajka i oddzielić żółtka od białek. Z białek ubić sztywną pianę. Oddzielnie ubić śmietaną i dodać stopniowo oba rodzaje cukru oraz żółtka.

Wsypać jeżyny do śmietany. Jeśli są zamrożone, należy je rozmrozić i starannie odsączyć. Dopiero potem ostrożnie mieszać z masą śmietanową.

Ostrożnie połączyć masę śmietanową z pianą, przełożyć do plastikowego pudełka, na przykład po lodach, i wstawić do zamrażarki. Po 30 minutach zamieszać, aby owoce nie opadły na dno.

Wyjąć parfait z zamrażalnika 10 minut przed podaniem. Pięknie wygląda podane w kieliszku do martini. Udekorować śmietaną, listkiem melisy cytrynowej i świeżymi jeżynami.

ZUPA Z PODAGRYCZNIKA

Należy uważać, ponieważ podagrycznik pospolity można łatwo pomylić z roślinami trującymi. Dlatego przed użyciem go warto sprawdzić w atlasie roślin, a jeśli nie mamy pewności, lepiej ograniczyć się wyłącznie do pokrzyw. Jeśli możliwości finansowe na to pozwalają, można dodać do zupy pokrojonych i usmażonych pieczarek oraz małe kawałki grillowanego kurczaka.

Dla 4 osób

½ kg podagrycznika i pokrzyw (bez łodyg)

½ kg czosnku niedźwiedziego albo 1 drobno posiekana cebula

1 ząbek czosnku, zmiądzony

2 kostki bulionu drobiowego

500 ml śmietany

500 ml mleka

200 ml wody

1 łyżka mąki pszennej

sól i czarny pieprz do smaku

Wszystkie składniki gotować razem ok. 15 minut. Doprawić według uznania.

OSTATNIA DESKA RATUNKU RICKY'EGO — DAAL Z PODAGRYCZNIKIEM

Kiedy wegańscy przyjaciele Ricky'ego, nietolerujący glutenu i uczuleni na mleko, pojawiają się z niezapowiedzianą wizytą, dobrze jest mieć to danie w zamrażarce. Można je urozmaicić na różne sposoby, na przykład używając fasoli, oliwek czy warzyw, które akurat są w domu. Należy pamiętać, że podagrycznik łatwo jest pomylić z roślinami trującymi. Dlatego przed użyciem go warto sprawdzić w atlasie roślin, a jeśli nie mamy pewności, można zastąpić go szpinakiem.

Dla 4 osób

1 łyżka kminku

1 łyżka kolendry

150 g czerwonej soczewicy

olej do smażenia

1 l wody

1 puszka kukurydzy (ok. 300 g)

1 nieduża cebula, drobno posiekana

1 ząbek czosnku, zmiądzony

250 g drobno posiekanego podagrycznika, ew. szpinaku

sól do smaku

Użyć obszernej głębokiej patelni z pokrywą. Podsmażyć przez kilka minut soczewicę z ziołami. Dodać wodę i gotować połowę czasu podanego na opakowaniu soczewicy. Dodać kukurydzę, cebulę, czosnek i podagrycznik.

Posolić. Gotować, aż soczewica będzie miękka.